



**KLUB
TAJEMNIC**

MEG GARDINER

PRZYSZŁA SUPERGWIAZDA THRILLERA
Stephen King



MEG GARDINER

Kariera Meg Gardiner, amerykańskiej autorki thrillerów, nabrała rozpędu, gdy jej twórczością zainteresował się sam Stephen King. Swoją podziw dla koleżanki po piórze wyraził m.in. takimi słowami: *Jesli lubisz thrillery, zczytujesz się Lee Childem i Michaeliem Connellym, to Meg Gardiner bedzie dla ciebie prawdziwym darem od Boga. Z najwyzszym uznaniem pisza o niej takze inni mistrzowie gatunku: Tess Gerritsen (Tak wolaga, ze nie nadziasz z odwracaniem stron) i Jeffery Deaver (Jey postacie sa jak zywe. Osobiscie najbardziej lubie Jo Beckett, bohaterke „Klubu tajemnic”).*

Seria nietypowych wypadków wstrząsa San Francisco. Obiecująca młoda prokurator z premedytacją powoduje katastrofę drogową, w której śmierć ponoszą trzy osoby. Ekstrawagancki projektant mody ginie na pływającej łodzi, trzymając w objęciach swego kochanka. Oględziny zwłok wskazują, że ofiary otrzymały postrzały w głowę. Tragiczne wypadki, samobójstwa czy zbrodnie? Policja zatrudnia psychiatrę sądowego Jo Beckett, by stworzyła portrety psychologiczne denatów, co pomoże w wyjaśnieniu przyczyn zgonów. Jo dokonuje szokującego odkrycia: wszyscy zmarli należeli do elitarnego Klubu Brudnych Sekretów, zrzeszającego ludzi o wysokim statusie materialnym i posiadających jakiś sekret wart ukrycia. Czy ktoś z bliżej nieznanego powodu zawziął się na jego członków, popychając ich do popełniania samobójstw? A tragiczna seria nadal trwa... Następna ofiarą może być sama Jo, która właśnie otrzymała zaproszenie do klubu, wraz z odwołaniem do tajemnicy, o której miała nadzieję zapomnieć...



KLUB TAJEMNIC

MEG GARDINER

Z angielskiego przełożyła

HANNA SZAJOWSKA

Tytuł oryginału: THE DIRTY SECRETS CLUB

Copyright © Meg Gardiner 2008 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kurytowicz 2010

Polish translation copyright © Hanna Szajowska 2010

Redakcja:

Elżbieta Jurczyszyn

Ilustracja na okładce:

Sophia/Fotolia.com

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-207-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYLÓWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Ann Aubrey Hanson

Podziękowania

Za pomoc przy pracy nad powieścią dziękuję AWS Writer's Group (ekspertom od wszystkiego, od gramatyki po skoki z helikoptera), Nancy Fraser, lek. med. Johnowi Chamberlainowi, lek. med. Sarze Gardiner i dr. nauk med. Johnowi Plombonowi. Specjalne podziękowania dla moich nieustraszonych agentów literackich, Jonathana Pegga i Britt Carlson, a także wspaniałych redaktorów po obu stronach Atlantyku, Sue Fletcher w wydawnictwie Hodder & Stoughton oraz Bena Sevia w Duttonie.

Za serdeczne wsparcie w mojej pracy najgłębsze wyrazy wdzięczności dla Stephena Kinga.

1.

W budynku wył alarm przeciwpożarowy, przesywający i nieustępliwy. W tym hałasie fala ludzi przelewała się przez marmurowy hol w stronę drzwi, omijając kawałki gipsu, które spadły z sufitu, i potłuczone szkło. Na zewnątrz Montgomery Street jarzyła się światłami pojazdów ratowniczych. Oficer policji przebijał się przez tłum pod prąd, by dostać się do środka. Trzy metry za nim jakaś blondynka z trudem przeciskała się do przodu.

W rogu holu czekał na nią mężczyzna, krążąc niespokojnie z opuszczoną głową.

Zdenerwowani ludzie mijali go w pośpiechu. Ktoś powiedział:

— Wszystko pospadało z półek. Już myślałem, że to Big One.

Mężczyzna odwrócił się, wzruszając ramionami. Big One? Też coś. Trzęsienie ziemi nie należało do silnych, zwykły kopniak w tyłek San Francisco. Skutki były jednak widoczne. Na ulicy studzienki buchały gejzerami pary. W powietrzu unosiła się woń gazu. Pod budynkiem pękły rury. Piekło dawało znak: „Nie zapomnij, że tam jestem — tylko się potknij, ja czekam”.

Spojrzał na zegarek. Szybciej, dziewczyno. Mieli dziesięć minut do zamknięcia budynku.

Kapitan straży pożarnej zerknął na niego — młody, wysoki, poruszał się jak sportowiec, którym rzeczywiście był. W oczach strażaka nie zabłysło jednak podejrzenie w rodzaju: „Czy to jest ten facet, o którym myślę?”. Bez stroju klubowego wyglądał zwyczajnie, jak przeciętny Amerykanin.

Blondynka zbliżała się do drzwi. Wyróżniała się z tłumu: platynowe proste włosy mocno zwinięte we francuski kok, obcisły czarny kostium. Gliniarz wyciągnął ramię, zagradzając jej przejście. Błysnęła swoim ID i prześlizgnęła się obok niego.

Czekający na nią mężczyzna się uśmiechnął.

Przepchnęła się przez drzwi i podeszła, mierząc go twardym spojrzeniem błękitnych oczu.

— Tutaj? Teraz? — zapytała.

— To ostateczny test. Tajemnice najtrudniej jest utrzymać w świetle dnia.

— Czuję gaz, a ta rura wydaje odgłosy podobne do wulkanu przed erupcją. Jeżeli puszcza zawory i pojawi się iskra...

— Sama mnie sprowokowałaś. „Zrób to publicznie i dostarcz dowód”. — Otarł dłonie o dzinsy. — Bardziej publicznie już być nie może.

Zacisnęła pięści, ale oczy jej rozbłysły.

— Gdzie?

Serce zabiło mu szybciej.

— Najwyższe piętro. Biuro mojego prawnika.

Gdy wysiedli na górze z ekspresowej windy, zastali firmę opuszczoną. Wył alarm przeciwpożarowy. Komputer na biurku recepcjonistki był ustawiony na wiadomości telewizyjne.

— ...pomniejsze zniszczenia, ale docierają do nas informacje o przerwaniu gazociągu w dzielnicy finansowej...

Blondynka się rozejrzała.

— Jakież kamery?

— Tylko na klatkach schodowych. Firma prawnicza zrobiłaby sobie złą reklamę, nagrywając klientów.

Ruchem głowy wskazała przeszkloną ścianę. Śródmieście lśniło światłem zachodzącego październikowego słońca.

— Planujesz zrobienie tego numeru na tle okna?

Przeciął hol na ukos.

— Tędy. Biurowiec zostanie zamknięty za... — spojrzał na czerwony cyfrowy zegar na ścianie — ...sześć minut.

— Co?

— Procedura w przypadku sytuacji awaryjnej. Jeżeli jest wyciek gazu, budynek zostaje ewakuowany, odcinają windy i plombują schody pożarowe. Musimy wyjść, zanim to się stanie.

— Żartujesz.

Ścienny zegar wskazywał 5.59. Mężczyzna uruchomił timer w zegarku.

— Nie. Miałem właśnie spotkanie z prawnikami, kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi. Takie postępowanie ogranicza szkody w wypadku wybuchu gazu. — Pociągnął kobietę w stronę korytarza. — Nie mogę uwierzyć, boisz się, że cię ze mną złapią. Ty, Twardzielka?

— Rozumiesz, co znaczy „sekretność”?

— Jeżeli nas złapią, będą pytać, co tu robimy, a nie, co kryje nasza przeszłość.

— Racja. — Ruszyła za nim szybkim krokiem, oczy jej błyszczały. — Czekaleś na trzęsienie ziemi, żeby to zrobić?

Trame przypuszczenie — było to trzęsienie niewielkie trzęsienie ziemi w ciągu miesiąca.

— Poszczyliło mi się. Od tygodni polowałem na właściwy moment. Chaos, śródmieście, to było przeznaczenie. Postanowiłem chwycić okazję.

Skręcił w korytarz. Umieszczona na ścianie przeszklona gablotka pękła, wysypały się z niej sportowe memorabilia. Odsunęła się pospiesznie.

— Czy to koszulka Joego Montany?

Zegarek mężczyzny pisnął.

— Pięć minut.

Otworzył mahoniowe drzwi.

W sali konferencyjnej ostatnie promienie zachodzącego słońca zaświeciły im w oczy. Mieli przed sobą wzgórze San Francisco naszpikowane światłami, zatłoczone do granic możliwości jak stadion w czasie meczu.

Mężczyzna zsunął z ramion płaszcz, z kieszeni wyjął aparat fotograficzny i wręczył kobiecie.

— Kiedy ci powiem, wyceluj i naciśnij.

Przeciął salę i otworzył drzwi prowadzące na taras na dachu. Dwoma kopnięciami zrzucił z nóg buty i pewnym krokiem wyszedł na zewnątrz.

— Narzekalaś, że traktuję klub jak konfesjonał. Powiedziałaś mi, że szukam możliwości odpokutowania za grzechy, ale wy nie możecie dać mi rozgrzeszenia — stwierdził.

W dole pod nimi budynek jęknął. Blondynka wyszła na zewnątrz, ciężko dysząc.

— Scott, cholera, to niebezpieczne...

— Twoje wyzwanie brzmiało, cytuję: „Publicznie wyrazić skruchę i na litość boską zapewnić dowód”.

Ściągnął przez głowę koszulkę polo. Kobieta przyjrzała się jego klatce piersiowej.

Teraz, pomyślał. Zanim znikną odwaga i uczucie euforii. Rozpiął i zdjął dżinsy. Podszedł do sięgającego mu do pasa murku wokół tarasu.

— Włącz aparat.

— Przeszedłeś bez majtek na spotkanie z prawnikami?

Nagi mężczyzna wspiął się na ceglane ogrodzenie i stanął tam twarzą do kobiety. Otworzyła usta, wstrzymując oddech. Przejęty dreszczem emocji aż po czubki palców odwrócił się, by mieć przed sobą widok na Montgomery Street.

Czuł dotyk słonej bryzy na nagiej skórze. Sześćdziesiąt metrów poniżej poprzez parę buchającą z pękniętej rury przebijały światła wozów policji i straży pożarnej, nadając otoczeniu upiorną czerwoną barwę.

Rozłożył ramiona.

- Strzelaj.
- Chyba żartujesz.
- Zrób zdjęcie. Szybko.
- To nie jest pokuta.

Zerknął na kobietę przez ramię. Kręciła głową.

— Zły? Wytatuowałeś sobie słowo „zły” nad pośladkami? Zegarek mężczyzny znów pisnął.

— Cztery minuty. Zrób to.

— Taki z ciebie zły facet? — Oparła pięści na biodrach. — Jesteś w rozsypce z powodu paskudztwa, którego dopuściłeś się w college'u i chcesz to zrzucić na nas, świetnie. Ale nie możesz tatuować sobie na tyłku szpanerskiego oświadczenia i nazywać tego pokutą. To nie jest żal. To nie ma nic wspólnego z unurzaniem się w brudzie, cholera.

Ze zmarszczonymi gniewnie brwiami wpadła z powrotem do wnętrza. Mężczyzna się odwrócił.

— Hej! — zawołał.

Chciała się zmyć? Nie. Przecież wszystko zależało od tego, czy zrobi zdjęcie... Wróciła biegiem, trzymając w garści jedną ze sportowych pamiątek z rozbitej gabloty.

SZPICRUTĘ. Scott przełknął ślinę.

Kobieta z trzaskiem wymierzyła cios w roślinę w doniczce.

— Ktoś musi cię trochę utemperować.

O mało nie zaskomlał. Ona też chciała nabić sobie punkty. I bardzo dobrze.

Uderzając szpicrutą o udo, przeszła przez taras. Oceniała szerokość murku, rozpięła mocno dopasowaną spódnicę i wysunęła się z niej wężowym ruchem.

— Czas, żebyś dokonał aktu skruchy — stwierdziła.

W obcisłym czarnym żakiecie wyglądała jak wojowniczką. Ostrzami swych obcasów mogłaby wykluć mu oczy. Jej czarne pończochy kończyły się u zbiegu ud. Powyżej...

— Z czego jest zrobiony ten pasek?

— Ze skóry iguany.

— Pomóż mi, Jezu.

— Mam tego pełną szufladę. Zostało mi po rozwodzie. — Wyciągnęła dłoń. — Nie pozwól mi spaść.

— Nie pozwolę. Mam idealny zmysł równowagi. — Czuł szaleństwo, rozpacz i, Boże, chciał, żeby weszła na górę, już. — Płacą mi cztery miliony dolarów rocznie za to, żebym łapał i nigdy nie upuścił.

Kosmyk blond włosów wymknął się z koka kobiety. To nadało jej nieco łagodności. Chciał, żeby wsunęła go na miejsce. Chciał, żeby założyła skórzane rękawice i może opaskę na oko. Wciągnął ją na murek obok siebie, gdy chwyciła podaną dłoń.

Gładkie pończochy otarły się o nogę mężczyzny.

— Czy to jest pokuta? — Ledwie mógł mówić.

— Od bólu już tylko krok do raj. — Spojrzała w dół. — Chryste. To aż się prosi o atak serca.

— Nie żartuj. Popatrzyła na niego. .

— Nie, to nie miał być żarcik na temat Davida.

Gdyby nie to, że Davida powalił rozległy zawal, nie byłoby

ich tutaj. Śmierć lekarza spowodowała, że powstał wakat i Scott chciał go objąć. To była jego szansa, żeby się sprawdzić i zyskać dostęp do najwyższych struktur klubu.

Bryza przybrała na sile. Ludzie stojący w oświetlonych oknach wieżowca po przeciwnej stronie ulicy obserwowali wozy strażackie. Nikt nie patrzył na dwoje szaleńców.

— Dokładnie na ich oczach — stwierdził Scott. — Dodatkowe punkty dla nas obojga.

— Jeszcze nie. — Kobieta wręczyła mu aparat. — Ustaw tak, żebyśmy razem znaleźli się w kadrze.

Mężczyzna ustawił autotimer na serię pięciu zdjęć i umieścił aparat na murku. Pisał stoper. Trzy minuty.

Blondynka szeroko rozstawiła stopy, żeby zachować równowagę.

— Co spotyka tych, którzy są winni?

Scott, mrużąc oczy, odwrócił się i ostrożnie stanął na czworakach.

— Byłem zły. Zbij mnie.

Uderzyła szpicrutą o dłoń.

— Jakie jest czarodziejskie słowo?

Mężczyzna poczuł ulgę i ogarnęło go pożądanie.

— Mocno.

Aparat błysnął. Kobieta opuściła szpicrutę.

Ból był jak liźnięcie języka ognia w dolnej części jego pleców. Scott gwałtownie nabrał powietrza i mocniej chwycił za barierkę.

— Jeszcze — powiedział.

Szpicruta opadła z trzaskiem. Aparat błysnął.

Wbił palce w cegły.

— Mea culpa. Byłem bardzo, bardzo zły. Mocniej.

Blondynka nie uderzyła. Spojrzał na nią. Pierś jej falowała, włosy uwolniły się z koka.

— Mój Boże, naprawdę chcesz zostać ukarany, co?

— Zrób to.

Wzięła zamach. Trzasnęła tak mocno, że krzyknęła z bólu. Chciała karać, owszem, ale nie jego. Zamierzała w ten sposób przekazać wiadomość komuś innemu. Pisnęła zegarek.

— Jezu, dwie minuty — powiedziała. — Wyośmy się stąd.

Mężczyźnie łzawiły oczy.

— Jeszcze nie. Nikt nie patrzy.

— Nie patrzy? Odbiło ci. Jeżeli będzie wstrząs wtórny, stracę równowagę.

Łoskot odbił się echem od ścian wieżowca. Nad budynkiem zawisł helikopter.

Zawrócił i zastygł nad Montgomery Street z ogłuszającym rykiem silników. Wszystko, co znajdowało się na tarasie, uniosło się w powietrze. Kurz, liście, ubrania. Aparat zsunął się z murku. Scott sięgnął po niego, ale nie zdążył złapać.

— Nie, to dowód...! — krzyknęła.

Aparat uderzył o ścianę budynku i odbił się. Mężczyzna wrzasnął. Jego pokuta, wspomnienia...

Taras zalało oślepiające białe światło reflektora.

— Och, nie, to helikopter prasowy! — zawołała kobieta.

Zeskoczyła z murku na taras. Mimo obcasów wylądowała jak gazela. Jej towarzysz gramolił się za nią, szczypały go pośladki. Chwycili ubrania i pobiegli do drzwi. Reflektor helikoptera podążał za nimi.

Blondynka się obejrzała, w oczach miała radość i złość. Światło zmieniło jej włosy w aureolę.

— Odwróć się! — krzyknął mężczyzna. — Chcesz, żeby ci zrobili zbliżenie?

— W mieście znają twoją twarz, nie moją.

— Ale tu chodzi o twój rozkoszny tyłek.

Scott wbiegł do sali konferencyjnej, zatrzymał się i wcisnął

lewą nogę w dzinsy, po czym niezgrabnie pokuśtykał do drzwi. Reflektor odnalazł uciekinierów. Walcząc ze spódnicą, blondynka pognęła korytarzem.

— Gonia nas jak te cholerstwa z *Wojny światów*.

Mężczyzna ją ponaglał.

— Jedziemy windą towarową. W holu na dole jest pełno gliniarzy.

Biegła obok, zręczna mimo obcasów. Stoper znów pisnął.

— A gównu. Nie ma czasu.

W holu rozlegał się wysoki dźwięk alarmu przeciwpożarowego. Na cyfrowym zegarze błyskały czerwone cyfry: 58, 57. Na ekranie telewizora widać było zdjęcia z kamery z helikoptera.

— Dwie osoby są uwięzione na dachu! — krzyczał reporter.

— Kobieta sygnalizowała, że potrzebuje pomocy. Jeżeli zawrócimy...

Pikanie alarmu przeszło w ciągły dźwięk.

— Ile czasu potrzeba na zejście? — zapytała blondynka.

Pobiegli do windy towarowej i uderzyła pięścią w przycisk.

Reflektor omiatał okna. Oślepił ich jak biała flara.

— Widzę ich. Usiłują uciec z tej zabójczej pułapki.

Kobieta walnęła przycisk windy szpicrutą.

— Otwórz się.

Winda zatrzymała się z charakterystycznym dźwiękiem. Wpadli oboje do środka. Wysiedli na parterze i uciekli na zewnątrz przez tylne wyjście. Asfalt był mokry i parował. Scott wyłączył stoper.

— Siedem sekund. Mamy zapas czasu.

— Wariat — powiedziała.

Popędzili pomiędzy kałużami do końca uliczki. Tam minął ich policyjny wóz błyskający światłami. Helikopter huczał nad ich głowami, omiatając reflektorem dach.

Scott wskazał go ruchem głowy.

— Mają to na taśmie. Masz dowód.

— Jesteś lekkomyślny. Chyba naprawdę chcesz, żeby cię złapali.

— Podjąłem wyzwanie. Zaliczyłem?

Blondynka walczyła z zamkiem błyskawicznym.

— Poddamy to pod głosowanie. Niczego nie obiecuję.

Szybkim krokiem opuścili boczną uliczkę. Policja usuwała gapiów z Montgomery Street, pełnej banków i eleganckich sklepów. Para zwolniła kroku, usiłując wyglądać normalnie. On zapiął marynarkę. Ona przyglądała włosy. Mężczyznę ogarnęło rozradowanie.

— Przyznaj, to było niesamowite.

— Było oburzające. — Pogroziła mu.

— Naprawdę? — Sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl piłkę baseballową.

— Co to jest?

Rzucił ją blondynce. Złapała.

— Piłka z autografem Williego Maysa? — Spojrzała na niego zaskoczona. — Z kolekcji pamiątek kancelarii prawnej? Ukradłeś ją?

— Po drodze. I to nie jest po prostu jakaś tam piłka. To ta piłka, z mistrzostw świata w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Najlepszy rzut wszech czasów.

Kobieta gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

— Musi być warta...

— Sto tysięcy. — Uśmiechnął się szeroko. — Dokładnie na twoich oczach.

Po jej twarzy przemknął grymas gniewu. Wepchnęła mu piłkę z powrotem w ręce

— Okay, dodatkowe punkty za wieśniackie zagranie.

Roześmiał się i podrzucił piłkę.

— Nie martw się, zostanie zwrócona. To następne wyzwanie.

— Jak? Budynek został zamknięty. I są na niej twoje odciski palców.

— I co z tego? Jestem sławnym klientem. Mój prawnik pozwolił mi ją potrzymać. To bez znaczenia, że są na niej moje odciski palców. — Zerknął na stojący w oddali radiowóz, a potem ponownie na kobietę. — Ale jak wyjaśnisz obecność swoich?

Zatrzymała się na chodniku jak wryta. Podniósł piłkę w górę.

— Zwróć ją, nie popadając w konflikt z prawem. Wyzywam cię.

Odwrócił się, stanął twarzą do sklepu jubilerskiego, który właśnie mijali, i cisnął piłką prosto we frontowe okno. Szkło pękło, włączył się alarm. Scott obrócił się na pięcie.

— Dobrej zabawy, Twardzielko.

Odszedł w dół ulicy.

2.

Światła to pierwsze, co zobaczył Pablo Cruz, długie światła, które rozbłysły w jego wstecznym lusterku. W mgnieniu oka ujrzał też tylne, kiedy samochód go wyminął. Strzała, bum, znikł. Uznał, że to bmw przemknęło przez skrzyżowanie Van Ness i Californii. Jego prędkość oszacował na blisko sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wykroczenie uznał za czystą głupotę — na skrzyżowaniu były czerwone światła i stał czarnobiałe radiowóz. Cruz włączył koguta i ruszył za autem.

Chwytając mikrofon, zaalarmował centralę.

— Ruszam w pościg. Świeży model bmw, ciemnoniebieski albo czarny.

Pierwsza nad ranem, pusta ulica. Tamten był już kwartał przed nim. Pablo wcisnął gaz do dechy. Crown wie przyspieszył, o mało nie zrywając nawierzchni asfaltu.

Czemu kierowca to zrobił, przeleciał tuż obok radiowozu? Może naćpany. Może zamierzał rzucić wyzwanie. Może chciał wynieść się z miasta w cholerę, zanim trafi się następne trzęsienie ziemi, jak to sprzed kilku dni. Może uciekał z miejsca przestępstwa.

California Street biegła prosto jak strzelił między ciemnymi

biurowcami i wiktoriańskimi apartamentowcami. Cruz mocno trzymał kierownicę, usiłując wypatrzeć sylwetkę bmw, kątem oka kontrolując boczne ulice. Tylne światła, niski profil – to było M5 i nie zwalniało. Włączył na chwilę syrenę. Brak reakcji.

Bmw mknęło w górę Nob Hill gładko jak krążek hokejowy. Policjant gnał za nim, wyrzuciło go na wzniesienie przy Leavenworth Street i zawisł na pasach. M5 przed nim popędziło, mijając Grace Cathedral. Od Cruza dzieliło go siedemdziesiąt metrów.

Auto minęło hotel Marka Hopkinsa i znalazło się na szczycie wzgórza. Przez sekundę wyglądało jak zawieszony w powietrzu, po czym zniknęło, rozpoczynając długi zjazd w kierunku dzielnicy finansowej. Radiowóz podążył za nim. Gdy wjechał na górę, zauważył światła miasta. Poniżej rozciągało się centrum, lśniące pasmo jasności, kończące się ciemnym brzegiem Zatoki San Francisco.

M5 walnęło podwoziem o nawierzchnię. Poleciały iskry. Samochód zbliżał się do kolejnych czerwonych światel gotowy pokonać je pełną parą. Z bocznej ulicy na skrzyżowanie wytoczył się volkswagen. Bmw gładko weszło w lewoskręt, wyminęło tamtego i skokiem pokonało zakręt. Światła hamulców pokazywały, że kierowca wciskał je i odpuszczał, kontrolował prędkość i ponownie przyspieszał. Cholera, gość umiał prowadzić. Cruz brał udział w prawdziwym pościgu. Pierwszym w życiu.

Włączył syrenę i pozwolił jej śpiewać. Zacisnął ręce na kierownicy. Uciekinier miękkim łukiem odbił w lewo, mijając szyny tramwajowe; błysnęły światła hamulca. Kierowca szykował się do skrętu w prawo.

Drzwi od strony pasażera gwałtownie się otworzyły. O rany, pomyślał Cruz, no to się zacznie.

Co chciał wyrzucić — kokainę czy łom, którego użył, kiedy włamywał się do samochodu? Policjant wciskał gaz w podłogę, pożerając dzielący ich dystans. Zacisnął zęby z nadzieją, że z bmw nie wychyli się lufa obrzyna.

Ręka na drzwiach. Kobieta.

Blade i szczupłe ramię. Blond włosy powiewające na wietrze. Wpatrywała się w chodnik, który przesuwiał się pod nią w szalonym tempie.

— Jezu — jęknął Cruz.

Próbowała wyskoczyć.

Kierowca szarpnięciem wciągnął ją do samochodu, jakby pociągnął za łańcuch. Bmw z poślizgiem pokonało kolejny skręt, zarzucając tyłem. Prowadzący skontrolował i siła odśrodkowa zatrzaskała drzwi pasażera. Cruzowi mocniej zabiło serce. Auto było szybkie i zgrabne, ale tam w dole ulice się zwężały. Wystarczy wjechać do Chinatown, żeby trafić na pustoszejące restauracje. Duży ruch, masa spowalniających przeszkód.

Na przykład piesi.

Policjant przeskoczył róg ulicy, nie troszcząc się o uszkodzenie radiowozu, i zobaczył, że bmw odbiło w prawo. Bum! Huknęło o samochody zaparkowane wzdłuż krawężnika, tnąc blachę jak otwieracz do konserw. Kierowca stracił kontrolę, wyhamowuje — nie. Nie pozwala pasażerce wyskoczyć, o ile chciała zachować całe ręce i nogi. Cruz poczuł suchość w gardle. Światła radiowozu dotknęły tylnej szyby M5. W środku widział niewyraźne ruchy. Pasażerka biła kierowcę.

A ten wciskał gaz do dechy. Samochód z rykiem pokonywał coraz węższe ulice oświetlone czerwono-złotymi neonami, z chodnikami pełnymi ludzi. Wyła policyjna syrena. Piesi zatrzymali się, cofnęli, ale Cruz wiedział, że sytuacja jest kiepska. Zanosilo się na katastrofę.

W świetle swoich reflektorów zobaczył tablicę rejestracyjną bmw. Nareszcie był dość blisko, żeby odczytać. TWRDZLKA.

Twardzielka. Jasny gwint, za kierownicą była kobieta. A więc to kobieta prowadziła jak Jeff Gordon ten wielki wóz?

Bmw oddaliło się od radiowozu z rykiem silnika, pokonując kolejny skręt z potężnym poślizgiem. Policjant był jakieś siedemdziesiąt metrów za nim. Zdążył zobaczyć, że wychodzi na prostą, skręca na wschód w Stockton i znika.

Cholera jasna. Stockton kończyła się ślepo kilka przecznic dalej, bezpośrednio nad tunelem. Nie ma mowy, pomyślał Cruz. Z takim przyspieszeniem to M5 nie zdoła wykręcić w Bush. Przygotował się do skrętu i ruszył za nim, myśląc: spadek, ślepy zaułek, balustrada. Za barierką ulica piętnaście metrów poniżej. Nawet o tej porze, w nocy, będzie ruchliwa.

— Zwolnij — usiłował przekazać tamtej kobiecie.

Z trudem wprowadził radiowóz w zakręt i wjechał w Stockton Street. Zobaczył, że jego życzenie się spełniło. O kurwa.

Bmw stanęło na środku ulicy tuż przed nim. Gwałtownie wcisnął hamulec.

Zauważył, że kobieta wrzuciła wsteczny bieg — tylne światła błysnęły bielą. Wcisnęła gaz do dechy. W kłębach dymu z opon auto mknęło w jego stronę jak czarny pocisk.

Miał zaledwie czas, żeby sobie przypomnieć: dom, dziecko, Shelly śpiąca w ich łóżku.

Dziesięć sekund później było po wszystkim.

3.

Niebieski blask rozjarzył noc. Przecznicę dalej Jo Beckett już wiedziała, że tam, gdzie podąża, czekają ją kłopoty.

Przesuwające się wśród czerwonych wozów strażackich światła reflektorów ustawionych przez kalifornijski wydział komunikacji przyćmiły gwiazdy, a budynki, drogę i gapiów zabarwiły na lodowaty błękit. Cień Jo rysował się wyraziście, kiedy szła w stronę miejsca wypadku. Policjanci kręcili się przy barierze wiaduktu nad tunelem. Jej fragment długości dwóch metrów został wyrwany. W halogenowym oświetleniu Beckett widziała, którzy przedarł się samochód. Nad nimi krążył helikopter prasowy, groteskowy wodzirej całej imprezy. Druga nad ranem, Bush Street przy Stockton Tunnel, włączcie odbiorniki i nacieszcie oczy, ludziska. Ostatni akt krwawej łaźni.

Jo przepchnęła się między ludźmi z ekipy telewizyjnej a grupką gapiów i podeszła do żółtej policyjnej taśmy. Wydychane powietrze zamieniało się w obłoki pary. Było zimno jak na październik, przejrzyscie. Mgła zniknęła. Nawet aura nie chciała ukryć tej sceny. Kiepsko to wyglądało, a Beckett miała przecucie, że sprawa będzie poważna.

Przywołała umundurowanego policjanta, który stał za żółtą taśmą.

— Przepraszam. Szukam porucznik Tang.

— Amy Tang?

— Nie podała mi imienia. — To był tylko krótki telefon z prośbą, żeby Jo zjawiała się na miejscu wypadku.

— Pani jest lekarzem?

Skinęła głową. Chociaż koncentrowała się na gliniarzu, scena widoczna za nim wypełniała jej pole widzenia. Jasno oświetlony tunel wyglądał jak lśniąca gardziel zwięzająca się ku końcowi. Klaksony i odgłosy ulicznego ruchu odbijały się w nim echem. A w samym środku znajdował się wrak. Chociaż wiedziała, że samochód spadł z góry, wyglądało to, jakby sam tunel go przeżuł i wypluł metalowe resztki.

Miała rację, było kiepsko i sprawa była poważa.

Wraki samochodów zapowiadają zwykle krańcowe przypadki: albo — albo. Rzadko trafia się coś pomiędzy. Oznaczają albo plaster na łokciu, albo okaleczenia i śmierć. A tutaj plaster na łokciu nikomu nie mógł pomóc.

Jo wypuściła powietrze. Wokół były śmieci, kurz, bałagan i smród obecny przy każdym wypadku. Widziała bandażę oraz rozdarte opakowania po opatrunkach i jednorazowych strzykawkach, przewód do kroplówki, który upadł na ziemię. Ten chaos był dziełem ludzi rozpaczliwie próbujących ratować ludzkie życie. Ktoś zatem przeżył wypadek, przynajmniej dopóki nie zjawili się ratownicy.

— Ilu? — zapytała.

— Cztery trupy, pięć osób rannych.

Bmw walnęło z góry w inny pojazd. Nie potrafiła rozpoznać marki, ale na drzwiach otwartych przez strażaków wymalowano napis: Przewozy Golden Gate. Spadające auto przebiło się Przez dach busa dowożącego ludzi na lotnisko.

Ekipa z sądówki zbierała dowody. Specjalista medycyny sądowej pochylał się nad walizką ze sprzętem. Policyjny fotograf robił zdjęcia. Każdy błysk flesza wybuchał niemym krzykiem.

Deformacje zrujnowanych mechanizmów zawsze szokowały Jo. Metal, kiedyś lśniący, został porwany na strzępy, zapadł się, rozrzucony wzdłuż drogi jak odłamki bomb. Podobnie życie ludzi, którzy znaleźli się w środku. Pocięte na kawałki wspomnień. Piana rozpylona przez strażaków pokrywała ulicę, chociaż nie było pożaru. Doktor Beckett nie zauważyła śladów osmolenia, nie wyczuła resztek smrodu benzyny ani spalonej gumy. Ani, dzięki Bogu, spalonego ciała.

Dwaj policjanci rozwinęli niebieską plastikową plandekę, aby przykryć najgorszą część tego, co dało się zobaczyć z wiaduktu.

Policjant odchrząknął.

— Medycy musieli amputować jednemu facetowi rękę, żeby go wyciągnąć.

Boże, pomyślała Jo, ależ mają parszywą pracę. Trudno ich nie podziwiać.

Obejrzała wiadukt oświetlony jaskrawymi kiczowatymi reklamami salonu masażu Green Door i baru Tunnel Top. Balustradę tworzyły betonowe słupki. Bmw przecisnęło się przez nie, jakby to były klocki lego. Przyszło jej na myśl określenie „zabójcza prędkość”.

Za wiaduktem Stockton Street biegła w górę. Na długości dwóch kwartałów ciągnęła się na dwóch poziomach. Właściwa ulica, wzdłuż której stały apartamentowce, przecinała grzbiet wzgórza. Poniżej tunel przebijał podstawę wzniesienia w kierunku Chinatown. Wyglądał jak gardło. I to gardło mogło się zapaść jak po zmiążdżeniu tchawicy. Wystarczyłoby trzęsienie ziemi o mocy dziewięciu stopni.

Gliniarz ruchem głowy wskazał kobietę, która stała przy wejściu do tunelu.

— To jest Tang.

Poruszała się jak ktoś, kto całe życie żyje w pośpiechu i nie cofa się przed walką na pięści, byle tylko pójść do przodu. Miałka, ubrana na czarno, z włosami nastroszonymi jak u jeżozwierzka. Miała czerwone policzki, ale wydawała się nie zwracać uwagi na chłód, choć wyglądała na przemarzniętą do szpiku kości. Wyciągnęła rękę.

— Doktor Beckett?

Wymieniły uścisk dłoni i pani porucznik uniosła policyjną taśmę, żeby tamta mogła pod nią przejść.

— Co pani dla mnie ma? — zapytała Jo.

Zamiast wyjaśnienia Tang obrzuciła ją uważnym spojrzeniem, przyglądając się martensom, wojskowym spodniom, dżinsowej kurtce, czerwonemu szalikowi, którym dziewczyna owinęła szyję dla ochrony przed zimnem, i brązowym włosom spadającym w lokach na plecy. Policjantka zachowała spokojny wyraz twarzy, chociaż być może uważała, że Jo wygląda nieporządnie albo jest za młoda. Mniejsza z tym. Ciuchy były funkcjonalne, bez trudu można było w nich biec. Na szczęście tym razem nie została wezwana, żeby stawić czoło brutalnemu szaleńcowi. Nikt nie zamierzał chwycić jej za szyję i próbować udusić. Nie będzie musiała uciekać, skakać przez okno ani kopać nikogo ciężkimi czubkami butów. Nie tego wieczoru.

Tang badawczo przyjrzała się twarzy Jo, jak to robią gliniarze, oceniając zdenerwowanie i prawdopodobność oraz możliwość gwałtownej reakcji. Dokonywała także standardowego kalifornijskiego badania genealogicznego: „kim jesteś?”. Ona sama, sądząc z nazwiska i kalifornijskiego akcentu, była Chiną z San Francisco. Sprawiała wrażenie, jakby chciała lekarzę jakoś zaklasyfikować.

— Skąd ten pośpiech, żeby mnie w to włączyć? — zapytała Jo.

Pani porucznik rzuciła jej wściekle spojrzenie. Wiedziała, że doktor Beckett nie należała do pierwszej linii, ale stanowiła ostatnią deskę ratunku.

— To bmw prowadziła Callie Harding. Zna pani to nazwisko?

Trwało kilka sekund, zanim Jo skojarzyła.

— Prokurator federalna?

— Zastępca prokuratora. Wciąż tam jest.

Tang chuchnęła w dłonie, żeby je rozgrzać, i spojrzała na wrak. Ekipa z sądówki grzebała w szczątkach samochodu, jakby był to pojazd kosmiczny obcej cywilizacji, który rozbił się na Stockton Street.

— Czemu wezwała mnie pani na miejsce wypadku? — ponownie zapytała Jo.

Nie pracowała bezpośrednio dla policji, była niezależną konsultantką. Policja San Francisco dostarczała jej sporo pracy, ale nigdy podczas pierwszych minut dochodzenia, zanim jeszcze zmyto z ulicy krew. Działo się tu coś dziwnego. I nie chodziło tylko o zimną ulicę czy neonowy poblask szylđu klubu ze striptizem, obskurny klimacik rodem z Dashiella Hammetta, kontrastujący ze światłami awaryjnymi. Nie wyraziła jeszcze formalnej zgody na przyjęcie tej roboty i sceneria stanowiła dla niej ostrzeżenie, przypadek wzbudzał zawodową nieufność.

A umarli czekali na nią jak zwykle.

— Nawet jeżeli się okaże, że to samobójstwo, czemu mnie pani wezwała? Skąd ten pośpiech?

— Wie pani, co Callie Harding robiła w prokuraturze? — zapytała Tang.

— Była w wydziale karnym.

— To jedna z ich twardych zawodniczek. Pani prokurator ze świecznika.

— Wsadzała złych facetów do więzienia. I?
Policjantka zniżyła głos, chociaż helikopter wiszący nad miejscem wypadku praktycznie uniemożliwiał podsłuchiwanie.

— I była ich złotowłosa księżniczką. Śliczna, twarda i skuteczna.

Tang ruchem głowy wskazała starszego mężczyznę po przeciwnej stronie ulicy, który sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego widokiem wraku. Zgarbiony i zdenerwowany przeczesywał dłońią włosy.

— To szef Harding, kieruje wydziałem karnym. Jest w rozsypce. Wszystko tu to jeden wielki bałagan. Co oznacza, że federalni będą szaleć. Nie przyjmą do wiadomości, że być może ich królowna po prostu skończyła ze sobą publicznie i przy okazji skasowała kupę niewinnych ludzi.

Schemat już się rysował. Niejasna jurysdykcja. Polityka. Jo poczuła wzmożony opór przed wzięciem sprawy. Włożyła rękę do kieszeni.

— Jeżeli urządziła teatralne publiczne samobójstwo, to coś więcej niż krępujący problem. To odrażające. Ale wciąż nie wiem, czemu chciała mnie tu pani widzieć na starcie.

— Wydaje się, że pewne elementy wymagają pani interpretacji — wyjaśniła Tang.

Jo nie wiedziała, czy w szykującej się bitwie o reputację z prokuraturą pani porucznik szukała pośrednika, czy zabezpieczenia. Nie знаła tej policjantki, ale wiedziała, że stawka będzie wysoka, a sprawa głośna. Powinno jej schlebiać, że po nią zadzwonili, lecz zamiast tego czuła ogarniającą ją podejrzliwość.

— Chciałabym poznać szczegóły, pani porucznik.

— Śmierć Harding może zawierać elementy fantazji seksualnej.

— Żartuje pani.

Tang się jednak nie uśmiechnęła. Wyglądała na całkowicie poważną i nie mówiła z ironią.

— Nie, oczywiście, że nie — przyznała Jo, nagle pewna, że zna kolejne pytanie.

— Rozumiem, że ma pani doświadczenie w analizie śmierci tego rodzaju. A może źle mnie poinformowano?

— Nie.

— Świetnie. W takim razie chodźmy porozmawiać z lekarzem sądowym.

Teraz Tang pozwoliła sobie na złośliwy uśmieszek. To oznaczało, że znała szczegóły śledztwa w sprawie Nagela. Ruchem ręki wskazała Beckett, by poszła przodem.

I słusznie, cholera. Przejście dla księżniczki, specjalistki od autoerotycznego umierania. Czy nie z tego powodu poszła na medycynę? Mama i tata byliby tacy dumni.

Chociaż poirytowana, nie okazywała tego. Lekarz sądowy odwrócił się, by na nią spojrzeć, gdy przechodziła przez ulicę. Dostrzegła na jego twarzy podenerwowanie i troskę. Złość Jo zniknęła.

Barry Cohen był krępy, czerwonobrody i, jak wynikało z jej doświadczenia, niewzruszony niczym skała. Jeżeli on się denerwował, ona też powinna. Mimo wątpliwości nabrała przekonania, że weźmie tę robotę.

Cohen ponuro skinął głową.

— Jo. Nie spodziewałem się ciebie na nocnej zmianie.

Nie wyciągnęła ręki na powitanie. Miał rękawiczki i ochronny strój, by nie dopuścić do zanieczyszczenia miejsca przestępstwa.

— Wygląda na totalną jatkę.

— Dwa trupy w bmw. Dwa w minivanie. Ciała *in situ*.

— Co cię nakręciło, Barry?

— Znaleźliśmy coś, co postawiło detektywów na nogi.

Policyjny fotograf rozjaśnił noc błyskiem flesza. Cohen zawołał go i ten podszedł wolnym krokiem, sprawdzając światłomierz. Jo poczuła ulgę. Nie zamierzał jej prosić, by oglądała tę rzeźnię. Gdyby poprosił, włożyłaby kombinezon i rękawiczki, ale jeśli uważał, że nie musi oglądać zwłok, nie zamierzała zaprzeczać.

— Pokaż doktor Beckett zdjęcie z napisem — powiedział.

— Jasne. — Fotograf oddychał przez usta, usiłując w ten sposób nie dopuścić do nozdrzy zapachów. Oczy mu łzawiły.

Zawiesił aparat na szyi, na pasku, celując ciężkim obiektywem w ziemię. Patrzył w okienko podglądu i przerzucał zrobione zdjęcia.

— Proszę.

Odwrócił aparat, tak żeby Jo mogła zobaczyć ujęcie kierowcy bmw zrobione przez okno. Kobięce ramię — opalone, szczupłe i strzaskane, jakby wykonano je z miękkiej gliny. Opierało się o białą zwiotczałą poduszkę powietrzną. Poniżej widoczne było lewe udo kobiety. Doktor Beckett zauważyła litery — grube i czerwone — nabazgrane na skórze.

Krzywe, niemal dziecięce, lśniące.

— Napisane szminką? — zapytała.

Zerknęła na Cohena i Tang. Słowo pełzło po udzie martwej kobiety w stronę czarnej spódnicy podciągniętej na wysokość bioder.

Zadarcie spódnicy mogło być efektem zderzenia. Ciało, ubrania, biżuteria, życie, wszystko potwornie się skręcało podczas ułamka sekundy. Fotograf przechylił ekran, żeby Jo lepiej widziała.

ru

Liter było więcej, ale flesz i kąt ustawienia nogi sprawiły, że nie dało się ich odczytać. Udo kobiety zostało tak potrząskane, że sprawiało wrażenie skróconego w perspektywie. Kość udowa

w chwili zderzenia wbiła się w miednicę, co spowodowało złamanie szyjki typowe przy wypadkach samochodowych.

— Ma pan jakieś wyraźniejsze ujęcia? — zapytała Beckett.

Fotograf przerzucił zdjęcia zrobione pod różnym kątem.

Głowa wbita w deskę rozdzielczą. Pasażerka równie nieruchoma, twarz skierowana w stronę patrzącego, niewidzące oczy na wpół otwarte, źrenice rozszerzone.

— Barry? — Jo zwróciła się do Cohena.

— Powinnaś rzucić okiem — stwierdził.

Spojrzała na wrak.

— Masz jakieś gumki?

Sięgnął po nie do kieszeni. Dwie założyła na czubki swoich martensów, żeby pozostawione przez nie odciski dało się odróżnić od pozostałych. Trzecią ściągnęła włosy w koński ogon. Cohen wyjął parę lateksowych rękawiczek.

— Wiem, że niczego nie dotkniesz — stwierdził, ale i tak je podał.

Założyła rękawiczki z trzaskiem, odczekała, aż gliniarze zarejestrują ją jako osobę wchodzącą na miejsce wypadku, i po-deszła z fotografem do centrum katastrofy. Wrak siedział na drodze okrakiem. Bmw wbiło się w lewy bok minibusa.

— To nadaje nowe znaczenie określeniu „pocałunek śmierci” — powiedziała.

Ślady ciągnęły się za busem jak gigantyczne smugi po malowaniu palcami. Poczula zapach gumy. Kierowca busa zauważył nurkujący w jego stronę samochód i próbował się zatrzymać.

— Nie mieli szans — rzuciła.

Bmw było czarne jak śmierć. Jo zbliżała się do niego, czując serce walące w piersi. Starła się powściągnąć emocje. Powolny wdech, policzyć do pięciu, widzieć to, co ma się przed sobą.

Widzieć wyraźnie. Zapamiętywać. Jasność osądu, niepoddawanie się uczuciom. Powolny wydech.

To był grobowiec, a wewnątrz znajdowała się „druga strona”. Ona zaś pełniła funkcję mostu, cienkiej linii łączącej ten i tamten świat, linii prowadzącej do wyjaśnienia.

Zauważyła, że fotograf gwałtownie nabiera tchu. Dziesięć metrów od tej siekaniny zaczął oddychać przez usta.

Woń wpełzła jej do nosa. Benzyna. Fekalia. Przesiąknięte uryną tkaniny i stęchły zapach ciała. Metaliczny smród krwi. To były resztki. To, co zostało — organiczne, szczególne, oddziałujące na żywych. Mogło być znacznie gorzej. Miała przed sobą świeżą śmierć, zapach równie ulotny jak ślad perfum kobiety, który zostawiła, wychodząc z pokoju. Fotograf miał rozchylone usta, choć zaciśnięte zęby.

— Wystarczy kilka minut i przestaje pan to zauważać — powiedziała.

— Jasne. — Jego ton mówił „nie”.

— Wiem, po paru minutach człowiek przestanie czuć nawet kulek wbity w czaszkę, naprawdę przestanie pan czuć ten zapach. Komórki olfaktoryczne popadną w otępienie.

— Mam nadzieję, że nie będę tu stał tak długo, żeby sprawdzić pani teorię.

Podeszli do samochodu. Sarkofag na kołach stał nieruchomo. Całkowita inercja — inaczej niż śmierć, która jest ostateczna, lecz nie nieruchoma. Rozkład to pospieszny proces organiczny, niemal równie niepokładany jak żałoba.

Fotograf zatrzymał się jakiś metr od pojazdu.

— Proszę tu stanąć. — Spojrzał na nią badawczo i powiedział: — Chyba musi pani wspiąć się na palce.

Zrobiła to, a kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsca. Opalone i zmasakrowane ramię kobiety kierującej bmw leżało Da zwiotczałej poduszce powietrznej. Plecy. Była pochylona w

przód, okręcona wokół kolumny kierownicy. Wzburzone blond włosy. Jo nie widziała jej twarzy. Przednia część ciała wtopiła się w ogólny bałagan, na który składały się deska rozdzielcza, blok silnika i resztki minibusa. Nie miała zapiętego pasa.

Doktor Beckett zobaczyła jej nogę. Litery. Wyciągnęła się, żeby widzieć wyraźniej. Słowo wypisane tłustą szkarłatną szminką na udzie trupa.

— Odczytuje pani to samo co ja? — zapytał fotograf.

— Bez wątpienia.

W pulsującym świetle skóra kobiety miała woskowy połysk. Potężne złamanie szyjki kości udowej zniekształciło długie i dobrze umięśnione udo. Pod skórą widoczne były nierówności. Litery niewątpliwie układały się w słowo.

brudny

— I co to pani mówi?

— Nie wiem.

— Myśli pani, że ona to napisała? Co to znaczy? Czy to list samobójczy?

— Na razie nie mam pojęcia.

Jo cofnęła się o krok, żeby ogarnąć wzrokiem całą scenę. Pod tym kątem nie widać było na ciele krwi. Podciągnięta na biodra spódnica odsłaniała linię uda aż do pośladków. Kobieta miała na sobie czarne koronkowe stringi. Chociaż ostre światło i cienie zakłócały optykę, doktor Beckett zauważyła, że ciało nabiera charakterystycznej szarości. Krew spływała w dół na skutek siły grawitacji i wierzch uda był blady, uwydatniając jaskrawe litery.

— Proszę zrobić więcej zdjęć — poprosiła.

Odeszła na bok, gdy uniósł aparat. Światło flesza rozjaśniło scenę.

Jo zwróciła uwagę na pasażerkę, rozciągniętą na desce rozdzielczej jak szmaciana lalka. Była bledsza niż kobieta, która siedziała za kierownicą. Też miała na sobie spódnice, ale zbyt ciasną, żeby się podwinęła. Na jej nogach jeszcze nie zaczęły się tworzyć zasinienia. Była wygięta, z twarzą zwróconą w stronę obserwarki. Otwarte oczy miały kolor mroźnego błękitu światła awaryjnych.

Doktor Beckett zrobiła wydech, policzyła do pięciu i wróciła do Tang, której policzki były zaczerwienione od chłodu.

— Czy o to chodziło? To jest powód, dla którego mnie tu pani dziś ściągnęła? — zapytała.

— Nie — odparła policjantka. — Musimy prowadzić dochodzenie wielokierunkowo. Uruchamiamy wszystkie rezerwy.

— Dlaczego?

— To nie jest pierwsze rozszerzone samobójstwo, które mieliśmy w tym tygodniu.

Jo przyjrzała się twarzy pani porucznik, dostrzegając zmęczenie i napięcie.

— Nie ma pani pewności, że to samobójstwo rozszerzone. Gdyby tak było, nie byłabym tutaj potrzebna — stwierdziła. — Te śmierci nie są jednoznaczne.

— Są więcej niż niejednoznaczne — odrzekła Tang. — Dlatego jest nam pani potrzebna.

Co miało znaczyć „więcej niż niejednoznaczne”? Zawodowe życie Jo Beckett koncentrowało się na amfibolicznych zgonach. Tym właśnie zajmowała się psychologiczna autopsja: dwuznacznością, tym co niesprecyzowane, śmiercią niepewną, podejrzanymi sprawami, które wydawały się nie mieć sensu. Jej praca polegała na ich wyjaśnianiu.

Tang spojrzała w stronę telewizyjnego vana, który stał za żółtą taśmą. Antena rozwinięta na dachu, światło kamery telewizyjnej wokół sylwetki reportera. Zniżyła głos.

— W takim razie nie będę ich nazywać rozszerzonymi samobójstwami. Co pani powie na śmierć w parach? Ta jest trzecia.

Chłód się zaostrzył. Gwiazdy lśniące jak odłamki potłuczonego szkła przebiły się przez światła miasta.

— Słyszała pani o pozostałych przypadkach. David Yoshida i Maki Prichingo.

Jo świetnie знаła nazwisko Yoshida.

— Macie przekonujące dowody, że doktor Yoshida nie zmarł z przyczyn naturalnych?

— Dostanie pani wszystko, co mamy. Nie proszę, żeby włączyła pani te sprawy do śledztwa, ale powinna się pani przyjrzeć podobieństwom.

Skinęła głową.

— A Maki Prichingo?

— Płonąca łódź.

Beckett spojrzała na nią, nie rozumiejąc. Tang zmarszczyła brwi.

— Maki, projektant mody. Znaleziono go wraz z kochankiem martwych na jachcie przy nabrzeżu w zeszłym tygodniu. Nie słyszała pani o Makim? — Urwała i jeszcze raz przyjrzała się strojowi Jo. Ignorancja w sprawach mody pasowała jej do całości obrazu, więc odpuściła. — Znała pani doktora Yoshidę? — zapytała.

— Słyszałam o nim, był szefem kardio- i torakochirurgii na Uniwersytecie San Francisco. — Kardiochirurdzy uważali siebie jeśli nie za bogów, to przynajmniej za archaniołów. Byli z tego dobrze znani. — Mówi się, że miał atak serca.

— „Mówi się” oznacza tylko przypuszczenia. Pani dostanie akta.

— Skąd ten pośpiech, pani porucznik? — chciała wiedzieć Jo. — Co łączy te zgony?

— Nie wiemy, ale uważam, że jest coś takiego i pani może nam pomóc to odkryć. Atakujemy tę sprawę na wielu frontach jednocześnie.

— Dlaczego?

Tang zmarzniętą dłonią ujęła panią doktor za łokieć i pociągnęła za sobą, ruszając przez ulicę.

— To trzeci w tym tygodniu dziwny zgon wśród ludzi o znanych nazwiskach.

Nie to jednak nakręcało gliniarzy.

— Rozszerzone samobójstwa?

— Brzmi to dziwnie, wiem, ale to może być coś w rodzaju zorganizowanej zabójczej imprezy. — Policjantka ruchem głowy wskazała miasto. — Tam coś jest.

Czas był dość szczególny, pełnia, zbliżające się święto Halloween. Niedawne trzęsienia ziemi sprawiły, że ludziom puszczały nerwy. Jo przyjrzała się Tang i dostrzegła nerwowość, którą przez cały tydzień obserwowała na ulicach. Wszyscy byli wystraszeni.

Podobnie było z nią. Czuła się jakoś dziwnie, jakby coś było nie w porządku.

— Chcemy, żeby pani to rozpracowała — stwierdziła porucznik. — Od razu, cholera.

— W autopsjach psychologicznych nie ma „od razu, cholera”.

— Teraz jest.

— To tak nie działa. Przeglądam raport o wydarzeniu i historię medyczną ofiary, przeprowadzam wywiady z jej rodziną i kolegami, co może potrwać całe tygodnie. Tu chodzi o wiarygodność raportu w sądzie. Co więcej, także o prawdę o życiu ofiary.

— Słyszała pani o pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach? — zapytała Tang.

— Owszem, ale nie działałam jak FedEx. W pośpiechu wszystko mogę spieprzyć.

Pani porucznik mocniej ścisnęła łokieć Jo.

— Nie o to mi chodzi. W tym przypadku mamy czterdzieści osiem godzin maksimum.

— Dlaczego?

— Bo z taką częstotliwością umierają ludzie. — Tang odwróciła się, żeby spojrzeć na wrak. — Ofiara, sprawca. Nie wiemy, kim jest Callie Harding. Ale ludzie umierają i zabierają ze sobą innych. Yoshida w zeszły czwartek. Maki w sobotę, w nocy. Teraz to.

— Uważa pani, że będzie kolejny zgon?

— Chyba że to powstrzymamy.

Lekarz sądowy skończył pracę. Strażacy zabrali się teraz do rozdzielania za pomocą piły połączonych niby w akcie seksualnym pojazdów.

— Musimy wiedzieć, dlaczego umarła Callie Harding, i musimy to wiedzieć na wczoraj. Proszę się nie przejmować protokołem czy procedurami sądowymi. Proszę iść na skróty wszędzie, gdzie się da. Ma pani dwa dni.

Jo przyglądała się strażakowi tnącemu metal. Białe iskry syczały, tryskając radośnie. Powróciło dziwne wrażenie niepokoju. Coś z tym wrakiem było nie w porządku.

— Proszę mi dać materiały. Pospieszę się.

— Świetnie. — Tang rozluźniła uścisk. — I nie musi pani zaczynać od zera. Może pani porozmawiać z naszym świadkiem naocznym.

— Z kim?

— Z policjantem, który wziął udział w pościgu. Oficerem Cruzem. — Porucznik zmierzyła ją zimnym spojrzeniem. — Witamy na linii frontu.

4.

Kompletny odjazd, tak sobie pomyślałem na początku. Potem to wszystko się stało i znów pomyślałem... tak, kompletny odjazd.

Oficer Pablo Cruz gwałtownie nabrał powietrza i oblizał wargi, jakby były suche, jakby ostatnio często wzdychał. Oczy mu lśniły. Wydawało się, że ten potężnie zbudowany młody człowiek jednocześnie chce opowiedzieć Jo historię swojego pierwszego w życiu pościgu i nie chce tego zrobić.

Odezwała się łagodnym głosem:

— Więc skręcił pan w Stockton i zobaczył, że bmw wrzuca wsteczny. I co się stało?

— Strasznie to było dziwaczne. — Spojrzał na wzniesienie ponad tunelem. — Wcisnąłem hamulec. Widzi pani tę ulicę i pojazdy zaparkowane wzdłuż krawężników; nie miałem za wiele miejsca na manewry. Jechała prosto na mnie, myślałem, że mnie staranuje. — Przelknął ślinę. — Wyrwałem na lewo, żeby uniknąć zderzenia, ale nie musiałem. Wcisnęła hamulec do dechy. Musiała też zaciągnąć ręczny. Stała jak wryta, dokładnie na wysokości mojego okna od strony pasażera. Sięgałem już po broń, gdy ona...

Spojrzał na zrujnowaną balustradę. Zadrżały mu mięśnie policzków.

— Panie Cruz?

Pokręcił głową.

— To bez sensu. Wjechała w tę barierkę specjalnie, nie mam żadnych wątpliwości.

— Co się stało, kiedy zatrzymała się obok pańskiego wozu patrolowego?

Nie spuszczał wzroku z uszkodzonej balustrady. Jo nie zamierzała go naciskać, nie na tym etapie. Chciała zaczekać, aż wszystko popłynie własnym rytmem, jego opowieść, wrażenia, emocje. Nawet jeśli teraz wszystko było chaotyczne.

— Widziałem jej twarz, zupełnie wyraźnie. Była... to znaczy była piękną kobietą, zauważyłem. I była zrozpaczona.

Od śmierci dzieliło ją dziewięćdziesiąt sekund, pomyślała doktor Beckett. Zrozpaczona, tak, można to tak określić.

— I co zrobiła?

— Uderzyła dłonią o szybę i krzyknęła do mnie. Słyszałem. Widziałem, jak wymawia słowa. — Ponownie spojrzał na wia-
dukt. — Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zrobiła to celowo. — Rzucił Jo ostre spojrzenie, jakby właśnie zakwestionowała jego ocenę. — Chodźmy, pokażę pani dlaczego.

Cruz poprowadził Jo schodami na Bush Street. Jego ramiona napinały granatowy materiał policyjnej koszuli, dłoń oparł na palce. Wydawało się, że coś go niepokoi, jakby usiłował pokonać przeszkodę. I nie chodziło tu bynajmniej o śpiwory bezdomnych leżące na schodach.

Doktor Beckett też coś niepokoiło. Czuła łaskotanie z tyłu głowy. Powróciło wrażenie, że coś tu nie pasuje.

— Co pan ma na myśli? — zapytała.

Spojrzał na nią przez ramię.

— Trochę się pani spóźniła, żeby zdjąć samobójcę z gyzmu, co?

— Nie po to tu jestem.

Szli w górę schodami. Co jej doskwierało? Co dręczyło Cruza? Usta miał zaciśnięte.

— Będzie mnie pani pytać, jak się czuję?

Czy o to chodziło?

— Nie zajmuję się terapią pourazową ani oceną pańskiej wiarygodności jako świadka.

Kłujące spojrzenie.

— Więc kim pani jest?

— Jestem psychiatrą nieboszczyków. Zwolnił.

— Co?

— Nie grzebię ludziom w głowach. Analizuję martwe dusze.

— Kroki Jo odbijały się echem na klatce schodowej. — Jestem psychiatrą w medycynie sądowej.

Jego ramiona odrobinę się rozluźniły. Spojrzał na nią z ciekawością.

— Co pani właściwie robi?

— Przeprowadzam psychologiczne autopsje, by określić, czy podejrzane zgony były naturalne, spowodowane przez wypadek, samobójstwo czy zabójstwo — wyjaśniła. — Wykrywam, dlaczego zmarli nie żyją.

Na twarzy policjanta pojawiła się ulga i zaczątek uśmiechu.

— Truposze nie mają kłopotu z płatnościami?

— Tylko zombie. Od tych biorę z góry, zanim odczołgają się z wyciem.

Dotarli do szczytu schodów.

— I nie odprawia pani swoich czarów w ładnym ciepłym biurze?

Jo zrozumiała, dlaczego Cruz uznał, że Harding rozbiła się celowo. Odezwała się ściszym głosem.

— Nie w sytuacji, kiedy wygląda to tak paskudnie.

Stockton Street kończyła się ślepo na wiadukcie, na który prowadziły z obu stron schody zbiegające się na szczycie i zabezpieczone metalowymi poręczami. Jo przesunęła dłoń po jednej z nich. Zimna i twarda. Na pionowym słupku podtrzymującym jej kraniec były widoczne czarne paski. Deformacja poręczy nastąpiła pod wpływem siły, z którą bmw uderzyło w balustradę, zanim spadło w dół.

Jo oceniła, że odległość pomiędzy parą schodów wynosiła nie więcej niż trzy metry.

Albo — albo. Callie Harding albo miała straszego pecha, albo wykonała cholernie precyzyjną robotę.

W górnej części Stockton dwóch policjantów przemierzało ulicę z krokomierzem. Błysnął flesz, ktoś fotografował chodnik.

— Ślady po poślizgu? — zapytała Jo.

— Sprawdzają.

Podeszła do krawężnika w miejscu, gdzie uderzyło w niego bmw. Ślad świadczył o wielkiej sile uderzenia. Po przeciwnej stronie ulicy w świetle latarni zauważyła świeże wyżłobienia w asfalcie. Samochód musiał walnąć tyłem, ale nie wyglądało na to, żeby zmniejszyło to jego prędkość w znaczący sposób, być może wcale.

Widziała dostatecznie dużo zdjęć z miejsc wypadków, prze-studiowała wystarczającą liczbę statystyk, wiele razy przejechała autostradą Bayshore, by wiedzieć, że kierowca, który chce uniknąć zderzenia, wciska hamulec w podłogę aż do punktu zderzenia. Tu nie było po tym śladu, tylko szereg zadrapań nawierzchni. Callie Harding: do pierwszej nad ranem na najlepszej drodze, by zostać prokuratorką gwiazdą. Teraz bruzdy znaczyły jej drogę ku hałaśliwej śmierci.

Jo odwróciła się do Cruza.

— Jak pan zapamiętał chwilę przed zderzeniem?

— Myślałem, jasna cholera, że ona to robi celowo.

— Czy miała włączone światła?

— Tak, przednie, tylne, wszystkie działały. Pyta pani, czy hamowała, zanim uderzyła w balustradę, czy widziałem światła hamulców? Nie pamiętam. Ale minutę wcześniej, kiedy z piskiem stanęła przy moim wozie patrolowym, jej hamulce działały. Zatrzymała się, jakby ściągała lejce koniowi. Ostro.

Cruz zapatrzył się w dal. Miał aztecki profil. To była twarz wojownika, młodego i niezwykle napiętego.

— Strzeliła samobója, nie widzę innej możliwości. Zgadza się? Bo co innego to mogło być? — powiedział. — Ale dlaczego? Nie rozumiem.

Jo dotknęła jego łokcia.

— Zaczniemy się tego dowiadywać.

— Ale, Chryste, czemu zabrała ze sobą tych wszystkich ludzi?

Pani psychiatra od nieboszczyków tego nie wiedziała.

Milczał jeszcze przez chwilę, jego ramiona znów zaczęły się napinać. Wrażenie, że coś było nie w porządku, narastało. Niebieskie światła akcji ratunkowej, flesze aparatów fotograficznych, błyszczące oczy Cruza, wszystko to przyprawiało Jo o zawrót głowy. Wytrzymała jego spojrzenie. Próbowwała przyswoić sobie pierwszą porcję informacji, ale jednocześnie martwiła się o tego młodego gliniarza. W jakiś sposób czuł się odpowiadający. To on znajdował się na miejscu, a Callie Harding umarła. Uważał, że zawiódł.

— Cruz. Proszę nawet nie zaczynać myśleć, że mógł pan temu zapobiec.

— Nigdy w życiu nie widziałem takiego spojrzenia jak u niej.

— Jego oczy przepelniał ból. — Ale nie to mnie zaszokowało. To znaczy...

— Nie będę pana oceniać. Co takiego było w oczach kierowcy?

Zrozumienie spłynęło na nią z ostrością błysku flesza w aparacie fotograficznym. Miała wrażenie, że zanurza się w lodowatej wodzie.

Spojrzenie jej oczu.

Jo odwróciła się i pognała schodami w dół. Przeskakiwała po trzy stopnie, wreszcie chwyciła się poręczy i przeskoczyła przez nią. Wylądowała z hukiem i pobiegła w stronę wraku, wołając do lekarza.

— Cohen, sprowadź ratowników, natychmiast!

Spojrzał na nią zaniepokojony.

Oczy. Na cyfrowym wyświetlaczu fotografa twarz pasażerki była biała jak mąka, oczy na wpół zamknięte, ciemne i niewidzące, ale kiedy Jo spojrzała na nią z bliska, te oczy były szeroko otwarte i lśniły błękitem. Niebieskie, bo źrenice się zwężyły.

Oczy zmarłych nie reagują na światło.

— Barry, ona żyje! — wrzasnęła.

Tym razem, nie zważając na policyjny protokół czy ochronę miejsca wypadku, Jo rzuciła się do wraku. Cohen pośpiesznie podążył w jej stronę.

Pasażerka się nie poruszyła. Oczy wciąż miała otwarte. Rzęsy ubrudzone krwią jak tuszem.

Doktor Beckett przycisnęła dwa palce do szyi kobiety w poszukiwaniu pulsu na tętnicy.

— Czy pani mnie słyszy? — zapytała.

Brak odpowiedzi. Żadnego ruchu. Nie wyczuwała pulsu. Jednak jej własne serce biło tak mocno, że nie czuła niczego innego.

— Czy pani mnie słyszy? Proszę mrugnąć, jeżeli pani słyszy.
Podszedł Cohen.

— Co ty wyprawiasz?

Czy to sobie wyobraziła, czy była tak przestraszona, że wszystko...

Kobieta mrugnęła.

— O mój Boże — powiedział lekarz.

Jo czuła dudnienie adrenaliny w żyłach, jej ramionami wstrząsały zimne dreszcze, serce wskoczyło na szósty bieg, ciśnienie krwi wzrosło tak gwałtownie, że przestała wyraźnie widzieć.

— Proszę się nie ruszać. Wyciągniemy panią stąd — powiedziała.

Słyszała, że Cohen wzywa paramedyków. Miała wrażenie, że wyczuła puls na szyi kobiety. Pasażerka była młoda, młodsza od niej, i potrząskana na kawałki. Flesz aparatu fotograficznego zabarwił samochód na biał.

Wargi kobiety się poruszyły. Usiłowała zaczerpnąć tchu.

Jo się wydawało, że poprzez dudnienie krwi w swoich uszach usłyszała dźwięk dochodzący z ust tamtej. Pochyliła się. Kolejny błysk flesza zmienił kolor skóry na twarzy rannej w mąkę. Jej źrenice ponownie się zwęziły i ból zasnuł oczy. Rozchyliła wargi.

— Co? — zapytała pani doktor. Głos był zaledwie cieniem dźwięku.

— Powstrzymaj to.

Beckett się odwróciła, żeby krzyknąć na policyjnego fotografa, ale otoczyli ją dziennikarze zza żółtej taśmy. Nachyliła się nad ranną, by osłonić ją przed kamerami.

— Trzymaj się. Ratownicy już idą. Strażacy zaraz cię stąd wytną. — Odwróciła się i krzyknęła: — Szybciej!

— Powstrzymaj to — wyszeptała znowu kobieta.

Jo dotknęła jej ramienia.

— Wiem, że to trudne. Wyciągnijmy cię stąd.

Znów położyła palce na jej szyi. Wyczuła puls.

Przybiegli paramedycy ze sprzętem. Strażacy przynieśli szczęki życia. Stłoczyli się dookoła gotowi przejąć dowodzenie.

— Świadoma i kontaktowa — informowała Beckett, posuwając się. — Puls słaby nitkowaty. Źrenice równe i reaktywne.

Ekipy ratowników przepychały się obok. Pasażerka podążyła wzrokiem za Jo. Jej oczy były niebieskie i czyste jak szkło. Zaciśnęła zimne palce wokół nadgarstka Beckett.

— Powstrzymaj to — powtórzyła.

Strażak odsunął Jo na bok.

— Pani doktor, proszę pozwolić nam pracować.

Powstrzymać co?

Poczuła pustkę w żołądku. Przycisnęła ręce do brzucha i zmusiła się, by oddychać powoli. Rozejrzała się. Cruz stał u dołu schodów.

Ruszyła w jego stronę.

— Cruz! — zawołała, a on się odwrócił. — Co powiedziała kobieta z bmw? — Zmarszczył brwi, najwyraźniej niepewny, co zrobić. Jo szła w jego stronę. — Kiedy bmw zatrzymało się przy pańskim samochodzie. Co powiedziała do pana Harding?

Policjant się spiął, słysząc przynaglenie w jej głosie. Była już blisko.

— Proszę mi powiedzieć.

Badawczo spojrzął na jej twarz i ledwie to z siebie wydusił:

— „Pomóż mi”. — Jo poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. — Uderzyła dłonią w okno od strony kierowcy, spojrziała prosto na mnie i powiedziała: „Pomóż mi”. Przysięgam na Boga. — Wytrzymał jej spojrzenie i doktor Beckett dostrzegła ból w jego oczach wojownika. — Błagała mnie, żebym ją ratował.

5.

— Na trzy.

Paramedycy odliczyli. Z pomocą strażaków unieśli ranną pasażerkę tylko na tyle, by założyć jej wokół szyi kołnierz. Centymetr po centymetrze wyjęli ją z wraka z delikatnością kogoś, kto podnosi rozszarpanego motyla. Blond włosy opadły na twarz młodej kobiety jak nitki kukurydzy.

Jo usiłowała uchwycić jej spojrzenie, ale ta sprawiała wrażenie oziębiającej, wpatrywała się w nicość. Ratownicy przymocowali ją pasami do sztywnych noszy i popędzili do karetki, jeden z nich trzymał worek z płynem do kroplówki. Dożyłne odżywianie szmacianej lalki. Doktor Beckett rzadko kiedy widywała tak delikatne i tak zniszczone ludzkie istnienia. I tylko nieznaczną część z nich mogła przeżyć.

Barry Cohen stał w pobliżu, gmerając palcami w rudej brodzie. Przyglądał się, jak ratownicy ładują ranną do karetki.

— Nie wiem, jakim sposobem to przeoczyłem — powiedział.

Ambulans odjechał, malując światłami na ulicy czerwone i niebieskie pasy. Cohen odczuwał je jak uderzenia bata.

— Nie badałeś jej? — zapytała Jo.

— Palpacyjnie. Nie wykryłem pulsu. I nie zauważyłem

reakcji na światło. — Odwrócił się do niej. — To była dobra robota.

Strużka adrenaliny popęzła wzdłuż ramienia dziewczyny. Paskudne uczucie. Odepchnęła je, przyglądając się znikającym światłom, gdy karetka skręciła w Market Street.

— Dzięki Bogu, że nie zmierzyłem temperatury wątroby, by określić czas zgonu — powiedział Cohen.

Wbicie przyrządu będącego odpowiednikiem termometru w wewnętrzny organ ustaliłoby czas zgonu na... O cholera.

— Kto uznał ją za martwą? Paramedycy?

— Tak. Dotrę do samego dna sprawy. — I gdyby miało się okazać, że wina leżała po jego stronie, nie starałby się tego ukryć.

— Z pewnością, Barry.

Obdarzył ją zmęczonym uśmiechem.

— Dzięki.

Na do widzenia pokazała mu uniesione w górę kciuki.

Obok miejsca wypadku porucznik Tang rozmawiała z szefem Callie Harding. Jo podeszła do nich, czując dotkliwie chłód powietrza.

Mężczyzna był chorobliwie blady.

— Dla środowiska ludzi zajmujących się egzekucją prawa to strata nie mniejsza, niż gdyby zginął oficer policji. Chcę być informowany o waszym śledztwie.

Pani porucznik stała ze skrzyżowanymi ramionami.

— Naturalnie. — Rzuciła Jo spojrzenie, które wydawało się ostrzegać. — Jo Beckett, nasza konsultantka z zakresu psychiatrii sądowej, zastępca prokuratora generalnego Leo Fonsecca, szef wydziału kryminalnego — dokonała prezentacji.

Fonsecca był szczupły i rozczochrany. W ostrych światłach ulicznych wyglądał grobowo z rzednącymi siwymi włosami i twarzą basseta w okularach bez oprawek. Wydawał się

przygnębiony, ale głos miał spokojny i dobitny jak uderzenie w bęben.

— Nie rozumiem, dlaczego policja San Francisco wezwała psychologa. Ani przez sekundę nie wierzę, że Callie się zabiła — stwierdził.

— Psychiatrę — poprawiła Jo. — Mogę pomóc w stwierdzeniu, czy pani Harding popełniła samobójstwo, czy też nie.

— Mniejsza z tym. Chcę, żebyście się dowiedzieli, co się stało z moją prokurator. Bez polityki, bez propagandy, bez bzdektów.

Tang się najeżyła.

— Z pewnością, proszę pana. Sądzę, że doktor Beckett ze chce porozmawiać z panem dłużej. Jutro. Może być? — Jo zrozumiała przekaz policjantki: „Nie tutaj, nie teraz. Siedź cicho”.

— Naturalnie — odpowiedział. — Proszę zadzwonić do mojej sekretarki.

Minął ich oficer Cruz. Tang go zatrzymała, być może po to, by mieć pretekst do zakończenia rozmowy z Fonseccą.

— Czy jest możliwe, że oprócz pana jakiś inny pojazd ścigał Harding? — zapytała.

— Nic takiego nie widziałem — odparł. — A ulice były puste. Zauważyłbym każdy oddalający się pojazd.

— Proszę sprawdzić w firmach w pobliżu miejsca, gdzie rozpoczął się pościg. Może uda się panu dostać zapis z telewizji przemysłowej. — Wskazała na schody prowadzące na Bush Street. — Proszę załatwić taśmy z kamer bezpieczeństwa.

— Tak jest.

Jo zapytała:

— Jest pan pewien, że pasażerka Harding usiłowała wyskoczyć w czasie pościgu?

— Całkowicie. Rozpaczliwie próbowała uciec z tego samochodu, nawet przy dużej szybkości.

Ponownie, jakby pod wpływem nerwowego tik, Cruz spojrział na barierę wiaduktu. Doktor Beckett podążyła za jego wzrokiem.

Ci, którzy skaczą, rzadko się spieszą, pozwalają sobie na ostatnie spojrzenie. Ale kiedy wykonają już ostatni krok, nie chcą widzieć zbliżającej się ziemi. Zdejmują okulary. Czasami w chwili skoku odwracają twarz ku niebu, a nie patrzą na biegnący ku nim fatalny chodnik.

Jednak prawie zawsze jest to rzut, stanowczy wyskok w przestrzeń i zapomnienie. Nie przewracają się. Nurkują z budynków, mostów, klifów. Odejście Callie Harding z tego świata z pewnością wymagało sporej dawki energii.

— Czy zidentyfikowano pasażerkę? — chciała wiedzieć Jo.

— Prawo jazdy podaje, że to Angelika Meyer — powiedział Cruz.

Fonsecca się wyprostował.

— Co? Jest pan pewien? Oficer zjrzał w notatki.

— Tak brzmi jej nazwisko.

— Nie, to... o dobry Boże. To stażystka z naszego biura. Studentka prawa w Hastings. — Prokurator dotknął dłonią czoła. — To bez sensu. Dlaczego Angelika... Och, to potworne.

Wyjął komórkę.

— Przepraszam. — Odszedł na bok, wystukując numer.

— Co się dzieje? — zapytała Tang.

Jo obserwowała mężczyznę.

— Nie wiem. Czemu nie chciała pani, żebym z nim rozmawiała?

— Nie ma udziału w naszym śledztwie, choćby usilnie próbował się wkręcić. Nie wie o napisie na udzie Harding, nie musi

wiedzieć. Proszę nie ujawniać tej informacji, dopóki pani do tego nie upoważnię.

— Nie ujawnię.

— Świetnie. — Tang zmrużyła oczy, patrząc na Jo. — Pasażerka bmw powiedziała do pani: „Powstrzymaj to”?

— Głośno i wyraźnie. — Psychiatra odwzajemniła spojrzenie. — Wiem. Czterdzieści osiem godzin.

— I czas płynie.

Doktor Beckett skinęła głową. Dotknęła ramienia Cruza i wręczyła mu swoją wizytówkę.

— Jeżeli cokolwiek się panu przypomni, proszę do mnie zadzwonić. Cokolwiek.

Gdy potaknął skinieniem głowy, odeszła, kierując się w dół Stockton do Union Square.

„To była dobra robota”. Przez sekundę wydawało jej się, że słyszy, jak maszyna drze się na strzępy, a także głos wymawiający jej imię. Znajomy głos, pełen bólu i tęsknoty. Zapra gnęła uciec. Za jej plecami przygasał blask reflektora kalifornijskiego wydziału komunikacji, który przyćmił latarnie. Okna biurowców wydawały się żółtymi szparkami w ścianach wznoszących się do gwiazd niczym skały. Dochodziła do Union Square. Dotarłszy do narożnika, zaczerpnęła powietrza, jakby dopiero tu znalazła tlen.

„Dobra robota”. Barry Cohen nie wiedział, jak mocno zabolą jego słowa.

Nagle zobaczyła wyraźnie Daniela, poczuła, jak ujmuje jej dłoń, usłyszała ponownie słowa, które jej podarował, kiedy cały świat zamienił się w gówno.

Nie, pomyślała.

Wypuściła powietrze i zagrzebała żarzące się węgle pamięci, które groziły wzniesieniem pożaru. Wbiła paznokcie w dłonie, by powstrzymać ich drżenie. To były nerwy, tylko nerwy. Od

dawna nie musiała już wskakiwać z rozpędu w traumatyczną sytuację.

— Daj sobie spokój — wyszeptwała.

Tu nie chodziło o nią, lecz o trójkę martwych ludzi we wraku i o młodą kobietę, której niewiele brakowało, by do nich dołączyła. Kobietę, która chyba usiłowała wydusić z siebie ostrzeżenie.

Jo mrugnięciem strząsnęła chłód z powiek i poszła dalej.



Wibracja komórki sprawiła, że otworzył oczy. Nabrał powietrza, wpatrując się w ciemny sufit, natychmiast czujny.

To będą nowe wiadomości, uaktualnienie. Cicho, aby nie zakłócać nocy, ciemności, ciszy własnego spokoju, Perry odwrócił w dłoni telefon, żeby odczytać tekst na wyświetlaczu. Szukał potwierdzenia i znalazł je w dwóch słowach.

„Nie żyje”.

Zacisnął dłoń wokół komórki. Pani prokurator zniknęła.

Nie przeczytał reszty. Tego jak i czy w licznym towarzystwie. Przez chwilę czuł klucie pod powiekami i ucisk w gardle. Bał się, że lzy się przeleją. Zwalczył to. Spojrzał przed siebie i pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Niedługo pozna wszystkie szczegóły. Teraz chciał rozkoszować się chwilą.

Harding nie żyła. Już po niej, parszywej suce.

Myśli rwały się do biegu, ale zmusił je, by zwolniły. Serce zdawało się rosnąć mu w piersi, biło powoli wypełnione krwią.

Przepełnione radością.

Miał nadzieję, że cierpiała. Że umarła wrzeszcząc, płacząc, może dławiąc się własną krwią, nie mogąc złapać tchu. Uśmiechnął się powoli. Jakie to uczucie znaleźć się po niewłaściwej stronie bólu, Callie? Patrząc w sufit, wyobraził to sobie. Ciemne sklepienie nad jego głową stało się ekranem kinowym.

W swoim własnym filmie zobaczył panikę na twarzy Harding. Przyglądał się, jak walczyła o oddech, widział jej gardło zgniecione i opuchnięte, ręce zbyt potrzaskane, by nimi poruszyć. Nie mógł znieść faktu, że nie był obecny na miejscu, u jej boku, by stać się świadkiem tej chwili.

Chcesz sprawiedliwości? Proszę. Fortuna kołem się toczy, ty dziwko. Przygryzł usta, by się nie rozeźmiać. Miał mokre oczy.

Czy coś ujawniła? Nazwiska, wiedzę, tajemnice? Miał nadzieję, marzył o tym.

Żałował, że nie może podejść do pani prokurator i pocałować jej na pożegnanie. Ta myśl go podnieciła.

Ujrzał ją w swojej wizji. Wiedziała, że nadchodzi śmierć. Boże, jak on jej nienawidził. Nienawidził ich wszystkich. „Zapłaciłem. Teraz ty płacisz”. Zobaczył, że kobieta płacze jak dziecko. Zobaczył, jak się obsikuje. Zobaczył ruch jej ust.

Modliła się: „Nie to, nie. Przebacz mi, jestem brudna, brudna, brudna. Nie”.

Perry Ames leżał sztywno w ciemności, czując to co zawsze w takich momentach. Frustrację. Nie mógł być przy Callie Harding, kiedy opuszczała ten świat, a wyobrażenie sobie jej odejścia ukoilo jego wściekłość zaledwie na kilka minut.

Samotność stanowi najlepszą obronę, bo w końcu człowiek może polegać tylko na sobie samym.

Tak, i na śmierci. Brudna, brudna, brudna suka.

6.

Jo obudziła syrena przeciwmgłowa rycząca ostrzegawczo po przeciwnej stronie zatoki. Dziewczyna odwróciła się i otworzyła oczy. Słoneczne refleksy upstrzyły sufit, przesiane przez liście magnolii rosnącej koło domu. Syrena ponownie jęknęła.

Słońce i mgła jednocześnie. San Francisco było miastem o wielorakiej postaci.

Szósta czterdzieści pięć. Jo wciąż czuła zmęczenie. Wydarzenia ostatniej nocy dały jej nieźle w kość. Wstała, owinęła się kimonem i uniosła żaluzje. Powitał ją jasny dzień. Niebo było przejrzyste błękitne, a domy na szczycie wzgórza, niebieskie, żółte i zielone, z piernikowymi fasadami, wyglądały jak jaskrawe pisanki. W oddali, za morzem dachów poprzedzielanych sosnami kalifornijskimi, lśnił czerwonawo w świetle poranka Golden Gate Bridge. Mgła utrzymywała się nisko nad wodą, natomiast powyżej Fisherman's Wharf widoczność była doskonała.

Doktor Beckett miała szczęście, że mogła tu mieszkać, i wiedziała o tym. Dom zbudowano w klasycznym wiktoriańskim stylu, ceglastoczerwony z białymi facjatkami. Oddalony od ulicy, wyglądał bezpretensjonalnie i skromnie w porównaniu

z niby-dworkiem obok, gdzie taras na dachu ozdabiała posągi greckich bóstw. Postać Kupidyna pokrywała warstwa gołębiczych odchodów.

W jednym z okien na piętrze drgnęły zasłony. Westchnęła. Sąsiad sprawdzał, czy włączyła już światło. Opuściła żaluzje i wskoczyła pod prysznic.

Jeśli nawet dom Jo wydawał się z zewnątrz niepozorny, w środku miał dużo przestrzeni, powietrza i nasycony był kolorem. Wielkie okna chwytały każdy promień słońca, jaki oferowała kapryśna aura. Łóżko z japońską ramą, lakierowaną na lśniąco czerni, przykryte było szkarłatną kołdrą i złotymi poduszkami. Ciepłe kolory pomagały się obudzić, wzmagaly bicie serca i zachęcały do działania. Orchidee na toaletce jarzyły się oranżem.

Jo nie znosiła zamkniętych przestrzeni, a ten dom pozwalał jej odetchnąć. Mogła się nawet pochwalić wartym milion dolarów widokiem na oba mosty — Golden Gate i Bay Bridge. Żeby móc go podziwiać, musiała tylko wspiąć się po rynnie na dach. Łatwizna.

Uwielbiała to miejsce, ale teraz, gdy mieszkała sama, zdarzało się, że wydawało się jej zbyt ciche.

Wychodząc spod prysznic, poczuła się ożywiona. Ubrała się i założyła naszyjnik, srebrny łańcuszek z koptyjskim krzyżem i obrączką z białego złota. Na dole w kuchni włączyła laptopa. Słońce wpadało ukośnie przez sięgające podłogi okno. Małe podwórko z tyłu domu ocieniała stara magnolia, zarastały je szalwia, bez i zdobiła ściana kwitnącego na biało klematisu.

Komputer wydał dźwięczny sygnał. Spojrzała. Porucznik Tang przysłała jej część wstępnych informacji.

Callie Ann Harding. Trzydzieści sześć lat. Adres w Palo Alto. Rozwiedziona, bezdzietna. Najbliższą osobą był eksmąż

Gregory Harding z Portola Valley. Skontaktowano się z nim. Zidentyfikował ciało.

Paskudna pobudka dla byłego partnera. Jo zdjęła zębami zakrętkę z pióra, otworzyła notatnik i zapisała, żeby jak najszybciej skontaktować się z Hardingiem.

Otworzyła następny plik: zdjęcie pani prokurator z prawa jazdy.

Nawet w ostrym świetle aparatu fotograficznego wydziału pojazdów zmechanizowanych Harding wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Miała wystające kości policzkowe, tak częste u biegaczy pokonujących długie dystanse. Włosy ściągnięte do tyłu w skromny kok, ufarbowane na platynowy blond, kolor wskazujący na zdrowe ego i wysokie libido. Blond Marilyn Monroe. Poważne, rozsądne oczy jak z serialu *Dragnet*. Spojrzenie przesywające i niezwykle żywe.

Jo wydobyla swój test psychologicznej autopsji. Dramat.

Pracowała na podstawie specyfikacji NASH, określając, czy śmierć spowodowana była przyczynami naturalnymi, wypadkiem, samobójstwem czy zabójstwem. Aby to zrobić, gromadziła jak najwięcej bezdyskusyjnych dowodów, ale w tym wypadku nie mogła liczyć na żadne informacje, na których zwykle się opierała.

Nie sporządzono jeszcze policyjnego raportu na temat wypadku. Pracownicy sądowni nie przebadali wraku bmw, by stwierdzić, czy przyczyną kraksy była usterka mechaniczna. Nie przesłuchano rodziny Harding, przyjaciół i współ, pracowników. Sekcję zwłok zaplanowano na dwunastą, co oznaczało, że Barry Cohen szykował się do akcji, ale badania toksykologiczne oraz krwi i moczu nie mogły być jeszcze gotowe.

Doktor Beckett będzie musiała iść ramię w ramię z detektywami i żebrać o informacje u lekarza sądowego, choć ani

wydział prawny, ani sądówka nie paliły się, by dzielić się wiedzą z psychiatrą.

Współpraca z Barrym Cohenem układała się dobrze, ale niektórzy z jego kolegów gardzili koncepcją psychologicznej autopsji. W ich oczach to oni sami zajmowali się nauką. Jo zaś uprawiała czary.

Po części mieli rację. Psychologiczna autopsja nie była nauką. Jak wszystkie gałęzie medycyny zaliczała się do sztuki.

Beckett nie grzebała w trupie, a mimo to jej praca polegała na wnikliwym badaniu zmarłego. Badała jego historię — medyczną, psychologiczną, edukacyjną i seksualną. Szukała wczesnych znaków ostrzegawczych w przypadku samobójstwa. Gromadziła wiedzę na temat związków ofiary z innymi ludźmi. Czytała zapiski. Odgrzebywała poczynania w Internecie. Wypytywała o przesady i zmiany nastrojów. Wyciągała wnioski z reakcji na śmierć danej osoby ze strony jej przyjaciół i krewnych. Szukała starych i aktualnych wrogów.

Bo ludzie ich mieli. I nie takich jak jej matka, która wciągała na listę nieprzyjaciół każdego dzieciaka, który ośmielił się zepchnąć jedno z jej własnych pociech ze zjeżdżalni.

Aby ocenić stan psychiczny ofiary, Jo odkrywała jej lęki, fobie i fantazje. Śmierć jest bezspornym faktem, ale gdy chodzi o istoty ludzkie, stan ich umysłu w momencie umierania bywa bardzo różny, w zależności od tego, czy zgon jest wynikiem morderstwa, czy samoobrony, lub skutkiem niepoczytalności albo zabójstwa.

A w tym przypadku śmierć nastąpiła w wyniku kraksy, morderstwa lub samobójstwa.

Konkluzje psychiatry wymagały osądu. Rodzaj śmierci? 9,3 punktu za samobójstwem, 9,85 punktu za morderstwem. Możliwość wypadku? 2,1 punktu. Mało.

Policja i lekarz sądowy określali, jak ginęli ludzie. Jo stwierdzała dlaczego. Psychiatra sądowy nie bada ciała ofiary, ale jej życie.

W tym przypadku jednak nieznana była nawet przyczyna śmierci. Witamy zatem na linii frontu. Lecimy na ślepo jak przez mgłę.

Wydrukowała wszystkie pliki, wepchnęła rzeczy do torby i ruszyła ku drzwiom.



Zbiegła po frontowych schodkach. Powietrze było rześkie. W małym parku po przeciwnej stronie ulicy drzewa kołysały gałęziami, jakby chciały się rozbudzić. Rzuciła okiem na sąsiedni dom. Na ogół w tym właśnie momencie sąsiad usiłował ją dopaść, ale dziś zasłony nie drgnęły i drzwi pozostały zamknięte.

Za rogiem ulicy złapała tramwaj. Motorniczy zadzwonił, pokonał zakręt, po czym zjechał w dół stromego wzniesienia. Jo trzymała się uchwyty, patrząc na dzielnicę przesuwaną się za oknami. Z tej odległości wzgórze wyglądały pocztówkowo, ale z bliska można było dostrzec gorsze strony miasta: wąskie uliczki, za którymi kryły się podwórka stanowiące miejsca gromadzenia się hippisów. W połowie pochyłości trwała rozbiorka i przebudowa starego apartamentowca. Robotnicy snuli się w tempie charakterystycznym dla poniedziałkowego poranka. Facet z młotkiem zwisającym u pasa na narzędzia wyglądał dosyć seksownie.

Jo dokonała szybkiej autoanalizy. Nie chodziło o faceta, lecz o gigantyczny termos kawy, który niósł. Wysiadła u stóp wzgórza i ruszyła do Java Jones.

Kawiarnia była zatłoczona. Tina uśmiechnęła się do niej zza kontuaru.

— Johanna Renée, dzień dobry.
— Chcę hiperkawę, największą jaką macie, do tego muffinę z jagodami. I kanapkę z serem.

Tina rzuciła jej ostre spojrzenie.

— Potrzebuję kalorii i kofeiny — wyjaśniła Jo.

Kelnerka była jej młodszą siostrą. Miała również brązowe loki, ale atletyczną sylwetkę. Ubrana była w czarny fartuch, do tego kolczyk w nosie i wystarczającą liczbę srebrnych kolczyków, by zdołały ją wykryć szpiegowskie satelity. Lubiła sobie bryknąć jak Tygrysek.

— Co to jest? — zapytała Jo głośno, by przekrzyczeć muzykę z odtwarzacza.

— Mahler. Muzyka z klasą.

Nie skomentowała. Lista utworów muzycznych z klasą obejmowała według Tiny także Slipknot.

— Mroczny i namiętny — dodała dziewczyna. — Tak należy pojmować życie, muzykę, literaturę, mężczyzn... — stwierdziła. — Kawa.

Ze złośliwym uśmiechem Tina wręczyła siostrze kubek wielkości wazy Ming. Jo zniosła go do stołu przy oknie. Pociągnęła łączywie długi łyk. Siadając, wyjęła laptopa i zadzwoniła na komendę główną.

Porucznik Amy Tang odebrała telefon i odezwała się głosem przypominającym świst sprężynowca.

— Co pani dla mnie ma, doktor Beckett?

— Jeszcze nic. Dopiero zaczynam.

Tang głośno wypuściła powietrze, co dzięki precyzyjnemu treningowi psychiatrycznemu Jo zaklasyfikowała jako westchnienie irytacji.

— Czego pani potrzebuje?

— Danych na temat samochodu Harding i jej akt z drogówki.

Zaszeleściły papiery.

— Bmw było zupełnie nowe, kupione trzy tygodnie wcześniej. Pani prokurator miała czystą kartotekę, żadnej jazdy pod wpływem, żadnych mandatów.

Jo nabazgrała notatkę.

— Sprawy Yoshidy i Makiego Prichingo. Czy akta są przygotowane, żebym je przejrzała?

— Jesteśmy zawaleni. Będą po południu. W tej chwili wyślę pani raporty prasowe.

To będzie musiało wystarczyć.

— Jakież informacje na temat pasażerki Harding? Co z nią?

— Żyje. Nieprzytomna. Nie mówiła.

— Gdzie jest?

— W St. Francis.

— Dobrze. — Doktor Beckett miała w tym szpitalu status pracownika. Zamierzała tam pójść.

Porucznik odchrząknęła.

— Co pani sądzi o koncepcji fantazji seksualnej?

— Na razie nic. Zanim wyciągnę wnioski, potrzebuję dowodów.

— Moim zdaniem Harding sama wyciągnęła wnioski i sformułowała za pomocą czerwonej szminki. Była brudna.

— Może.

Jo zdawało się, że słyszy, jak policjantka stuka ołówkiem w blat biurka.

— Potrzebuje pani czegoś jeszcze, zanim przejdzie do wyciągania wniosków?

Tak. „Tang” znaczy „wodorost”. To twoje nazwisko, ulubiony napój śniadaniowy czy aluzja do przykrew osobowości? — zastanawiała się doktor Beckett.

— Nie w tej chwili. Dziękuję, pani porucznik — powiedziała głośno.

Policjantka rozłączyła się, nie odpowiadając „proszę”.

W swoim notatniku, obok jej nazwiska, Jo narysowała uśmiechniętą buźkę z wystawionym językiem.

Zakreśliła też nazwisko Angeliki Meyer. Młoda pasażerka Harding miała kluczowe znaczenie. Gdyby odzyskała przytomność, mogłaby powiedzieć, co zaszło w bmw. Mogłaby wyjaśnić Jo, co koniecznie trzeba powstrzymać.

Czterdzieści osiem godzin, odliczanie trwało. Na podstawie informacji, które miała szansę zgromadzić w tym czasie, mogła wnioskować równie dobrze, jak za pomocą kryształowej kuli.

Tina ze szczękiem postawiła na stole talerz z mufinką i kanapką z serem.

— Twoje kalorie.

— Świetnie. Dzięki.

W blasku słońca, które wlewało się przez okno, loki kelnerki lśniły jak miedź, co stwarzało wrażenie, jakby jej głowa stała w płomieniach. Dziewczyna usiadła i pochyliła się w stronę siostry.

— Wpadłam na Mike'a Sadowskiego. Twój kolega z klasy w liceum. Marzy o tym, żeby zabrać cię na randkę.

— Twoim zdaniem wszyscy marzą o tym, żeby zabrać mnie na randkę. Barry Bonds. Arcybiskup. Motorniczy z pudełka od makaronu.

— Twoja hiperkawa okazała się strasznie kwaśna, co? — Tina skubnęła mufinkę Jo. — Jesteś dzisiaj wieczorem zajęta? Mam plany i byłoby zabawnie, gdybyś też poszła.

— Jak ma na imię?

— Babski wieczór. To coś kulturalnego. Aerobik. Zdrowy. Dziewczęcy. Nie ma nic wspólnego z tą ponurą wspinaczką, którą tak lubisz.

Starsza siostra zabębniła palcami o stół.

— Ma to coś wspólnego z moim *chi* czy tańcem na rurze?

— Nie. Słowo. — Szeroko otwarte oczy Tiny były takie niewinne. — No chodź.

Jo zmięła.

— O której? Mam grupę o siódmej.

— Później. — Tina się zamyśliła. — Jak idzie?

— Dobrze. — Doktor Beckett wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. — To pozwala mi przestać myśleć o psychologicznych sekcjach.

— Tylko tobie praca z grupą ludzi w żałobie pomaga nie myśleć o śmierci.

— Wtorki ze śmiercią.

Tina się roześmiała, ale wciąż wyglądała na zamyśloną. Była w tym melancholijna troska. Jo nienawidziła tego spojrzenia. Chciała, żeby ludzie przestali się o nią martwić. Odwróciła wzrok, skupiając się na ekranie komputera.

Porucznik Tang przysłała listę artykułów prasowych. Jeden wpadł jej w oko.

„Pożar na łodzi wywołany celowo?”

Był to artykuł o śmierci projektanta mody Makiego. Jego jacht zauważono, gdy płonął z dala od wybrzeża. Ratownicy znaleźli na pokładzie ciało właściciela, a także jego kochanka. Plik zawierał zdjęcia: Maki, ogolony na zero Azjata około czterdziestki, uchwycony przez paparazzich. Olśniewający uśmiech, postawa dominująca. Jego kochanek William Willets był błydy, biały, o ściągniętych ustach. Drugie skrzypce. Nie ujawniono przyczyny ich śmierci. W tekście spekulowano na temat narkotyków albo fatalnej w skutkach kłótni kochanków. Ponieważ łódź znaleziono dryfującą poza granicami miasta, w dochodzenie włączyły się władze federalne.

„Zastępca prokuratora Callie Harding oświadczyła, że nie podjęto jeszcze decyzji o rozpoczęciu postępowania w sprawie karnej”.

Cholera. Tang twierdziła, że musi istnieć jakiś związek między wypadkiem Harding a śmiercią Makiego. I oto związek,

wielki, tłusty związek. Callie była zaangażowana w dochodzenie w sprawie spalonej łodzi.

Jo dalej przeglądała artykuł.

„Na miejscu zjawiała się ekipa ze 129, jednostki ratowniczej z Moffett Field, ale znalazła obu mężczyzn na pokładzie martwych. Rzecznik Sił Powietrznych Gwardii Narodowej odmówił komentarza”.

Tina wciąż mówiła:

— A co złego byłoby w pójsciu na randkę? Przyjaźń, nie sugeruję niczego innego. Jo, minęły dwa lata, świetnie sobie radzisz, ale nie musisz wszystkiego robić sama. Rozumiesz?

Rozumiała. Świetnie rozumiała, z kim będzie musiała porozmawiać. Nazwisko pojawiało się w informacji z Departamentu Policji: ratownik-spadochroniarz, który tamtej nocy pełnił służbę w 129, jednostce. Gabriel Quintana.

Młodsza siostra rzuciła w nią paczuszką cukru.

— Odbiorę cię z uniwerku.

Quintana. Jo poczuła mrowienie w czubkach palców. Podniosła wzrok.

— Przepraszam. Co?

— Strasznie jesteś zakręcona. Odbiorę cię dzisiaj wieczorem. Ósma?

— Chyba że sprawa, nad którą pracuję, okaże się strasznie ważna.

Tina wstała.

— Strasznie ważna sprawa, ooo. Zobaczę cię w telewizji?

— Jasne, w ciasnych džinsach i wydekoltowanej bluzce przejdę się po zalanej krwią scenie zbrodni z latarką.

— I z gnatem. Obiecay mi, że będziesz miała broń. I niedballym ruchem zsuniesz okulary słoneczne, po czym przysięgniesz, że sprawiedliwości stanie się zadość. Dobrze?

— Jasna sprawa. Kiedy świny zbiorą się w formację bojową

i polecą pokonać Godzillę. — Uśmiechała się, ale po chwili jej uśmiech zbladł. — Muszę pogadać z kimś ze sto dwudziestej dziewiątej jednostki.

— Powiedz im, że pozdrawiam i że dobra robota. — Tina zamarła. — Zaraz...

— Tak. — Jo zamknęła komputer. — Może założę kamizelkę kuloodporną.

Zebrała swoje rzeczy, ucałowała siostrę na do widzenia i wyszła na ożywcze słońce. Wiedziała, że kamizelka kuloodpor-na jej nie ochroni. Kevlar chronił serce przed kulami, nie przed żałobą.

7.

Niebo miało srebrzysty odcień. Jo włożyła okulary przeciwsłoneczne. Odwróciła się i zobaczyła, że chodnikiem toczy się w jej stronę Ferd Bismuth.

— Cholera — powiedziała.

Bismuth wyprostował się i przyspieszył kroku. Nie miała czasu na długą rozmowę, ale było za późno, żeby odwrócić się na pięcie i odejść. Zobaczył ją.

— Witam sąsiadkę! — Zamachał.

To on mieszkał w rezydencji z obesranymi posągami, za drgającymi zasłonami. Nie był otyły, ale poruszał się, jakby musiał równoważyć wielki brzuch, a ręce trzymał z dala od ciała, uniesione na poduchach tłuszczu. Miał iksy, nosił obszerne ciuchy. Jego włosy lśniły od brylantyny. Wyglądał jak ze zdjęcia centrum NASA do spraw kontroli lotów, około 1969 roku.

Podszedł do Jo z uśmiechem.

— Musieliśmy się minąć na przystanku tramwajowym.

Pamiętała, by ważyć odpowiedzi. Z Ferdem grzecznościowa wymiana zdań zmieniała się w pole minowe. Podciągnęła na ramieniu torbę, żeby stworzyć wrażenie, że dokąds się spieszy. I faktycznie się spieszyła, ale to nie mogło powstrzymać

Bismutha. Nawet gdyby stanęła w płomieniach, nie dałby sobie wyperswadować rozmowy z nią. Prawdę mówiąc, nawet gdyby sam zaczął się palić. Wzmianka o pogodzie powinna przejść bezboleśnie.

— Cudownie znów widzieć słońce, prawda?

Jego uśmiech zbladł.

— Powiniennem się posmarować kremem z filtrem? Jest październik, myślałem, że jestem bezpieczny. — Obrzucił swoje ramiona spojrzeniem, które sugerowało, że kancerogenne piegi właśnie się na nich rozwijały.

Jo zrobiła krok.

— Dwudziestka nigdy nie zaszkodzi. Ale nie chowaj się przed słońcem, zapewnia ci witaminę D. I poprawia humor.

— Witaminę D? Chcesz powiedzieć... Zaczekaj. Nie, Jo, nie idź. Mówisz, że mogę dostać krzywicy?

Schrzanila sprawę. Nie należy dawać im punktu zaczepienia czyżby niczego nie nauczyły ją zeznania przed sądem? Nigdy nie udzielaj odpowiedzi otwartej, a tym bardziej niczego nie sugeruj, bo potem adwokat weźmie cię w krzyżowy ogień pytań. A tutaj proszę, sama wręczyła Ferdowi garść gwoździ i poradnik lekarski, żeby miał je czym wbijać. Był najgorszym hipochondrykiem, jakiego w życiu spotkała.

— Witamina D? Chcesz powiedzieć, że przy tym deszczu i mgle mamy jej za mało? — Spojrzał na swoje kolana. — Czy jestem poważnie zagrożony? Nie chcę, żeby kości mi zmiękły.

— Nie dostaniesz krzywicy, obiecuję. Miłego dnia. Ja lecę.

— Jedno pytanie.

— Muszę porozmawiać z siłami powietrznymi, jeżeli się nie zjawię, wyślą komandosów.

— To zajmie tylko sekundę. — Ferd wciągnął powietrze i wydmuchnął je energicznie. Boże, proszę, niech nie zacznie

myśleć, że cierpi na niekardiogeny obrzęk płuc. — Ja... więc ja... — Wytarł dłonie o spodnie. — Jutro wieczorem urządzam przyjęcie z okazji Halloween.

Czy jej twarz zdradziła panikę?

— Nie ma sprawy, hałas nie będzie mi przeszkadzał. Dzięki, że mnie zawiadomiłeś. — Cofnęła się o kolejny krok.

— Przychodzi trochę ludzi... to znaczy ludzi z firmy.

Firma oznaczała Compuramę, sklep komputerowy, w którym pracował. Ferd nie był bogaty, pilnował domu na prośbę właścicieli, którzy wyjechali na dziewięć miesięcy do Włoch. Jo nigdy nie widziała go bez plakietki z imieniem na firmowej koszulce.

— Ja... to znaczy... więc jesteś zaproszona na imprezę. Kostium opcjonalny, ale większość ludzi będzie przebrana za awatary z *World of Warcraft*. — Ferd ukradkiem zerknął na jej biust. Uznała, że w grze musiała być postać seksownego elfa w porozdzieranym bikini ze skóry jelenia. Po chwili jednak najwyraźniej zdał sobie sprawę, że Jo nie grywa w sieci w gry z gatunku „magia i miecz”, gdyż w jego oczach zabłysła desperacja. Wyciągnął ręce w geście mówiącym „nie ma sprawy”. — Ale jak chcesz.

— Dzięki. Może będę musiała pracować.

— Nie ma sprawy. Tylko mnie zawiadom.

Uśmiechnął się jak foczątko, więc poczuła się winna. Zrejtrowała.

— Spróbuję. Może wpadnę na chwilę. Z dipem?

— Znakomicie.

Zaczęła iść tyłem, machając do sąsiada na pożegnanie. Odmachnął, przechylił głowę i chwycił za kłamkę, żeby wejść do kawiarni. Odwróciła się.

— Jedno pytanie — powiedział.

— Muszę lecieć... — Ale jeśli odejdzie, będzie jej wypatrywał ze swojego balkonu w godzinach powrotu z pracy.

Wykonała w tył zwrot.

Ferd dotknął nosa.

— Moja przegroda.

— Skrzywiona przegroda nosowa nie może wywołać gruźlicy. Naprawdę. Wiem to na pewno.

Gdyby traktować poważnie to, co mówił, jego skrzywiona przegroda nosowa była przyczyną chrapania, przykrego oddechu, krzywego kręgosłupa i powracających ataków lęku.

— Przy planowaniu tego przyjęcia daje mi się we znaki. — Dotknął czubkami palców swoich policzków. — Czuję takie ciśnienie. A co, jeżeli wywoła to atak paniki i siądą mi wszystkie zatoki?

— Zapytaj swojego lekarza, Ferd.

— Ale...

— Znasz moją zasadę. Nie leczę przyjaciół.

— Tylko ten raz...

— I nie wypisuję recept.

— Nie chodzi mi o receptę na leki zmniejszające przekrwienie.

— Świetnie.

— Nie musiałabyś przepisywać mi leków. To zupełnie nowe podejście do opanowania lęku. Naturalny sposób. Chodzi tylko o wsparcie emocjonalne.

Tylko nie terapia polegająca na uściskach. Miała nadzieję, że ramiona sąsiada nie wystrzelą w jej stronę. Proszę, tylko nie to.

— Ferd, twój lekarz musi się z tym uporać. Ja pędzę.

Zmarszczył brwi.

— Okay.

Pomachała mu na pożegnanie. Ponownie się rozpozgodził i wyglądał jak rozkoszna foczka. Podejrzewała, że kiedy się oddalała, nie spuszczał oka z jej pośladeków.

Skręciła za rogiem i trzy metry dalej wyciągnęła komórkę. Znalazła numer do Gregory'ego Hardinga. Odczekała chwilę.

Harding był eksmężem Callie, ale wciąż osobą na tyle bliską, że to jego zawiadomiono, by zidentyfikował ciało. Jo spojrziała w niebo i wyprostowała plecy, zanim wybrała numer.

Odebrano po drugim dzwonku.

— Tak?

— Pan Harding? — Przedstawiła się i wyjaśniła, że jako psychiatra sądowy przeprowadza konsultacje dla wydziału policji. — Bardzo panu współczuję.

— To jej należy współczuć. Czemu pani dzwoni?

Aha. W jego odpowiedzi zabrzmiała gorycz.

— Chciałabym z panem porozmawiać. Czy moglibyśmy się dzisiaj spotkać?

— Gliny chcą zrobić z Callie popisową sprawę, o to chodzi? — odezwał się po chwili milczenia.

— Nie, proszę pana. Chodzi o zgromadzenie dowodów, by dokładnie wyjaśnić jej śmierć.

Dłuższa pauza.

— Mam biuro w Palo Alto. Przy Borders na uniwersytecie jest miejsce, gdzie można wypić kawę. Będę tam za dwie godziny.

— Świetnie. — Spojrzała na zegarek.

— Proszę się nie spóźnić. — Wyłączył się.



Perry Ames siedział przy stole sam. Było jaskrawe słońce, choć dzień wietrzny. Masa ludzi wyszłaby na zewnątrz, ale on siedział z rozłożoną planszą do scrabbli, oglądając telewizję w odbiorniku zamontowanym na ścianie.

W wiadomościach podano, że w kraksie zginęły trzy osoby. Nie wymieniono żadnych nazwisk, ale on wiedział, że jedną z nich była Callie Harding. Pasażerka samochodu została ranna.

Musiał wiedzieć, kim była ta pasażerka.

Ustawił płytki z literami na stole. Weszło dwóch mężczyzn, rozmawiali. Zagapili się na planszę i na niego. Zgodziłby się, gdyby chcieli. Potrafił zaaranżować zabójczą grę. Przyjąłby zakłady, prowadziłby ją na wysokim poziomie, jak pokera. Ludzie są mniej podejrzliwi w wypadku zapalonych graczy w scrabble, niż gdy chodzi o bogaczy grających w karty w hotelu w centrum. Graczy w scrabble łatwiej byłoby też zastraszyć, gdyby zaciągnęli poważne zobowiązania, przeliczyli się z siłami i ponieśli duże straty. Kiedyś to była jego codzienność.

Nikt nie zaproponował jednak przyłączenia się do gry. Nikt nie chciał z nim rozmawiać. Poprzesuwał płytki.

„Doktor”. Yoshida było nazwą własną, więc nie trudził się układaniem tego słowa. „Syn. Przedawkowanie”.

Satysfakcja paliła go w piersi jak kwas.

„Łódź”. Skrzyżował z tym słowem inne, idąc w dół. „Maki”. Pieprzyć zasady, cieszył go widok tych nazw własnych. „Willets”.

Gejowski król mody był martwy, podobnie jak jego chłopak. Ćpun, chudy jak łodyga, sadystyczny jak diabli. Kobięcy niczym kwiat, tyle że trujący. Jak oni wszyscy.

Perry wynalazł jednak sposób na trujące ziółka.

Mężczyźni, którzy go minęli, usiedli z kawą przy pobliskim stoliku. W kawiarni było hałaśliwie. Nie słyszał, co mówili, ale gapili się na niego. Skurwysyny. Gapili się bez zażenowania. Przyglądali się jego szyi i bliźnie. Nikt nie chciał zagrać z dziwolągiem.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ich nie ustawić, ale w lokalu była ochrona, tłuszcioch, który snuł się w pobliżu drzwi z kciukami zatkniętymi za pasek. Prawdziwy tłuszciciel-twardziel, ubrany w uniform w kolorze rzygowin. Skąd wzięli taki kolor? Z jakiegoś sklepu, który oferował ciuchy dla nadgorliwych fiutów, takich jak księża i więzienni strażnicy?

Popijający kawę faceci wciąż gapili się na niego. Perry odwzajemnił spojrzenie. Odwrócili wzrok jak pokorne psy.

Strach. Dobrze. Błogosławieni potulni, albowiem oni gówno dostaną.

Ustawił na planszy kolejne nazwisko. „Harding”.

Dobry początek.

Tyle że do końca było daleko, a czas naglił. Do jutra chciał mieć informacje. Miał kilka spotkań w mieście i do tej pory musiał znać nazwiska.

Skunks musi się wziąć do roboty. Perry zgarnął płytki do pudełka i wstał. Zerknął na mężczyzn z kawą. Postanowił mimo wszystko ich ustawić.

Podszedł do ich stolika. Zatrzymał się i odczekał, aż podniosą na niego wzrok. Sięgnął do kieszeni. Zamarli. Wyjął swój generator głosu i przycisnął do zmiażdżonej krtani.

— Następnym razem zagramy w wisielca. Nigdy nie przegrywam.



Oddział intensywnej terapii w szpitalu St. Francis był jasny i wyciszony. Pielęgniarka za biurkiem, macierzyńska, w różowym uniformie, wypisywała kartę pacjenta, kiedy Jo weszła po schodach. Założyła identyfikator, który stwierdzał, że jest w tym szpitalu lekarzem ogólnym.

— Angelika Meyer? — zapytała.

Siostra wskazała kierunek za sobą.

— Dalej tym korytarzem.

— Jak się czuje?

— Stan poważny, ale stabilny. Połamane żebra, przebite płuco, pęknięcie czaszki na krawędzi zrostu.

— Jest przytomna?

— Z przerwami.

— Czy ktoś przyszedł się z nią zobaczyć?
— Tylko policja, ale lekarz prowadzący ich do niej nie wpuścił.

— Mogę zobaczyć jej kartę?

Pielęgniarka znalazła dokument. Jo przerzuciła strony. Chociaż stan Meyer się ustabilizował, sytuacja wciąż była niepewna. Mogła ześlizgnąć się w niebyt.

— Znalazłyśmy w jej torebce kółko do kluczy — powiedziała siostra. — Było tam jej przezwisko. Geli.

Wymówiła to z niemiecka, „Gejli”.

— Dzięki. — Zabierając ze sobą kartę, doktor Beckett ruszyła w dół korytarzem do pokoju Meyer.

Intensywna terapia nigdy się nie zmieniała, w dzień czy w nocy panowała tu atmosfera kontrolowanego kryzysu. Cisza, czujność, monitory i skupiona uwaga. W oczach Jo oddział wyglądał jak miejsce przyszłej akcji sił specjalnych.

Izba przyjęć w czasie ostrego dyżuru to całkiem inna historia. Z dyżurów obowiązkowych odbywanych w czasie studiów pamiętała hałas, adrenalinę, to, że przypadki pogryzienia przez psa czy grypy mogą błyskawicznie zostać zastąpione przez topielców i pacjentów z ranami postrzałowymi. Ostry dyżur to szok i respekt. Oddział intensywnej terapii to ukradkowe pełzanie. Tyle że ludzie umierali tutaj częściej, bo nie trafia się na intensywną terapię, jeżeli człowiek nie jest w kiepskim stanie.

A Meyer wyglądała fatalnie.

Jo zatrzymała się w progu. Podparta wysoko w szpitalnym łóżku, z wystającymi z ciała rurkami, Angelika przypominała jednego z obcych w laboratorium badawczym w *Dniu niepodległości*. Miała przymocowaną do piersi elektrodę do EKG i dojście centralne założone w pobliżu szyi. Cewnik, dren w boku, rurki z tlenem pod nosem — wyglądała jak jeżozwierz. Jej

skóra miała odcień bladoszary, blond włosy były splątane, oczy zamknięte.

Doktor Beckett spokojnie podeszła do łóżka.

Położyła palce na nadgarstku młodej kobiety. Jej puls wydawał się mocny i regularny. Poglądziła dłoń Meyer w nadziei na reakcję, ale ona leżała bez ruchu. Dłoń miała zimną. Jo wyjęła okrycie termiczne i starannie otuliła nim nogi pacjentki.

Co ci się przydarzyło, dziewczyno? Co robiłaś w samochodzie z Callie Harding? Co chciałaś, żebym powstrzymała?

Przeszła dalej i otworzyła niedużą szafę. W środku znalazła buty i spódnicę dziewczyny. Żadnej bluzki czy stanika. Pewnie zostały rozcięte na izbie przyjęć. Na półce leżała torebka.

Jo zerknęła na drzwi i zauważyła, że pielęgniarka rozmawia przez telefon.

Nie była policjantką. Nie miała nakazu przeszukania, a grzebanie w rzeczach należących do pacjenta było poważnym wykroczeniem. Ale nie była też złodziejką, a Meyer milczała. Może przemówią posiadane przez nią przedmioty? Otworzyła torbę i wyjęła wszystko ze środka.

Różowa szminka, miętówki, zapalniczka, lista zakupów. Brak komórki. Otworzyła portfel, znalazła prawo jazdy, dwie karty kredytowe, osiemdziesiąt dolarów gotówką.

Jedno zdjęcie, fotografia mężczyzny o zniszczonej słońcem twarzy farmera z Kansas i uśmiechem tak chłodnym, że wyglądał, jakby brał udział w castingu do *Wściekłych psów*. Kciuki miał zaczezione za pas z gigantyczną srebrną klamrą w kształcie żetonu do kasyna. Gotycki Tarantino.

Starszy brat? Chłopak? Żadnego nazwiska ani daty. Nie ma mowy, żeby się z nim skontaktować. Ślepa uliczka. Odłożyła wszystko z powrotem.

Wzięła do ręki czarną spódnicę Meyer, sięgnęła do kieszeni i wyczuła gładki kawałek papieru. Wkładka do płyty CD.

All-American Rejects, *Move Along*. Były na niej słowa piosenek z albumu. Jeden z tytułów zakreślono czarnym długopisem.

Jo zamrugła i zabrakło jej tchu. *Mały brudny sekret*.

Znała tę piosenkę, przypomniała sobie jej melodię, drażniący rytm i prowokacyjny, konspiracyjny ton głosu wokalisty. Ostatnią linijkę refrenu zaznaczono jaskrawożółtym markerem: „Kto musi o tym wiedzieć?”.

W poprzek strony parę słów nagryzmołonych czarnym tuszem: „Callie, to o tym mówiłaś, prawda?”.

I poniżej: „Czy każdy może zagrać?”. Obok narysowano uśmiechniętą buźkę. Jo porównała pismo do tego z listy zakupów. Zgadzało się. Wróciła do łóżka. Meyer leżała nieruchoma i milcząca.

— Geli, chcę ci pomóc. Szkoda, że ty nie możesz pomóc mnie.

Równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Po chwili zwróciła kartę pacjentki pielęgniarce. Poprosiła o plastikową torebkę z zamknięciem, naklejkę i czarny cienkopis. Zrobiła zdecydowaną minę pod tytułem „jestem lekarzem”, po czym podniosła wkładkę do płyty tak, żeby tamta ją zobaczyła.

— To dowód związany z wypadkiem. — Włożyła kartonik do plastikowej torebki.

Pielęgniarka spojrzała na nią gniewnie.

— Skąd pani to wzięła?

— I musi trafić na policję. — Jo zamknęła torebkę, nakleiła etykietkę w poprzek zamknięcia, podpisała się i umieściła na nalepce datę. Wręczyła dziewczynie cienkopis. — Pani też musi się podpisać, że zabezpieczyłam i opisałam dowód rzeczowy.

Siostra wyglądała na przekonaną.

— Proszę — nalegała doktor Beckett.

Pielęgniarka się podpisała, choć niechętnie.

— Dzięki. — Jo włożyła plastikową torebkę do własnej torby. Rozwiązanie ad hoc, ale musiało wystarczyć. — Proszę dać mi znać przez pager, jeżeli Meyer odzyska świadomość.

Wyraz twarzy siostry mówił, że nikt się nie spodziewa, aby nastąpiło to szybko.



Skunks zatrafił. Ruch na California Street odbywał się skokami. Hałaśliwy, połyskliwy, chwilami spowalniał jak krew przeciskająca się przez zatkaną tętnicę — hamowany przez niewprawnych kierowców. Słońce złośliwie świeciło prosto w oczy.

Cadillac podązał na wschód. Skunks prowadził z jednym łokciem opartym o krawędź otwartego okna i z prawą ręką zwisającą ze szczytu kierownicy. Bardziej czuł niż widział odwracające się głowy, gdy przejeżdżał obok.

Tą drogą uciekała pani prokurator, wzdłuż California Street. Żyłowała silnik tego krowiastego bmw na wzgórzach, aż wreszcie zawróciła. Wjechała w barierę wiaduktu, po czym umarła. Zacisnął szczęki. Była martwa, martwa jak kamień, martwa na dobre. I świetnie. Weszła do puli. Nie mógł się jednak uspokoić, martwił się, co odczuwał jak swędzenie pod skórą, a to pieprzone słońce naprawdę go wkurzało, odbijając się od maski samochodu, deski rozdzielczej i wiśniowej skórzanej tapicerki przedniego siedzenia. W tle brzęczała jakaś audycja sportowa. Kierowca zapadł się głębiej w siedzenie i podkreślił głośność. Kiedy stanął na czerwonym świetle, ludzie na przejściu z zaciekawieniem oglądali samochód. Był to model Eldorado z 1959 roku, stuningowany. Gapili się na niego, jakby zobaczyli nagą striptizerkę rozciągniętą w poprzek ulicy. Kremowy, z lśniącymi progami, które gładko przechodziły w płetwy z tyłu. Prawdziwe chromowane płetwy ery kosmicznej, rzucające się w oczy, zakończone światłami stopu na dyszach,

czerwonymi jak sutki. To był prawdziwy samochód, największa, najtwardsza sztuka na drodze, władza i seks na kołach, Pamela Anderson wśród samochodów.

Uwielbiał go. Kiedy siedział za kierownicą, identyfikował się z tym autem. Wszyscy w całym mieście patrzyli wtedy na niego, choć zwykle nie zwracał niczyjej uwagi.

Przez skrzyżowanie przejechały inne samochody. Radiojęczało coś o drużynie Forty Niners i jej przegranej z Chicago. Porażka trenera, kontuzjowany liniowy i główny rozgrywający, który trzy razy rzucił na przechwycenie.

— Cipa — powiedział Skunks.

Stracił na tym meczu kasę. Parszywa drużyna, typował granicę dziesięciu punktów, a i tak przegrał. Jedynym wyróżniającym się graczem był obrońca Ninersów. Skunks z niechęcią słuchał, jak durni komentatorzy chwalili tego ślicznusiego studencika, białego dzieciaka, który dorastał w luksusie i zdobył stopień naukowy z biznesu, chociaż w ciągu ostatnich dwóch tygodni cztery razy schrzanił okazję na przyłożenie.

— Bogata cipa. — Nachylił się w kierunku radia. — Scott Southern to C-I-P-A.

Skunks też był biały, ale nie dorastał w luksusie, nie poszedł na studia, nie otworzył sieci knajp z motywem sportowym, wykorzystując szczęście i sławę zdobytą w grze, kiedy po kilku latach będzie przechodził na emeryturę. Skunks został oszukany. Okantowany w kwestii wzrostu i urody, okantowany pod względem uroku osobistego i umiejętności zręcznego wypowiedziania się, które to cechy gładko torowały drogę przez świat ludziom takim jak Scott Southern.

Skunks wierzył w chowanie urazy.

Chowanie urazy było potężną machiną napędową, siłą, która sprawiała, że porządkował świat wokół siebie. Kiedy świat cię oszuka, dobrać się do ludzi, którzy dostali część tego, na

co zasługiwałeś, jest tylko wyrównaniem rachunków. Niektórzy nazywają to zazdrością, mówią o tobie „kwaśne winogrona”. Skunks kochał to, co kwaśne. A upajanie się kwasem długo żywej urazy było bardzo satysfakcjonujące.

Śmierć pani prokurator nie przyniosła mu jednak dostatecznej satysfakcji. Z powodu pasażerki.

Wciąż żyła. Trzy trupy, powiedziano dziś rano w wiadomościach. To oznaczało Harding i dwie osoby zmiżdżone na przednim siedzeniu busa jadącego na lotnisko. Widział, jak wyciągają pasażerkę Harding z wraku i wnoszą do karetki. Był pewien, że już po niej, ale ta ciemnowłosa kobieta przyleciała jak wariatka, rzuciła się na wrak i zaczęła wrzeszczeć, żeby sprowadzili ratowników. Ci wyciągnęli Angelikę Meyer z bmw i odjechali, jakby ich kto gonił.

Widział to z parkingu na Stockton Street, tego z widokiem na tunel. Bebechy mu się od tego skurczyły. Perry będzie wściekły. Na niego. Módl się, pomyślał, módl się. Masz, czego chciałeś. Martwą Harding.

Ale Perry bardzo dokładnie sprecyzował, czego jeszcze chciał: wydobycia od tej prokurator nazwisk przywódców grupy. I on miał tego nie schrzanić. Ale wszystko poszło fatalnie jak cholera. Harding nie powinna była brać pasażerki. To ona wszystko spieprzyła. Skunks zbierze cięgi, ale to Harding spieprzyła sprawę. Angelika Meyer została jak plama tłuszczu rozlana na drodze. Niebezpieczna, jeżeli ją tam zostawić, brudna. I mogła się stać powodem dalszych kłopotów. Tłuste plamy były przyczyną poślizgów.

Światło zmieniło się na zielone. Skunks powoli ruszył, jego cadillac przeciął skrzyżowanie po królewsku jak wielki biały rekin. Radio wciąż jęczało w tle.

Cipy. Oszuści.

Trzeba było posprzątać. A to oznaczało, że znów trzeba się będzie pobrudzić.

8.

Jo zamyślona jechała drogą 101 w stronę Palo Alto. Prowadziła niebieską toyotę Tacoma, powgniataną, ale tak żywotną, że pewnie będzie na chodzie, kiedy jej właścicielka, a raczej jej szczątki, staną się skamieliną. Samochód należał do Daniela i może dlatego Jo nigdy jakoś nie zabrała się do wyklepania wgnieceń i zadrapań z boku. Dorobił się ich podczas ostatniej wspólnej wyprawy wspinaczkowej do Yosemite, jadąc nieostrożnie tego wieczoru, kiedy rozbili obóz w Tuolumne Meadows. Odgrażał się, że powie wszystkim, iż to jej wina, gdyż rzuciła się na niego w ataku namiętności. „Dzikuska z ciebie — powiedział. — Zwariowane stworzenie”. Potem się roześmiał.

Wiedziała, że Daniel nie wróci, żeby naprawić toyotę, ale lubiła te wgniecenia.

Spojrzała na torbę leżącą na siedzeniu pasażera. „Brudny mały sekret”. Zostawiła wiadomość dla porucznik Amy Tang o liściku Geli Meyer. „Czy każdy może zagrać?”. Nie wiedziała, co o tym sądzić, ale czuła z niepokojącą pewnością, że Callie Harding widziała tę notatkę, zrozumiała wiadomość od Meyer i na nią zareagowała.

„Zagrać” oznaczało, że chodziło o grę. Sugerowało pewnego rodzaju niewinność, przewidywanie, że gra może być nieczysta, ale zabawna. Sekrety jednak nie zawsze są niewinne. Brud może oznaczać niebezpieczeństwo.

Jo nie sądziła, żeby notatka była przypadkowa. Obawiała się, że Geli Meyer fatalnie się przeliczyła. I niespodziewanie przeszła od rysowania uśmiechniętych buziek do walki o życie w pędzącym samochodzie Callie.

Zamrugała kierunkowskazem i zjechała z autostrady.

Palo Alto leżało pięćdziesiąt kilometrów na południe od San Francisco. Zielone i dyskretnie eleganckie miasto huczało intelektualną energią. Znajdowało się tuż obok uniwersytetu Stanforda, w sercu Doliny Krzemowej. W czasach jej rozkwitu oznaczało to możliwość sprzedaży podniszczonych wiejskich domów za miliony dolarów. Kiedy rynek się załamał, oznaczało półcięzarówki z wózkami holowniczymi patrolujące parkingi w poszukiwaniu ferrari, które można by przejąć za długi.

Beckett przejechała wolno wzdłuż University Avenue. W październikowym słońcu ulica tętniła życiem. Wigor uniwersyteckiego miasta przemieszany z klimatem charakterystycznym dla hodowli technicznych geniuszy. Staroświeckie salony piękności funkcjonowały bez przeszkód obok sklepu Apple, tej katedry nowego milenium. Zauważyła filię księgarni uniwersytetu Stanforda. W czasach studiów medycznych dokonywała tam krytycznej analizy swoich skromnych funduszy.

Kawiarnia znajdowała się w pewnym oddaleniu od ulicy, w cieniu arkady w hiszpańskim stylu. Dotarła na miejsce, odsunęła okulary słoneczne na czubek głowy. Mężczyzna o nordyckich błękitnych oczach spojrzął na nią, potem na zegarek i ponownie na nią. Rzucił przeglądany „Wall Street Journal” na stolik i obserwował ją, gdy się zbliżała.

Wyciągnęła rękę.

— Jo Beckett. Dziękuję, że się pan ze mną spotkał.

— Myślałem, że się pani spóźni. — Uścisk dłoni miał równie szorstki jak ton. Oskarżycielski, chociaż przyszła wcześniej.

Gregory Harding wyglądał blado i miał spojrzenie przeszyczące jak setka wódki. Włosy tak jasne, że prawie w kolorze polarnej bieli. Oczy zimnobłękitne jak koszula, którą nosił. Zegarek firmy Rolex. Szczupły i wysoki trzymał się prosto niczym oficerska trzcinka. Jego zachowanie zdradzało dystans charakterystyczny dla ludzi bardzo bogatych, ale na twarzy malowało się wyczerpanie.

— Czy ma pani odznakę, którą może mi pani pokazać? — zapytał.

Usiadła.

— Nie jestem funkcjonariuszką policji.

Wręczyła mu swoją wizytówkę. Przeczytał ją, upuścił na gazetę i zmierzył Jo spojrzeniem z góry na dół. Ubrała się starannie. Miała na sobie granatową kopertową bluzkę i brązowe wełniane spodnie, do tego buty na niskich obcasach. W uszach srebrne kolczyki koła. Włosy ściągnęła z tyłu kłamrą, zmuszając loki do posłuszeństwa. Wzrok Hardinga przykuł jednak srebrny łańcuszek, który miała na szyi, z krzyżykiem i obrączką z białego złota.

Przyglądał się jej tak samo jak porucznik Tang poprzedniej nocy, z niemym pytaniem: kim jesteś?

Nie była to kwestia półmroku panującego pod arkadami. Ludziom trudno było ją jakoś przyporządkować. Nieco Azji tutaj, może z odrobiną kwiatu wiśni. Gdzie indziej echo pustynnego wiatru, brzęku mieczy, chrzęstu piasku i dźwięków jęklivej muzyki w zakurzonych ruinach.

— Czy możemy porozmawiać o pańskiej byłej żonie? — zapytała.

— Dlaczego gliniarze chcą, żeby psychiatra grzebał w głowie Callie? Skąd ten pośpiech w osądzaniu?

- Ja nie osądzam. I przykro mi, jeśli to dla pana bolesne.
- Oczywiście, że pani osądza. Zakłada pani, że Callie się zabiła. A co, jeżeli miała tętniaka? Skąd pani wie, że nie wysiadły jej hamulce?
- Nie wiem. Dlatego ważne jest zgromadzenie wszystkich możliwych informacji. Rozumiem, że pana zdaniem nie popełniła samobójstwa.
- Absolutnie wykluczone. Nie Callie.
- Głos mu lekko drgnął i delikatnie zabrzmiała w nim czułość. Zrozumiała, że nie był wrogo nastawiony. Był wyczerpany i w rozsypce, ledwie się trzymał.
- Mieszkała tuż za rogiem, pokażę pani jej mieszkanie.
- Wyszli spod arkady. Szedł szybko, z rękoma wciśniętymi w kieszenie spodni.
- Jak długo byliście państwo małżeństwem? — zapytała Jo.
- Pięć lat. Siedem po rozwodzie. — Kciukiem wskazał uniwersytet Stanforda. — Ona była na prawie, ja robiłem JD/MBA. — Zerknął na Jo. — To czteroletni program. Połączenie prawa i szkoły biznesu.
- Znam program JD/MBA. Studiowałam medycynę w Stanford.
- Kiwnął głową, jakby przyjmując do wiadomości jej przynależność do jakiejś wspólnoty plemiennej.
- Ona zajęła się prawem, ja zostałam spekulantem giełdowym robiącym interesy. Pobraliśmy się, potem się rozstaliśmy. Bez dzieci, zwierzątek i rock and rolla. Studenckie małżeństwo, któremu nie dane było przetrwać. — Wetknął ręce jeszcze głębiej do kieszeni. — Na dłuższą metę okazało się, że potrafimy być dobrymi przyjaciółmi.
- Spojrzał na Jo, najwyraźniej szukając u niej potwierdzenia, że nie mówi nic dziwnego.
- Jest pani zamężna?

- Nie.
- A była pani?
- Tak.
- Więc rozumie pani, jak później sprawy się komplikują. Spojrzała na drzewa.
- Jaka ona była? — zapytała.
- Ostra. — W głosie Hardinga znów pojawiło się napięcie.
- To znaczy w dobrym sensie. Błyskotliwa, wyrachowana, z motywacją do odniesienia sukcesu. Dzięki temu powiodło się jej jako prawnikowi.
- Rozumiem, że w prokuraturze miała widoki na awans.
- Szła w górę jak rakieta. W pracy szło jej fantastycznie. Każdy przestępca, którego dorwała, liczył się jako sukces w jej prywatnym rachunku zysków i strat. — Tym razem głos mu dostrzegalnie drgnął. — Gdyby się zabiła, popsułaby sobie ogólny wynik. Nie ma mowy, żeby to zrobiła.
- Kiedy ostatni raz pan z nią rozmawiał?
- Dwa dni temu. Głos miała normalny.
- Skreśli za róg i weszli w głąb zielonej dzielnicy mieszkaniowej zacienionej przez dęby i platany. Harding ruchem głowy wskazał rząd eleganckich domów i wyjął z kieszeni klucz.
- To tutaj.
- Podeszli przez starannie przystrzyżony trawnik do polakierowanych na czerwono frontowych drzwi. Wetknął klucz w zamek.
- Jak na rozwiedzioną parę zachowaliście państwo bliskie relacje — zauważyła Jo.
- Kiedy jej nie było, podlewałem u niej kwiaty.
- Podała pana jako najbliższą osobę.
- Żadne z nas nie miało rodziny. Wydawało się to... sensowne. Nigdy nie sądziłem, że będę musiał...
- Uszło z niego powietrze. Podniósł dłoń do oczu.

— Przepraszam.

Identyfikacja jej ciała musiała być dla niego okropna.

— Wiem, że to trudne — przyznała.

Kręcąc głową, pchnął drzwi i ruchem ręki zaprosił Jo do środka. Przekroczyła próg i zatrzymała się, chłonąc pierwsze wrażenie.

Dom był przestronny, minimalistyczny, z czarnymi skórzanymi meblami i sufitem wysokim jak w katedrze. Z salonu schody prowadziły na galeryjkę na piętrze. Jo wyobraziła sobie stojącą tam Callie, olśniewającą blondynkę, z rękoma wyciągniętymi w geście Evy Peron. Mieszkanie było eleganckie, proste i zimne. Na podłodze leżał dywan, biały jak welon zakonnicy, niepokalany.

„Brudny”.

— Czy był pan tu, odkąd policja zawiadomiła pana o śmierci żony? — zapytała.

— Nie. — Stał w progu bez ruchu.

— Proszę pozwolić, że wyjaśnię, co muszę zrobić.

Wyłożyła mu procedurę. Usiedli w salonie i zadała pytania ze swojego testu. Czy Callie poddała się kiedykolwiek leczeniu psychiatrycznemu albo diagnostyce? Nie. Czy w rodzinie zdarzały się samobójstwa albo zaburzenia psychiczne? Nie. Harding odpowiadał z cichą rezygnacją. Callie nigdy poważnie nie chorowała. O ile wiedział, nie była z nikim romantycznie związana. Nie była religijna.

— Wyznawała purytańską etykę pracy. Była wstrzemięźliwa i nie bała się osądzać. Idealny oskarżyciel — powiedział.

Nie zauważył żadnych zmian w jej nawykach żywieniowych. Nie zauważył, żeby odsuwała się od ludzi. Nie rozdawała posiadanych przedmiotów.

— Nie przygotowywała się na śmierć. Ciężko pracowała. Gnała naprzód. — Zamilkł, zdając sobie sprawę z tego, co

właśnie powiedział. Chwycił palcami grzbiet nosa. — Proszę dać mi chwilę.

— Niech się pan nie spieszy. Jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, rozejrzę się.

— Proszę.

Kuchnia stanowiła chromowane imperium pełne książek kucharskich z przepisami pomocnymi dla zachowania zdrowego serca. W lodówce stała jedna na wpół opróżniona butelka pinot grigio. Z leków Jo znalazła w szafce tylko tylenol i advil.

Biblioteczka w salonie zawierała duży wybór bestsellerów. W kolekcji muzycznej Callie większość stanowiły tandetne hity z Nashville i musicale. Obecność w niej ścieżki dźwiękowej do *Wicked* nie była raczej znacząca. Nie był to istotny sygnał wskazujący na fantazje erotyczne czające się w psychice zmarłej kobiety.

Wyjmując cyfrowy aparat, Jo weszła na górę. Główna sypialnia w pluszu. W szafie eleganckie kostiumy i drogie buty. W szufladach komody kosztowna bielizna. Koronkowa, seksowna. Także paski do pończoch ze zwierzęcej skóry i kabaretki. A jednak nic przesadnego. Żadnych seksualnych zabawek, pejsza ani uzdy. To nie była sekretna szafa sadomasochistycznej dominy.

Beckett przeszukała łazienkę. Żadnych narkotyków, żadnych tabletek — oprócz antykoncepcyjnych. Może Gregory Harding jednak nie wiedział wszystkiego o życiu miłosnym Callie.

Szukała dalej. Nic więcej.

Mężczyzna przyglądał się jej, gdy schodziła po schodach.

— Znalazła pani list samobójczy?

— Nie.

Nie można było uznać tego za dowód. Większość samobójców nie zostawiała listu.

Weszła do gabinetu Callie, usiadła przy biurku i włączyła komputer. Harding stanął w drzwiach.

— Jak może pani wykonywać taką pracę? — zapytał.

Odwróciła się, by patrzeć mu w twarz. To było ważne pytanie.

Poświęciła mu całą uwagę.

— Zmarli nie mogą mówić sami za siebie, ale czasami ja mogę przemówić w ich imieniu.

— Czy to nie oznacza, że wkłada im pani w usta jakieś słowa? Ich już nie ma.

— Kiedy ktoś umiera, nie znaczy, że po prostu nie istnieje. Jest nieobecny. A kiedy przyczyna śmierci jest niejasna, zostaje wielka przepaść niepewności i rozpacz. Odkrycie prawdy o czymś życiu i śmierci czyni tę osobę bardziej obecną dla tych, którzy pozostali. I pomaga wypełnić pustkę.

— Prawda może być bolesna.

— Może też stanowić punkt oparcia dla tych, którzy przeżyli — powiedziała. — I może pomóc ludziom się pożegnać.

Nie spuszczał z niej uważnego spojrzenia. Niemal niezauważalnie skinął głową.

— Pani kogoś straciła.

Nie musiała odpowiadać. Wróciła do biurka.

— Chcę zrekonstruować ostatnie dwadzieścia cztery godziny życia Callie. Czy prowadziła kalendarz albo dziennik?

— Nie mam pojęcia. Proszę sprawdzić.

W dolnej szufladzie Jo znalazła notatniki i kieszonkowy kalendarz. Przerzuciła strony. Przyszły miesiąc był wypełniony spotkaniami, na które pani prokurator się nie stawi.

Nadszedł czas, by sięgnąć głębiej. Oceniała język ciała Hardinga: wyczerpany i spięty. Zaczęła od rzeczy mniej ważnych.

— Jak określiłby pan osobowość Callie? Czy była spokojna? Łatwo się ekscytowała? Była porywcza?

— Porywca? — Roześmiał się sarkastycznie. — Bez przesady. Zamykała porywczych w więzieniu.

— Człowiek może stać się przy tym twardy. — W ramach szkolenia w zakresie psychiatrii sądowej doktor Beckett pracowała w San Quentin. Widziała masę brutalnych, porywczych pracowników służby więziennej.

— Stała się przez to twarda, nie ordynarna — powiedział. — Nienawidziła przemocy. Nienawidziła kryminalistów. Nienawidziła mężczyzn, którzy krzywdzą kobiety. Karała takich ludzi.

Jo pomyślała o ostatnich minutach Callie, o jej błaganiu o pomoc.

— Czy zwierzyła się panu z jakichś lęków? Czy martwiła się czyimiś groźbami? Czy ktoś ją nękał?

Pokręcił głową.

— Nie. A poza tym, gdyby ktoś jej groził, nasłababy na niego antyterrorystów. Zjadłaby jego jaja na śniadanie.

— Czy miała jakieś przeczucia?

— Nie.

— Marzenia?

— W marzeniach była prokuratorem generalnym. — Lekko się uśmiechnął. — Jeżeli Callie czegoś chciała, starała się o to. Nieustępliwie. Niektórzy uważali, że nie umiała wybaczać. Ja nazywałem to wytrwałością.

Uśmiech Hardinga znikł. Starając się uniknąć spojrzenia Jo, podszedł do biblioteczki.

— Coś jeszcze? Fantazje? — zapytała.

Wziął do ręki fotografię w srebrnej ramce. Zdmuchnął z niej kurz i przejechał palcami po szkłe.

— Panie Harding? Czy Callie miała fantazje?

Podniósł wzrok. Jego niebieskie oczy lśniły.

— Jakiego rodzaju fantazje?

— Dowolne.

— Ma pani na myśli seksualne? — zapytał ostrożnie.

— Jakiegokolwiek fantazje.

Zacisnął usta.

— Jej fantazje dotyczyły wyjątkowo surowych wyroków dla recydywistów — powiedział po chwili. — Nie miała seksualnej wyobraźni i jeśli chce to pani umieścić w swoim raporcie, lubiła to robić twarzą w twarz, dwa razy w tygodniu, z prysznicem po wszystkim.

Wpatrywał się w Jo, chciał zobaczyć, czy ją zaszokował.

— Czy Callie uważała, że seks jest brudny?

Nordycka cera Hardinga jeszcze bardziej zbliała.

— Nie.

— Czy Callie uważała, że ona sama jest brudna?

Wzdrygnął się lekko, jakby pytanie autentycznie go zaszokowało.

— Nie. Co to, do cholery, ma znaczyć?

— Nie chciałam pana zdenerwować.

— Callie brudna? Mój Boże, była piękna. Miała twarz wymyśloną przez Michała Anioła. A teraz...

Odwrócił się i zakrył oczy dłonią.

Zawahała się, usiłując ocenić, czy zdoła go uspokoić, ale potem wszystko potoczyło się szybko.

Załadowała się historia przeglądarki. Jo zobaczyła całą stronę przeglądanych informacji.

„Maki i kochanek martwi”.

„Tragedia na płonącej łodzi: świat mody w żałobie”.

„Znany lekarz David Yoshida umiera w wieku lat 52”.

„Atak serca dopada kardiochirurga”.

I tak dalej. Nic tylko Yoshida i Maki. Zatrzymała się przy kolejnym nagłówku.

„Serce pęknięte po śmierci syna zabija lekarza z Uniwersytetu San Francisco?”.

Usłyszała nieartykułowany krzyk. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Harding uderza w biblioteczkę płaską dłonią. Usiłował zdusić szloch, usta miał otwarte. Wpatrywał się w oprawione zdjęcie.

Zamachnął się i jednym ruchem zrzucił rząd książek na podłogę. Jo położyła dłonie płasko na biurku. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie i rzucił zdjęciem przez pokój.

Zrobiła unik. Fotografia przeleciała dokładnie nad jej głową i wbiła się w ścianę jak topór.

— Hej — powiedziała.

Harding rzucił się przez długość pokoju i wyszarpnął z jej rąk klawiaturę.

— Wynocha! — krzyknął.

— Panie Harding...

— Ale już! — Zbliżał się do niej z drugiej strony biurka.

Zerwała się na nogi, zanim zdołał dotknąć krzesła lub jej.

— Wystarczy.

Zatrzymał się bardzo blisko, pół metra od Jo. Na jego skroni widać było pulsującą tętnicę.

— Proszę się cofnąć — powiedziała.

Stał nieruchomo. Widziała zdjęcie na podłodze. Za pękniętym szkłem znajdowała się fotografia przedstawiająca Callie i Hardinga razem. Jo napotkała jego spojrzenie. Oczy miał czerwone i mokre.

Cofnął się, dając jej przejść, ale wciąż stał między nią a drzwiami.

— Jeśli pan pozwoli — rzuciła.

Minęły dwie sekundy, trzy, pięć. Cicho, jakby tylko w ten sposób mogąc zapanować nad głosem, powiedział:

— Była idealna. A teraz jest prochem. I co ja zrobię?

— Przykro mi. A teraz chciałabym wyjść.

Uniósł ręce.

— Mniejsza z tym. Niech pani napisze swój raport, niech pani pisze, co pani chce. — Chwyć notatniki z biurka. — Proszę je wziąć. Przeczytać, zinterpretować, prześwietlić, wszystko jedno. Niczego pani nie znajdzie.

Wepchnął jej stosik w ręce i ruchem ręki nakazał, by wyszła z gabinetu. Jo poszła prosto do frontowych drzwi i zatrzasnęła je za sobą.



Cholera jasna.

Sto metrów od domu doktor Beckett się odwróciła. Jak mogło dojść do takiej paskudnej sytuacji?

Trzeba zachować spokój. Nauczyła się tego, kiedy w czasie terapii musiała stawić czoło naćpanym członkom gangu cierpiącym na chorobę dwubiegunową czy rozłoszczonym chorym psychicznie, którzy gadali coś bez sensu o proroku Eliaszu, a jeszcze przedtem stawiając się chłopcom, którzy nie chcieli jej pozwolić jeździć na skateboardzie czy rowerze. Nauczyła się tego już dawno temu, jako dziecko na podwórku.

Trzeba im to wcisnąć z powrotem do gardła, i to szybko. Wiedziała o tym na poziomie pamięci mięśniowej. Można się wyłgać z wielu sytuacji, ale nie wtedy, kiedy się leży na łopatkach.

Ale żeby pozwolić się zastraszyć facetowi, który spekuluje podczas przeprowadzania wywiadu do psychologicznej autopsji? Tego nie przewidziała.

Cholera jasna.

Chodnik za nią był pusty. Ani śladu Gregory'ego Hardinga, tylko słoneczne cętki i nawilżacze leniwie rozpylające wodę na trawnik. Serce Jo waliło. Opanowała oddech. Nie złość się.

A jednak się rozzłościła. Jak śmiał? Dureń. Kutas.

W samochodzie zamknęła drzwi i zrobiła notatki, mając

spotkanie świeżo w pamięci. Kretyn. Kutafon. Był agresywny, czy po prostu złamany żalobą i kiepsko zapanował nad impulsem? A może coś ukrywał? Zapisała, co powiedział o Callie. Twarda. Osądzająca. Karała ludzi. „Zjadłaby jego jaja na śniadanie”.

Zatrzymała długopis nad kartką. Czy można by ją określić jako kobietę kastrującą?

Harding nie zachowywał się, jakby stracił dobrego przyjaciela. Zachowywał się jak ktoś, kto stracił kobietę, którą wciąż kochał i której nienawdził. I sprawiał wrażenie osieroconego.

Zmęczenie, tymczasowo zagłuszone kofeiną i adrenaliną, teraz zalało Jo jak fala. Potarła oczy. Nie mogła dopuścić, żeby to jej dokopało.

Odchyliła głowę do tyłu i pomyślała o długiej liście artykułów prasowych, które Callie czytała, o Davidzie Yoshidzie i Makim płonącym na swojej łodzi.

Znajdowała się zaledwie szesnaście kilometrów od Moffett Field. Wyjęła telefon i zadzwoniła do kwatery głównej 129. Oddziału Ratownictwa Powietrznego.

Czekając na połączenie, spojrzała na notatniki Callie zgromadzone na siedzeniu pasażera. Otworzyła jeden z nich. Ze środka wysypały się jakieś papiery. Złapała je, zanim upadły na podłogę.

Zamarła w złotym słonecznym świetle. Miała w ręku kartkę papieru listowego dobrej jakości. Zaproszenie wypisane schludnym pismem Callie. W centrum strony napisano:

„Postąpiłeś bardzo źle. Witamy w Klubie Brudnych Sekretów”.

9.

Jo minęła bramę Moffett Field. Myślała o czym innym.

Klub Brudnych Sekretów. Czy to był żart? Czy to była gra, w którą chciała zagrać Geli Meyer?

I czy miało to coś wspólnego ze śmiercią Callie Harding?

Myślała o Yoshidzie, Makim, Callie — i Geli Meyer błagającej : „Powstrzymaj to”. Poczula przykrą pewnością, że w kolejce czekała już następna osoba, którą ktoś miał skrzywdzić, i to niedługo.

Zapach lotniczego paliwa gwałtownie przerwał jej zamyślenie.

Moffett Field to ogromny kompleks u brzegu Zatoki San Francisco. Pierwotnie baza lotnictwa morskiego, obecnie lotnisko stacji sił powietrznych Onizuka i centrum badawcze NASA. To tu NASA monitoruje ruchy satelitów i starty promów kosmicznych. Całość wyglądała jak kampus uniwersytecki z zielonymi trawnikami i budynkami w hiszpańskim stylu, ustawionymi wokół czworokątnego dziedzińca, ale w pobliżu pasa startowego miał siedzibę kłopotliwy 129. Oddział Ratownictwa Powietrznego.

Jo podjechała pod budynek mieszczący kwaterę główną.

W pobliżu zaparkowano ogromny samolot wojskowy Hercules i kilka helikopterów Pave Hawk. Jako część składowa Kalifornijskich Sił Powietrznych Gwardii Narodowej oddział miał obowiązki dwójakiego rodzaju. W czasie pokoju pełnił misję SAR — szukaj i ratuj na ziemi i morzu, często w najbardziej niebezpiecznych warunkach. Misję wojskową oddziału określał skrót CS AR — walcz, szukaj i ratuj. W czasie wojny oddział stawał się częścią służb pararatowniczych sił powietrznych. Ludzie, którzy tu służyli, byli twardzi i zaangażowani. Tak zwani PJ, ratownicy skoczkiwie spadochronowi, stanowili elitę tych służb. Ci przeszkoleni ratownicy medyczni potrafili zjeżdżać na linie, skakać ze spadochronem lub bez w szalejące morze w trakcie wymiany ognia, by ewakuować ofiary. Motto oddziału wymalowane na drzwiach hangaru literami o wysokości dwóch metrów brzmiało: „Aby inni mogli żyć”. To właśnie ich wezwano, gdy na niespokojnym oceanie na zachód od Golden Gate stanął w płomieniach jacht Makiego Prichingo.

Jo zaparkowała i przez chwilę siedziała, wpatrując się w budynek kwatery głównej. Po prostu zachowaj spokój, przekonywała siebie w myślach. Przejdź przez te drzwi i wykonaj zadanie. Czy to musi być takie trudne?

— Jakbyś nie wiedziała — powiedziała głośno i wysiadła.

Od zatoki ciągnęła słona bryza. Była chłodna i niosła ze sobą tłusty smrodek spalin. Doktor Beckett zatrzasnęła drzwi, zamknęła samochód i zobaczyła Gabriela Quintanę wychodzącego z budynku.

Miał na sobie cywilne ciuchy — dżinsy, buty sportowe, biały termiczny podkoszulek pod czarną koszulą — i szedł zrelaksowanym krokiem. Pewnie właśnie skończył służbę. Oczy ukrył za modnymi okularami przeciwsłonecznymi, więc nie zdradziły jej, co myśli.

Uśmiechnął się. Bezpośrednio, zapraszająco, ciepło.

— Doktor Beckett.

Quintana był szczupły i miał atletyczną sylwetkę — w końcu wszyscy ratownicy musieli być nieludzko sprawni. Poruszał się bez wysiłku, właściwie z gracją. Brązowe włosy miał krótkie, ale nie na tyle, by odpowiadały regulaminowej długości uznawanej przez siły powietrzne.

Jo podeszła do niego spokojnym krokiem.

— Trochę pan kudłaty, sierżancie.

Jego uśmiech stał się szerszy.

— Popieram buntowników. Możesz zaszaleć i mówić do mnie „proszę pana”.

To było zaskoczenie.

— Odszedłeś z wojska?

— Odsłużyłem swoje. Zostałem jako pracownik cywilny.

Zatrzymał się jakiś metr od niej, na twarzy wciąż miał uśmiech. Emanował spokojem.

— Dobrze wyglądasz — powiedział.

— Ty też. — Wydawał się wyższy, niż zapamiętała. — Muszę z tobą porozmawiać. Chodzi o tę płonącą łódź.

Uśmiech znikł. Chwilę trwało, zanim odpowiedział.

— Jest takie miejsce po przeciwnej stronie autostrady w Mountain View. Enchiladas Verdes. Umieram z głodu. Nie jadłem od wczorajszego wieczoru.

Spojrzała na zegarek, czując niepokój.

— Mogę rozmawiać w czasie jedzenia — zapewnił. — Ja stawiam.

Za plecami Jo samolot uruchomił silniki. Wpatrywała się w Quintanę, rozważając propozycję. Śmigła zaczęły pracować jednostajnie i głośno. Miała wrażenie, że są tuż za jej plecami, wirujące łopaty zdawały się muskać jej szyję.

— To ja stawiam — powiedziała.

Quintana nie drgnął, nie skomentował, ile to czasu minęło,

nie wspomniał okoliczności, w których ostatnio się widzieli. Wyczuła jednak, iż wiedział, jak nienawidziła dźwięku samolotowych silników i że czuła się zagubiona, stojąc na tym pasie startowym. Wyciągnął z kieszeni kluczyki.

— Pojadę za tobą — stwierdziła.

Uśmiech powrócił na twarz Quintany, jakby wiedział, że ta kobieta rzadko komu pozwala na przejęcie roli przewodnika.



Meksykańska knajpa okazała się taquerią w starej części Mountain View. Na wystrój składały się piknikowe stoły pod daszkiem z blachy falistej. Z tranzystorowego radia ryczała muzyka mariachi. Knajpa mogła się pochwalić widokiem na tory kolejowe. Właśnie przejechał lokalny pociąg, wielki i głośny. Quintana oparł się o kontuar, czekając na jedzenie.

Jo podniosła głos, żeby przekrzyczeć huk lokomotywy.

— Maki Prichingo. Powiedz mi, co się stało tamtej nocy.

Mężczyzna obserwował znad okularów kucharza.

— Zgłoszenie odebraliśmy w sobotę o dziewiętnastej zero zero. Tankowiec zauważył płonącą łódź na zachód od Golden Gate. Próbowali ją wywołać przez radio, nie udało się, więc zaalarmowali władze.

— Jak to się stało, że zawiadomili was?

Uśmiechnął się blado.

— Nie zawiadomili. Wezwanie dostała straż przybrzeżna.

Straż przybrzeżna i oddział 129, czasami ze sobą rywalizowały. Współzawodnictwo podsycali duma, adrenalina i chęć niesienia pomocy. Lekarze byli tacy sami.

— Wszystkie śmigłowce straży były zajęte akcją ratunkową w zatoce. Lot operacyjny zaczęliśmy o 19.20. Jeden pave hawk z dwoma ratownikami na pokładzie, jednym z nich byłem ja.

Kucharz postawił jedzenie na blacie. Zamówienie Quintany wystarczyłoby dla pięcioosobowej rodziny. Ustawił talerze na przedramieniu i w obu dłoniach jak kelner, po czym zaniósł wszystko do stołu. Jo przyglądała mu się rozbawiona. Uznała, że to niemożliwe, aby jeden człowiek zdołał to wszystko zjeść, szczególnie mężczyzna, którego ciało zawierało trzy procent tłuszczu.

Ustawił dania.

— Co jest?

— Dla kogo całe to jedzenie, dla Wielkiej Stopy? I dla jego drużyny rugby?

— Mieliśmy wczoraj nocny trening. Akcja ratunkowa w górach.

Jo usiadła. Jej dwa taquitos wyglądały na tle bankietu dla Quintany jak posiłek dla lalek. Mężczyzna zabrał się do jedzenia, wykańczając enchiladę w czterech kęsach.

— Pogoda była dobra i mieliśmy namiary łodzi. Piloci lecili w noktowizorach, ale ich nie potrzebowali. Zobaczyliśmy ogień z dużej odległości.

— Łódź nadal płonąła?

— Ogień przygasł, ale wyraźnie było widać, że cały jacht się zajął. Pilot nie mógł nikogo wywołać przez radio. Opuściliśmy się nad wodę na linach i dopłynęliśmy. Nie będziesz jeść?

Nieuważnie kiwnęła głową.

— I co potem?

— Na bakburcie była drabinka i wspięliśmy się po niej na pokład.

— Na płonącej łódź?

Quintana odsunął okulary słoneczne na czubek głowy.

— Nie jesteście strażakami. Gaszenie ognia nie było naszym zadaniem.

Oczy miał ciemniejsze niż brązowe, prawie czarne. Wiek i warunki atmosferyczne, w których musiał pracować, pogłębiły bruzdy mimiczne na opalonej twarzy. Sprawiał wrażenie skupionego i zupełnie spokojnego. Jo wyobraziła sobie, że dokładnie tak samo wyglądał, wspinając się na płonącą łódź Makiego. Od chwili kiedy go poznała, wiedziała, że w stresowych sytuacjach zachowywał spokój.

— To było konieczne ryzyko, ale naprawdę nie wszystko wybucha tak jak na hollywoodzkich filmach. Łódź była żaglowa. I gdyby zaczęła tonąć, cóż, umiem pływać.

Rzucił ręce gestem mówiącym: „Zastanów się!”.

Aby zostać ratownikami, rekruci musieli przepłynąć tysiąc osiemset metrów, przez część tego dystansu walcząc z instruktorami, którzy usiłowali ich podtopić.

Wbrew sobie uśmiechnęła się.

— Przepraszam. Co mówiłeś?

— Ogień prawie się wypalił. Żar był mocny, ale to była wielka łódź i drabinka okazała się ledwie ciepła w dotyku.

Wypił łyk mrożonej herbaty i zjadł pół kolejnej enchilady. Spochmurniał.

— Znaleźliśmy ofiary obok siebie w głównej kabynie.

Po raz pierwszy się zawahał.

— Po prostu powiedz, co widziałeś. Wszystko — poprosiła. Nie spieszył się, jakby niechętnie wracał pamięcią do tej sceny.

— Twarz jednego z mężczyzn wciąż była rozpoznawalna. Oczy otwarte, usta otwarte, sadza pod nosem.

Więc zanim umarł, wdychał dym.

— A ten drugi?

Quintana zerknął na pobliskie stoliki. Żaden z klientów ich nie słuchał, ale zniżył głos.

— Spalony tak, że nie dało się go rozpoznać. Ciało na wpół pogrzebane pod szczątkami wciąż dymiło.

— Pozycja bokserka? — zapytała.

— Tak.

Spalone zwłoki często zwijają się w pozycję podobną do tej, którą przyjmuje bokser, z ramionami i pięściami schowanymi pod brodą. Nie oznacza to, że ofiara z bólu powróciła do pozycji płodowej. Ciepło ognia odwadnia mięśnie i powoduje, że się kurczą, często po śmierci.

Quintana spojrział na tory, potem na Jo.

— Widziałem helikoptery strącone przez ogień wroga. Spalone, załoga ranna albo martwa w wyniku wybuchu i odłamków... — nadal mówił spokojnie, ale wydawało się, że siedzi jeszcze bardziej nieruchomo. — Wiem, jak wyglądają rany spowodowane poważnymi urazami.

Ratownicy byli wyszkolonymi paramedykami, doświadczonymi w selekcji rannych i wykonywaniu pomniejszych zabiegów chirurgicznych na miejscu. Jo pozwoliła, żeby jej rozmówca powoli doszedł do sedna sprawy. Mężczyzna przy stoliku obok przyglądał mu się.

— Ale nie trzeba było medyka, żeby zobaczyć, co się wydarzyło na tej łodzi. Ogień nie zabił żadnego z nich.

— Uduszenie dymem?

— Jakim tam dymem.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

— To był postrzał — powiedział. — Odstrzelili sobie głowy.

10.

— Zostali zastrzeleni? — zapytała Jo.

Quintana przyglądał się jej uważnie, jakby dobierając słowa, żeby nie okazały się zbyt brutalne. Albo jakby usiłował chronić samego siebie przed tym wspomnieniem.

— Krew i tkanka mózgowa rozprysnęły się na całą ścianę. Strzelba była oparta o kolana jednego z nich, z lufą wetkniętą pod brodę.

— A ten drugi?

— W bok głowy, z bliskiej odległości.

Wyglądało to na klasyczny przykład rozszerzonego samobójstwa.

— Jesteś pewien?

— Przekrój lufy dwunastka. Widziałaś kiedyś *Terminatora* 2?

Mężczyzna przy sąsiednim stoliku wstał.

— Wystarczy. — Chwył swój talerz. — Co jest z wami, ludzie? Nie umiecie się zachować w towarzystwie innych, którzy nie należą do porywaczy ciał?

Odszedł zniesmaczony. Jo zakłopotana rzuciła na swego towarzysza spojrzenie, które mówiło „ups”. Uniósł rękę i wyraźnie czując się nieswojo, zawołał:

— Przepraszam!

Tamten się nie odwrócił.

Quintana położył rękę na piersi i udał, że go to zraniło.

— Nie porywam ciała. Zwracam je, prawie zawsze. A ty tylko przekopujesz mózgi.

— I to nawet nie szpadłem — stwierdziła.

Uśmiechnął się, ale przelotnie. Jo odłożyła widelec. Nie była już głodna.

Płonąca łódź: dwóch mężczyzn, dwa strzały w głowę. Śmierć w parach, jak nazwała to porucznik Tang.

Czy mogło to być coś innego niż rozszerzone samobójstwo? Podwójne samobójstwo albo może podwójne morderstwo. Czy to możliwe, że na łódź weszli napastnicy? Czy ktoś inny zabił Makiego i Williama Willetsa i upozorował wszystko tak, by wyglądało na pakt śmierci zawarty między kochankami?

Jo wyjęła notatnik i długopis.

— Jak wyglądał mężczyzna trzymający strzelbę? — Quintana uniósł brew. — Poza tym, że jak trup — dodała.

— Czterdziestka, wschodnia Azja, ogolona głowa, przynajmniej to, co z niej zostało.

Maki. To sugerowało, że projektant zastrzelił Willetsa, a potem siebie.

— Czy widziałeś na pokładzie coś jeszcze, cokolwiek, co mogłoby wyjaśnić to, co się stało?

— Widziałem, wahałem, czułem żar.

— Czego?

— Benzyny.

— Ze zbiornika?

— Wszędzie. Na pokładzie, w kabinie.

— Podpalenie? — Zastanawiała się, czy Maki zastrzelił Willetsa, podpalili łódź, a potem odebrał sobie życie. — Myślisz, że benzyny użyto jako przyspieszacza?

— Nie tylko. Myślę, że ktoś tam grał w jakąś grę.

— Co?

— Opuściliśmy łódź, i to szybko. Ofiarom nie mogliśmy już pomóc, a wyraźnie była to scena przestępstwa. Sprawdziliśmy, że nikogo więcej nie było na pokładzie, potem odplynęliśmy i helikopter nas wyciągnął.

Spojrzenie miał przenikliwe, oczy błyszczące jak groty strzał.

— Z łodzi buchały kłęby dymu, ale strumień powietrza z naszych wirników go rozwiało i płomienie skoczyły w górę.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem to. Na pokładzie. Słowa, które ktoś wypisał benzyną i podpalił.

Jo miała wrażenie, że ostry paznokcie przejechał jej wzdłuż kręgosłupa.

— Jakie słowa?

— Módl się.

Poczuła, że się lepi. „Módl się”. Brzmiało to tak fałszywie, że przyprawiało ją o mdłości. A potem znaczenie tych słów stało się bardzo realne. Przetoczyło się przez jej myśli, kiedy poczuła, że beton unosi się pod jej stopami.

Napój Jo podskoczył. Piknikowy stół przechylił się na bok.

— Gabe.

Stół bujnął się w drugą stronę. Błaznany daszek zaczął trzeszczeć.

Oboje zerwali się na równe nogi. Dach wygiął się i podskoczył na słupkach, jęcząc, jakby ze strachu. Jo chwyciła Quintanę za ramię i pociągnęła za sobą. W dwie sekundy była na zewnątrz. Na słońcu. Biegła w kierunku parkingu, z dala od dachów, ścian, linii wysokiego napięcia. Ziemia drgała spazmatycznie, tam i z powrotem.

— Jo. Prrrr. Zwolnij.

Poczuła jego rękę na ramieniu. Pociągnął ją, żeby zatrzymała się na parkingu. Czowała, że wbija mu palce w przedramię, nie mogąc puścić.

— Spokojnie — powiedział. — Nic się nam nie stało.

Na ulicy samochody zjeżdżały na bok. Słupy się chwiały. Linie telefoniczne i kable bujały się tam i z powrotem, jakby ktoś rozhuśtał gigantyczną skakankę.

Jo rozstawiła szeroko stopy, poddając się kołysaniu. Pod jęczącym daszkiem szklanka spadła na beton i się stłukła.

Minęło równie szybko, jak się zaczęło, a oni wciąż stali blisko siebie, wstrzymując oddech.

— Cztery stopnie, maksymalnie — stwierdziła.

Trzęsienie ziemi było nieznaczne. W knajpie inni klienci wyłazili spod stolików. Młody kucharz niepewnie wyjrzał spod kontuaru.

— Nie bawisz się w chowanego? — zapytał Gabe.

Standardowe zachowanie polegało na ukryciu się pod stołem albo ustawieniu się w futrynie. Nie należało wybiegać na zewnątrz, gdzie można było zostać trafionym przez spadający tynk. Na szczęście tam, gdzie stali, nie było muru ani niczego, co mogłoby się na nich zawalić.

— Klaustrofobia. Uważam, że zadziałał tu instynkt przetrwania — wyjaśniła. — Wiem z doświadczenia.

— Musisz mi kiedyś opowiedzieć o swoich doświadczeniach.

Jo wiedziała, że katastrofa może się wydarzyć i spotkać każdego. Natychmiastowa reakcja, kiedy to się zdarza, daje człowiekowi szansę, że wyjdzie z tego żywy.

— Możesz puścić moją rękę, kiedy tylko zechcesz — powiedział Quintana.

— Och. — Zmusiła palce, by się rozluźniły.

Wyjął komórkę i wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Dziewczyna odgarnęła włosy z twarzy. Czowała przyływ adrenaliny. Miała wrażenie, że cząsteczki powietrza ocierają się o jej skórę. I wydawało się jej, że Gabe wciąż trzyma rękę na jej ramieniu, ciepłą i pewną, chociaż już się odsunął.

Quintana nagrał wiadomość.

— Sophie, nic mi nie jest. Upewniam się, że tobie też nie. Wyślij SMS-a. Kocham cię. Do zobaczenia w domu. — Rozłączył się. — Słuchaj, powinienem wrócić do Moffett, bo mogą mnie potrzebować.

— Oczywiście. — Czemu było jej przykro, że to powiedział? Czemu tak paliły ją policzki?

Znieruchomiał, wpatrując się w Jo z troską, i dotknął jej ramienia.

— Dobrze się czujesz?

— Bosko. Jeżeli wrzucisz ćwiartkę do szafy grającej, możemy nawet potańczyć. — Uśmiechnęła się smutno. — Nic mi nie jest. Ale zanim pojedziesz, jesteś pewien, że właśnie to słowo widziałeś płonące na pokładzie łodzi?

— Pewien jak tego, że to Bóg stworzył helikoptery Sikorsky. „Módl się”. Studiuję ten temat, więc mam pewność.

— Przepraszam?

— Robię doktorat na uniwerku. Z teologii.

— Ty?

Skrzywił usta.

— Bo taki ze mnie killer? Facet, który skacze z samolotu z M16 na plecach?

— Nie. To znaczy... — Cholera. Co miała na myśli?

Gabe się uśmiechnął.

— Mieszka ze mną moja córka. Mamy tylko siebie, więc chcę być na miejscu i na ziemi. — Wyjął portfel i wręczył Jo zdjęcie. — Sophie.

Miała jakieś dziewięć lat, włosy koloru czekolady Hersheya i szczerbaty uśmiech. Spojrzenie jasne, ale zawstydzone.

— Niesamowita. — Oddała mu fotografię. — Nie wiedziałam, że masz córkę.

Wsunął zdjęcie do portfela.

— A ja nie wiedziałem, że zaczniesz pracować w sądówce. — Zamilkł, potem zapytał cicho: — Brakuje ci pracy na izbie przyjęć?

Nie tego mi brakuje, pomyślała.

Słowa miała na końcu języka, czuła ich smak, ale przełknęła.

— Nie. Robię właśnie to, co chcę robić.

Quintana włożył okulary słoneczne i wetknął ręce do kieszeni dżinsów. Milczał długą chwilę.

— Jak się trzymasz? — zapytał.

W ostrym październikowym słońcu jego koszula wydawała się gorącą czarną dziurą. Jo przyglądała się ruchom klatki piersiowej pod nią. Zwalczyła przemożną chęć, by oprzeć głowę na ramieniu Gabe'a i wyszeptać prawdę. Za czym tęskniła? Za tym, żeby co rano budzić się u boku mężczyzny, którego kochała.

Ale jej mąż nie żył i ani modlitwa, ani siła ogniowa ochrony powietrznej nie mogły go ożywić.

— W porządku. Tylko tęsknię za Danielem jak cholera.

Uśmiechnęła się i pomachała mu na do widzenia.

11.

„Sieć jest zajęta, spróbuj ponownie później”. Linie telefoniczne powariowały. Jak zawsze — ziemia się rusza, ludzie panikują.

Perry rozdrażniony zamknął maleńki telefon i spojrzał na ściany. Żadnych uszkodzeń. Nic na jego biurku nie rozlało się ani nie połamało. Był kilka metrów od zatoki, ale nie słyszał chłupotu fal. Fala tsunami nie przeleje się zatem przez budynek i nie zmiecie ich wszystkich.

Na korytarzu za zamkniętymi drzwiami milkły głosy. Siłą woli nakazał im, by wreszcie ucichły. Miał tylko pięciominutowe okienko, żeby skontaktować się ze Skunksem. Głosy umilkły i jeszcze raz otworzył telefon. Ponownie wybrał numer.

Sygnal, nareszcie.

— Szeffie? — odezwał się Skunks.

Perry przycisnął do gardła generator głosu. Głośność zachował na niskim poziomie, żeby uniknąć elektronicznego brzęczenia.

— Nazwiska. Czy Harding je podała?

Coś mu się należało. Pani prokurator i jej kumple byli mu coś winni. Tylko że nigdy tego nie dostanie, jeżeli nie pozna

wszystkich nazwisk. Harding wiedziała, był o tym przekonany. Prokuratorzy ukrywali jednak informacje, jakby to było złoto — na temat dowodów, świadków, wszystkiego.

— Skunks? — ponaglił rozmówcę.

Linia zatrzeszczała.

— Mamy problem. Harding skasowała dwie osoby w busie, ale Angelika Meyer żyje.

Perry zamknął oczy i usiadł.

— Jak to się stało?

Skunks zamilkł, pewnie zapadł się pod siedzenie tego szokującego cadillaca. Dobrze, że się bał. Niedobrze, że kulił się ze strachu jak małe zwierzątko. Perry potrzebował informacji i nie mógł za długo korzystać z telefonu. Miał mało czasu.

— Jedyne, co udało mi się wymyślić — usłyszał — to że Harding usiłowała chronić klub. Cicho sza, nie wypychajmy tych ludzi na scenę...

— Ale my ich znajdziemy.

— Wiem, że tak. Próbowałem, szefie, naprawdę. Szybko dotarłem na miejsce wypadku.

Perry westchnął. Mechaniczne buczenie generatora głosu pozbawiało jego słowa emocji.

— Cadillakiem?

— Oczywiście, że nie. Zaparkowałem daleko i zszedłem na ulicę pieszo. Byłem tam pierwszy. — Głos Skunsa zabrzmiał mocniej. — Odegrałem dobrego samarytanina. Jakbym chciał się w to włączyć i sprawdzić, czy ktoś żyje.

— Ryzykowne.

— Harding była martwa, bez dwóch zdań. Kilka osób w busie jęczało. Meyer ledwie się trzymała.

— Mówiła coś? Wyciągnąłeś coś z niej? — pytał Perry.

— Próbowałem, ale tylko na mnie patrzyła.

— Więc cię widziała.

Skunks się zawahał, potem jego głos drgnął.

— Próbowałem to załatwić. Miałem broń, prawie zdążyłem... — Wypuścił powietrze. — Przyleciał gliniarz, był przerażony i pytał, czy ktoś przeżył. Facet w busie zaczął krzyczeć, więc powiedziałem mu, że kobiety w bmw nie żyją.

— Myślałeś, że to zadziała jak zakłęcie? To, że mu powiedziałeś, nie oznacza, że tak się stało.

— Ten gliniarz był tuż obok, dzwonił po lekarzy, wsparcie i takie tam. Nie mogłem jej rozpiardolić na jego oczach.

— To dobrze, chcemy Meyer żywą.

— Żywą, dlaczego?

Perry poczuł przyływ gniewu. Skunks nie musiał o wszystkim wiedzieć.

— Żywą na razie. Może być przydatna. Zostaw to.

— I tak nic by z tego nie wyszło. Gliniarz był totalnie spanikowany, rzucił okiem na samochód, potem pobiegł do busa. W tym momencie zjawili się już inni. Było za późno.

— Ten pierwszy gliniarz cię widział?

— Była pierwsza w nocy i kompletnie ciemno. Miałem kapelusz. Nikt by mnie nie rozpoznał. Wtopiłem się w tłum.

— A potem?

— To była reakcja łańcuchowa. Zjawili się ratownicy. Gliniarz posłał ich do busa, a Meyer wciąż tam leżała.

— A ty miałeś nadzieję, że umrze, nie zwracając niczyjej uwagi?

— To był istny dom wariatów. I prawie się udało. Ale potem przyszła jakaś kobieta i nie wiadomo dlaczego poleciała do wraku i wezwała ratowników. Wszystko spieprzyła.

Perry się zastanowił. Nie było za dobrze, ale może wszystko się jeszcze uda.

— Jaki jest stan Meyer?

— Dowiem się.

— Zrób to. I słuchaj: nie chcę, żeby umarła. — Miała kluczowe znaczenie. Pracowała w biurze Harding. Była inteligentną, pocziwą studentką prawa, chętną nauczyć się wszystkiego, co mogła jej przekazać Callie Harding. — Może mieć informacje, których potrzebujemy — dodał.

Zatrzymał się przed swoim biurkiem. Leżała na nim rozłożona plansza do scrabblu. Wziął do ręki garść płytek, myślał.

— Szefie, rozumiem, jakie to ważne. Znajdziemy ich. Bez dwóch zdań. Ustalimy wszystko jak należy.

Mimo ucisku w brzuchu Perry się uśmiechnął. Dlatego właśnie zatrudnił Skunksa. Facet może był głupi, ale brutalny i stuprocentowo niezawodny. I nie z powodu chciwości. Był po prostu lojalny. Wierzył w złodziejski honor.

— Zapłacą, szefie. Co do grosza — powiedział.

— Tak, zapłacą.

„Lekcja pogładowa”. Tak powiedzieli do Perry'ego Ames, kiedy z nim skończyli. Rzucili łańcuch, rzucili łom, zabrali mu wszystko i zostawili duszącego się własną krwią. Śmiali się, odchodząc. Dzisiaj nadal się z niego wyśmiewali i myśleli, że są bezpieczni.

Honor? Nie potrafiliby zapisać tego słowa, nawet gdyby wepchnął im płytki scrabblu w tyłek elektryczną pałką. Tak, zapłacą. Choćby wszyscy mieli umrzeć. Choćby całe San Francisco miało umrzeć.

— Jutro po południu będę w mieście. W Centrum Obywatelskim — powiedział.

— Jutro jest Halloween — odrzekł Skunks.

Perry zapłonął tak gorącym gniewem, że miał wrażenie, jakby w pokoju pojaśniało.

— Do mnie pijesz? Co? — Potarł palcami nierówną tkankę blizny biegnącej wokół szyi. — Nazywasz mnie Frankenstemem?

— Nie, Jezu, nie... Myślałem tylko, że Halloween może być dniem wolnym.

— Dla sądu? Mam do czynienia z prawem, Levon, a prawo nie miewa wakacji, przecież wiesz. Zawsze chce ci się dobrać do dupy.

— Święta racja, szefie.

Gniew minął. Perry myślał przez chwilę.

— Jesteśmy w punkcie przełomowym. Musimy działać szybciej. Śmierć prokuratorki, i to taka publiczna, wywoła potężną reakcję ze strony sił porządkowych.

— Co mam zrobić?

— Jeszcze raz porozmawiać z tym obrońcą.

— Z Southernem? To chodząca kłęska. Nie daje sobie rady.

— Daj mu jeszcze jedną szansę. Powiedz mu, że teraz albo nigdy. Daje nam te informacje albo to koniec. Albo będzie naszym informatorem, albo przykładem dla innych.

— Lekcją pogładową — powiedział Skunks.

— Dokładnie.

— Załatwione, szefie. A co pan zrobi?

Perry ułożył płytki na planszy.

— Pomodli się? — zapytał tamten.

— Już się nie modlę. Nie, poćwiczę. Potem spotkam się z prawnikami. A potem pewnie zagram w scrabble. — Poprzesuwał płytki. „Kradzież”, świetnie. Potrójna premia. „Wykrwawienie”.

— Scrabble? — zdziwił się Skunks.

Trzeba było zakończyć rozmowę. Dłuższe korzystanie z telefonu byłoby ryzykowne. Poza tym taka długa rozmowa to było więcej, niż mogło znieść gardło Amesasa. Po raz ostatni przycisnął generator głosu do swojej zrujnowanej krtani.

— Tak, Levon. Żałuję, że zasady nie pozwalają mi zmienić „koktajlu” w „koktajl Mołotowa”. — Rzucił resztę płytek na planszę. — To już twoja rola.

12.

— Amerykańskie obserwatorium geologiczne w Menlo Park podaje, że trzęsienie ziemi miało moc 4,1 punktu w skali Richtera. Mamy doniesienia o pomniejszych uszkodzeniach w rejonie Południowej Zatoki, więc połączmy się z naszym helikopterm...

Jo pstryknęła przełącznikiem radia. Pokonała szesnaście kilometrów autostradą, zmierzając z powrotem do San Francisco, z włosami trzepoczącymi na wietrze w otwartym oknie. Włączyła się inna stacja.

— Moje koty wyczuły, że zbliża się trzęsienie ziemi i zaczęły szaleć. Jeżeli będzie się szykowało coś poważnego, będę wiedziała z wyprzedzeniem...

Pstryknięcie.

— Niektórzy eksperci uważają, że ostatnie wstrząsy są zapowiedzią nadchodzącej apokalipsy przewidzianej w starożytnym kalendarzu Majów...

Kolejnym pstryknięciem przełączyła się na stereo.

Popłynęła muzyka, transowa, arabska, w dziwnej tonacji. Promienie słońca odbijały się od wód zatoki. Jo wpatrywała się w drogę i usiłowała przestać myśleć o Quintanie. Jego spokoju,

cieple, obecności dającej poczucie bezpieczeństwa. Jego trosce o nią. Telefon pisnął. Była to wiadomość tekstowa od porucznik Tang. „Na sekcji Harding. Ważne, proszę przyjechać”.

Znajdowała się czterdzieści minut od biura lekarza sądowego. Odpowiedziała „Okay” i przyspieszyła. Muzyka była hipnotyczna i uporczywa. Cheb Mami, muzyk, który nagrał *Desert Rose* ze Stingiem. Zaczęła słuchać tej muzyki po śmierci Daniela. Wtedy melodie zmieniły się w pole minowe. Przy muzyce klasycznej szloch zaczynał ją dławić po dziesięciu sekundach. Rock przypominał o wspinaczkowych wyprawach i nocach przespanych z Danielem pod gwiazdami. Przy country chciała się zabić. Miała ochotę kupić broń i strzelać do każdego radia, które grało piosenki z gitarowym slidem.

Tę muzykę wytrzymywała, ponieważ nie nosła ze sobą żadnych wspomnień. Nic nie łączyło jej z Danielem. A jednak działała na wyobraźnię i wciągała Jo w jakieś miejsce egzotyczne i bezpieczne jak z dziecięcego wspomnienia. Brakowało jej tylko latającego dywanu, który by ją tam zabrał.

Dotknęła naszyjnika, pocierając obrączkę z białego złota.

Tego ostatniego poranka spędzonego z nim leciał rock. Wciąż słyszała ten utwór wyraźnie. Police, *Every Little Thing She Does Is Magic*. Ta schodząca linia basu, molowa. Siódma trzydzieści rano, Daniel zrobił głośniej.

Miał wolny dzień. Przez sześćdziesiąt godzin tygodniowo pracował na urazówce w Centrum Medycznym Uniwersytetu San Francisco, ale ten dzień miał wolny. Ona także – rzadkość. Była w trakcie rezydentury na psychiatrii sądowej, dorabiała na izbie przyjęć. Jeden dzień to za mało, żeby pojechać do Yosemite, więc zaplanowali poćwiczyć wspinaczkę na sali. Wcześniej Jo słyszała Daniela rozmawiającego przez telefon, po drugiej stronie łóżka. Umawiał się ze służbą powietrzną.

Jasne, jeżeli będą mieli jakieś pilne wezwania, pojedzie, nie ma sprawy. Mają go łapać przez pager, gdyby coś się działo. Fucha, nie ma lepszego sposobu na spędzenie wolnego dnia, stwierdził.

Pod kołdrą przewrócił się na plecy i przesunął ręką po jej brzuchu. Uśmiechnął się.

— Dzień dobry, kundlu.

— Dzień dobry, psie. — Uśmiechnęła się. — Nie ma lepszego sposobu na spędzenie wolnego dnia? Jeżeli tak uważasz, to cierpisz na ostrą zapaść wyobraźni.

Zostali małżeństwem trzy lata wcześniej, a Jo wciąż uważała, że miała fart, bo jej mąż był jednocześnie kolegą i obiektem namiętności. Poważny, zdolny Danny, wielbiciel wspinaczki, z głową pokrytą rudawymi włosami, które dobrze wyglądały wtedy, gdy były krótko przycięte. Nie był przystojny, a raczej wyrazisty, z zielonymi oczami, które zawsze wydawały się prze-szywać ją na wylot. Nie krył nadziei, że Jo zmieni specjalizację na medycynę ratunkową, a ona sama była właściwie w połowie zdecydowana. Daniel stanowił dla niej najlepszy przykład wszystkiego, czym chciała być. Miał więcej entuzjazmu, więcej ciekawości świata niż ktokolwiek inny. W pracy był tak spokojny, że przyjaciele żartowali, iż szprycuje się na sztywno. Wszystkim burzom emocji pozwalał szaleć tylko wewnątrz, a Jo dawał je odczuć tylko w chwilach napięcia. A kiedy się uśmiechał, kiedy się śmiał, był zupełnie odmieniony.

Kochali się jak walczące wilki, z energią, która graniczyła z głodem. Na dworze już zaczynało się robić wietrznie.

Wezwanie nadeszło o dziesiątej, kiedy jedli śniadanie w Ti Couz. Dziecko z pękniętym wyrostkiem potrzebowało ewakuacji z Bodega Bay w górę wybrzeża, w okręgu Sonoma. Dziewczynka miała sześć lat i wiele innych dolegliwości. W klinice uniwersyteckiej już szykowano zespół chirurgiczny.

Helikopter miał wyruszyć, kiedy Daniel dotrze na miejsce, jeśli tylko będą w stanie znaleźć drugiego medyka. Pielęgniarka nie odpowiadała na sygnał pagera.

Spojrzał na Jo.

Często się zastanawiała, czy wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby powiedziała coś innego. Deszcz walił o szyby restauracji, mogła pokręcić głową i powiedzieć mu: „Nie idź”. Ale nie zrobiła tego. Chwyliła kluczyki do samochodu i stwierdziła:

— Pojadę z tobą.



Słońce uderzało w przednią szybę. Dzwonek komórki przewalał Jo wspomnienia, wyłączyła Cheba Mami i odebrała. Dzwoniła Amy Tang.

— Czy dostała pani moją wiadomość? Jestem na sekcji Callie Harding. Cohen coś znalazł, powinna pani przyjechać.

— Jestem w drodze.

Porucznik się rozłączyła. Bez pożegnania.

Ja też całuję, słoneczko. Jo zmieniła pas i przyspieszyła.



Weszła na sądówkę, mając nadzieję, że Tang nie wezwała jej bez przyczyny. Gliniarze, podobnie jak pracownicy sądówki, dręczyli czasem psychiatrów, zmuszając ich, by oglądali sekcje. Oczywiście z nadzieją na reakcję w stylu serialu *Quincy* — wymioty, omdlenie lub inne tego typu rozrywkowe zachowania. Frontowe biurko przyozdobiono latarniami z dyni. Doktor Beckett się zameldowała i skierowano ją do wnętrza budynku.

Sądówka była cicha jak szpital i równie zimna. Fluorescencyjne oświetlenie nadawało wszystkiemu sterylny połysk. Spod farby dolatywał niedający się zamaskować smrodek formaliny.

Sekcje nie należały do ulubionych zajęć Jo. Sekcjonowanie

ludzkich zwłok na zajęciach z anatomii nie robiło na niej wrażenia, być może dlatego, że ludzie, którzy ofiarowali swoje ciała nauce, mieli czas, by rozważyć tę decyzję. To był dar, ich szczątki stawały się pomocą naukową.

Inaczej było w wypadku ludzi, którzy nie spodziewali się umrzeć. Przyglądanie się patologowi, który grzebie w ciele leżącym z otwartą klatką piersiową — jak z najgorszego koszmaru Sigourney Weaver — pozostawiało Jo emocjonalnie oszołomioną. Nienawidziła myśli o tym, że może się to zdarzyć ludziom, których kochała. A zdarzyło się.

Skręciła za róg i znalazła Amy Tang przy fontannie z wodą do picia. Pani porucznik miała czarne ciuchy, czarny makijaż i włosy w punkowym stylu. Żeby dosięgnąć do tryskającej lukiem wody, musiała wspiąć się na palce. Pani Kolczasta, gotycki gnom.

Przestań, Beckett, zganila się w myślach.

— Pani porucznik.

Tang grzbietem dłoni dotknęła ust.

— Tędy. Cohen już prawie skończył.

— Co znalazł?

— Coś, co wpada do pani ogródka.

Amy wprowadziła Jo na salę. Z boomboxa leciał jazz, sądząc z dźwięku saksofonu, Coltrane, chłodny i melancholijny. Dominował tu smutny błękit — w muzyce, w kolorze chirurgicznych serwet. Kontrastowała z nim czerwona broda Cohena. Sekcja była poważnie zaawansowana.

Jo zaczęła wolniej oddychać i ukryła emocje w cichym miejscu, gdzie reakcje na widoki i uczucia są stłumione. Za Cohenem asystent ważył wątrobę Callie. Tang stanęła w kącie, ramiona skrzyżowane, skrzywiona. Doktor Beckett podeszła do stołu sekcyjnego.

Palce u nóg Callie były niebieskie. Jej opalenizna nabrała

matowej szarości. Czerwone litery nabazgrane na lewym udzie wydawały się krzyczeć.

brudny

Słowo zapisano pod ostrym kątem, jakby napisał je ktoś leworęczny, nie patrząc. Szminka, bez wątpienia.

Jo spojrzała na twarz Callie.

Nic dziwnego, że Gregory Harding zachował się jak dupek. Widział to. Wrażenie musiało być podobne jak przy zetknięciu elektrycznego kabla pod napięciem z podstawą czaszki. Twarz Callie, jakby wyrzeźbiona przez Michała Anioła, była zmiażdżona.

— Możesz, jak sądzę, podać uraz czaszki jako przyczynę zgonu — powiedziała.

Cohen wskazał skalpelem.

— Poduszka powietrzna się napelniła, kiedy samochód uderzył w barierkę mostu, i prawie natychmiast zeszło z niej powietrze. Gdy uderzyły w busa, była bezużyteczna. A ona leciała już wtedy przez szybę.

— Nie miała pasa.

— Nie. Jej obrażenia były śmiertelne.

— Doktorze Cohen? — odezwała się Tang.

Spojrzał na nią.

— Dojdę do tego.

— Co powinienam zobaczyć? — chciała wiedzieć Jo.

— Odkryliśmy coś podczas oględzin zewnętrznych, kiedy zdjeliśmy z niej ubranie. — Wskazał na lewe ramię Harding.

Leżało na stole dłonią do góry.

Jezu.

Jo nic nie powiedziała, ale poczuła ucisk w skroniach.

Asystent Cohena się odwrócił.

— Mogę to włożyć z powrotem? — Trzymał w rękach serce i płuca Callie.

Jo usłyszała za sobą głośny odruch wymiotny. Spojrzała. Tang przycisnęła dłoń do ust.

— Nie tutaj, pani porucznik — powiedział lekarz.

Na czole Amy lśnił pot. Oczy uciekły jej w głąb głowy.

— Kurwa — zaklął Cohen. — Doktor Beckett...

Policjantka przewróciła się na blat jak kukła. Jo chwyciła ją pod ramiona, zaciągnęła w kierunku krzesła i opuściła na nie z kłapięciem, przechyloną na bok.

— Proszę włożyć głowę między kolana — powiedziała.

Oczy Tang były szkliste i na wpół otwarte. Jo pochyliła ją w przód i wepchnęła głowę między kolana, żeby krew napłynęła do mózgu.

— Wydawało się, że nic jej nie jest — powiedział Cohen.

— To się zdarza.

Beckett trzymała rękę na plecach policjantki. Po kilku sekundach ta zaczęła głębiej oddychać. Odepchnęła pomocną dłoń i powoli usiadła.

— Witamy z powrotem — odezwała się Jo. — Udana podróż?

— Nic mi nie jest.

— Jasne. Tylko powoli.

Jednak Tang już niepewnie wstawiała, trzymając się blatu. Cohen ruchem głowy wskazał drzwi.

— Doktor Beckett, zechce pani zabrać panią porucznik gdzieś, gdzie będzie mogła odetchnąć?

— Gorąco tutaj. Nic mi nie będzie — stwierdziła Tang.

Była blada jak kłajster. Jo chwyciła ją za łokieć, trzymając mocno, żeby tamta nie mogła jej odtrącić, i wyprowadziła za drzwi.

— Widziałaś? — Policjantka usiłowała mówić tonem twardego głosu, ale głos miała słaby.

— Widziałam. Drugi raz pojawiają się dzisiaj te słowa.

Amy spojrzała na nią zdziwiona.

– W ramach śledztwa?

– W ramach śledztwa w sprawie możliwego morderstwa lub samobójstwa. Co to twoim zdaniem znaczy?

Słowa na ramieniu Callie wypisane czarnym atramentem. Na łodzi Makiego benzyną. „Módl się”.

13.

Jo zabrała Tang do holu. Wydawało się, że dyniowe latarnie z nich szydzą. Twarz pani detektyw wyglądała jak mokre ciasto, ale powoli dochodziła do siebie.

Z zawstydzeniem wyrwała rękę z dłoni swej opiekunki.

— Ktoś pisze słowa „módl się” na ofiarach?

— Albo na miejscu przestępstwa — odrzekła Jo. Przez chwilę obserwowała Tang, chcąc się upewnić, że ta mocno stoi na nogach. — Dowiem się tylko, co Cohen może mi powiedzieć na temat wyników badania krwi. Zostań tu na chwilę, zaraz wracam.

— Czekałam tylko, żebyś się zjawiała. Nie czuję potrzeby, żeby tu sterczeć i mieć do czynienia z duchami, które w tym miejscu straszą.

— Ja też nie zamierzam wynajmować tu sali na halloweenową imprezę, ale mam informacje, które musisz poznać.

W sali sekcyjnej Cohen pochylał się nad stołem. Chociaż nie mógł już zadać bólu, jego ruchy wskazywały, że starał się być delikatny.

— Barry, możesz mi streścić, co znalazłeś do tej pory? — zapytała Jo.

— Toksykologia nie zrobiła jeszcze wszystkich badań, ale nie ma śladu, że tlenek węgla wpłynął na sposób, w jaki Harding prowadziła, a poziom alkoholu we krwi wynosił zero, przecinek, zero.

— Czy ktoś porównał odciski podszew jej butów z pedałami w bmw?

— Jeszcze nie.

To oznaczało, że nie wiedzieli, czy w chwili zderzenia trzymała nogę na hamulcu, czy na gazie.

— A jej ciuchy i rzeczy osobiste? Coś niezwykłego?

Cohen podniósł wzrok.

— Lubiła rzeczy wyjątkowej klasy. Miała nie tylko kolczyki na sztyft z białymi diamentami, ale także czarny diament. — Dotknął górnej części ucha Callie. — Tutaj. Kilka karatów, jak sądzę. Rzadki kamień.

Jo skinęła głową.

— Coś jeszcze?

— Dowiesz się jako czwarta.

— Przesuń mnie na trzecie miejsce. Jeżeli tego nie rozgryzę, coś mi mówi, że możesz mieć na stole kolejnego klienta. I to szybko.

Odwróciła się, żeby wyjść, ale przywołał ją z powrotem.

— Chyba wiem, jakim sposobem Angelikę Meyer uznano za zmarłą. — W jego głosie brzmiało napięcie. — Kiedy sprawdzałem jej puls, byłem prawdopodobnie uprzedzony. Paramedycy powiedzieli mi, że nie żyje, i nie spodziewałem się niczego innego.

— Rozmawiałeś z nimi?

— Tak. Nie badali jej. Kiedy zjawili się na miejscu, natychmiast przywołano ich, by pomogli ofiarom w busie. Pierwszy gliniarz na miejscu przestępstwa powiedział, że dwie osoby w bmw nie żyją. Młody facet, Latynos. Mówili, że mocno zdenerwowany.

Doktor Beckett przez chwilę się nad tym zastanowiła.

— Reakcja łańcuchowa?

— Jak zabawa w głuchy telefon. — Pokręcił głową. — Mimo wszystko powinienem być wykryć oznaki życia, a nie wykryłem.

— Dziewczyna żyje. To się liczy — stwierdziła Jo.

Uśmiechnął się słabo.

— Myślałem, że nie zajmujesz się terapią.

— W takim razie chyba nie wystawię ci rachunku. Dzięki, Barry.

Wróciła z powrotem do holu i razem z Tang wyszły na zewnątrz. Na powietrzu jednocześnie odetchnęły.

Policjantka wyjęła z kieszeni paczkę papierosów. Zapaliła, zaciągnęła się mocno i odchyliła głowę do tyłu, żeby wypuścić dym.

— Duchy. Nienawidzę ich. Spora banda z nich to moi przodkowie.

— Mnie tam bardziej przypominały dżinny. Może gule.

— Dżinny? Mącisz mi w głowie.

— Demony. Duchy. Niektóre z nich stały się diaboliczne.

— Myślenie bardzo w stylu Starego Kraju. — Tang ponownie się zaciągnęła i mrużąc oczy, przyjrzała się Jo. — A tak w ogóle, to kim jesteś?

— Babcia była Japonką. Dziadek koptyjskim Egipcjaninem. Kradli konie w Irlandii. Mama i tata spotkali się w Disneylandzie. — Uśmiechnęła się. — Jestem czystej maści kalifornijskim kundlem.

Pani porucznik zaśmiała się ironicznie, przytrzymując papierosa między kciukiem i palcem wskazującym.

— Z Callie Harding działo się coś dziwnego — stwierdziła Jo. Znalazła w kieszeni wypisane ręcznie przez panią prokurator zaproszenie z tekstem: „Witaj w Klubie Brudnych Sekretów”.

Tang wzięła kartkę.

- Co to jest?
- To nie wszystko.

Doktor Beckett wręczyła jej zapieczętowaną torebkę zawierającą wkładkę z albumu CD, którą znalazła w torebce Angeliki Meyer, z zakreśloną piosenką *Brudny mały sekret*.

- Co się dzieje? — zapytała policjantka.
- Nie wiem, ale Callie i Meyer pracowały w biurze prokuratora. Musimy porozmawiać z Leo Fonseccą.
- Porucznik rzuciła papierosa na chodnik.
- Ty prowadzisz, ja do niego dzwonię. Resztę opowiesz mi po drodze.



W drodze do budynku służb federalnych Tang siedziała na siedzeniu pasażera, mała i kolczasta.

— Mamy słowa: „brud”, wypisane na nodze Harding szminką, „Postąpiłeś bardzo źle” i „Witamy w Klubie Brudnych Sekretów”, też napisane jej charakterem pisma, oraz „Brudny mały sekret” i prośbę, by „zagrać” ze strony Meyer. Następnie walkę i skok z wiaduktu — wyliczyła. — Były kochankami. To jakaś ich dziwaczna gierka.

- Nie sądzę.
- Dwie kobiety, czarne koronki, czerwona szminka, wstrętność do samej siebie. Ostentacyjna śmierć. Mnie to pasuje.
- Wczoraj w nocy uważałaś, że to element dziwnego szachu zabijania.

— I wciąż tak uważam. Jak myślisz, klóciły się o faceta? Jeżeli ja go nie mogę mieć, ty też nie, bum? To byłby niezły kawałek psychodramy. Hardcorowy uliczny teatr.

Jo zmierzyła Tang ponurym spojrzeniem. Policjantka zrewanżowała się tym samym.

- Rozważam możliwości, więc mi nie przeszkadzaj. Prowadzę

dochodzenia dłużej, niż ty uprawiasz swoje grzebanie w trupich głowach.

Doktor Beckett powoli się odwróciła, przyjrzała się dziewczynie i wybuchnęła śmiechem.

— A to coś nowego. Nieźle — powiedziała.

Porucznik odchyliła się na oparcie, kobieta-jeżozwierz, ale jej ramiona wyraźnie się rozluźniły. Słoneczne światło odbijało się od pędzących samochodów. Po bokach migwały niewyraźnie nędzne budynki handlowe i popękane chodniki. Potem bezpłatna garkuchnia i pusta działka, której ogrodzenie z siatki broniło dostępu do obficie porastających ją chwastów.

— Dobra — odezwała się Tang. — Jesteś specjalistką od przypadków, w których zwariowana seksualna poza stanowi element śmierci. Powiedz mi, co myślisz.

— Uważam, że Klub Brudnych Sekretów to coś więcej niż gra, w której uczestniczyły Callie i Meyer. Sądzę, że są w to zaangażowani inni ludzie.

— Prawdziwy klub? Z sekretnym uściskiem dłoni, komite-tem przygotowującym napoje orzeźwiające i klubową gazetką?

— Myślę, że należeli do niego Maki i Yoshida. Przeglądarka internetowa Callie była zapchana wynikami wyszukiwania haseł z ich nazwiskami. — Jo stanęła na czerwonym świetle. — I myślę, że każda z tych śmierci jest elementem serii. I dlaczego nikt mi nie powiedział, że Maki i jego kochanek zostali zastrze-
leni?

— Nie wiedziałaś? — Tang spojrzała na nią podejrzliwie. — To skąd masz informacje o strzelaninie? Nie upubliczniliśmy jej.

— Rozmawiałam z ratownikiem, który był na miejscu.

— Powiedziałaś mu, żeby się z tym nie wrywał?

— Nie pójdzie gadać z prasą ani nawet z kumplami przy piwie.

Policjantka przesunęła dłonią po nastroszonych włosach i podniosła rękę.

— Ta strzelanina to moje przeoczenie. Jestem zawalona robotą.

— Rozumiem.

— Więc te zgony są powiązane, ale...

— Ale nie ma dowodu, że ktoś zamordował Callie, zgadza się? Żadnej bomby pod bmw, żadnych uszkodzonych linek hamulcowych?

Tang wyjęła komórkę i wystukała numer.

— Mamy wyniki bmw?

Wyszarpnęła nieduży notatnik i coś w nim nabazgrała. Kiedy się rozłączyła, światło zmieniło się na zielone.

— Ludzie z sądówki twierdzą, że bmw było w idealnym stanie. Na tyle nowe, że po otwarciu drzwi wciąż jeszcze czuło się firmowe perfumy. Hamulce, układ napędowy, silnik, wszystko w porządku. Pedał gazu się nie zaciął. Sam wóz nie był przyczyną wypadku.

— Okay, ale wciąż nie można wykluczyć wypadku. Trzeba sprawdzić drogę, kierowcę albo ingerencję z innego źródła.

— Myślisz, że Callie mogła stracić panowanie nad kierownicą?

— Możliwe. A co z ręcznym?

— Nieruszony. Nie pękła też żadna z opon. I nie było bomby. — Tang ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w okno.

— Jakie mamy dowody za koncepcją, że Harding się zabiła, a jakie przeciw niej?

— Chcesz wiedzieć, co wskazuje, że wypadek samochodowy to samobójstwo?

— Dawaj.

— Możesz odliczyć pięć znaków ostrzegawczych. Po pierwsze, dobra pogoda. Po drugie, dobre warunki na drodze, suchy

chodnik, dobre oświetlenie ulicy. Po trzecie, prosta droga, nie wchodzi więc w grę, że kierowca stracił kontrolę nad pojazdem na ostrym zakręcie.

— A Stockton Street jest prosta, jak strzelik.

— Po czwarte, brak śladów poślizgu, a mimo to pojazd opuszcza prostą drogę, zmierzając wprost na nieruchomy obiekt w rodzaju barierka wiaduktu.

— Zgadza się.

— Po piąte, kierowca nie jest jedyną osobą w samochodzie.

Porucznik skrzyżowała ramiona.

— Więc tu mamy zagwozdkę. Albo wracamy do koncepcji rozszerzonego samobójstwa.

— Czy cokolwiek wskazuje na to, że płonąca łódź była czymś innym niż rozszerzonym samobójstwem?

— Nie. Na razie dowody przesądzają sprawę. Maki zastrzelił Williama Willetsa, a potem siebie.

Jo przez chwilę milczała.

— Co zabiło doktora Yoshidę?

— Podejrzewamy przedawkowanie barbituranów. Wyglądało to na atak serca, bo znaleziono go leżącego na kierownicy samochodu zaparkowanego na plaży. Jeszcze dziś powinniśmy mieć wyniki.

— Jego syn zmarł krótko przedtem?

— Przedawkowanie, dwa dni wcześniej.

— Czterdzieści osiem godzin? — zauważyła Jo i spojrzała znacząco na Tang.

— Wiem.

Przez chwilę jechały w milczeniu. Przed nimi pojawił się okazały granitowy budynek Centrum Obywatelskiego. Porucznik była zamyślona.

— Powiedz mi, co sądzisz. Pobaw się w spekulacje.

— Myślę, że Klub Brudnych Sekretów istnieje i Callie należała

do wysokich rangą członków. Zaproszenie do wstąpienia do klubu, niemal ceremonialny styl, rodzaj papieru — wydają mi się znaczące.

— A aspekt seksualny?

— Callie nosiła oryginalną bieliznę i miała eksmęża, który nie może o niej zapomnieć. Czuje się zagubiony, ale też zły i pozbawiony męskości.

— Była domina?

— Wszystko na to wskazuje, że lubiła posiadać władzę. Jeżeli istnieje klub, sądzę, że pomagała go prowadzić.

— Więc o co tu chodzi? Poczucie winy, jak myślisz? Ekspiacja poprzez samobójstwo?

— Nie mam dość dowodów, by to stwierdzić.

— Czy mamy do czynienia z kultem śmierci?

— „Módl się” sugeruje aspekt religijny, ale Callie najwyraźniej nie była pobożna. Z drugiej strony to może być wiadomość od mordercy. Okażcie skruchę, koniec jest bliski.

— Więc jaka jest twoja konkluzja?

Beckett popatrzyła na Tang.

— Myślę, że to klub jest przyczyną śmierci Callie, Yoshidy i Makiego. To z jego powodu Meyer prawie zginęła. I lepiej dowiedzmy się, czy inni też do niego należeli, bo dzieje się tu coś złego, i to jeszcze nie koniec. Dlatego Meyer błagała mnie, żebym to powstrzymała.

— Więc kto jest następny? Jak możemy zapobiec ich śmierci?

Jo nie wiedziała. Spojrzała na zegarek. Zostało im już tylko trzydzieści sześć godzin.



Scott Southern słuchał, jak dzwoni jego komórka. Na zewnątrz szalał wiatr, ale w zaparkowanym range-roverze z zamkniętymi oknami było gorąco i duszno. Jako sygnał ustawił

melodię uniwersyteckiego hymnu i teraz szyderczo brzmiała mu w uszach.

Mogły dzwonić tylko trzy osoby: agresywny trener Forty Ninersów, zmartwiony, że Scotta nie ma na treningu; Kelly, której zrobił przykrość, trzaskając frontowymi drzwiami, kiedy wypadł z domu; albo facet w cadillacu.

Parking przy Pałacu Sztuk Pięknych ocieniały wysokie drzewa eukaliptusa. Dookoła kręcili się turyści przechadzający się pod kopułą rzymskiej rotundy. W zatoce woda lśniła błękitem.

Komórka przestała dzwonić.

Scott miał kłopoty i szedł na dno. Podniecenie, którego doświadczał w klubie, rzut adrenaliny, wielka ulga, której doznał, kiedy mógł uczynić wyznanie, i to otwarcie — wszystko to znikło. Śmierć Davida Yoshidy nie wyglądała na przykry zbieg okoliczności. A Callie...

Przesunął dłonią po twarzy. Cała ta przygoda przybrała zły obrót.

Telefon ponownie zadzwonił. A zatem jedna z dwóch osób: trener, teraz już wkurzony, albo facet z cadillaca. Scott zamknął oczy.

Skąd ten facet zdobył jego nazwisko? Kto mu powiedział? Klub obiecywał bezkompromisowe bezpieczeństwo, ale ktoś zaczął mówić. A teraz ta cała parszywa historia była bliska ujawnienia.

Zignorował, sygnał komórki, chciał mieć jeszcze chwilę spokoju. Kiedy otworzy drzwi, cały chaos tego świata zwali mu się wprost na głowę.

Miał dwadzieścia dziewięć lat. Zarabiał cztery miliony dolarów rocznie za to, że łapał piłkę dla Ninersów. Kolejnych sześć w ramach kontraktów z Adidasem, Outback Steakhouse i Mattelem.

Tydzień temu był na szczycie — NFL, gra, dach wieżowca z Callie. Dziś miał się z nią spotkać, żeby się dowiedzieć, czy tamten wyczyn zapewnił mu dostęp do najwyższego poziomu w klubie, gdzie spodziewał się znaczących profitów. Zabrakło mu tchu, jakby został uderzony pięścią. Callie, Boże. Myśl o uzyskaniu czarnego diamentu już go nie podniecała.

A teraz to.

Scott miał wrażenie, że tonie w smole. W domu czekała na niego piękna żona, przestraszona i smutna. Człowiek z cadillaca przesłał jej anonimowy list. „Twój mąż ma brudny sekret”. Tak naprawdę była to groźba: zrób to, czego chce ten człowiek, albo reszta wyjdzie na jaw. Skąd facet się dowiedział?

Drzewa zaszeleściły. Za rotundą powierzchnia laguny zmarszczyła się poruszona wiatrem. Podjechał biały cadillac, przez głośniki dudniła muzyka disco, zaparkował obok. Oślizgły typek, który kazał się nazywać Skunksem, siedział za kierownicą. Wysiadł, podszedł i stanął przed range-roverem. Wyglądał rzeczywiście jak skunks z tymi tłustymi siwymi włosami w strąkach i tępyimi, podejrzliwymi oczami.

Smola zrobiła się gęsta i kleista. Scott wysiadł. Był ostry wiatr, ciągnący Golden Gate jak tunelem i przelatujący w poprzek zatoki.

Nieduże usta Skunksa zakrzepły w zimnym uśmiechu.

— W weekend przegrałem dwieście dolców, bo postawiłem na twoją drużynę.

Southern osłupiał.

— Chodzi o pieniądze?

— Chciałbym. Przejdźmy się — powiedział tamten.

— Nie. Powiedz mi, czego chcesz.

Skunks się rozejrzył.

— Chcesz, żeby ci ludzie to usłyszeli? — zapytał i wszedł przez bramę na teren parku.

Scott oklapł jeszcze bardziej. Ruszył za nim.

Facet z cadillaca miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, ważył może sześćdziesiąt pięć kilogramów. Zawodnik Niner-sów liczył sobie metr osiemdziesiąt i dziewięćdziesiąt siedem kilogramów. Był szybki i umięśniony. Potrafił przechwycić piłkę w powietrzu tuż przed grupą obrońców i, trzymając ją w objęciach niczym dziecko, z uśmiechem zrobić przyłożenie. Mógłby obezwładnić tego gryzonia, zwalić z nóg i złamać mu kilka żeber. Ale to by niczego nie zmieniło. Skunks nie był jedyną osobą w to zaangażowaną. Jeżeli go wyeliminuje i tak jest ktoś za nim.

I nie miało znaczenia, że Scott świetnie potrafi utrzymać się przy piłce, że jest silny i zręczny, zdecydowany wygrać. Tu chodziło o jego porażki. Nagle poczuł się strasznie mały.

— Powiedziałem już, nie mogę dać ci tego, czego chcesz — stwierdził. — Nie mam tych informacji. I nie wiem, kto je ma.

— A ja ci powiedziałem: dowiedz się.

Przed nimi lśniła w słońcu rotunda widoczna zza drzew. Na szycie kolumn umieszczono bogów i anioły. Ktoś kiedyś nazwał to miejsce halucynacją sztuki. Przypominało Forum Romanum przeniesione w dzisiejsze czasy i umieszczone w zadrzewionym parku.

Skunks nachylił się do Scotta.

— Powiedziałem: dowiedz się. Jak wspomniałem przez telefon, pani prokurator nie żyje. Ty też chcesz być martwy?

Southern nie odpowiedział.

— Jak to działało? Ona zgłosiła się do ciebie? Albo może odbyło się to inaczej? Wylałeś przed nią brudy, zdradziłeś wszystkie te sekrety, o których nigdy nikomu nie chciałeś powiedzieć?

Mimo wiatru Scott czuł, że się dusi. Hałas pędzących samochodów wzmacniał wrażenie postępującej destrukcji. Coś, co czuł, odkąd zaczął się ten koszmar.

— Układ jest taki — powiedział Skunks. — Dzisiaj dostarczasz nam nazwiska, których potrzebujemy, albo twój sekret nie będzie już sekretem.

— Nie mogę. Musi być jakaś alternatywa. Pieniądze? Mogę zapłacić, ile tylko chcesz.

— Gdybym chciał pieniędzy, powiedziałbym ci, żebyś ze dwa razy zgubił piłkę w meczu z Rams w przyszłym tygodniu.

Scott zwalczył uczucie ucisku w piersi.

— Mogę to zrobić.

Jego prześladowca wsunął drobne dłonie w kieszenie kurtki Members Only.

— Założę się. Zawaliłbyś Superpuchar, żeby utrzymać to gównu w tajemnicy.

To prawda. Czuł, że coraz głębiej zapada się w smołę, rósł ciężar na jego piersi. Niebo nie było już niebieskie, ale szare. Jezu.

Ten skurwiol powie. Powie całemu światu i sprawi mu to przyjemność. Z uśmiechem będzie się przyglądał, jak media rozdierają Scotta Southerna na strzępy.

— Ona się zgodziła — powiedział. — To nie było przestępstwo.

Skunks powoli odwrócił głowę. Przez chwilę Scott myślał, że twarz mężczyzny wyraża niedowierzanie.

— Naprawdę. Nikt nie złamał prawa — powtórzył.

— Niewiarygodne — odrzekł tamten i roześmiał się.

Wiedział, że Southern mówi prawdę, ale nie mógł uwierzyć, że ten wielki facet wciąż się ludzi, iż zdoła go przekonać, by siedział cicho. Nie mógł wyjść ze zdziwienia, że biedny Niners wciąż sądzi, iż wyrzuty sumienia i ból mogą przynieść mu cokolwiek oprócz destrukcji.

— Ile lat miała ta dziewczyna? — zapytał.

— Nie była nieletnia. Miała dziewiętnaście lat i nie protestowała. — W każdym razie nie werbalnie.

Scott był wtedy na ostatnim roku studiów. Jak mogli go obwiniać? Był tylko dzieciakiem w college'u.

Wiedział jednak, że mogą, bo obwinił sam siebie. Przez osiem lat usiłował to wyprzeć z pamięci albo wyznać komuś w sekrecie, próbował pozbyć się poczucia winy. W zeszłym tygodniu zniósł chłostę szpicrutą, żeby zmazać winę. A teraz Skunks biczował go na swój własny sposób. I to ze śmiechem.

Impreza była tłoczna. W akademiku zawsze był tłum na imprezach. Oczami wyobraźni zobaczył twarz, niewiarygodnie wyrazistą, taką jak każdej nocy we śnie. Melody, dziewczyna o truskawkowoblond włosach, zachęcającym uśmiechu, rozchichotana po alkoholu. Jej rodzice przyjaźnili się z jego rodzicami. Była na drugim roku.

— Tamtego dnia szybko myślałeś, to muszę przyznać — stwierdził Skunks. — Nie rozumiem tylko, jak to się stało, że komuś o tym powiedziałaś?

W ciemnym kącie pokoju Melody nawijała włosy na palce, słuchając go uważnie. Leciwała muzyka Foos. Ssała kostkę lodu. Usta miała czerwone jak wiśnie.

Pocałował ją. Wyssał lód z jej ust i powiedział:

— Weźmy wiaderko lodu i chodźmy na górę.

Tak, był pijany i wypalił jointa, żeby trochę się wyluzować po kokainie i tequili. Tylko po to, żeby na chwilę uspokoić umysł. To był potwornie nerwowy okres. NFL, narodowa liga futbolowa, za kilka dni miała rozpocząć nabór. Jego agent twierdził, że Scott wejdzie w pierwszej rundzie. To samo mówił trener, rodzice i kumple z drużyny. Roztaczała się przed nim świetlista przyszłość, słoneczna jak seksowny uśmiezek Melody.

Southern poczuł, że brakuje mu powietrza, jakby ktoś zwałił go z nóg.

Teraz nie palił trawy, nie zażywał kokainy, nawet nie pił. Był

czysty i trzeźwy. Bał się, że gdyby się napił albo pociągnął trawy, przestałby uważać i wszystko by wygadał. O mało się nie wysypał, robiąc tatuaż „zły” — ale to mogło uchodzić za element stylu macho. Z drugiej strony, gdyby się napił, może przestałby widzieć Melody w łóżku, spoglądającą na niego, kiedy włożył dżinsy, żeby otworzyć drzwi w odpowiedzi na pukanie. Powiedział wówczas do niej: „Inni chłopcy też lubią lód”.

Teraz zasłonił dłonią oczy.

— O Boże.

Skunks uśmiechnął się złośliwie.

— Nie musiałeś nikomu mówić. Tego właśnie nie chwytam. Byłeś wolny jak ptak. Ale powiedziałeś Callie Harding, zgadza się?

Tamtej nocy Melody spojrzała na niego zdumiona, kiedy wpuścił resztę chłopaków.

— W porządku, prawda? — powiedział i uśmiechnął się.

Ona też się uśmiechnęła, choć może niezbyt promiennie.

— Scott... — Spojrzała na jego kumpli. — Jeżeli ja... wrócisz?

— Oczywiście, że wrócę.

Nie zamierzali jej skrzywdzić. To była impreza. Wyszedł i usiadł pod drzewem, zapalił następnego jointa i odlatywał w nocnej ciszy.

To nie był zbiorowy gwałt. Ona po prostu... pozwoliła im to robić kolejno. Była trochę jak lalka. Wszyscy mogli się pobawić.

Wciąż jeszcze siedział pod drzewem, kiedy znalazł go Brad.

— Odbiło jej — powiedział.

Scott znalazł dziewczynę w łazience, schowaną za toaletą, trzęsącą się i mamroczącą coś do siebie. Brad chciał zadzwonić pod 911.

— Nie — zaprotestował Southern. — Zadzwońię do mojego agenta.

Wtedy wydawało się to sprytnym posunięciem, a agent zapewnił go, że postąpił właściwie. Umieścił ją w prywatnej klinice. Zapłacił wszystkie rachunki, zapłacił też, żeby milczała.

I wszystko wydawało się w porządku. Ale nawet wtedy Scott wiedział, że to była jego wina, i że jeśli go obwinia, to jego najlepszy czas, kariera w futbolu będą skończone.

Teraz płuca nie chciały się rozszerzyć. Nie mógł oddychać.

Melody rzuciła szkołę. W następnym roku rodzice umieścili ją w prywatnej klinice psychiatrycznej. Rodzice Scotta opowiadali mu o cierpieniu tamtych ludzi. Agent powtarzał, żeby przestał czuć się winny. Stwierdził, że dziewczyna zawsze była nieźrównoważona, że to nie jego wina. Ale psychiatrzy uznali, że Melody cierpi na zespół stresu pourazowego. Jej umysł zwyyczajnie rozleciał się na kawałki. A potem...

Skunks położył mu rękę na ramieniu.

— Jak działa klub? Z kim się kontaktujesz?

Scott pokręcił głową. Gdyby powiedział temu oślizgłemu człowieczkowi, zaczęłby dręczyć kogoś innego, następną osobę w kolejce.

Ale nawet gdyby podał mu nazwisko, nawet gdyby wręczył mu całą książkę telefoniczną, Skunks nie zostawiłby go w spokoju. Wracalby po kolejne trofea, bo tak działa szantaż.

Nie po raz pierwszy Southern pożałował, że kiedykolwiek poznał Davida Yoshidę. Kardiochirurg, fan Ninersów, przyjaciel właściciela zespołu przyszedł poznać graczy na imprezie po meczu.

A teraz Yoshida nie żył. Callie nie żyła. Bo ktoś zaczął mówić.

Klub miał być tajny, całkowicie poufny. Scott wiedział jednak w głębi serca, że nigdy taki nie był. I dlatego się przyłączył.

Z powodu ryzyka. Czyż nie tego chcieli wszyscy jego członkowie, ryzyka?

Zapatrzył się na wzgórza, na których wyrosło miasto. Co on sobie myślał, do cholery, mówiąc wszystko prawnikowi? Prokuratorowi, na miłość boską. Chłodnej, lubiącej osądzać Callie. Tej, która karała. Był zachwycony, kiedy się jej spowiadał. W co grał?

Roześmiał się.

— Co cię tak bawi? — zapytał Skunks.

Gry. Całe życie grał. A teraz miał ostatecznie przegrać. Mgła przysłoniła mu oczy.

— Hej! — Mały człowieczek chwycił go za ramię.

Nie odsunął się. Śmiał się w głębi serca.

Zaryzykował i stracił piłkę. Melody, o Melody...

Skunks pokręcił głową.

— Jesteś popierdolony, człowieku. Dzisiaj dostarczasz nazwiska albo wszystko wychodzi na jaw. Wszystko. Lepiej się módl.

— Nie słyszałeś, co powiedziałem? Nie mogę ci pomóc.

— Masz w domu basen? — spytał Skunks. Scott spojrział na niego.

— Nie.

— Oczywiście baseny to nie jedyne miejsca, gdzie zdarzają się wypadki. Koszmarna sprawa, rodzice usiłują zapewnić dzieciom bezpieczeństwo, zapobiec wszystkiemu, co mogłoby im zagrozić.

— Grozisz... — Scott poczuł pot na czole.

— Ten biedny doktor Yoshida, na przykład. Jego syn zmarł po przedawkowaniu narkotyków. Tragiczne.

— Ty sukinsynu.

— Widziałem w „Chronicle” zdjęcie z zeszłego sezonu, podczas finałów. Trzymasz tam swojego dzieciaka. A potrafi pływać?

Southern miał wrażenie, że coś rozdziera mu pierś. Poczł bezwład nóg, rąk, ramion.

Naszła go szalona myśl: chwyc Skunksa. Zaciągnij go do wody, trzymając za tył obwisłych dżinsów, wepchnij mu głowę pod wodę i utop.

Laguna była tuż obok. Kto by zobaczył?

Zimny uśmieszek zniknął z twarzy mężczyzny.

— Nawet o tym nie myśl. Ja tylko wymieniam możliwości, ale jeżeli coś mi się stanie, te możliwości staną się o wiele mniej teoretyczne. Wiesz?

Scott ledwie widział z bolesnej wściekłości.

— Dotknij mojej rodziny, a umrzesz.

— Pani prokurator nie była ostatnia, możesz się założyć. Ktoś umrze. — Oślizgły człowiek miał małe oczka, zapadnięte i szkliste. — Ale nie ja. A ty się zastanów, czy chcesz, żeby to był ktoś, kogo kochasz.

Powiał wiatr i Scotta zaszczypały oczy. Milczał.

Skunks się odwrócił, żeby odejść.

— Nazwiska. Do czwartej — powiedział jeszcze.

14.

Jo i Amy Tang przeszły przez plac, zmierzając do drzwi biura prokuratora. Znajdowało się w zbudowanym bez polotu białym betonowym budynku, ostatnio otoczonym stalowymi słupkami, które miały chronić przed samochodami-pułapkami. Porucznik schowała komórkę.

— Leo Fonseca daje nam piętnaście minut — powiedziała.
— Przygotuj się, żeby mówić szybko.

Doktor Beckett weszła do środka za policjantką.

— Wygląda na to, że miasto trzyma się kupy po ostatnim trzęsieniu.

— Podobno są tylko niewielkie zniszczenia. Trochę tynku pospadało ze starszych budynków, powłączały się alarmy samochodowe. Nie zgłoszono żadnych obrażeń.

Rozejrzały się po przestronnym holu. Budynek wydawał się nienaruszony. Tang wcisnęła guzik windy.

— Możemy się przejść. — Jo kciukiem wskazała schody.

Amy osłupiała.

— To jedenaste piętro. Nic mnie nie obchodzi, że to dobre dla serca, nie włącz na szczyt wieżowca.

Serce Jo zabiło ze wzmoczoną siłą, kiedy spojrzała na windę.

— Masz zaufanie do tego pudła po wstrząsach?
— W San Francisco po trzęsieniu ziemi winda nigdy się nie urwała. Masz paranoję.

W San Francisco nigdy nie zawalił się most, przynajmniej do czasu, kiedy się to jednak stało. I nigdy nie zawaliła się autostrada, do czasu, kiedy runęła po trzęsieniu ziemi.

Drzwi otworzyły się z brzękiem. Tang weszła i je przytrzymała.

— Fonseca musi być za pół godziny w sądzie. Czas leci. Wsiadaj.

Jo przelknęła ślinę i weszła do środka. Oparła się o tylną ścianę, obserwując zasuwające się skrzydła drzwi. Przypominały jej dwa stykające się ostrza. Miała absurdalne wrażenie, że jeśli winda zaczęłaby się kurczyć jak zgniatarka do śmieci, ona mogłaby, zapierając się stopami o drzwi, nie pozwolić się zmiażdżyć.

Tang wyglądała na niewzruszoną.

— Powiedz mi, jak zdobyłaś doświadczenie w kwestii fantazji seksualnych.

Winda ruszyła w górę. Jo szumiało w uszach.

— Masz na myśli moje doświadczenie w analizowaniu dwuznacznych śmierci z elementami gry seksualnej, która okazała się fatalna w skutkach?

— Wszystko jedno. To było...

— Jeffrey Nagel. Znaleziono go powieszonoego we własnej łazience, częściowo nagiego.

— Wypadek?

Winda podskoczyła i zatrzymała się na piątym piętrze. Jo zacisnęła zęby.

Amy przyglądała się jej badawczo.

— Naprawdę tego nienawidzisz.

— Wolałabym się dziabnąć w oko widelcem. — Beckett

zmusiła się do uśmiechu. — Na szczęście zwykle nie noszę sztuczków w torebce.

Gładko nabierając szybkości, winda ponownie się wzniosła. Dziewczyna nie mogła rozluźnić zaciśniętych szczęk.

Tang się uśmiechnęła.

— Psychiatra z klaustrofobią? To się wydaje...

— Ironią losu. Wiem — dokończyła Jo, obserwując zmieniające się numery pięter. — Złe doświadczenie po trzęsieniu ziemi.

Policjantka spojrzała na nią zamyślona.

— Loma Prieta?

Doktor Beckett twierdząco skinęła głową. Pociły się jej dłonie. Za minutę będzie musiała się witać. Otarła ręce o spodnie.

Powietrze, jak zawsze, kiedy znalazła się w ciasnej przestrzeni, robiło wrażenie naładowanego. Czuła mrowienie skóry, chciała zaczerpnąć tchu. Zwalczyła tę pokusę. Pokusę, żeby wciągnąć jak najwięcej powietrza, oddychać, dopóki jeszcze miała tę możliwość, zanim ściany, beton i autostrady się zawalą, metal zacznie zgrzytać i wciskać się w jej twarz i klatkę piersiową...

Wypuściła powietrze z płuc. Jeżeli zacznie oddychać szybciej, spowoduje hiperwentylację. Obserwowała numery. No dalej, szybciej. Twarz miała czerwoną i rozpaloną. Wiedziała, jak musi wyglądać w oczach Tang: głupio. Ekspert do spraw zdrowia psychicznego zredukowany do samego lęku, niezdolny znieść zwykłej jazdy windą z powodu irracjonalnego strachu.

Znała nawet właściwy termin. Nerwica lękowa. Czynniki wywołujące panikę. Mniejsza z tym, pospiesz się, głupie pudło. Porucznik wciąż się jej przyglądała.

Numery były coraz wyższe: dziewięć, dziesięć.

— Ile policja powiedziała prokuratorowi na temat śmierci Harding i wypadku z wczorajszej nocy?

— Wiedzą to, co było w wiadomościach. Nic więcej, nic o „brudzie” i z pewnością nic o „Módl się”. I niech tak zostanie.

— Chcę go zapytać, czy słyszał o Klubie Brudnych Sekretów.

— W porządku.

Winda się zatrzymała, drzwi się rozsunęły i Jo szybkim krokiem wyszła na jasny korytarz. Dzięki ci, Boże. Oparła się chęci padnięcia na kolana i ucałowania podłogi.

Tang ją dogoniła.

— Ile miałaś lat w czasie tamtego trzęsienia?

— Byłam dzieciakiem. Mniej więcej.

— Byłaś w mieście?

Pokręciła głową. Większość z tych, którzy zginęli w trzęsieniu ziemi Loma Prieta, byli wtedy w dzielnicy Marin, ale jej tam nie było.

— Chyba nie na Bay Bridge?

— W rejonie Wschodniej Zatoki.

Policjantka spojrzała na nią uważnie.

Podeszły do biurka i pokazały recepcjonistce identyfikatory. Na ścianie za nią widniała ogromna pieczęć departamentu sprawiedliwości. Dziewczyna podniosła słuchawkę.

Jo sięgnęła do torby po notatnik i pióro. Nie mogła ich znaleźć. Musiała je zostawić na stole w taquerii po trzęsieniu ziemi.

Wstrząs Loma Prieta z epicentrum pod Santa Cruz, sto trzydzieści kilometrów na południowy zachód, zakpił sobie z terenów wokół zatoki. Kiedy ziemia drgnęła, niesamowita energia sejsmiczna uderzyła w niższą warstwę skalną. Santa Cruz się zatrzęsło, ale większość energii odbiła się jak piłka do koszykówki i znalazła ujście w San Francisco. Zdarzyło się to pięknego październikowego wieczoru, pod koniec godzin szczytu, kiedy park Candlestick był pełen ludzi oglądających

mistrzostwa w baseballu. Tego dnia przypadają urodziny ciotki Jo. Z tatą, Tiną i bratem Rafem jechali na przyjęcie do Oakland.

— Nie mów, że byłaś na wiadukcie Cypres. — Tang nie odpuszczała.

Jo poczuła przelotnie zapach benzyny i płonących opon. Zdobyła się na gorzki uśmiech.

— Wygląda na to, że jestem jak kot, który ma osiemnaście żyć.

Amy uniosła brew.

— A komu gwizdnęłaś dodatkowe dziewięć?

Leo Fonseca wszedł do holu, kręcąc głową.

— Mam nadzieję, że przyszyście mi powiedzieć, kto zabił moją prokurator. Bo jeśli nie, obie zasługujecie na to, żeby wylecieć z roboty.



Z biura Fonsecki rozciągał się widok na wieżowce otaczające ratusz i sąd federalny. Prokurator stanął przed swoim biurkiem z rękoma złożonymi jak przedsiębiorca pogrzebowy. Na smutnej twarzy pod rzednącymi siwymi włosami miał wypieki.

Kobiety usiadły na sofie jak dzieciaki wezwane przed oblicze dyrektora.

— Callie nie była w samobójczym nastroju — oznajmił Fonseca.

— W jakim była nastroju w ciągu ostatnich kilku tygodni? — zapytała Jo.

— Ciężko pracowała, jak zwykle. — Miał miękkie spojrzenie, ale ruchy robiły wrażenie szybkich i przesadnych. Okulary bez oprawek lśniły odbitym światłem.

Był głównym prokuratorem federalnym dla Północnego Dystryktu Kalifornia. Pod jego jurysdykcją znajdowało się ponad osiem milionów ludzi. Doktor Beckett wiedziała, że zrobił

kariere jako oskarżyciel; był raczej wojownikiem z sali sądowej niż osobą z politycznego mianowania. Choć wyglądał jak bolesciwy chomik, miał ważną pozycję, był szanowany i poważny.

— Callie nie mogła się zabić. Kropka. Znałem ją od dziesięciu lat. Nie pozwalała, żeby przegrane w sądzie ją przygnębiały. Nienawidziła przegrywać, ale wiedziała, że nie możemy wsadzić każdego złooczyńcy, który na to zasługuje. Nie miała obsesji.

— Czy może mi pan powiedzieć, nad czym pracowała? — zapytała Jo.

Gwałtownie odwrócił głowę. Popatrzył na nią.

— Nie.

— Choć ogólnie?

— Absolutnie nie. Nie ujawnię szczegółów jej bieżących spraw. I nie chcę, żeby pani próbowała wydobyć informacje od kogokolwiek w tym biurze.

— Nie jestem pana przeciwniczką — przypomniała.

Ramiona mu opadły. Zdjął okulary i chwycił palcami grzbiet nosa.

— Przepraszam. Była świetna. Czuję się wyróżniony, że mogłem nazwać ją swoją przyjaciółką.

— Przykro mi.

Włożył okulary i zdobył się na zmęczony uśmiech. Jo dała mu parę sekund, żeby doszedł do siebie.

— Czy słyszał pan o czymś pod nazwą Klub Brudnych Sekretów?

Wyglądał na zdziwionego.

— Co to takiego?

— Próbuję się dowiedzieć.

Pokręcił głową.

— W jaki sposób łączy się to z Callie?

— Miałam nadzieję, że pan mi powie.
— Nie. Brzmi bardzo dziwnie. Skąd się wziął taki pomysł?
— Ta nazwa pojawiła się w trakcie dochodzenia — wtrąciła Tang.

— Brzmi jak... nocny klub. Zupełnie nie w stylu Callie. — Fonseca wzruszył ramionami. Wydawał się zdezorientowany i miał lekkie wypieki.

— Czy prowadziła dochodzenie w sprawie śmierci Maki Prichingo i Davida Yoshidy? — zapytała Jo.

— Nie.

Wystrzelił tę odpowiedź jak pocisk. Nie chodzi o to, że mu nie uwierzyła, ale odebrała jego ton jako ostrzeżenie i postanowiła nie naciskać.

— Czy może nam pan wyjaśnić, co Callie mogła robić z Angeliką Meyer ostatniej nocy?

— Pracowały razem nad kilkoma sprawami. Angelika robiła podstawowe badania, tego typu rzeczy. To bystra młoda kobieta, mieliśmy szczęście, że w tym semestrze trafiła do nas.

— Czy ona i Callie się zaprzyjaźniły?

— Nie umiałbym powiedzieć. — Ze znużeniem przesunął dłonią po swoich lichych włosach.

— Czy uważa pan, że Harding była dla niej mentorką?

— Tak. Angelika żywo interesuje się prawem kryminalnym. Po skończeniu stażu chce zostać prokuratorem. — Namyślał się przez chwilę. — Co jeszcze mógłbym paniom powiedzieć? Odbywała staż kryminologiczny w San Quentin, nie jest zatem wątlm kwiatuszkiem. Nadawałaby się na uliczną wojowniczkę.

Doktor Beckett skinęła głową, ale z własnego doświadczenia wiedziała, że praca w kalifornijskim systemie penitencjarnym nie dowodzi twardości. Pozbawia za to człowieka złudzeń i wystawia nerwy na próbę.

Fonsecca wyglądał na wymizerowanego.

— Wie pani coś na temat jej stanu?
— Bez zmian — odpowiedziała Tang.
— Jest twarda. Wyjdzie z tego — rzekł i mocno zacisnął usta. Nie zaprzeczyły. Po chwili Tang zapytała:
— Czy wie pan coś na temat pogroźek wobec Callie? Może ze strony kogoś, kogo wsadziła?
— Sprawdzamy to. Ale na razie nie.
Jo odczekała chwilę.
— Czy wie pan, dlaczego Geli była ostatniej nocy w samochodzie Callie?
— Może Harding podwoziła ją do domu.
— Czy były ze sobą prywatnie związane?
Błądził spojrzeniem po pokoju, w końcu skierował je na pytającą.
— Czy sugeruje pani, że w grę wchodzi lesbijski pociąg między nimi?
— Pytam.
W San Francisco takie pytanie trudno było uznać za kontrowersyjne czy obraźliwe, a jednak Fonseca znów zrobił się czerwony na twarzy.
— Absolutnie nie. — Poprawił okulary. — Callie była rozwiedziona i spotykała się z mężczyznami. Angelika... — Zamachał rękoma. Nie wiedział. — To bezpodstawna spekulacja.
Zapukała sekretarka i otworzyła drzwi.
— Czas wyruszyć do sądu — przypomniała.
— Już idę — odrzekł. Troska ściągnęła jej twarz.
— Czy dobrze się pan czuje?
— Tak, w porządku.
Otworzyła usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale uniósł dłoń, by ją powstrzymać. Niechętnie wyszła.

— Matkuje mi — powiedział. — Strasznie się nade mną trzęsie. Uważa, że powinienem zadbać o ciśnienie.

Sądząc po rumieńcu, który się pojawiał, ilekroć Fonseca musiał odpowiedzieć na stresujące pytanie, Jo uznała, że sekretarka może mieć rację.

— Jedno, ostanie pytanie. Dlaczego Callie mogła uciekać przed policją?

Tym razem jego twarz nie poczerwieniała. Wyglądał na spokojnego.

— Może być po temu tylko jeden powód. Nie mogła się zatrzymać, bo gdyby to zrobiła, stałoby się coś katastrofalnego.

Przesunął wzrokiem z Jo na Tang i z powrotem.

— Usiłowała nie dopuścić do czegoś strasznego. Dowiedźcie się, co to było, a będziecie wiedziały, dlaczego zginęła.



Perry odczekał, aż zostanie sam. Ludzie przechodzili korytarzem, a on obdarzał ich uśmiechem. Nie odwzajemniali się tym samym. Pieprzyć ich.

Umiał przedstawić światu czarującą fasadę. To właśnie stwierdzili psychiatrzy. Przeczytał swoją kartę, którą ukradł któregoś dnia z ich biurka. Dręczyli go wtedy, żeby się zaadaptował i był szczęśliwy, mimo że mówi jak robot z elektroniczną krtanią, dziwaczna maszyna.

Włączył komórkę, wyciszył dzwonek. Żadnych połączeń. Cholera jasna. Nienawidził czekać. Chciał, żeby Skunks podał mu najnowsze informacje. Czekał tak cholernie długo, a śmierć Callie straciła już urok nowości. Chciał z tym skończyć.

Marzył, żeby zrobić to własnymi rękami. Przygryzł wnętrze policzka. Przyzwyczajał się, że jego pragnienia nie były ostatecznie bezwzględnie spełniane. I dlatego właśnie miał ochotę udusić następną osobę, która powie mu „nie”.

Chciał nazwisk. Chciał zobaczyć je wykreślone czarnym atramentem, jedno po drugim. Wreszcie wyświetlacz telefonu się rozjaśnił. Jedna nowa wiadomość.

Chirurgdzy, ludzie prowadzący terapię zajęciową i posługujący się psychobelkotem, usiłowali go nakłonić, żeby zaakceptował swój nowy status cyrkowego dziwadła. Uśmiechał się i pozwolił im wierzyć, że to zrozumiał. „Płytką uczuciowości” to był kolejny termin z karty medycznej, którego użyli, by go opisać. Oznaczało to, że tylko udawał przyjazne uczucia, że symulował emocje. Bez żartów. Czemu miał żywić przyjazne uczucia? Wydawać się przyjaznym to co innego. Cóż więcej miało znaczenie?

Z drugiej strony „nieumiejętność postrzegania i rozpoznawania emocji” – to była przydatna uwaga. Wyjaśniła mu parę rzeczy. Najwyraźniej nie potrafił rozpoznawać emocji na ludzkich twarzach – miłości, niesmaku, wstydu. Wszystkie przechodziły niezauważone. To wyjaśniało, dlaczego był takim beznadziejnym graczem w pokera. Nie potrafił czytać z ludzkich twarzy i odgadnąć, co ukrywają.

Znowu wzbierała w nim wściekłość, czarna gardziel z ostrymi zębami szczerząca się tuż przed nim.

Czasami nie potrafił zrozumieć ludzi. Dlatego niczego nie przewidywał.

Uspokoił się. To było bez znaczenia. Wiedział, że był beznadziejny w grze w pokera, dlatego zajął się jej organizacją. Kiedy uprawiasz hazard i przegrywasz, uczysz się jednego: kasyno zawsze wygrywa. Więc sam został kasynem. Prowadził rozgrywki wyższej klasy: wielkie stawki, poważni gracze, którzy mogli sobie pozwolić na przegrywanie dziesiątek tysięcy dolarów tygodniowo. Kręciła ich atmosfera związana z obracaniem wysokimi stawkami. A kiedy korzystali z zapewnianej przez niego linii kredytowej i przegrywali, nie miało znaczenia, czy

mieli gotówką, żeby go spłacić. Rozbijał głowy, a kiedy to nie pomagało, przejmował ich interesy, zmuszał, żeby kupowali mu wszystko, czego chciał, na firmowe rachunki. Nawet jeśli miało to doprowadzić ich do bankructwa. Odbierał dług.

Lekarz David Yoshida lubił grywać w pokera. I Perry nigdy nie musiał dać mu po głowie, bo facet tarzał się w pieniądzach. Może gdyby gość oberwał, sytuacja wyglądałaby dziś inaczej, ale Yoshida płacił. I Yoshida wracał. Lubił się z nim spotykać.

Teraz Yoshida gnił w grobie.

I nie miało już znaczenia, czy Perry potrafił rozpoznać smutek albo poczucie winy na twarzy jakiegoś cherlaka. Umiał rozpoznać złość i strach. Tylko to się liczyło.

Przeczytał wiadomość od Skunksa. „Będę je miał przed czwartą”. Wyłączył telefon. Strach i złość. Przyszedeł czas, żeby rozdzielić je wśród tych, którym się to należało.



Sekretarka otworzyła drzwi do biura Callie i cofnęła się o krok, jakby stanowiły portal do innego, przerażającego wymiaru.

— Proszę się nie spieszyć. Teraz jest już masa czasu.

Jo stała chwilę w progu. Rozpoznała ten sam idealny porządek, jaki panował w domu Harding. Akta porządnie ułożone na blacie, buty do biegania starannie ustawione w kącie. Nawet iPod pani prokurator leżał równoległe do brzegu biurka.

Weszła do środka.

— Jak długo znała pani Callie?

Kobieta bawiła się ciężkim turkusowym naszyjnikiem.

— Dziesięć lat. Ona nigdy... Ja nigdy... To musiał być wypadek. Ona nigdy nikogo by nie skrzywdziła.

Jo podniosła wzrok.

— Ma pani na myśli Geli?

Ręka kobiety męczyła naszyjnik.

— I tych ludzi w lotniskowym busie. Nigdy. Callie spędziła życie, pomagając tym, których ktoś gnębił.

To była ta sama śpiewka, którą Jo i Tang słyszały w ciągu ostatniej godziny od wszystkich w biurze. Podzieliły się wywiadami, ale obie dostawały te same informacje. Harding była inteligentna, zmotywowana, oddana departamentowi. Ciężko pracowała, ale potrafiła odreagować stres. Kiedyś w obliczu świadka, którego wiarygodność załamała się w trakcie procesu, ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się swoim spanikowanym kolegom, a potem teatralnym gestem rozpuściła idealną fryzurę i zaczęła krzyczeć, wreszcie opadła na krzesło, opierając czoło na dłoni. Wszyscy się na nią gapili. Wtedy się roześmiała i powiedziała:

— A co innego nam zostaje?

— Jakie zrobiła na pani wrażenie w ostatnim miesiącu? — zapytała Jo.

Sekretarka się nie spieszyła. Doktor Beckett przekonała się, że większość ludzi próbowała jej pomóc. Trudność polegała na tym, by rozpoznać, kiedy za bardzo starali się albo nadawali wspomnieniom fałszywy odcień, lub fantazjowali. Analizowała wszystkie informacje, zachowując wysoki poziom nieufności.

— Była w dobrym nastroju, pełna energii — oznajmiła kobieta.

Jo spojrzała na jedyne nieporządne miejsce w biurze. Kosz na śmieci. Był pełny. Wyciągnęła ze środka kilka zgniecionych kawałków papieru i znalazła torbę z chińskiej restauracji General Li. Lekko pachniała octem i smażonymi pierożkami.

Rozłożyła na biurku paragon. Dwa razy pierożki, krewetki po seczuańsku — w sumie pięć dań. Data i czas z ostatniej nocy, dwudziesta trzecia piętnaście. Jedzenie zostało dostarczone. Callie pracowała zatem bardzo długo.

W torebce znajdowały się dwa zestawy jednorazowych pałeczek i dwie zgniecione papierowe serwetki. Na jednej z nich schludny odcisk różowej szminki; Jo mogła się założyć, że różowy odcień będzie pasował do błyszczyka z torebki Angeliki Meyer. Na drugiej serwetce znalazła rozmazany ślad ciemniejszej szminki, długi, nierówny i czerwony. W tym samym odcieniu co słowa nabazgrane na udzie Callie.

— Czy ona i Geli były bliskimi przyjaciółkami?

— Lubiły się, ale to była biurowa znajomość. Przynajmniej z tego co wiem.

Znów to samo. Nikt nie słyszał, żeby spotykały się poza pracą.

Jo usiadła, wzięła do ręki iPoda i przewinęła menu. Kalendarz, gry, kontakty — wszystko puste. Playlista zawierała dziewięćset piosenek i żadnych wskazówek. Notatnik. Przesunęła kółkiem. KBS.

Znieruchomiała, ale jej puls wskoczył na trzeci bieg.

— Czy skrót KBS coś pani mówi?

Sekretarka pokręciła głową.

— Chyba że DDS. No wie pani, dostarczanie dokumentów przez stronę postępowania przed procesem.

Beckett przewinęła menu.

— Nie sądzę.

Przejrzała kalendarz na biurku Callie. Nie zauważyła odnośników do KBS, ale w kilku miejscach widniał skrót DDS.

Dalej przeglądała zawartość iPoda. O rany!

Maki.

Przewinęła niżej.

Yoshida.

Fonsecca zabronił jej dostępu do akt Callie, ale informacje o sprawach, które prowadziła jako prokurator, były publicznie dostępne.

— Czy któreś z tych nazwisk jest nazwiskiem świadka albo strony w sprawie? — zapytała.

Sekretarka uniosła brew.

— Oni? Wiedziałabym... — Urwała i żeby się upewnić, poszła do własnego biurka, by sprawdzić to, co jest na wokandzie i w komputerze. Jo przejrzała komputer Harding.

Ani śladu odniesień do Yoshidy, Makiego czy jego kochanka Williama Willetsa.

Nie znalazła ich w służbowych danych Callie. Tylko na jej iPodzie. Pochyliła się nad biurowym kalendarzem, by uważniej mu się przyjrzeć. Zajęło jej to dwadzieścia minut, ale cztery miesiące wstecz znalazła rysunek serca. Przyszły jej na myśl dwie możliwości — randka albo kardiochirurg. Szukała dalej i w czterech innych miejscach również odnalazła zwykle narysowane serduszko. W niedawnych notatkach widniał wyrysowany obok jeszcze jeden znaczek: czarny diament.

A przy nim numer telefonu.

Jo chwyciła za słuchawkę i wystukała cyfry. Włączyło się nagranie. Nie ma takiego numeru. Rozłączyła się. A potem jeszcze raz spojrziała na cyfry.

Ostatnie trzy czytane od tyłu tworzyły prefiks uniwersytetu. Wybrała numer od końca do początku. Odezwała się poczta głosowa:

— Połączyłeś się z biurem doktora Davida Yoshidy. Proszę zostawić wiadomość.

Rozłączyła się i przez chwilę siedziała z dudniącym sercem.

Wróciła do kalendarza i przeglądała wpisy na dzień dzisiejszy. Czytała o spotkaniach, które już się nie odbędą. Depresyjne. Powstrzymała impuls, by spojrzeć na kalendarz jak na układankę. Sudoku zmarłej.

W połowie strony widniały inicjały: X.Z. S.S. Obok starannie wyrysowany czarny diament.

Aquatic Park w pobliżu zatoki przy Ghirardelli Square.
Czwarta.

Jo spojrzała na zegarek. Cholera. Była trzecia trzydzieści pięć. Czy zdąży?

Zerwała się i zawołała do sekretarki:

— Zabieram iPoda i kalendarz!

— Okay. — Kobieta była zdumiona, widząc doktor Beckett poruszającą się teraz tak szybko, gdy tyle czasu spokojnie spędziła za biurkiem Callie.

Jo wybiegła z gabinetu i rozejrzała się dookoła.

— Gdzie jest porucznik Tang?

— Nie wiem.

Pobiegła do holu, zajrzała do sali konferencyjnej, pognała z powrotem. Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Usłyszała brzęknięcie windy i zobaczyła wysiadającego z niej Leo Fonseccę, który wrócił z sądu. Szedł korytarzem, przyglądając się jej ze zmarszczonymi brwiami.

— Proszę przekazać Tang, że poszłam do Aquatic Park na spotkanie, które Callie miała o czwartej — powiedziała Jo do sekretarki.

— Co się dzieje? Co pani tam ma? — zapytał Fonseca.

— Przyniosę wszystko z powrotem. — Wbiegła do windy.

15.

Wczesnym popołudniem Scott Southern miał informacje gotowe. Złożył kartki papieru na trzy, jak list, i wsadził do wewnętrznej kieszeni sportowej kurtki. Wysiadł z samochodu i ruszył ścieżką przez park.

Podjął decyzją, co robić. Skunks chciał poznać nazwiska pewnych ludzi z KBS, żeby jego szef mógł się za nich zabrać.

Scott zamierzał dać mu coś więcej.

Na wzniesieniu przy końcu Presidio był punkt widokowy Centrum Turystycznego Golden Gate Bridge, z którego można było podziwiać zatokę. Woda skrzyła się w słońcu błękitem. W oddali jej powierzchnię znaczyły białe spienione grzywy fal. Turyści napawali się tym widokiem, kuląc się w dresach, z włosami powiewającymi na wietrze. Niektórzy wkładali monety do wizjerów i oglądali w powiększeniu prom do Sausalito, który sapiąc, przecinał zatokę. Można było stąd zobaczyć Angel Island, Alcatraz, a po wschodniej stronie San Francisco — białą lśniącą kompozycję rozłożoną na wzgórzach.

Kelly by mu nie wybaczyła. Zawsze to wiedział. Ta świadomość jak robak wżerała się w jego umysł przez ostatnie osiem lat. Rozwiodłaby się z nim, bo jego rola w zniszczeniu Melody

napełniłaby ją odrazą. Jego piękna żona, jego synek, rodzina, która miała zniknąć jak sen. Nigdy już ich nie zobaczy.

Próbował pozbyć się dręczącego go koszmaru, rozmawiając z Davidem Yoshidą i Callie. Myślał, że oczyszczenie go uratuje, przyniesie ulgę. Jednak nie.

Yoshida, kardiochirurg bez serca, przesuwiał oliwkę w drinku i chłodno obserwował Scotta. Callie siedziała nieruchomo z kamienną twarzą, zaciśniętymi ustami. Twardzielka. Może i była elegancka jak Kim Novak w *Lęku wysokości*, ale sama też miała szalone sekrety. Mimo to go osądziła. Jej spojrzenie potwierdzało niezbicie, że był winny.

Trzeba było jednak Skunksa, żeby wydać wyrok. Tyle że ten człowieczek nigdy się o tym nie dowie, bo Scott zamierzał pozbawić go tego, czego tamten chciał. To on sam miał być tym, który uwolni Scotta.

Kilka metrów dalej stojedynka przechodziła w Golden Gate Bridge. Słońce powoli zanurzało się w Pacyfiku. Ruch uliczny, wiatr, wszystko to stanowiło rzekę dźwięku wciągającą w swój nurt. Southern ruszył chodnikiem do wejścia na most. Przed nim teren opadał stromo ku wodzie, krzewy jeżyn i kamienie sięgały zimnych fal, które rozbijały się o brzeg.

Świat dowie się o jego winie, kłamstwach, porażkach. Nie był w stanie temu zapobiec. A kiedy wszystko wyjdzie na jaw, ludzie z prasy dopadną go jak szakale.

Nagłówki, zarzuty, oczy żony. Nie mógł znieść tej myśli.

Szedł. Most był w słońcu tak świetlisty, że wyglądał jak rozżarzony młot. Scotta mijali rowerzyści i turyści, którzy robili zdjęcia. Jedna czy dwie osoby zatrzymały się, żeby na niego spojrzeć, przyjrzeć się uważnie. Domyślali się, kim był, ale miał na głowie czapkę baseballową i okulary przeciwsłoneczne, więc wahali się, niepewni.

Mijały go pędzące samochody. Po prawej ciągnęła się balustrada mostu z poręczą na wysokość metra. Minął go patrol

drogówki. Nikt nie patrzył. Ludzie oglądali widoki, uprawiali jogging, fotografowali. To była krawędź kontynentu. Brama. Czemu nie? Czemu nie tutaj?

Na oczach tłumu.

Tu była pewność. Coś, co mógł znieść. Smoła zgromadziła się na wysokości serca, ale nigdy by go nie zadusiła, tylko po-grążyłaby w cierpieniu. Most pełnił funkcję przejścia, jednak Scott zamierzał go wykorzystać do czegoś jeszcze. Unicestwie-nia planów Skunksa.

Chciał mieć pewność, że ten człowieczek będzie trzymał swoje lepkie ręce z dala od jego rodziny.



Jo podjechała pod Aquatic Park o trzeciej pięćdziesiąt osiem, szukając wolnego miejsca wzdłuż ulicy poniżej Ghirardelli Square. Trawa w parku była szmaragdowozielona, mewy krążyły nad głowami spacerowiczów niesione ożywczą bryzą. Samochody parkowały przy krawężniku jeden obok drugiego.

San Francisco było koszmarem dla parkujących. Garaże kosztowały dwadzieścia dolarów za godzinę, a próba parkowania na ulicy oznaczała survival dla najtwardszych. Wywoływało to w kierowcach taką wściekłość, że prowadzący kursy, na których uczono kontrolowania agresji, odmówili prowadzenia zajęć w mieście — zbyt wielu zainteresowanych zjawiało się na zajęciach na skraju wybuchu. Jo zobaczyła wolne miejsce sześćdziesiąt metrów przed sobą. Tak. Włączyła kierunkowskaz. Audi przed nią zwolniło i też włączyło kierunkowskaz. O nie. Wyminęła samochód. To miejsce było jej potrzebne. Dopadła krawężnika jak jastrząb chwytający mysz sprzed nosa innego drapieżnika.

Wyskoczyła. Audi podjechało i kierowca opuścił szybę.

Kobieta wskazała palcem.

— Sygnalizowałam, że zajmuję to miejsce.

— Nie mam czasu. — Jo wrzuciła éwiartkę do parkomatu i wzruszyła ramionami w geście oznaczającym „przepraszam”.

— Za grosz kultury! — zawołała tamta.

Beckett wzruszyła bezradnie ramionami i puściła się biegiem przez park w stronę wody. Miała nadzieję, że ludzie, z którymi umówiła się Callie, zjawią się na spotkanie. Kraksa na Stockton Street była omawiana we wszystkich wiadomościach, ale nazwisko Harding raczej nie zostało podane. Mogli nie wiedzieć, że nie żyje.

Trawnik łagodnie opadał w dół w kierunku Aquatic Park, osłoniętej zatoczki przy Fishermans Wharf. Przy molo zacumowany był stary trójmasztowy kliper. Turyści zbierali się w grupki jak geśi, czekając, by wejść do tramwaju. Napis „Ghirardelli” wznosił się nad starą fabryką czekolady jak tiara.

Jo dotarła do ścieżki prowadzącej wzdłuż wody i zwolniła do spacerowego tempa, rozglądając się dookoła. W amfiteatrze z widokiem na zatoczkę siedziało kilkanaście osób, wygrzewając się w jesiennym słońcu. W wodzie samotna pływaczka stawiła czoło zimnu. Miała na głowie słomkowy kapelusz i płynęła rytmicznie kraulem w królewskim stylu, niczym barka Kleopatry niesiona wiosłami po Nilu.

W popołudniowym słońcu zatoka była błękitna. Żagłówki na tle Golden Gate Bridge wyglądały jak białe kwiaty, które bryza przywiała nad wodę.

Kobieta, która prowadziła audi, szła spacerowym krokiem przez trawnik. Miała na sobie zamszowy płaszcz do pół łydki i czarne skórzane kozaki. Płaszcz powiewał na wietrze. Pod nim widać było kostium w kolorze kości słoniowej. Krótka spódnica, karmelowe pasemka we włosach, wielkie okulary przeciwsłoneczne. Kobieta wyglądała, jakby zesza ze stron „Glamour”.

Trzymała na smyczy jacka russella, który tańczył przed nią jak kula do losowania w bębnie.

Zwolniła i rozejrzała się. Spojrzała na zegarek. Ponownie się rozejrzała zniecierpliwiona.

O, do licha.

Jo wiedziała, że nie powinna była kraść tego miejsca. Witaj przeznaczenie. Miło cię zobaczyć. Proszę bardzo, kopnij mnie w dupę.

Podeszła. Kiedy nieznajoma ją zauważyła, ściągnęła usta.

— Ma pani jakiś problem? Już mi pani ukradła miejsce parkingowe. Może na tym poprzestaniemy? Bo nie należę do osób, z którymi chciałaby pani zadrzeć — oznajmiła.

— Myślę, że przyszłyśmy na to samo spotkanie — odrzekła Jo.

— Pani jest tą trzecią osobą? — Spojrzenie kobiety nie wyrażało już irytacji, ale ciekawość. Uniosła brew. — Cóż, z pewnością tupetu pani nie brakuje.

— Jo Beckett, jestem lekarzem. — Uściśnęła tamtej dłoń.

Gdy sięgnęła do portfela po wizytówkę, kobieta machnęła ręką, jakby odganiała muchę.

— Nie robimy tego — powiedziała. — Jest pani lekarzem? Z puli Davida?

— Davida Yoshidy? — Ostrożność walczyła w Jo z ciekawością. — Pracuję na uniwersytecie, ale nie. On był kardiochirurgiem, ja zajmuję się psychiatrią.

Nieznajoma miała staranny makijaż. Chodząca reklama przemysłu skórzanego i L'Oréala. Kosztowna elegancja. Wyglądała znajomo. Co więcej, brzmiała znajomo. I zachowywała się, jakby oczekiwała, że ludzie ją zauważą.

I zauważali. Biegacze obdarzali ją przeciągłymi spojrzeniami. Terier wirował wokół jej stóp.

— Fatalna sprawa z Davidem. — Zdjęła okulary. Miała bystre

spojrzenie. — Nie mamy wśród nas żadnego psychiatry. To mogłoby być ciekawe.

Zmierzyła Jo z góry na dół. Przynaglenie w jej wzroku było niepokojące. Potem ponownie spojrzała na zegarek i rozejrzała się po Aquatic Park.

Czekała na Callie, to pewne. Nie wiedziała.

Szarpnęła za smycz.

— Przejdźmy się.

Jo się wahała, miała sprzeczne uczucia. Ta kobieta uznała, że ona przyszła tu, by wstąpić do Klubu Brudnych Sekretów.

Doktor Beckett postępowała zgodnie z nienaruszalną zasadą: nie kłamać. Nigdy nie kłamała, by wyciągnąć z ludzi informacje. Ale gdyby wyjaśniła, dlaczego się tu zjawiała, spotkanie z miejsca by się zakończyło. W jej sumieniu demony i anioły toczyły walkę, potrząsając a to widłami, a to anielskimi skrzydłami.

— Chodźmy w stronę Fort Mason — zaproponowała. Jack russell podskakiwał jak piłka pingpongowa.

— Cosette. Chodź — powiedziała jego pani.

— Nie przysłał mnie David Yoshida — wyjaśniła Jo. — Jestem tu z powodu Callie Harding.

— Zwykle się nie spóźnia. Może utknęła w korku. — Kobieta patrzyła na nią krytycznie. — Niezupełnie tego się spodziewałam, ale Callie lubi niespodzianki. I wkrótce się przekonamy, czy ma pani to, czego chcemy.

— A czego chcecie? — zapytała Jo.

— Nie powiedziała pani? — zdziwiła się tajemnicza dama. Szarpnęła za smycz, marszcząc brwi. — Ma pani CV?

— Nie ze sobą.

— To zapewne rozsądne. Ale musi pani zrozumieć, że to nie jest dostępne dla wszystkich.

— Z pewnością.

— Zdaje sobie pani sprawę, kim jestem?

Miała orzechowe oczy. Jo nie mogła jej rozpoznać.

— Nie będę kłamać. Powinam, ale nie — odrzekła.

— Więc nie grzeszy pani nieuczciwością — powiedziała tamta z pozbawionym wesołości uśmiechem. — To w porządku. Mamy dość członków, którzy mówią fałszywe świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Przyda się nam odmiana. — Odrzuciła lwią grzywę i uniosła podbródek. — Xochi Zapata.

Wymówiła imię jak „Soszi”. Być może było to zdrobnienie od Xochitlan albo Xochiquetzal, chociaż nie wyglądała jak aztecka księżniczka. Nie sprawiała też wrażenia kogoś, kto pokonał pustynię, żeby walczyć *zyanquis*. Wyglądała jak typowa przedstawicielka anglosasów, wychowana na białym chlebie na przedmieściu. Aczkolwiek nieco teatralna, wypolerowana na błysk.

To ona była X.Z. Jo przypomniała sobie, gdzie ją widziała: na billboardzie na miejskim autobusie, pozującą z innymi członkami zespołu.

— Pracuje pani dla „Twoich Wiadomości na Żywo”, zgadza się? Jest pani reporterką zajmującą się sprawami biznesu — stwierdziła. — Prześwietla pani fast foody.

— „Pływając w morzu tłuszczu”. Zgadza się.

Jo wreszcie ją rozpoznała. „McDonald's sprawia, że tyjesz”. Przypomniała sobie też wywiad przeprowadzony przez Zapatę na pokładzie prywatnego odrzutowca podczas lotu do Aspen. Relacjonowała historie z Doliny Krzemowej i uczestniczyła w kapitalistycznych fetach na całym świecie.

— Czy mogę pani powiedzieć, kim jestem i dlaczego tu przyszedłam? — zapytała.

— Dojdziemy do tego. — Kobieta sprawiała wrażenie zirytowanej tym, że jej przerwano. — Chcę powiedzieć, że nasz klub nie jest tylko poufny. Jest ekskluzywny. Musimy zatem wiedzieć, czy ma pani to, czego potrzeba, żeby zostać jego członkiem.

— To znaczy? — Jo słyszała fałszywą niewinność we własnym głosie. Będzie musiała wyszorować swoje sumienie mydłem, ale nie zamierzała przestać słuchać.

— Pani mi to powie — stwierdziła Zapata. — Co miałyby pani do zaoferowania?

Babcia zostawiła mi kolekcję samurajskich przedmiotów z ery Tokugawa o wartości muzealnej, przyszło Jo do głowy. Potrafię zjeść naraz dwanaście pączków krispy kremie.

— Pracuję jako konsultant z zakresu psychiatrii sądowej dla miasta, medycznego centrum uniwersyteckiego i policji. Mogę przedstawić referencje i listę publikacji — powiedziała.

— Kochanie, to wspaniale, ale zupełnie nieseksowne.

— Rozwiązałam sprawę śmierci Jeffreya Nagela. Uważano, że to sprawa o podłożu seksualnym.

— Referencje nie mogą dotyczyć pacjentów ani spraw zawodowych. Sekret musi być twoją osobistą tajemnicą. I musi być brudny. — Ponownie przyjrzała się badawczo Jo. — Ważną kwestią jest zaufanie. Nie moglibyśmy przyjąć kogoś, kto ujawnia sekrety swoich pacjentów. Mógłby równie dobrze ujawnić nasze.

— Nigdy nie pogwałciłabym tajemnicy lekarskiej.

— Świetnie. Oczekujemy, że nasi członkowie nie będą rozmawiać o klubie z ludźmi z zewnątrz. — Uśmiechnęła się porozumiewawczo. — To nie Biały Dom. Nie tolerujemy przecieków.

— Umiem milczeć. Tajemnice, jak to się mówi, zachowuję do grobowej deski.

— Znakomicie. — Zapata ponownie odrzuciła włosy. — Po wiem bez ogródek: musimy wiedzieć, że ma pani w sobie to coś. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy posiada pani odpowiedni prestiż. Jeżeli Callie panią nominuje, to zdecydowanie przemawia na pani korzyść. Ale rozumie pani, że musiałaby zacząć z najniższego poziomu.

— To znaczy?

— Członkostwo podstawowe. Przyjemność, koleżeństwo, masa atrakcji. — Uśmiechnęła się złośliwie. — Z odpowiednim dreszczykiem. Ale z awansem na wyższe, zastrzeżone poziomy będzie pani musiała poczekać.

— Zrozumiałe. Jak to będzie wyglądać? — zapytała Jo.

Wiatr rozchylił kołnierz zamszowego płaszcza Zapaty. Na szyi miała łańcuszek, na którym wisiał czarny diament.

— Dostarcza pani swój życiorys. Obie części i doprawdy, lepiej, żeby były przekonujące. W zakresie prestiżu i świństw. — Xochi wpatrywała się w nią z natężeniem. — Potrzebujemy niezbitych dowodów. Musi pani dostarczyć dowody, że to, co pani ukrywa, naprawdę miało miejsce. I że pani sama tego dokonała. Nie może pani sobie przypisywać cudzych świństw. To tandetne.

— Nie wiedziałam — stwierdziła Jo.

— O tak. Aż nazbyt łatwo jest przypisać sobie cudzą zasługę. Udowodnienie własnego zaangażowania, nazwijmy to: własnego autorstwa, jest o wiele trudniejsze.

Autorstwo. A więc ci ludzie uważali, że złe uczynki to akty twórcze.

— Ale jeśli mam być szczerą — ciągnęła Zapata — może jest pani inteligenta i ambitna, jednak nie jestem przekonana, czy zajmuje pani odpowiednio znaczącą pozycję, by z nami zagrać. W każdym razie jeszcze nie teraz. — Spojrzała w kierunku samochodu Jo. — Generalnie nie zadajemy się z ludźmi, którzy jeżdżą pociągami pick-upami, chyba że przywożą na pace kosiarkę do trawy. — Znów zerknęła na zegarek, przesunęła ręką po pasku, wyraźnie zdenerwowana. — Gdzie jest Callie?

Doktor Beckett zatrzymała się. Dłuższe milczenie byłoby jednocześnie niemożliwe i okrutne.

- Nie przyjdzie.
- Przepraszam?
- Nie żyje.
- Zapata poderwała głowę gwałtownie, jakby ktoś ją uderzył.
- Nie żyje?
- Od wczoraj. Ten wrak pod wiaduktem na Stockton Street. Obawiam się, że Callie prowadziła samochód, który przeleciał przez barierę.
- Xochi zrobiła krok w tył, jakby chciała odsunąć od siebie tę wiadomość.
- Jezu. O nie. — Uniosła wymanikiurowane dłonie do twarzy. Terier biegał wokół jej nóg, oplątując ją smyczą. Potem jej spojrzenie nabrało ostrości.
- Co pani tu robi? — zapytała.
- Jestem psychiatrą sądowym.
- To słyszałam. Co, do cholery, robi pani tutaj?
- Przeprowadzam psychologiczną autopsję Callie.
- Dłoń kobiety powędrowała do czoła.
- Jest pani z policji? O mój Boże...
- Nie. — Jo myślała jak szalona. Musiała zatrzymać tę kobietę. — Należy pani do grupy czarnego diamentu, pani, Callie, David Yoshida...
- Skąd pani o tym wie?
- Miałyście z Callie spotkać się tutaj z jeszcze jedną osobą, S.S.
- W orzechowych oczach zapłonęła panika.
- Jezu Chryste. — Zapata cofała się, rozglądając się nerwowo dookoła. — Nie wolno pani o tym rozmawiać.
- Przepraszam, ale pani...
- Jest pani terapeutką, nie może pani opowiadać o tym, co wyznają ludzie.
- Tylko wtedy, gdy...

— Dziesięć sekund temu przechwalała się pani, że nigdy nie zламаłaby tajemnicy lekarskiej. Jeżeli pani to robi, załatwię panią. Już powiedziałam, nie jestem osobą, z którą chciałaby pani zadrzeć. — Odwróciła się, zrobiła dwa kroki, znów się odwróciła i wyciągnęła palec. — Mogę pani zapewnić masę niepożądanego rozgłosu. Postaram się, żeby odebrano pani prawo wykonywania zawodu. Będzie pani mogła co najwyżej czyścić toalety na jakimś paskudnym oddziale psychiatrycznym. Będzie pani żałować, że nie zajęła się zawodowo usuwaniem psiego gówna. — Zapata była biała z wściekłości, ale mrugała i gwałtownie oddychała.

— Pani się boi — stwierdziła Jo, nie zważając na obelgę.

Kobieta zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem i pokręciła głową, przesuując wymanikiowanymi paznokciami po włosach. Nie mogłaby bardziej rzucać się w oczy, chyba że uniosłaby spódnicę i pokazała tyłek turystom na przystanku tramwajowym.

— Jest pani śmiertelnie przerażona — powtórzyła Jo.

Xochi znieruchomiała jak łania w światłach samochodu. Wahala się przez kolejną sekundę, jakby bała się drgnąć, a potem skoczyła w przód i chwyciła doktor Beckett za rękę.

— Widziałam materiał przed obróbką, zdjęcia naszej ekipy z miejsca wypadku. To było potworne. Na litość boską, co się stało? — Dłoń miała zimną. — Pani przeprowadziła sekcję. Czy ktoś ją zabił?

— Sekcję przeprowadził lekarz sądowy. Ja zajmuję się stanem psychicznym Callie. — Wytrzymała spojrzenie Zapaty. — Uważa pani, że ktoś ją zabił?

— Pani mi to powinna powiedzieć. Nieoficjalnie. W zaufaniu — odrzekła tonem, jakby miała się rozplakać.

— Zbieram informacje, żeby przygotować raport. Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy.

— Gdybym była pani pacjentką, miałoby.

— Ale nią pani nie jest.

— Zatrudnię panią.

— Nie.

Zapata wyglądała, jakby oblażyła ją robaki i chciała rozerwać skórę własnymi długimi paznokciami, żeby się ich pozbyć. Chwyła Jo za ramię.

— Więc proszę się do nas przyłączyć. Poprę pani prośbę o przyjęcie do klubu.

— O czym pani mówi?

— To coś wspaniałego. Masa bonusów. To ekscytujące, seksowne. No proszę, będzie pani zachwycona. I tak już pani pytała o klub...

— Chce mnie pani przekupić? Nie.

— A później będą nagrody, samochody, podróże, uznanie. Pod warunkiem że nikomu pani o tym nie powie.

Jo czuła się rozdarta. Miała obowiązek sporządzić raport dla policji, ale nie była zobowiązana do ujawniania każdej, najdrobniejszej uzyskanej informacji.

W dodatku Amy Tang wyraźnie pozwoliła jej działać poza protokołem. Byle tylko dotarła do dna tej psychicznej studni.

— Czemu nie powie mi pani, co panią tak przeraża? — zapytała. Mijali je biegacze. Na parkowym trawniku jakiś dzieciak puszczał pomarańczowy latawiec. Jo ruchem głowy wskazała siedzenia wysoko w amfiteatrze i ujęła Xochi pod ramię. — Chodźmy.

Poprowadziła ją po schodach do najwyższego rzędu, z dala od wszystkich. Wiatr przyjemnie chłodził; amfiteatr znajdował się w cieniu sosnowego lasu na grzbiecie wzgórza przy Fort Mason.

— Skąd się o nas dowiedzieli? — Zapata odezwała się pierwsza.

— Oni?

— Skąd pani się o nas dowiedziała?

— Xochi, to nie ma teraz znaczenia.

— To sekret, nie rozumie pani? Zabijają nas, prawda?

Jo nie była pewna, czego ta kobieta pragnęła bardziej — wyciągnąć z niej informacje czy wyrzucić z siebie to, co ją dręczy. Milczała więc. Zapata, jak pacjentka podczas terapii, jak dziennikarka, przerwała ciszę.

— To oczywiste. Ktoś się wygadał. — Przycisnęła ręce do twarzy. — Czuję się strasznie zdradzona. Czy to Callie zaczęła mówić?

— Nie wiem.

Xochi wpatrywała się w Jo niewidzącym wzrokiem. Miała bladą twarz i różowe plamy na szyi.

— Czym właściwie jest Klub Brudnych Sekretów? — zapytała doktor Beckett.

— To... — Tamta pokręciła głową, jakby chciała przemilczeć, a potem wzruszyła ramionami. — To miejsce do zabawy, impreza, konfesjonał... Jest pani katoliczką? — Zerknęła na krzyż na szyi Jo. — Rozumie pani znaczenie spowiedzi?

— Owszem.

— Tylko że to miało być niezawodne. Informacje po prostu nie mogły wyciec.

— Dlaczego?

— Po prostu. Klub miał być całkowicie bezpieczny.

— Ale sądzi pani, że nie jest.

— Albo ktoś zaczął rozmawiać z ludźmi spoza, albo... — Pochyliła głowę. — Albo zabija nas jeden z członków. Jezus. — Wbiła paznokcie we włosy.

— Jak pani trafiła do klubu? — zapytała Jo.

Zapata spojrzała na nią ostro.

— Myśli pani, że zdradzę swój sekret? Jasne. W dniu, w

którym się to wydarzy, ty zdradzisz mi swój, siostró. — Nie usłyszawszy odpowiedzi, dodała z pogardą: — Każdy ma brudny sekret. Nawet ty.

Jo siedziała w milczeniu. Intuicja jej nie zawiodła: Klub Brudnych Sekretów był całkowicie tajny. W ten sam sposób czarne dziury wciągają w siebie wszystko dzięki sile grawitacji. Nic nie ucieka z czarnej dziury, nawet światło.

Podobno. Astronomowie jednak wiedzą, że czarne dziury w potężnych eksplozjach wyrzucają z siebie promienie rentgenowskie.

Klub Brudnych Sekretów musiał działać na tej samej zasadzie. Musiał się karmić negatywną energią. Jak każda klika w historii ludzkości musiał budzić emocje, uczucie towarzyszące świadomości, że „przynależę”. O klikach da się bowiem powiedzieć jedno: nikt nie będzie w pełni cieszył się przynależnością, jeżeli nie da tego odczuć ludziom, którzy nie przynależą.

Zapata przesunęła czerwonymi paznokciami po udach. Pelikan zszedł nisko nad wodę i jak strzała zanurkował po rybę.

— Xochi, to ważne. Kim jest ta trzecia osoba, która miała tu dzisiaj przyjść?

Zapytana popatrzyła na Jo, jakby chciała powiedzieć: chyba żartujesz.

— Wiem, że David Yoshida i Maki obaj należeli do klubu. Nie żyją. A Callie nie zjawiała się tu dzisiaj, bo i ona nie żyje. Gdzie jest trzecia osoba?

— O cholera.

— Kto to jest, Xochi? — Jo nie spuszczała z niej wzroku.

Zapata rozchyliła usta. Wydawała się sparaliżowana niemożnością podjęcia decyzji.

— S.S. — nalegała Beckett. — Na spotkanie z czarnym diamentem. Proszę.

Gdy kobieta pokręciła głową, Jo poczuła pulsujący za oczami gniew.

— Ludzie umierają co czterdzieści osiem godzin. Kto to jest?

— Scott Southern — powiedziała Zapata powoli, zamykając oczy.

— Ten obrońca?

Xochi skinęła głową. Zakryła usta rękoma, jakby nie mogła uwierzyć, że to powiedziała.

— Dziękuję — usłyszała. Przyciskała zaciśnięte dłonie do warg, aż zbieleły jej kostki.

— Jaki był sekret Callie? — padło następne pytanie.

— Nie wie pani? Myślałam...

Zadzwoiła komórka doktor Beckett. Zignorowała ją. Usłyszała jednak, że ktoś woła ją głośno. Spojrzała w stronę parku. Cholera. Biegła do nich Amy Tang.

— Kto to jest? — zapytała Xochi.

— Porucznik policji — odparła Jo.

— Myślałam... — Zapata wstała, pociągając za psią smycz.

— To była pułapka?

— Nie. Proszę, nie odchodź.

Ale Xochi już uciekała.

16.

Podbiegła Amy Tang.

— Nie powinnaś tu być sama.

Audi Zapaty odjechało z piskiem opon. Doktor Beckett pokręciła głową.

— Przewaliłaś sprawę. Ona jest członkiem Klubu Brudnych Sekretów.

— To mogło być niebezpieczne.

— Daruj sobie. Dałaś mi carte blanche, żebym się dowiedziała, dlaczego umarła Callie. Nie muszę się przed tobą rozliczać z przeprowadzanych wywiadów.

Tang spojrzała na drogę.

— Pojedziemy za nią.

— Zamknie się. — Jo oparła dłonie na biodrach. — Co tu robisz?

— Fonseca powiedział, że wystrzeliłaś z biura prokuratora jak Lara Croft. Martwił się, że tak pędzisz, żeby grać twardziela i miał rację. Chce z powrotem iPoda i kalendarz Callie. — Amy robiła gniewną minę, ale jej zdenerwowanie widocznie osłabło. — Może chce skopiować jej playlistę z amerykańskiego „Idola”.

— Przesunęła dłonią po włosach. — Klub Brudnych Sekretów jest realny?

— Jak najbardziej. — Jo wyciągnęła komórkę. — Miał tu być Scott Southern. Nie ma go. Możesz zdobyć jego numer?

— Z Forty Ninersów? Jezu. — Tang zmarszczyła brwi i zaczęła dzwonić. Słońce nadawało barw mgiełce wody zdmuchniętej przez wiatr z fal zatoki.

— Dzięki. — Policjantka się rozłączyła. — Mam.

Wyrecytowała numer Southerna.

Jo pożyczyła od niej długopis, nabazgrała cyfry na przedramieniu i zadzwoniła.

— Klub Brudnych Sekretów — powtórzyła Tang.

— To coś w rodzaju wirtualnego konfesjonału. Przyjmują wpływowych ważniaków, żeby zachować prestiż — wyjaśniła Jo z komórką przy uchu.

Odebrała kobieta, chyba biegła.

— Scott? — odezwała się.

— Nie. Mówi doktor Beckett. Pracuję dla policji. Próbuję się skontaktować z panem Southernem. Czy to...

— Kelly. Jestem jego żoną.

Jo zobaczyła Kelly Southern oczami wyobraźni. Widziała młodą żonę obrońcy w telewizji, kiedy po meczu podawała Scottowi ponad barierą ich małego synka. Miała urodę cheerleaderki i wydawała się lubić swojego mężczyznę.

— Jestem na spotkaniu, na którym miał się pojawić.

Długa, pełna napięcia pauza.

— O nie, przepraszam, ja nie...

— Pani Southern, czy wszystko jest w porządku?

— Cały dzień próbuję się z nim skontaktować. Pani powiedziała, że pracuje dla policji?

— Tak.

— Czy on ma kłopoty?

— Nie z policją. Uważa pani, że ma kłopoty?
— Nie wiem, gdzie jest. Coś jest nie w porządku. I to bardzo. — Kobieta z trudem powstrzymywała łzy. Była przestraszona. — Nie zjawił się na treningu, zespół nie wie, gdzie jest. I dostałam dziwny list.

— Dlaczego dziwny?

— Anonimowy. Było w nim, że Scott ma sekrety, które przede mną ukrywa, i że powinnam się zastanowić, czy ja i Tyler chcemy z nim być.

— Czy nadal go pani ma? — zapytała Jo.

— Dałam mężowi. Przeraziłam się. Dzieje się coś złego.

— Czy Scott ma komórkę?

Kelly podała Jo numer, który ta zapisała na nadgarstku. Tang gryzła usta.

— Pani Southern, postaram się go złapać. I dam pani do telefonu panią porucznik z policji, która jest tu ze mną. Zadzwoń do pani, kiedy tylko się rozłączę. — Johanna ruchem ręki pokazała, żeby Amy zaczęła wybierać numer.

— Okay — zgodziła się Kelly. — Proszę spróbować. Ale on nie odbiera.

Beckett się rozłączyła i zadzwoniła na komórkę Southerna. Słyszała, że policjantka podjęła rozmowę z jego żoną, wyciągając kolejne informacje o otrzymanym liście.

Anonimy: gorzka pigułka każdej kampanii, której celem jest zniszczenie kogoś.

„Brudny”.

„Powstrzymaj to”.

Komórka wciąż dzwoniła.



Scott Southern był w drodze.

Skunks chciał się z nim spotkać w punkcie widokowym od

strony Marin, ale Scott miał dość postępowania wedle narzuconych przez niego zasad. Zagadkowy szef nie będzie nim więcej manipulował. Był gotów do dokonania przewrotu.

Pochylny w przód szedł mostem pod wiatr po stronie wschodniej, kierując się na północ, do środkowego przęsła. Daleko pod nim kontenerowiec płynął w stronę Pacyfiku. Przed nim nad horyzontem dominowała północna wieża, masywna i czerwona. Mężczyzna miał uczucie, że go osądza i że w każdej chwili może runąć, by go zmiażdżyć. Jezdnią płynęła rzeka samochodów. Chodnik był zatłoczony.

Southern skończył z sekretami. Planował niezwykle publiczne wystąpienie. Tu, na moście, Skunks nie mógł zrobić nic głupiego, jeżeli nie chciał się zdradzić. I nie mógł też uciec. Zabójczy ruch samochodów z jednej strony. Z drugiej tylko wiatr i woda. Poniżej przestrzeń wypełniona powietrzem. Prawie siedemdziesiąt metrów pod środkowym przęsłem. Sprawdził to.

Pośrodku mostu stanął i wychylił się przez barierę. Widok był niesamowity. Jaskrawoczerwona poręcz chłodziła dłoni. Jezdnia wibrowała za każdym razem, kiedy mijała go ciężarówka.

Oparł się plecami o balustradę i czekał.

Kiedy usłyszał komórkę, pozwolił jej dzwonić przez parę sekund, melodyjka powtórzyła się już trzeci raz. Skunks się wkurzy, będzie się zastanawiał, dlaczego Scott nie zjawiał się na miejscu spotkania, dlaczego nie błaga na kolanach o litość. Niech sobie poczeka.

Jeszcze dwa takty. Odebrał.



Jo mocno trzymała komórkę. Odezwał się mężczyzna. — Nie ma mnie w punkcie widokowym — powiedział. Głos należał do Scotta Southerna, mogłaby się założyć; sposób mówienia

przeciągający samogłoski, ujmujący. Otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, ale intuicja kazała jej milczeć.

— Idź na południe — mówił ten sam głos. — Jestem przy środkowym prześle, jakieś trzy czwarte mili od ciebie.

W tle słyszała odgłosy szybko przemieszczających się samochodów i szum wiatru. Pauza po wypowiedzi Southerna przeciągała się.

— Skunks? — zapytał. — Kto mówi?

Musiała zaryzykować.

— Scott Southern? Tu doktor Jo Beckett z Centrum Medycznego Uniwersytetu. Pańska żona dała mi ten numer.

Brak odpowiedzi. Słyszała odgłosy ruchu ulicznego i ryk syreny przeciwmgielnej.

— Centrum Medyczne? Czy Tylerowi nic nie jest? — W jego głosie brzmiał niepokój.

— Pańskiemu synowi? — zapytała.

— Jezu Chryste, czy nic mu nie jest?

— Wszystko w porządku. Pańska żona się martwi i...

— Kelly, Boże, czy coś się jej stało? Czy ktoś... święty Boże, czy nic im nie jest?

— Nie, panie Southern. Pańskiej rodzinie nic nie jest. — W tym momencie dotarło do niej, co miał na myśli. — Pańska rodzina jest bezpieczna.

— Jest pani pewna? Co się dzieje? — Kolejna pauza. — Kto mówi? — pytał drżącym głosem.

Jo odezwała się łagodnie i starała się nie mówić za szybko. Czuła, że w każdej chwili kontakt może się urwać.

— Jestem psychiatrą sądowym. Pracuję dla policji, która prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci Callie Harding.

— Co? — Krótka przerwa, potem niepewność. — Czemu pani do mnie dzwoni? — Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego informacją o śmierci Callie.

— Wiem, że miał się pan spotkać dziś po południu z Callie. I wiem, że pańska żona otrzymała dzisiaj anonim. Scott, to brzmi jak groźba.

— Jezu. — Ledwie go słyszała poprzez hałas ulicznego ruchu. — Pracuje pani z policją nad wypadkiem Callie? Kelly rozmawiała z policją? O Boże.

Jo patrzyła na Tang, która nie zakończyła jeszcze rozmowy z żoną Southerna. Sama musiała ocenić, ile powinna zdradzić. Jeżeli wyłoży karty na stół, facet może się rozłączyć. Chyba że go przekona, iż jest za późno, aby uciekł i próbował się ukryć.

Zaryzykowała.

— Wiem, że należy pan do Klubu Brudnych Sekretów. — Cisza. — Wiem, że w klubie stało się coś złego i czuje się pan zagrożony. Myślę, że ma to związek ze śmiercią Callie. Muszę z panem porozmawiać.

Dalej cisza.

— Chryste, mówi pani, że wszystko wyjdzie na jaw, trafi do mediów?

— Mówię, że mam nadzieję, iż cokolwiek spotkało Callie, nie spotka również pana. Proszę ze mną porozmawiać.

— Jest pani psychiatrą?

— Wiem o Callie i doktorze Yoshida oraz Makim Prichingo. Zbyt wiele osób już nie żyje. Scott, proszę mi powiedzieć, co się dzieje. Jeżeli ma pan kłopoty, proszę pozwolić sobie pomóc.

Znów milczał. Gdzie był? Rozejrzała się dookoła, jakby mogła go zobaczyć.

— Nie ma dość czasu — stwierdził.

— Może jednak coś pan dla mnie wykroi. Choćby minutę. Posłucham.

— Nie wiem...

— Ja wiem. Nie ma problemu, którego nie dałoby się rozwiązać.

Cisza się przedłużała. Gdyby nie szmery na linii, myślałaby, że straciła połączenie. Wreszcie się odezwał. W jego głosie zabrzmiała nuta zniechęcenia.

— Nie wiem, jakim sposobem mogłaby mnie pani ochronić. Jedyną osobą, która potrafiłaby to zrobić, była Callie. Mogła wciągnąć mnie do programu ochrony świadków, sprawić, że Scott Southern zniknąłby na wieki.

— Dziesięć minut, Scott. Proszę dać mi dziesięć minut na rozmowę. Proszę pozwolić się przekonać, że to zadziała. Proszę.

Długie oczekiwanie.

— Tylko dziesięć. Lepiej, żeby to było coś poważnego.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie pan jest. Przyjadę.

— Kiedy?

— Teraz — odparła.

W tle znów odezwała się syrena przeciwmgielna. Jo czekała, żeby jej rozmówca się odezwał.

Scott zamknął oczy, odcinając się od oślepiających refleksów światła odbitych od fal w zatoce. Słyszał tę kobietę tak wyraźnie, jakby stała tuż obok niego.

Wiedziała o anonimie. Wiedziała o klubie. A jednak twierdziła, że może mu pomóc.

Czy mógł zrzucić ten ciężar? Czy to była jego szansa?

Przycisnął telefon do ucha, uczepił się tego połączenia. Ta lekarka mogła być jego liną ratunkową. Jeżeli nie kłamała. Psychiatra. Może próbowała mu zamieszać w głowie, pograć z nim. Ale jeżeli miała rację, jeżeli potrafiła mu pomóc... może mógłby zakończyć ten koszmar, przyskrzynić Skunksa i jego szefa. Bez ujawniania swojego sekretu...

Może. Tylko może. Nikt nie musiałby poznać prawdy na jego temat.

Serce mu zabiło. Czy to, co powiedziała, było możliwe?

Otworzył oczy. Nawet jeśli to tylko szansa, czy nie miał obowiązku jej wypróbować?

— Proszę mi zaufać, panie Southern — usłyszał.

Spojrzał na wodę poniżej, wydawała się jasna i kojąca. Odpowiedział twierdząco na własne pytanie.

Usłyszał piknięcie. Rozmowa przychodziła. Spojrzał na numer. Niezidentyfikowany.

Upadek nadziei. To oznaczało Skunksa.

— Nie ma czasu. On już idzie.

— Scott, zawsze jest coś, co można zrobić. Zawsze.

Mocno zacisnął oczy. Ta lekarka to była ryzykowna sprawa, nie miał już czasu, by sprawdzić, czy mówiła prawdę.

— Tak, ale nie zawsze to, co się chce. Przykro mi, nie mam wyboru.

Oni wiedzieli, uświadomił sobie. Nieważne co zrobi, jego sekret wyjdzie na jaw. Był skończony. Skunks wymierzy karę jego rodzinie.

— Muszę to wyprostować. I jest tylko jeden sposób, żeby to zrobić, bo to musi być pewne. — Telefon znów pisnął. Rozmowa przychodziła. Woda poniżej wyglądała jak szklana tafla. — Pewniejsze niż pocisk.

Rozłączył się.

17.

— Cholera. Rozłączył się. Myślałam, że go mam. — Jo potarła czoło palcami. — Musimy go znaleźć. Coś jest bardzo nie w porządku.

Tang z trzaskiem zamknęła komórkę.

— Jak bardzo?

— Śmiertelnie. Southern jest pod przymusem i przerażony jak cholera.

„Pewniejsze niż pocisk”.

Gdzie on był? Jo myślała o tym, co usłyszała podczas rozmowy. Zapatrzyła się na zatokę, skupiona. Usłyszała syrenę przeciwmgielną.

— Most. — Chwyła Tang za łokieć i pociągnęła na ulicę. — Southern jest na moście Golden Gate.



— Ruszaj na punkt widokowy — powiedział Skunks. — Nie myślisz, Scott, pomyśl o Tylerze.

Myślał. Myślał tylko o Tylerze i Kelly, miał przed oczami tylko ich.

— Co ty sobie wyobrażasz, że to zabawa w chowanego, że

możesz się przede mną schować? Nie jesteś z kosmosu, wiem, gdzie mieszkasz — ciągnął tamten.

Tyler. Melody. Życie, mógł uratować życie.

— Jestem na moście. Wschodnia strona, środkowe przesłó.

— Przyłaż tutaj, kutasie, albo...

— Mam nazwiska. I nie dam ci ich w punkcie widokowym. Ludzie zobaczyliby mojego range-rovera. — I załatwienie tego w umówionym miejscu dałoby Skunksowi szansę. Mógł to zrobić tylko tutaj. — Masz przyjść tutaj albo wyrzucam listę. Będziesz mógł ją dostać, kiedy wypłynie na brzeg w San Jose.

Rozłączył się. Skunks na pewno przyjdzie.



Jo wystartowała ostro spod krawężnika.

— Myślisz, że sytuacja jest aż taka zła? — zapytała Tang.

— Przeczucie; jest gorsza niż zła. Chcesz zaryzykować z nadzieją, że się mylę?

— Nie. Jedź.

Beckett włączyła się do ruchu z piskiem opon.

— Masz w kieszeni koguta, żeby przymocować go na dachu i wyprzedzić wszystkie te samochody?

— Wciskaj klakson. Masz moją dispensę.

Jo wrzuciła dwójkę, puściła sprzęgło i wykonała gwałtowny skręt, żeby wyminąć szereg samochodów przed sobą. Silnik zawył. Zobaczyła, że Amy zapina pas.

— Southern jest przerażony. Kiedy powiedziałam, że jestem lekarzem, z miejsca założył, iż jego rodzinę ktoś skrzywdził albo jest zagrożona.

— Co on robi na moście? — zapytała Tang.

— Spotyka się z facetem, który mu grozi.

— Jedź szybciej.

Jo zatrąbiła i gwałtownie wyminęła kombi. Skręciła, redukując bieg.

Czemu Southern miałby spotykać się ze swoim kontaktem na moście? Bo to miejsce publiczne? I dlatego bezpieczne? Czy chciał w jakiś sposób zaskoczyć swojego dręczyciela? Nie wiedziała. Ale most wywoływał u niej złe skojarzenia.

Zwolniła przed stopem. Tang machnęła ręką.

— Jedź — powiedziała. — Wyprzedzaj. Wyprzedzaj wszystkich.

Jo dotarła do Marina Boulevard, mijając samochody slalomem, i skręciła. Droga biegła prosto, światel było mniej i mogła przyspieszyć. Po prawej zauważyła błysk masztów w słońcu, jachtowy las. Po lewej ciągnęły się schludne drogie domy. W oddali, za zalesionym przylądkiem Presidio, most wisiał nad gardłem zatoki.

Sprawdziła prędkościomierz. No dalej, autko, stać cię na coś więcej niż sto dwadzieścia.

Przeleciała przez światła, kiedy zmieniły się na czerwone. Tang jedną ręką trzymała się deski rozdzielczej, drugą wybierała numer.

— Dzwonię do drogówki. Patrolują most, może go namierzą.

Po kilku sekundach dotarły do stojedynki. Toyota grzechotała i jęczała, ale Jo wciskała gaz do dechy. Porucznik połączyła się z patrolem drogówki. Opisała Southerna, poprosiła, żeby wysłali patrol na most i zaczęli go szukać. Słaba szansa, pomyślała Jo.

Dociągnęła do stu czterdziestu głównie dzięki sile własnej woli.

Tang trzymała telefon przy uchu, czekając na potwierdzenie, że patrol drogówki wyruszył, i zerknęła na kierowcę.

— Ten pick-up to wytrzyma?

Jo ciężko weszła w zakręt.

— Tak, ale naprawdę żałuję, że nie wygrałam na loterii i nie kupiłam lamborghini.

— Grasz na loterii?

— Za każdym razem, kiedy rozwali mi się samochód.

— Nie graj. Większe szanse masz przeżyć zabawę w rosyjską ruletkę.

— Dasz mi pozwolenie na zatrzymanie się na moście?

— A myślisz, że będziemy musiały?

„Na moście” oznaczało sześć wąskich pasów intensywnego ruchu, bez odstępu pomiędzy nimi, bez poboczy. Stanąć oznaczało prosić się o wypadek.

— Tak.

Policjantka zacisnęła usta.

— Więc dobrze i miejmy nadzieję, że drogówka do nas dotrze, zanim jakiś camper wjedzie nam w kufer.

Po obu stronach drogi pojawiły się drzewa, sosny i zagajniki eukaliptusów. Jo pokonała kolejny zakręt. Amy wbiła ramię w deskę rozdzielczą.

— Cholera, cholera...

Zatrzymał je widok czerwonych światel stopu i nieruchomych samochodów. Wstrząsane ABS-em zatrzymały się z piśkiem. Korek.

— Zjeżdżaj na bok — powiedziała Tang. Otworzyła okno, wyciągnęła rękę i mignęła odznaką.

Jo przecisnęła się z boku. Słyszała policjantkę ponownie konferującą z drogówką. Z trudem wcisnęła się na pobocze i z przerażeniem zorientowała, że było za wąskie. Z prawej strony ocierała się kołami o krawężnik. Myśląc: trzymaj się, autko, przyspieszyła. Ruszyły naprzód w przechyle, podskakując jak piłka.

Amy się rozłączyła.

— Zepsuł się samochód z przyczepą... — zaczęła mówić.

Uderzyły o kamień, walnęły podwoziem o jezdnię i jechały dalej. — Teraz rozumiem, czemu ten samochód tak często się psuje. Sto metrów dalej na moście utknęła przyczepa. Pomoc drogowa już jedzie, ale to potrwa, zanim rozładują korek.

— Jak długo?

— Za długo. — Twarz Tang wyrażała napięcie. — Szybko biegasz?

— Nie mam wyjścia.

Dotarły do wejścia do Centrum Turystycznego.

— Zjedź tutaj.



Scott czekał. Ze ściśniętym żołądkiem. Z daleka widział znajomą zgarbioną sylwetkę.

Chwila prawdy.

To było to. Nie banal, ale rzeczywistość — jego chwila prawdy. Ilu ludziom się trafia taka szansa?

Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. W zasięgu wzroku miał Skunksa, który szedł odebrać od niego listę nazwisk ludzi, na których polowali on i jego szef, żeby ich wyeliminować.

Southern ścisnął kartki papieru. Trzy cienkie białe kartki, na których zawarta była prawda: mówiły o życiu i śmierci. Ludzie, których nazwiska się tam znalazły, mieli opuścić ten świat. To była mowa żałobna, końcowe napisy. Ale nie miał wyboru.

Samochody ryczały. W miejscu, gdzie pobierano opłaty, słychać było warkot, ale tu zmienił się w rozmyty szum. Dzień bez wyrazu. Słońce zimne. Miasto wydawało się warstwą kredy rozsypaną na wzgórzach.

Nigdy nie miał większej pewności i bardziej się nie bał. Musiał to dobrze rozegrać, bo drugiej szansy nie będzie.

Dlatego wybrał most. To było pewne. Dziewięćdziesięcioośmioprocentowa pewność za pierwszym razem. To lepsze niż tabletki. Lepsze niż trucizna. Lepsze niż

pacisk. Jedyne miejsce, żeby zrobić to, co musiał zrobić.

Spojrzał w kierunku północnej wieży wyciągniętej ku niebu. Nie wahaj się, Southern. Załatw to, skończ z tym. To była właściwa decyzja. Tyler i Kelly będą bezpieczni. Wszystko zostanie rozwiązane, raz a dobrze.

Nie ma problemu, którego nie da się rozwiązać.

Otrząsnął się. Przestań. Nie mógł pozwolić, żeby ta rozmowa przez telefon zmniejszyła jego determinację. Nie mógł pozwolić, żeby słowa tej lekarki zachwiały jego pewnością. Zrobił wydech i odepchnął tę myśl. Żołądek ścisnął mu się jeszcze bardziej.

Skunks szedł w jego stronę.



Zobaczył Scotta przy środkowym prześle. Koleś stał sobie nieruchomo, kiedy cała reszta się przemieszczała, a ruch uliczny wił się z sykiem jak wąż. Jak cipa opierał się o poręcz.

Miał na sobie czerwoną sportową kurtkę i czapkę baseballową. Trzymał coś w ręku. Miał jakieś kartki. Skunks się uśmiechnął.

Ta cipa przyniosła nazwiska. Super. Ruszył szybciej. Southern po prostu tam stał jak głupia krowa, gotów wręczyć mu spis nazwisk.

Skunks uśmiechnął się szerzej. Ten palant myślał, że kiedy da mu nazwiska, będzie po sprawie. Koniec. Myślał, że spokojnie wróci sobie do domu.

Ha.

Wsadził rękę do kieszeni, namacał zapalniczkę i butelkę. Koniec tak, ale koniec Scotta Southerna.



Jo biegła chodnikiem po zachodniej stronie mostu. Przed sobą miała Marin, brązowe i suche. Po lewej ocean. Jaskrawe

słońce chyliło się na zachód, zgrzytliwie szumiał uliczny ruch. Mimo korka przy wjeździe na most tutaj przesuwał się po wszystkich sześciu pasach w odległości kilku metrów od niej. Po drugiej stronie ulicy, wschodnim chodnikiem, biegła Amy Tang. Jej kolczasta fryzura podskakiwała. Ponura, oczy wbite w setki pieszych na moście. Rozmawiała z kontrolą, mieli na Gold Gate kamery, ale nie zauważyli Southerna.

Obie z Jo oddaliły się o trzysta metrów od południowej wieży, ale most miał prawie trzy kilometry. Mijali je ludzie na rowerach. Woda, strasznie odległa, drżała przecinana tworzonymi przez wiatr falami. Beckett zamruwała oślepiona słońcem, ciężko dyszała. Zadzwoiła jej komórka.

Tang z trudem łapała oddech.

— Mam wątpliwości.

— Biegniemy dalej.

Jo próbowała się skupić. Po przeciwnej stronie ulicy przy prześle, wśród kłębiącego się tłumu ludzi, stał przy poręczy wysoki mężczyzna w czapce baseballowce i sportowej kurtce, patrzył na zatokę. Kurtka była czerwona ze złotymi literami na plecach.

Przyłożyła do ucha telefon.

— Dokładnie przed nami. Czerwona kurtka. To on?

Tang wyteńczyła wzrok. Nie odpowiedziała, ale jakby się wycofała. Wyciszyła. Jak pistolet, w którym odciągnięto cyngiel.

— Jak się nazywa ten facet, z którym chciał gadać Southern? — zapytała.

— Skunks.

— Zwolnij — powiedziała policjantka. — Nie wystrasz ich.

Jo zwolniła do spacerowego kroku, usiłowała wyrównać oddech. Mężczyzna w kurtce się odwrócił. Zbliżał się do niego jakiś człowiek, jedną rękę miał wepchniętą do kieszeni. Nie widziała jego twarzy, ale szedł krokiem zwycięzcy...

...jakby wygrał na loterii. W rosyjską ruletkę. Całym sobą okazywał wyższość.

— To ten facet — powiedziała. — I coś jest nie w porządku.



Skunks podszedł do Southerna.

— Nie wiem, co cię ugryzło, ale sobie odpuść. Daj mi te nazwiska.

Scott stał, mając słońce przed sobą, wyglądał na zasmuczonego. Papiery miał w rękach. Powoli, z zalem, złożył je na pół. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął plastikową torebkę z suwakiem i wrzucił do niej kartki. Zasunął suwak, sprawdził zamknięcie i znów przesunął po nim dłoń. Skunks przyglądał mu się pytająco.

— Nie muszę ich zamrażać, to nie hot dogi. Po prostu mi je daj — powiedział.

Southern pokręcił głową.

— Chodź i je sobie weź.



Jo zbliżyła się do mężczyzn na odległość stu metrów. Wyższy poruszał się jak sportowiec, ze spokojną pewnością siebie, która wypływa z świetnej formy fizycznej. Litery na jego kurtce stały się wyraźniejsze. USC, Uniwersytet Południowej Kalifornii.

— To on, Amy — stwierdziła.

— Gdzie? Ja ich nie widzę — Tang została z tyłu, przepychała się teraz wśród pieszych na znacznie bardziej zatłoczonym chodniku.

— Na środku przęsa — odrzekła Jo. — Niski facet trzyma rękę w kieszeni, jakby miał broń. Wygląda na zdenerwowanego.

Sprawdziła sytuację na drodze. Ruch był szybki i o dużym

natężeniu, sześć pasów pełnych ciężarówek, samochodów, autobusów, trzy zmierzały na południe, trzy na północ, rozdzielone tylko podwójną żółtą linią pośrodku. Oparła się o cienką poręcz, która odgraniczyła chodnik od ulicy i spróbowała znaleźć przerwę. Bez szans.

— Nawet o tym nie myśl — powiedziała Tang. — Nie masz broni.

A ty jesteś wzrostu krasnoludka, pomyślała Jo. Ale i tak im nie odpuszczasz. Czują narastający podziw dla Amy.

— Plan mamy taki — oznajmiła porucznik. — Po pierwsze, zapobiec przemocy. Po drugie, śledzić tego faceta, Skunksa. Po trzecie, porozmawiać z Southernem.

— Te cele mogą być sprzeczne.

Skunks zrobił krok w stronę Southerna. Jo zacisnęła dłoń.



Scott stał twarzą w twarz ze swym prześladowcą. Ten gryzoń był oddalony od niego o dwa metry, jedną rękę wyciągał po papiery, drugą trzymał w kieszeni. Southern nie musiał widzieć broni, by poczuć groźbę. Oczy tamtego były okrutne i puste jak wylot lufy.

Mógł zgarnąć tego faceta.

Ani przez chwilę w to nie wątpił. Tylko że przy tej odległości, jeżeli Skunks trzymał palec na spuście, mógł strzelić. A dookoła było tyle osób. Minęła go właśnie rodzina z dziećmi jedzącymi lodowe rożki.

Musiał mieć go bliżej, na długość ramienia. Włożył plastikową torebkę do wewnętrznej kieszeni kurtki i zapiął się.

— Nie dam ci tych nazwisk. Będziesz musiał sam je wziąć — powiedział.

Oparł się plecami o poręcz. Znajdowała się na wysokości metra, więc czuł ją poniżej krzyża.

— Umywasz ręce? — zapytał Skunks. — Myślisz, że jeżeli to ja je wezmę, a nie ty mi je wręczysz, wtedy to, co się stanie, nie będzie twoją winą? Jak nie było twoją winą to, co się stało z tą dziewczyną w college'u? — Poruszył palcami w geście „daj”.

— Nie — powiedział Scott.

Skunks stał z na wpół otwartymi ustami, w jego oczach czaiła się podłość. Za nim pędziła rzeka samochodów. Southern wyciągnął ramiona do tyłu i położył dłonie na zimnej poręczy. Musiał panować nad nerwami. Zachować spokój. Nie może się znaleźć na spalonym. Musi przyciągnąć do siebie tego drania. Serce mu waliło.

W jego kierunku biegła kobieta. Jej krótkie ciemne włosy podskakiwały na wietrze. Zwolniła, patrząc wprost na niego.



Jo zatrzymała się na środku przęsła, w najwyższym punkcie delikatnego łuku, w który wyginała się ulica. Po drugiej stronie Scott Southern stał twarzą do niej oparty plecami o poręcz, trzymając się jej obiema rękami. Mniejszy mężczyzna znajdował się jakieś dwa metry od niego.

Tang miała do nich jeszcze siedemdziesiąt metrów. Lawirowała wśród pieszych. Biegący mężczyzna z psem na smyczy zablokował jej drogę.

Na jezdni panował straszliwy ruch. Jo nie mogła przebiec, nie zdołałaby przeciąć nawet jednego pasa, unikając potrącenia, a co dopiero sześciu. Samochody, szkolny autobus, tir, pojazdy podążające w obu kierunkach. Raz po raz coś zasłaniało jej widok na obu mężczyzn.

Southern przylgnął plecami do poręczy. Wyglądał jak zwinęta sprężyna. Jakby zamierzał wystrzelić.

Musiała coś zrobić. Nie mogła po prostu tam stać i przyglądać

się paskudnemu rozwojowi sytuacji. Zobaczyła Amy Tang zbliżającą się od południa. Złożyła ręce wokół ust i krzyknęła:

— Scott, zaraz tu będzie policja!

Na dźwięk jej głosu podniósł wzrok i spojrzał na nią z przeciwnej strony. Skunks zrobił krok w jego kierunku.

— Nie! — krzyknęła. — Skunks, nie rób tego.



Scott zobaczył, że kobieta przykłada ręce do ust i krzyczy. Zachowywała się tak, jakby go znała. Jakby chciała pomóc. Usłyszał jej głos stłumiony przez wiatr i ryk samochodów.

Przejeżdżający autobus zasłonił mu ją. Mały człowiek zbliżał się tymczasem cał po calu z wyciągniętą ręką. Teraz albo nigdy.

Stał nieruchomo. Jeszcze cztery kroki. Dalej, Skunks, chodź. Potem obaj będziemy to mieli z głowy.

Małe oczka gryzonia jarzyły się nieufnością.

— Co się z tobą dzieje? Chcesz, żebym lizał ci buty z wdzięczności?

Kobieta po przeciwnej stronie ulicy znów coś krzyknęła. Dotknęła ręką piersi i skinęła głową. Mówiła mu, kim jest. To była ta lekarka. Skunks rzucił się na niego.

— Dawaj.

Spóźniła się.



Jo zobaczyła, że Skunks atakuje Southerna.

— Nie! — krzyknęła. Scott spojrzał wprost na nią.

— O mój Boże — powiedziała.

Stał w odległości dwudziestu metrów, ale to spojrzenie było bliskie jak pocałunek. Cała jego postawa, oświetlona słońcem twarz, ruch ramion stanowiły wyszeptane w jej ucho zapewnienie.

Odetchnął głęboko, wypełniając całe płuca.

Każdy nerw w ciele Jo jakby stanął w płomieniach. Dobry Boże, nie.

Musiała coś zrobić. Teraz.

Wspięła się i stanęła na niskiej barierce pomiędzy chodnikiem a jezdnią, nie szerszej niż podkład kolejowy. Usłyszała zgrzyt hamulców. Spojrzała pospiesznie w bok i zobaczyła volkswagena, który hamował jak szalony. Wyciągnęła rękę niczym gliniarz kierujący ruchem i zeskoczyła na ulicę.

Samochód walił na nią z piskiem, rycząc klaksonem, śmierzdziała guma zdarta z opon przy hamowaniu. Jo pobiegła w poprzek pasa. Następny pas był wolny. Skunks chwycił Southerna za kołnierz. Tamten się odchylił.

Nabrała tchu i krzyknęła:

— Skunks, wracaj, dupku.

Za nią z piskiem hamulców przemknął samochód. Uskoczyła w bok i przebiegła drugi pas. Kolejne hamulce, wyczuła samochód zbliżający się z lewej, wystawiła dłoń. Była prawie w połowie drogi.

Ryk klaksonów, pisk hamulców. Ludzie na chodniku po wschodniej stronie odwracali się, żeby spojrzeć na jezdnię. Jakiś mężczyzna wskazał na nią. Inny, z aparatem fotograficznym, rozpoznał Southerna.

Skunks rozpiął kurtkę Scotta.

Jo znalazła się na środku ulicy. Przed sobą miała jeszcze trzy pasy samochodów podążających na północ. Na chodniku facet z aparatem gestykułował z podnieceniem, wskazując Southerna. Uwagę tłumu odwróciły klaksony i odgłosy ostrego

hamowania. Zdawało się jej, że ktoś zawołał „wariatka...”. Ryk pneumatycznego klaksonu rozdarł powietrze.

Stała jak wryta. Osiemnastokółowa ciężarówka minęła ją z prawej, blokując widok. Pół sekundy i przejechała.

Skunks i Southern się mocowali. Nadjechał samochód terenowy. Kiedy minął Jo, zobaczyła walczących zapamiętałe mężczyzn. Skunks rzucił się na Scotta. Z wizgiem przejechał szkolny autobus, trąbiąc zapamiętałe. Utknęła na środkowej linii.

Skunks walczył rozpaczliwie. Southern miał na twarzy wyraz skupienia. Spletli dłonie, jakby tańczyli.

— Scott, nie...! — krzyknęła, ale wiedziała, że jest za daleko. Macając na oślep w poszukiwaniu ręki Skunksa, Southern wybił się w powietrze. Zrobił to z niesamowitym impetem i pewnością.

Znów pisk hamulców i cysterna z benzyną z rykiem przesłoniła widoczność.

Przemknęła i Jo zobaczyła scenę, która odebrała jej władzę w nogach. Scott był w powietrzu. Czerwona sportowa kurtka wyraźnie odznaczała się na tle błękitu zatoki. Poleciał w przestrzeń za poręczą, jakby szybował do linii na boisku, żeby wykonać przyłożenie.

Runął jak kamień.

18.

Wysoki dźwięk przeszył głowę Jo. To był krzyk przerażenia. Tłum na chodniku odwrócił się w stronę barierki.

Ludzie trzymali się poręczy i spoglądali w dół. Krzyk narastał.

— O mój Boże. — Wyrzuciła przed siebie prawe ramię i przebiegła przez ostatnie trzy pasy wśród hałasu klaksonów i pisku opon.

— Jezu, nie...

Tang dobiegła zadyszana.

— Policja, z drogi! Policja! — zawołała.

Chwyliła balustradę i spojrzała w dół. Pierś jej falowała, knykie zbieleły. Jo jednym susem pokonała chodnik i stanęła przy Amy.

Zobaczyła go w powietrzu. Zacisnęła powieki i dotknęła głową poręczy.

Jakaś kobieta obok krzyknęła przerażona.

Dotarły do niej głosy ostre jak drzazgi.

— Spadł?

— Cholera, skoczył?

Skoczył. Tang spojrzała na Jo oczami szaleńca, jakby po

zaaplikowaniu dawki trucizny. Osunęła się na barierkę. Sprawiała wrażenie osoby niespełna rozumu, rozpaczliwie usiłującej odsunąć od siebie to, co przed chwilą widziała.

Beckett wyprostowała się, chwyciła ją za ramiona i zapytała przez zaciśnięte zęby:

— Co ze Skunksem?

Amy pokręciła głową.

— Tylko Southern.

Hałas dookoła był tak głośny, że ledwie słyszała samą siebie. Oddychała z trudem. Paliły ją oczy.

— A gdzie jest Skunks?

Obie zaczęły się rozglądać.

Kobieta stojąca w pobliżu poręczy obejmowała się ramionami. Przyłożyła dłoń do ust i zaczęła płakać. Jo potrząsnęła stojącym obok niej mężczyzną.

— Widział pan, co się stało? Machnął ręką w powietrzu.

— Ten facet walczył z innym, takim niskim.

Tang, wciąż częściowo bezwładna, opierała się o barierkę.

— Czy został popchnięty? Widziałam, że się szarpali. Ten, który spadł, czy został popchnięty?

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie. Ten mniejszy, wyglądało, jakby... jakby próbował tamtego powstrzymać. Ciągnął go albo... cholera, nie wiem. Próbował go ratować, ale tamten się wyrwał. I ten drugi był za mały.

Jo przepchnęła się przez grupę ludzi, która zebrała się w pobliżu balustrady. Kiedy spojrzała na północ, zobaczyła na moście co najmniej setkę przechodniów, ale tylko jeden człowiek biegł.

— Tang. Jest tam.

Oddalił się już o prawie sto metrów. Przyglądała się, jak uciekał. Miała wrażenie, że skamieniała.

Słyszała Amy rozmawiającą przez telefon, wzywała karetkę. Usłyszała: „Mężczyzna spadł z mostu”, a potem: „drugi mężczyzna ucieka pieszo”. Widziała Skunksa znikającego w oddali. Pobieгла za nim.

Ciężyły jej buty. Głowę miała ciężką, myśli rozsypały się jak garść śrutu. Umysł wypełniał jednostajny wysoki dźwięk.

Cztery sekundy: kiedy przeleci się za poręcz Golden Gate Bridge, tyle czasu mija do uderzenia o wodę. Wieczność, gdy widzi się spód mostu oddalający się z przerażającą szybkością. Kilka uderzeń serca, spojrzenie na ludzi na chodniku, którzy wrzeszczą jak szaleni.

To Skunks był powodem, dla którego Southern poszybował w przestrzeń. Nie miał innego powodu, by uciekać przed życiem.



Biegł z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową. Gnając najszybciej jak mogła, Jo zbliżyła się do niego. Widziała go wyraźniej. Zgarbiony, chyłkiem przemyczał na stronę mostu wychodzącą na Marin.

Chociaż była w dobrej formie, ten sprint sprawił, że oddychała ciężko. Pod północną wieżą usłyszał ją, odwrócił się, spojrzał, stanął. Drgnęły mu ramiona. A potem przyspieszył.

Poruszała się z maksymalną prędkością, zbliżyła się do niego. Przed nimi mężczyzna prowadził na smyczy nieposłusznego owczarka niemieckiego. Skunks napadł na niego i wyszarpnął mu smycz z ręki.

— Hej! — zawołał właściciel psa.

Tamten odwrócił się i rzucił Jo wściekle spojrzenie. Miał chytre oczka. Rozchylone usta. Wyglądał jak zwierzę złapane w pułapkę, gotowe ugryźć. Dotarł do niej powiew tak słodkiej, że przyprawiającej o mdłości wody kolońskiej i kwaśny odór jego

ciała. Zatrzymała się gwałtownie, przepełniona odrazą i nagle przestraszona.

Skunks uderzył psa w głowę. Zwierzę oszalało, zaczęło się rzucać i szczekać. Kopnął je w zad, wskazał na goniącą go kobietę i krzyknął:

— Bierz ją!

Pobiegł. Właściciel chwycił smycz. Jo usiłowała ich wyminąć, ale zaplątała się w smycz, zderzyła z oszalałym psem i jego panem. Potknęła się i upadła, podpierając się na dłoniach.

Mężczyzna przyciągnął psa.

— Mongo, do nogi!

Beckett wstała i wystartowała ponownie. Skunks gnał przed nią jak szatan.

Wyciągnęła komórkę i wcisnęła powtórnie wybieranie, ciężko dysząc.

— Amy, kieruje się na parking przy punkcie widokowym. Gdzie jest patrol drogówki?

— Gdzieś w pobliżu pętli — odpowiedziała policjantka.

— Spróbuję go nie zgubić.

Kiedy dotarła na parking, nie mogła jednak odnaleźć uciekiniera. Krążyła wokół punktu widokowego, pot strużką płynął jej po plecach. Zniknął. Usiadła na krawężniku i włożyła pięść do ust, walcząc z łzami i szlochem, który dławił ją za gardło. Siedziała, wpatrując się w lśniąca zatokę, która właśnie połknęła złotego chłopca z tego miasta.



Jo siedziała na masce toyoty Tacoma zaparkowanej przy Centrum Turystycznym. Park krajobrazowy mienił się złotem i czerwienią w zachodzącym słońcu. Na parkingu detektyw w cywilnym ubraniu przeszukiwał szarego range-rovera. Był zarejestrowany na Scotta Southerna. Amy Tang stała obok,

rozmawiając z oficerem drogówki i dwoma umundurowanymi policjantami z patrołu.

Ten w cywilnym ubraniu wyprostował się, zdjął lateksowe rękawiczki i pokręcił głową.

Porucznik podziękowała i podeszła do tacomy. Wykorzystała zderzak jako stopień, wspięła się i usiadła na masce obok Jo.

— W samochodzie nie ma nic wartego zainteresowania. — Ruchem głowy wskazała przeciwną stronę zatoki. — Straż przybrzeżna wysłała łódź z Fort Baker. Jeżeli wypłynie, przywiozą go z powrotem.

Tang wycofała się pod osłonę swojej kolczastej skorupy jak jeżowiec. Czarny T-shirt miała poznaczony pasmami zaschniętego potu, wyglądała jak lizawka.

Patrzyły na most. Wypolerowany przez słońce tworzył ogromny żelazny łuk ponad bezduszną wodą zamkniętą pomiędzy przylądkami. Wspaniała i przerażający, dość potężny, by wystrzeliwać ludzi w niebyt.

— Zanim wyskoczył... — odezwała się Jo. — Kiedy biegłaś w ich kierunku, powiedz mi dokładnie, co widziałas.

Wiatr zburzył kolczastą fryzurę Tang.

— Na chodniku było tylu ludzi, że nie widziałam zbyt wyraźnie. Tylko w przelocie. Southern stał oparty plecami o poręcz. — Wpatrywała się w wodę. — Widziałam tego facecika, Skunksa, kiedy się do niego zbliżał. Jedną rękę miał w kieszeni, jakby trzymał tam broń. Myślałam, że chce zabić Scotta.

Jo ścisnęła obie dłonie między kolanami.

— Mów dalej.

— Ale Southern go chwycił. Ludzie zasłaniali mi widok. Kiedy wreszcie utworzyła się luka, wszystko wyglądało inaczej. Southern i Skunks się przepychali. To wyglądało jakby... —

Zamilkła. Wytarła nos. — Wyglądało, jakby Skunks próbował powstrzymać Scotta przed skokiem przez poręcz.

Doktor Beckett milczała. Wiatr zaczął przybierać na sile. Po przeciwnej stronie parkingu umundurowani policjanci wsiedli do swojego patrolowego wozu i odjechali. Tang uniosła dłoń, kiedy je mijali.

Zerknęła na Jo.

— Widzisz w tym jakiś sens?

— Myślę, że masz rację w połowie. Skunks próbował zapobiec upadkowi Southerna, bo chciał, żeby tamten coś mu dał. Miał wyciągniętą rękę.

— Widziałam. Ale co?

— Opisz tę przepychankę. Czy to wyglądało, jakby Southern stracił równowagę i wypadł przez poręcz? Jakby to był dziwny wypadek?

Amy pokręciła głową.

— To był duży facet, ale nie gigant. Nie mógł po prostu wypaść.

— Skunks nie mógł go też chwycić i wyrzucić.

Tang spojrzała na swoje dłonie.

— Nie. Nie ma mowy, żeby Southern spadł przypadkowo. Skunks chciał go powstrzymać przed skokiem. — Zmarszczyła brwi. — Albo usiłował zabrać to, po co przyszedł, zanim Scott spadnie.

Jo poczuła ucisk w gardle.

— Myślę, że Southern zwabił go na odległość ramienia i chwycił. Ale jakiś przechodzień go zdekoncentrował i Skunks zdołał się wyrwać.

— Chwycił? Dlaczego? — zapytała Tang.

— Southern się zabił i usiłował zabrać Skunksa ze sobą.

Amy wpatrywała się w nią długo i uważnie.

— Uważasz, że to była kolejna próba popełnienia rozszerzonego samobójstwa?

— Tak.
— Dlaczego?
— Widziałam twarz Southerna.
— I?
— Wiedział, że zaraz umrze. Dlatego pobiegłam przez jezdnę. Patrzył na mnie. Widziałam, kiedy podjął decyzję.
— Odbija ci. Interpretujesz po fakcie. Nie możesz tego wiedzieć.

Jo odwróciła się do Amy.

— Mogę. Widziałam ten wyraz twarzy już wcześniej. To pełna świadomość tego, co zaraz się wydarzy. To chwila prawdy. — Usiłowała zdusić wszystkie własne odczucia, ale wylały się przez pęknięcia w jej zbroi. — Wiedział, że od śmierci dzielią go sekundy. Dokładnie to rozumiał.

Tang zmarszczyła brwi i pochyliła się w jej stronę.

— Hej. Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest — odparła Jo. Wstała, obeszła półciążarówkę i otworzyła drzwi od strony kierowcy. — Możesz mi nie wierzyć, ale jestem całkiem pewna. Scott Southern zwabił Skunksa na most, bo zamierzał zabić siebie i jego.

Wsiadła i uruchomiła silnik.

Porucznik zajęła miejsce obok i zatrzasnęła drzwi.

— Skąd to przekonanie?

— Powiedział mi przez telefon. Powiedział, że nie mogę mu pomóc, że jest tylko jeden sposób, aby rozwiązać ten problem. I że jego rozwiązanie jest pewne. — Wrzuciła bieg. — Pewniejsze niż pocisk. — Zakręciła kierownicą. — Cytował statystykę samobójstw.

— O cholera.

— Przestudiował kwestię samobójstwa, Amy. Wiedział, że skok z tego mostu to prawie pewny sposób, żeby umrzeć. — Spojrzała na Golden Gate w całym jego splendorze i złowrogim

pięknie. — Skoczyło stąd tysiąc trzysta osób. Przeżyło tylko kilkanaście. Chcesz umrzeć, nie zażywasz tabletek, nie podcinasz sobie żył, nie strzelasz do siebie. Więcej osób przeżywa rany postrzałowe zadane samodzielnie niż uderzenie w wodę zatoki. — Wyjechała z parkingu. — Chcesz umrzeć, wspinasz się na poręcz i skaczesz.

Tang skuliła się na siedzeniu.

— Ale część przeżyła?

Jo najbardziej na świecie nienawidziła obecności bezpodstawnej nadziei w czyimś głosie. Amy posyłała swoje modlitwy w próżnię. Doktor Beckett wiedziała, co się stało z ciałami ludzi, którzy uderzyli w ścianę wody po upadku z mostu.

A porucznik Tang to widziała.

— Nie odwróciłaś wzroku, Amy.

— Widziałam, kiedy spadał. — Twarz miała ściągniętą. — To trwało wieki.

— Widziałas go w powietrzu, kiedy usiłował sięgnąć w naszą stronę? — zapytała Jo po chwili milczenia.

— Wiedział, że było za późno — odrzekła Tang.

— Żałował, że nie ma z nim Skunksa.

— Albo zmienił zdanie.

Policjantka widziała go oddalającego się z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, z ręką wyciągniętą w kierunku mostu. Odruchowo odgarnęła włosy z twarzy.

— To był punkt, w którym już nie ma odwrotu. I on to wiedział — stwierdziła.

Widziała, jak się poddał i szeroko rozłożył ramiona, jakby skazując się na ukrzyżowanie. Patrzyła na Jo.

— Widziałas, jak ludzie umierają — powiedziała.

— Tak.

Amy miała szeroko otwarte oczy, kanciasty elf.

— Trudno było patrzeć na odchodzących pacjentów? Zbyt trudno? To dlatego zdecydowałaś się na psychiatrię? — zapytała po chwili.

Jo zalała falą współczucia. Tang była inteligentna i kompetentna, a także bardzo odważna, ale nie miała doświadczenia ze śmiercią. Mimo że pracowała jako policjantka, nie widziała umierania.

— To dlatego staram się pomóc tym, którzy zostali, zrozumieć, co się stało z tymi, których kochali — wyjaśniła doktor Beckett. — Tylko tyle mogę zrobić.

Nie powiedziała, że robienie tego, co możliwe, nie zawsze wystarcza.

Poniosły dzisiaj porażkę, a czterdzieści osiem godzin, o których mówiła Tang, uleciało z wiatrem. Jo skręciła na autostradę. Myślała o tym, kto będzie następny.

19.

Jo weszła do domu, ale wydał jej się pozbawiony powietrza.

„Trudno było patrzeć na odchodzących pacjentów? Zbyt trudno?”.

Drobinki kurzu zabłyśły w smudze światła wpadającego przez okno. Na kominku tykał zegar, odmierzając kolejne sekundy, które wciąż oddalały ją od ostatnich chwil z Danielem.

Tego ostatniego dnia spędzonego razem z nim weszła na pokład helikoptera i zapięła pasy, by wziąć udział w locie ratunkowym. Podróż do Bodega Bay należała do tych, podczas których wywraca się człowiekowi żołądek. Wiatr rzucał helikopterem na wszystkie strony, a deszcz siekł okna.

Śmigłowiec z trudem utrzymywał równowagę, kiedy słuchali z Danielem informacji o pacjentce. Emily Leigh, lat sześć, pęknięty wyrostek, do tego choroba Crohna i cała gama innych przewlekłych schorzeń. Delikatna dziewczynka, którą po raz kolejny spotkał pech. Ona, Daniel i piloci wiedzieli, że jeżeli nie przetransportują dziecka na chirurgię pediatriczną do szpitala uniwersyteckiego, umrze przed zachodem słońca z powodu zapalenia wyrostka.

Daniel spojrział na Jo.

— Pogoda jest tak fatalna, że nie widzę słońca. Nie może więc do tego dojść.

Wybrzeże Sonoma było daleko. Godzinny lot przeniósł ich wprawie dzikie strony poszarpanej linii brzegowej, szalonych fal i gór wypolerowanych na zielono przez ciągły wiatr i północnokalifornijskie sztormy. Bodega Bay było odizolowanym od świata rybackim miasteczkiem zamieszkanym przez cyganerię. Gdy się zbliżali, poderwało się stado mew. Jo usłyszała przekleństwa pilota. Piloci nienawidzili ptaków. Wylądowali na mokrym placu zabaw, nie wyłączając silników. Ambulans czekał, wirujące w deszczu światło, wycieraczki usiłujące wygrać z deszczem. Jo wyskoczyła z helikoptera i wiatr z całą siłą uderzył ją w bok głowy.

Miejscowi lekarze przenieśli małą Emily na noszach przez plac. Była skulona pod termalnym kocem. Pielęgniarka osłaniała ją parasolem, gdy biegli. Razem z nimi biegła matka dziewczynki trzymająca ją za rękę. Pochylili się i podeszli do helikoptera.

Lekarze włożyli nosze do środka, wykrzykując podstawowe informacje. Daniel zapisał je na podkładce. Jo zabezpieczyła nosze i podwiesiła torbę z kroplówką. Emily była blada i leżała nieruchomo, aby uniknąć bólu. Patrzyła na nią wielkimi oczami. Przygryzała dolną wargę, starała się nie płakać.

Jo poczuła ucisk w gardle i przełknęła ślinę. Widok dziecka przytomnego i walczącego z bólem dobrze rokował. Oznaczało to, że jeszcze nie wdała się infekcja. I tak powinno zostać. Gdyby zaczęło się zapalenie wyrostka, dziewczynka nie przeżyłaby godziny.

Matka Emily zajrzała przez drzwi i krzyknęła:

— Mogę lecieć?!

Daniel pokręcił głową.

— Nie ma miejsca. Przykro mi.

Twarz kobiety porażała cierpieniem.

— Zajmiemy się nią — zapewniła ją Jo.

Zasunięto drzwi helikoptera i silniki nabrały mocy. Unieśli się w górę, powietrze spod silników położyło trawę, tworząc kręgi. Zanim skręcili na południe, matka Emily nakreśliła znak krzyża i obiema rękami posłała jej pocałunek.

Czy ciężko było patrzeć na odchodzących pacjentów?

Nie. Ale każdego dnia oddychanie stawało się trudniejsze. Jo odwróciła się od okna.

Ludzie, którzy należeli do Klubu Brudnych Sekretów, umierali. Podobnie ich kochankowie, dzieci i przypadkowi świadkowie. Zadzwoniła na intensywną terapię do St. Francis i skontaktowała się z główną pielęgniarką.

— Pani Meyer nadal jest nieprzytomna — usłyszała.

— Czy ktoś przyszedł się z nią zobaczyć?

— Dwóch stażystów z prokuratury. Zostawili kartki i kwiaty.

— Nikt z rodziny?

— Nikt się nie kontaktował.

Jo czuła skurcz w żołądku.

— Wypadek, w którym pani Meyer została ranna, był podejrzany. Proszę powiedzieć personelowi, żeby miał oko na każdego, kto będzie o nią wypytywał albo zjawi się na oddziale, żeby się z nią zobaczyć.

Pielęgniarka przez chwilę nic nie mówiła.

— Załatwione — powiedziała wreszcie. — Jest szansa, że dostaniemy policyjną ochronę?

— Nie w tej chwili. Porozmawiam z wydziałem, ale nie ma gwarancji.

— Przekażę ochronie.

— Dzięki.

Kiedy Jo się rozłączyła, dom zaczął ją dławić. Zmieniła ciuchy na sportowe, chwyciła plecak i poszła do niewielkiego parku u podnóża wzgórza, aby się powspinać.

Zmierzchało już, gdy zjechała na bok drogi i poszła przez

park w kierunku zielonego wąwozu pełnego porozrzucanych skał, ukrytego przed mieszkańcami ludnego miasta. W rejonie zatoki większość miejsc do boulderingu stanowiły sztuczne ściany. Naturalne skałki należały do rzadkości, ale za dębowym zagajnikiem znajdowało się kilka dużych głazów. Jo włożyła buty wspinaczkowe, mocniej zapięła rzepy, przypięła torebkę z kredą do paska i podeszła do jednego z nich.

Miejskie światła, hałas ulicznego ruchu, wszystko zbladło i stało się tłem. Powietrze było rzeńskie. Wieczór Halloween, pełen obietnic zbliżającej się dobrej zabawy. Na zachodzie niebo nabrało złotej barwy. Natarła ręce kredą.

Głaz miał około czterech metrów wysokości, był wciśnięty między inne jak kawałek gruzu rzucony przez wściekłego olbrzyma. Czuła chłód skały pod palcami. Piaskowiec, szorstki w dotyku. Przednia ściana była prawie pionowa. Jo przyjrzała się jej, planując drogę na szczyt, co wspinacze nazywają problemem. Cztery metry — nie zawracała sobie głowy przygotowaniem awaryjnego podkładu, który złagodziłby skutki upadku. Znała te skały. To byli starzy przyjaciele, milczący, bezkompromisowi i godni zaufania. Bouldering mógł być niebezpieczny, ale to nie wina skał. Ryzyko wynikało z potencjalnych błędów wspinającego się.

Jo zaczęła pokonywać problem, stawiając stopę na mniej więcej milimetrym występie. Czuła się sztywne. Mięśnie miała spięte. Wiedziała, że to kwestia emocji. Wypchnęła ciało w górę, sięgnęła ponad głowę, żeby znaleźć uchwyt, przycisnęła się do skały.

Odpuść, Jo. Tylko oddychaj. Zostaw to, wyciągaj się, skoncentruj się na problemie, który masz przed sobą. Skały nie skłamią. Nie zrobią ci krzywdy. Nie odejdą. Będą tutaj za milion lat.

Poprawiła uchwyt i oparcie stóp. Wychyliła się i wepchnęła lewą dłoń w szczelinę. Spojrzała w górę.

Niebo lśniło niebiesko z magicznym srebrnym poblaskiem. Daniel zawsze kochał tę porę dnia, nawet zmęczony jak pies po dwudziestoczworgodzinnej dyżurze albo po pokonaniu ściany w Yosemite. Uwielbiał pozbywać się stresu dzięki skałom, kochał wyzwanie i czystość wspinaczki. Tamten ostatni raz, w Tuolumne Meadows, wspinali się, a potem przygotowali kolację przy ognisku. Miał na sobie spłowiały brązowy T-shirt w kolorze kamienia i był taki opalony, taki spokojny, tak zupełnie pogodzony ze wszystkim dookoła. Zwykle nie był cichy. Daniel stanowił odwrotność cyklonu, zdystansowany wobec chaosu świata, dręczony wewnętrznymi burzami, ale tamtego wieczoru był spokojny. Nawet nie był głodny, tylko spragniony jej, Jo. Kryształicznie czysta chwila.

Zaklinowała palce w szczelinie. Przez sekundę wisiała, po czym mocno odepchnęła się w górę nogami.

Znów widziała to spojrzenie. Zaakceptowanie nieodwołalnego. Widziała Scotta Southerna opartego plecami o poręcz na moście.

Wykonała wyrzut, szukała oparcia. Uderzyła we właściwe miejsce, ale nie trafiła. Odpadła i czuła, że frunie.

Odepchnęła się, odwróciła i wylądowała na chłodnej ziemi.

Southern zabił siebie i próbował zabrać ze sobą swojego dręczyciela. Był w rozpacz, bał się, że jego rodzinie grozi niebezpieczeństwo.

Należał do Klubu Brudnych Sekretów.

Jaki miał sekret? Co dało temu żyłastemu mężczyźnie imieniem Skunks taką nad nim władzę? Co wywołało takie uczucie osamotnienia i determinację, żeby wszystko zakończyć?

Żeby to powstrzymać.

Natarła ręce kredą i zaczęła jeszcze raz. Oderwała się od ziemi, przycisnęła do skały, wysunęła ramię w górę i bezpiecznie ułożyła palce w szczelinie. Podciągała się i wypychała nogami,

rytmicznie rzucając ciało w górę, tym razem chwytając krawędź i utrzymując się na skale.

Skunks najwyraźniej torował sobie drogę przez Klub Brudnych Sekretów. Najpierw doktor David Yoshida przedawkował leki dwa dni po śmierci swojego syna. Potem Maki Prichingo zabił kochanka i włożył sobie strzelbę pod brodę. Callie Harding zjechała z mostu na Stockton Street. Wszyscy byli ludźmi sukcesu. Łączyła ich ta dziwaczna klika, do której należeli, eleganckie gniazdo węży pod nazwą KBS.

Jo przycisnęła ciało do zimnej skały, wyginając się zgodnie z jej kształtem. „Używaj nóg, żebyś nie wyczerpał sił półtora metra nad ziemią”. — Usłyszała swój własny śmiech, kiedy mówiła to Danny'emu podczas ich pierwszej wspinaczki. Zrobiła wydech, poprawiła oparcie stóp i ruszyła w górę. Chwyliła wystającą część skały tam, gdzie zaczęła się wypłaszczać.

Członkowie Klubu Brudnych Sekretów kolejno ginęli w wypadkach. I to w coraz większym tempie. Ale to nie były morderstwa. Ktoś nakłaniał ich, żeby sami się zabijali.

Gwałtownym wyrzutem przeniosła ciężar nad krawędzią i wdrapała się na szczyt skały.

Usiadła. Ręce i nogi płonęły. Serce galopowało jak koń wyścigowy. Była wykończona.

Skunks — a może ktoś inny — przekonywał ich, żeby się zabili. To znaczy, że stawiał ich przed wyborem tak bolesnym, iż uznawali śmierć za mniejsze zło.

Co to był za wybór? Żeby się dowiedzieć, musiała porozmawiać z kobietą, która przeżyła śmiertelny skok Callie. Geli Meyer wiedziała, co pchnęło Harding poza krawędź. Tylko że Geli była nieruchoma i milcząca jak te skały. Jo siedziała na szczycie i przyglądała się, jak na zachodzie zapala się wieczorna gwiazda.

Co dla tych ludzi było gorsze niż śmierć?

20.

Jo zaparkowała półciężarówkę przecnicę od swojego domu. Słońce zmieniło się w krwistą pomarańczę na zachodnim niebie, wyzłacając sosny kalifornijskie w parku. Drzewa wyglądały, jakby płonęły. Ruszyła chodnikiem w górę, wygrzebując z torby klucze. Gorąca herbata, gorący prysznic, talerz chińskiego makaronu — tego właśnie potrzebowała, i to już. Miała akurat tyle czasu, żeby się przygotować do wyjścia na uniwersytet, gdzie miała poprowadzić sesję grupy osób w żałobie. Stamtąd Tina zabierała ją na babski wieczór. Lepiej, żeby był wystrzałowy.

W domach wzdłuż ulicy migotały światła. Zachodzące słońce odbijało się w oknach mieszkań. Zobaczyła, za późno, że u Ferda Bismutha żaluzje są podniesione, a jego wynajęta rezydencja oświetlona jak choinka. Frontowe drzwi gwałtownie się otworzyły i sąsiad wybiegł na zewnątrz, machając.

— Jo, chodź zobaczyć.

Resztki energii zużyła kilka godzin wcześniej.

— Ferd, przykro mi, ale teraz nie mogę.

— Załatwiłem tę receptę.

O czym on mówił? Miała zobaczyć, co wykupił na receptę?

Tańczące pudełko do tabletek? Ferd przechylił głowę i uśmiechnął się, jakby dobra czarownica właśnie mu powiedziała, którędy może wrócić do domu. Niemal podskakiwał z podniecenia.

— Nigdy nie zgadniesz.

Racja. Nie zgadłaby. Miał alergologa, akupunkturzystę i specjalistę od odmładzania... Czy chodziło o odwilżacz? Chodzik? Elektryczny materac, który się unosił, by utrzymać w górze jego skrzywioną przegrodę nosową podczas snu?

— Mam nadzieję, że to ci pomoże — powiedziała.

Stał przed drzwiami. Wbrew własnej woli Jo stanęła i zajrzała ponad jego ramieniem do mrocznego holu. Coś szybko się tam przemieściło. Gwałtownie nabrała powietrza.

— Ferd, co...

Odwrócił się z szerokim uśmiechem.

— Panie Peebles? Wyjdz.

W cieniu poruszyło się coś pajęczego. Jo zrobiła krok w tył.

W drzwiach pojawiła się para oczu. Stworzenie było małe i niespokojne, czarne z białą mordką i piersią, drobnymi łapkami trzymało się framugi drzwi.

— Ferd, dostałeś małpkę na receptę? — Usłyszała niedowierzanie we własnym głosie.

— Kapucynkę. — Przywołał zwierzątko. — Panie Peebles, chodź się przywitać.

Na dźwięk swojego imienia małpka gwałtownie uniosła głowę. Skuliła się i cofnęła do środka.

— Panie Peebles, to niegrzeczne. Chodź tu.

Mówił do zwierzaka, jakby był dzieckiem. Małym niegrzecznym dzieckiem, które narobiło bałaganu wśród elektronicznych gadżetów w sklepie komputerowym, gdzie pracował.

Ruchem ręki wskazał Jo.

— To moja przyjaciółka Johanna. Jest lekarzem. Psychiatrą.

— Wymówił to powoli. — Więc lepiej porządnie się przy niej zachowuj, bo może cię wysłać do wariatkowa.

— Ferd, proszę. — Weszła po schodach na werandę. — Co ona tu robi?

— To moje zwierzątko pomocnicze.

O Boże.

— Profesjonalista zajmujący się opieką zdrowotną przepisał ci małąkę?

— Mój hipnoterapeuta.

— Dlaczego? — Jo potarła czoło.

— Zapewnia mi wsparcie emocjonalne. Będzie mnie uspokajała, kiedy poczuję przyływ paniki. Zostało medycznie udowodnione, że zwierzęta działają kojąco na nerwy.

— Wiem, ale...

— Czy nie jest cudowna? — Pochylił się i cmoknął na stworzonko. — Chodź tu, mała.

Małpka się wycofała ze skrzywionym podejrzliwie pyszczkiem.

Ferd schylił się i podniósł zwierzę.

— Okay. Nie ma pośpiechu.

Kapucynka chwyciła kołnierz jego koszuli i przysiadła mu na ramieniu, rozglądając się dookoła nerwowo, jakby spodziewała się ataku ze strony nietoperzy.

— To znacznie zdrowsze niż lekarstwa albo terapia. I oszczędza masę czasu. Może robić dla mnie różne rzeczy. — Ferd ponownie odezwał się głosem surowego rodzica. — Panie Peebles, proszę mi podać iPoda.

Małpka kucnęła niżej i podrapała się po plecach.

— W porządku. Uściskaj mnie.

Zwierzątko nerwowo spoglądało na wszystkie strony, jakby nurkowało w jego stronę te niewidzialne nietoperze. Po chwili zatrzymało wzrok na Jo. Ściągnęło pyszczek.

Sąsiad się rozpromienił.

— Jest zupełnie jak mały Ferdek.

— Jeżeli to coś jest twoim Id, to widzę więcej, niż kiedykolwiek chciał zobaczyć jakikolwiek terapeuta.

— Utrzyma mnie na prostym kursie. Nie będzie więcej ataków paniki w restauracjach czy na moście.

Wiedziała, że stanowiące emocjonalne wsparcie zwierzęta naprawdę mogą pomóc ludziom, ale myśl o tym szkodniku rozrzucającym jedzenie w restauracji lub, co gorsza, biegającym swobodnie w samochodzie Ferda przy stu kilometrach na godzinę, przyprawiła ją o zawrót głowy.

— Kup mu dziecięcy fotelik — powiedziała. — Z pięciopunktowym pasem bezpieczeństwa.

Pan Peebles wpatrywał się w nią czarnymi oczami. Pokazał zęby i wrzasnął.



Jo szła chodnikiem w stronę domu. Miejsce tuż przed drzwiami, najlepsze miejsce parkingowe, zostało zajęte przez czarną toyotę 4Runner. Gdy podeszła, otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadł Gabe Quintana.

Nie mogła uwierzyć, jak bardzo pojaśniało słońce, gdy szedł w jej stronę. Włożyła ręce do kieszeni bluzy. W samochodzie było włączone światło. Zobaczyła siedzącą z przodu, na siedzeniu pasażera, małą dziewczynkę.

— Hej — powiedziała.

Gabe podszedł do niej spacerowym krokiem.

— Zapomniałeś o tym. — Miał jej notatnik i pióro, które zostawiła w taquerii, oraz papierowy talerz przykryty aluminiową folią. Jej lunch.

— Dziękuję, sierżancie.

— Co ci mówiłem na ten temat?

— A tak, jesteś buntownikiem. Który przynosi mi posiłki. — Zaśmiała się. — Możesz się buntować, mnie się to podoba. Co będzie, kiedy pstryknę palcami?

— Chcesz się dowiedzieć? — Uśmiechnął się niespiesznie i porozumiewawczo, wprawiając ją w zakłopotanie.

Spuściła wzrok. Gabe się skrzywił.

— Sophie i ja wybieramy się coś przegryźć, zanim ją podrzucę. Dzisiaj spędza wieczór z mamą.

Jo spojrzała do wnętrza samochodu. Dziewczynka śpiewała sobie i bawiła się lalką.

— Kiedy to lalki Bratz podbiły świat?

— Mama kupiła jej cały zestaw. Yasmin, Jade, Pouty i Gimme — wyjaśnił Gabe.

— Powinnam sprzedawać stosowne akcesoria poirytowanym rodzicom. Na przykład małe palniki acetylenowe.

— Nie, nie warto się zajmować drobiazgami.

— Chcesz powiedzieć, że zająłbyś się od razu fabryką tych lalek? — zażartowała Jo.

— C4 załatwiłby sprawę — odrzekł z szerokim uśmiechem. — Jedziesz z nami?

W wieczornym świetle wyglądał bardzo przystojnie. Nie w hollywoodzkim stylu — nie był ładny, zupełnie nie. Miał krzywy uśmiech. Ciemne oczy, które ją obserwowały. Pod jego spojrzeniem miała wrażenie, że weszła w naładowaną elektrycznie przestrzeń.

Zbiło ją to z tropu. Cofnęła się. Kiedy się odezwała, głos miała chłodny.

— Przykro mi, ale nie mogę. Mam spotkanie na uniwerku. Ale czy mogłabym poznać Sophie?

— Jasne. — Jeżeli był rozczarowany, szybko się otrząsnął. Machnął do córki. — Chodź tu, świerszczyku.

Sophie Quintana wyskoczyła z toyoty i podbiegła. Trzymała

swoją lalkę Bratz, jakby to była Supermenka. Ta frunęła obok dziewczynki z powiewającymi włosami, nadąsana półbohaterka.

— To jest Jo — oznajmił Gabe.

— Cześć, Sophie.

Mała miała nieśmiały uśmiech i brązowe oczy Gabe'a. Głębokie i bystre, wydawały się bardziej doświadczone, niż Jo chciałaby widzieć w twarzy dziecka. Ubrana była w disnejowską koszulkę z księżniczkami: Królowną Śnieżką, Ariel i Jasmine.

— Dzięki, że przynieśliście moje rzeczy — powiedziała Jo.

Zadzwoniła jej komórka. Przeprosiła na chwilę, machając dziewczynce na do widzenia, gdy Gabe odprowadził ją do samochodu. W uszach słyszała szum krwi.

Amy Tang sprowadziła ją z powrotem na ziemię.

— Wracaj do Marin. Znaleźli go.



Kuter straży przybrzeżnej przycumowano do mola w Fort Baker. Woda w zatoczce była fioletowa w zachodzącym słońcu. Ponad nimi majaczył Golden Gate Bridge z jasno oświetlonymi wieżami. Po przeciwnej stronie zatoki migotały światła miasta. Jo ruszyła w stronę doku. Gabe był metr za nią.

Czekał na nich detektyw z biura koronera okręgu Marin. Zdusił papierosa i wyciągnął rękę.

— Walt Czerny.

— Jo Beckett. To Gabe Quintana ze sto dwudziestego dwiętego oddziału ratowniczego.

Czerny ruchem głowy wskazał wodę.

— Tędy. — W jego głosie brzmiała rezygnacja.

Jo jeszcze bardziej upadła na duchu. *Sotto voce* powiedziała do Gabe'a:

— Jeszcze raz dzięki.

Nalegał, by jej towarzyszyć. W chwili gdy powiedziała: „złe

wiadomości”, stwierdził, że nie powinna jechać sama. Podrzucili Sophie do mieszkania jej mamy. Doktor Beckett znalazła zastępstwo, kogoś, kto mógł poprowadzić zajęcia z grupą, i odwołała wieczorne wyjście z Tiną. Teraz, gdy dotarli na miejsce, zdała sobie sprawę, jaka jest mu wdzięczna za towarzystwo. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin widziała kilka zmiądzonych ciał, a teraz w doku czekała na nią świeża dawka śmierci.

— Osłaniam cię — powiedział Gabe, idąc za jej plecami.

Podeszła z detektywem do łodzi.

— Jakiś dowód tożsamości? — spytała.

— Prawo jazdy. Scott Grayson Southern.

Straż przybrzeżna znalazła ciało pływające twarzą do góry w otwartym oceanie. Biuro koronera w Marin zawiadomiło wydział policji San Francisco, kiedy znaleźli na prawie jazdy adres. Potem Amy Tang zadzwoniła do Jo.

— Zawiadomiliście już rodzinę?

— Policja się tym zajmuje.

— Lepiej niech się pospieszą. Sporo osób widziało, jak skakał. Ktoś poinformuje media. O ile już się to nie stało.

Kuter kołysał się na wodzie. Na długiej plastikowej palecie leżało ciało przykryte żółtym brezentem. Czerny kucnął obok, chwycił za brezent i spojrzał na Jo.

— Gotowa?

Skinęła głową. Odsunął brezent.

Chociaż myślała, że jest przygotowana i tak skurczyła się jej przepona. „Wielokrotne urazy związane z uderzeniem w płaską powierzchnię”, napisze koroner w akcie zgonu. „Egzystencjalna rozpacz” nie zostanie wymieniona, ale to właśnie ona zmieniła Scotta Southerna w to połamane coś. Koszulka polo, którą miał na sobie, podjechała pod pachy. Dżinsy były poszarpane, buty i skarpetki zdarte. Oczy miał otwarte i zamglone.

Ból, głupota, ślepa bezmyślność, wszystko to jednocześnie przyszło Jo na myśl. Co przekonało tego młodego człowieka, że śmierć była dla niego najlepszą drogą wyjścia?

Znała siłę tej pokusy. W pierwszych tygodniach po śmierci Daniela prawda objawiła się jej z całą mocą: że nie potrafi sprowadzić go z powrotem i nie będzie w stanie przewyciężyć żaloby. Odczuwała swoją stratę jak stalowy trzpień, który przesywał ją całą, i marzyła, żeby coś usunęło to uczucie.

Śmierć: natychmiastowe skuteczne lekarstwo.

Spojrzała na Scotta Southerna ze smutkiem. Nie znalazł w sobie siły, by unieść ciężar.

Ludzie, którzy skaczą z mostu Golden Gate, nigdy nie stanęliby na drodze osiemnastokątnej ciężarówce. Wybierają most z powodu jego zabójczego piękna, z powodu romantyzmu i dramatyizmu takiego wyjścia i ponieważ wierzą w kłamstwa rozpropagowane przez promujące samobójstwo strony w sieci, że śmierć przez skok z mostu jest łagodna i bezbolesna.

Jednak uderzenie w wodę z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę ma dokładnie taki sam efekt jak zmiażdżenie przez wielkiego tira. Skoczkowie nie wślizgują się łagodnie pod powierzchnię wody. Siła uderzenia miażdży im mostek i odrywa serce od aorty. Łamie żebra, które przebijają płuca i wątrobę. Jeżeli usiłują wypłynąć na powierzchnię, a większość usiłuje, łamią także miednicę i kości udowe albo szyję. Często młócą wodę rękami, zbyt późno usiłując przeżyć. Toną w morskiej wodzie albo we własnej krwi.

— Czy to prawda, że była pani na moście, kiedy skoczył? — zapytał Czerny.

— Nie dość blisko — odparła.

Gliniarze i ludzie z gwardii przybrzeżnej milczeli. To był przykry moment. Kiedy zadzwoniła komórka Jo, sygnał wydawał się

tak głośny, że prawie grubiański. Dziewczyna odeszła kawałek, żeby odebrać.

Głos Amy Tang brzmiał, jakby była zagoniona.

— Czy będę musiała powiedzieć Kelly Southern, że jest wdową?

— To on.

— Cholera. To się staje coraz groźniejsze.

— Myślę, że musimy założyć, iż wszyscy członkowie Klubu Brudnych Sekretów są w niebezpieczeństwie. I twoje czterdzieści osiem godzin gwałtownie się skurczyło.

— Zbierz jak najwięcej informacji.

— Jasne.

Jo wróciła do doku. Jak najwięcej informacji — co tu było do gromadzenia? Jedna dezorientacja. To była martwa, ślepa uliczka. Nie miała nic, czego mogłaby się uchwycić — żadnej szczeliny, żadnej szpary. Stała obok Gabe'a. Ręce trzymał swobodnie opuszczone, twarz miał nieprzeniknioną. W milczeniu przysunął się bliżej jak uważny ochroniarz. Obserwowali detektywów systematycznie przeszukujących kieszenie Southerna.

Czerny rozpiął przemoczoną sportową kurtkę. Z wewnętrznej kieszeni wystawała plastikowa torebka. Jo zrobiła krok w przód.

— Proszę mi powiedzieć, że to jest to, co myślę — odezwała się.

Detektyw Czerny wyjął torebkę, otworzył ją i ostrożnie wydobyl trzy kartki papieru. Były pokryte odręcznym pismem. Woda przesączyła się do środka, miejscami rozmywając atrament, ale całość była dość czytelna.

Gabe pochylił się nad ramieniem Jo.

— To list samobójczy.



Perry zjadł kolację, ale posiłek nie zaspokoił ani jego głodu, ani pragnienia. Potrzebował wiadomości. Chciał znać efekty. Przemierzał ciasną przestrzeń przed biurkiem, czekając na telefon. Wreszcie komórka zawibrowała.

Odebrał.

— Mów, co wiesz.

— Southern nie żyje — powiedział Skunks.

— Jak? Trzydzieści sekund.

— Pofrunął bez skrzydeł, szefie. Spektakularny upadek. Z mostu Golden Gate.

Potworne widowisko. Perry poczuł ciepły dreszcz jak rozlaną czerwoną krew. Southern sam z siebie zrobił lekcję pokazową. I najbardziej publiczną, jak się dało.

— Idealnie. Próbował zgasić płomienie?

— Tylko płomień swojego udręczonego mózdzku.

— Czy podał ci informacje?

— Jeszcze nie.

Perry odwrócił się i podszedł do zagraconego biurka. Generator głosu był mocno wyciszony.

— Trzymaj się tego. Jesteśmy blisko. Musimy wykorzystać przewagę.

— Lecę z nóg.

— Możesz nawet pełzać, tylko nie zgub śladu. — Spojrzał na zegarek. — Kończymy. Zadzwoń do mnie za godzinę.



Skunks odłożył komórkę i spojrzał w dół ze wzgórza. Trawa na zboczu poniżej punktu widokowego była brązowa i sucha. Bolały go ręce od trzymania lornetki. Na dole, w forcie Baker, na skraju Horseshoe Cove, oświetlone molo straży przybrzeżnej jarzyło się na biało jak raca.

Wiedział, że straż przybrzeżna przywoziła skoczków do Baker.

Kiedyś pracował dla biura koronera okręgu Contra Costa, zanim go wywalili za kradzież osobistych przedmiotów należących do umarłaków. Tak jakby trup wciąż potrzebował zegarka, cholera jasna. Ale zanim go aresztowano, dowiedział się, dokąd dostarczają martwe ciała. Ofiary wypadków drogowych, przedawkowania narkotyków — i skoczków. Kiedy wyłowili kogoś z zatoki, holowali go właśnie tam. Więc czekał i obserwował ze wzgórza, aż zobaczył srebrny kuter straży.

Płynął z ciałem przymocowanym do palety.

Skunks czuł mrowienie wokół nadgarstka w miejscu, gdzie chwycił go Southern. Czuł wstręt, jakby to był ślad zębów podgryzających jego myśli. Ta cipa próbowała go zabić. Gdyby się nie wyrwał, kiedy Southern poleciał za poręcz, razem z nim zanurkowałby do wody. Jezu.

Łódź weszła do doku. Ludzie zgromadzili się wokół plastikowej palety jak larwy wokół martwego żuka. Odsunęli brezent i nikt nie wydawał się zaskoczony.

Swędziały go palce. Chciał zejść tam na dół, rozebrać trupa do naga i przetrząsnąć jego ciuchy.

Zaraz. Przyłożył lornetkę do oczu. Zjeżyły mu się wszystkie włoski na ramionach.

Tam na dole była ta kobieta o ciemnych włosach.

Kto to taki? Najpierw znalazła się na miejscu wypadku Callie Harding. A po południu, kiedy uciekał z mostu, gonila go jak zatruta strzała. Była szybka i lekka jak pająk i naprawdę chciała go dorwać. Na czym polegał jej problem?

Poprawił ostrość. Kim jesteś, Pająku? Była biała, ale nie do końca. Może po części Japonka albo Meksykanka. Wyglądała na wysportowaną jak gimnastyczka. Miała na sobie obcisły T-shirt i dżinsy. Raczej nie glina, ale trzymała z nimi. I tego wieczoru miała przy sobie faceta. Wojskowego, bez dwóch zdań.

Stali w doku, rozmawiając z ludźmi koronera i spoglądając na ciało. Detektyw kucnął i rozpiął kurtkę Southerna. Wyciągnął plastikową torbę na suwak. Skunks się uśmiechnął.

Przegrywasz, cipo.

Tam były nazwiska. Musiał je dostać w swoje ręce.

21.

Światła samochodów raz po raz oświetlały twarz Gabe'a, kiedy jechali przez most, wracając do miasta. Jo siedziała milcząca na siedzeniu pasażera. Quintana prowadził z jedną ręką na kierownicy, drugą trzymał dźwignię zmiany biegów. Był spokojny. W radiu Los Lobos śpiewali *Wrak Cariosa Rey*.

— *Adios querida*, odszedłem z wrakiem...

Jo zmieniła stację.

— Wszystko, tylko nie to. Syrena przeciwlotnicza. George Busch. Wszystko jedno co — powiedziała.

— Przepraszam.

— Nie tak powinienes spędzić wieczór.

— Lepiej tak niż samotnie.

Dłonią ciasno obejmował dźwignię. Uważnie patrzył na drogę.

— Martwisz się, że Sophie jest z twoją byłą żoną?

— Nigdy nie byliśmy małżeństwem. Ale tak. Sytuacja nie jest za dobra. Dawn... ma problemy.

Czekała, ale nie dodał nic więcej.

— Wygląda na to, że będąc z tobą, Sophie kwitnie.

— Dzięki. — Zerknął na Jo i oczy mu pojaśniały. — To moje słoneczko.

Przez jakąś minutę jechali w milczeniu. Liny podtrzymujące most tworzyły po prawej rodzaj płotu. Za nimi była mroczna przestrzeń oceanu. Słodka i orzeźwiająca obecność. Jo otworzyła okno i pozwoliła, by wiatr owiał jej twarz.

— Jest ci duszno? — zapytał Gabe.

— Zawsze.

Przejechali pod południową wieżą. Dwieście metrów imponującej żelaznej konstrukcji.

— Dlatego kocham wspinaczkę. Znajdujesz się wyżej niż wszyscy i powietrze wokół jest tylko twoje. Wspiałabym się na szczyt mostu w mgnieniu oka.

— Lepiej skakać ze spadochronem.

— Mówisz tak, bo sam skaczesz. Nie ma mowy. Liny, pas, karabińczyki. Torebka z kredą i para dobrych butów do wspinaczki. To dopiero jest niesamowite.

— Zawsze otwierasz okna w zimne październikowe noce?

— Przepraszam. — Podciągnęła szybę. — Nienawidzę zamkniętych przestrzeni.

— Zauważyłem.

Spojrzała na niego.

— To nie tak jak myślisz.

— W ogóle nie myślę.

— Nie, Gabe. Klaustrofobii nabawiłam się dawno temu, podczas trzęsienia ziemi Loma Prieta. Byłam z tatą i młodszym rodzeństwem w drodze do Oakland. Byliśmy na wiadukcie Cypress.

Zmierzył ją wzrokiem.

— Bez zalewania?

— Bez zalewania.

— Co się stało?
— Huk, łomot, słupy podtrzymujące poszły w drzazgi i górny poziom autostrady spadł jak naleśnik. Byliśmy uwięzieni.
— Cholera. Wszyscy przeżyli?
— Tata miał atak serca z powodu stresu.
— Przykro mi.
— Przeżył, ale było strasznie. — Założyła włosy za ucho. —
Mieliśmy niesamowite szczęście. Ludzie w samochodach przed nami i za nami zostali zmiażdżeni.

Gabe prowadził w milczeniu przez kilka sekund.

— Jak długo?
— Byliśmy uwięzieni?

Stulecia, pomyślała.

Nie wracaj tam, powiedziała sobie. Wspominaj, ale nie przeżywaj.

— Cztery godziny.

Znów poczuła zapach cementowego kurzu i benzyny, smród płonących opon. Dach samochodu uciskał jej pierś. Rozpaczliwie chciała zaczerpnąć tchu i nie mogła. Kopała w drzwi, aż się otworzyły, i próbowała się wyśliznąć, krzycząc histerycznie, ale tata ryknął: „Zostań na miejscu, Jo”. Nawet wtedy odruchowo chciała uciekać, lecz ojciec miał rację. Pozostanie w samochodzie było niebezpieczne, wyjście jednak mogło być śmiertelne. Gdyby pobiegła, zmiażdżyłyby ją spadające kawałki betonu.

Przez okna wlewał się duszący czarny dym. Nie mogła nawet odwrócić głowy. Rafe był tak blisko, że czuła na szyi jego oddech. Tina płakała, potem zaczęła kaszleć. Zrobiło się ciemno.

— Tata nam śpiewał— powiedziała. — Piosenki z telewizyjnych programów. Dzięki niemu wytrzymaliśmy.

— Porządny gość.
— Wspaniały. — Wyrzała w noc na rozjaśnione gwiazdami niebo ciągnące się aż po horyzont. — Wyciągnęli nas ludzie ze sto dwudziestego dziewiątego.
— Właśnie tego się domyśliłem. Tamtej nocy przeżyli piekło.

Pod gruzami Cypress Viaduct zginęły dziesiątki ludzi. Płonęły samochody, a uwięzieni godzinami wołali o pomoc. Nadziemna część drogi była niestabilna i tylko kilku ratowników zgodziło się wpełznąć pod zwał gruzu i wyciągnąć tych, którzy przeżyli. Ludzie ze 129, oddziału ratowniczego się nie wahali, zrobili to bez mrugnięcia okiem czy nakreślenia znaku krzyża.

Jo zwróciła się do Gabe'a.

— Faceci z twojego oddziału, a także lekarze, strażacy, ludzie z sąsiedztwa, wszyscy, którzy podjęli to ryzyko i przyszli po nas, mieli poważny wpływ na to, że zostałam lekarzem.

— Dobry powód.

Nie zapytał, dlaczego wybrała psychiatrię sądową. Dziedzinę zajmującą się tymi, których nie dało się wyciągnąć z wraków. Ale miała wrażenie, że wiedział.

Dotarli do końca mostu i skręcili w stronę miasta na drogę przez Presidio. Za lasem sosen kalifornijskich ciągnął się cmentarz wojskowy. Białe kamienie, rząd za rzędem, nieme i wymowne.

Szumiały opony.

— Myślisz, że w jakiś pokręcony sposób Southern uważał, że pomaga rodzinie? — zapytał Gabe.

— Tak. Uważał destrukcję za jedyny sposób, by powstrzymać Skunksa.

Jo włączyła światło i wyjęła kopię samobójczego listu, którą zrobił dla niej Czerny. Fragmenty, których nie zmyła słona woda, były nieskładne i przygnębiające.

*Kelly, trenerze, wszy...
...przykro. Wszystko poszło nie...
...stem szantażowany i chcę z tym skończyć.*

Następne akapity były tylko niebieską plamą. Potem:

...myślałem, że klub będzie takim miejscem, gdzie się pozbędnę ciężaru, a ludzie mnie zrozumieją, bo wszyscy zrobili coś złego.

...omogło nie zwariować, ale nie dało rozgrzeszenia. To mnie zniszczyło.

Jestem tu szantażowany. Zrewanżuj się i ściągnij więcej ludzi — tak to działa. W końcu za wszystko trzeba płacić, nie ma w tym żadnej zabawy.

Teraz ci ludzie mi grożą. Mówią, że muszę im pomóc albo skrzy... Tylera.

...nie dopuszczę. Cadillac...

...zły. Wszy...

Gabe zrobił głośniej. Minęli Pałac Sztuk Pięknych. Oświetlony reflektorami lśnił złotawo. Po lewej stronie zatoka wyglądała jak czarna satyna.

...moja wina, że Melody Cartwright się utopiła...

List Southerna był rozpaczliwie smutny i, co niezwykle, rozsądny. Nie zdradzał symptomów przewlekłej choroby psychicznej jak w wypadku większości samobójców. Scott był najwyraźniej od lat w depresji, ale nie miał urojeń i nie był paranoikiem. Zachował trzeźwy umysł. Źródłem bólu stało się pozerające go poczucie winy.

Jo streściła Gabe'owi kilka kolejnych akapitów.

— Razem z kolegami z akademika wykorzystali seksualnie młodą kobietę na imprezie. Wystąpiły u niej problemy psychiczne. Ostatecznie poszła popływać w oceanie w okolicy Malibu i się utopiła. Była przyjaciółką rodziny i za każdym razem, kiedy widział jej rodziców, coraz mocniej czuł, że ją zabił.

Jo odwróciła stronę. Koniec listu był czytelny.

...klubie organizuje się gry na krawędzi. Ci ludzie mają masę kasy, więc nie chodzi o nagrody. Chodzi o kopa, którego im to daje. I niektórzy posunęli się za daleko.

Myślę, że klub zabrał się za niewłaściwego faceta.

Ktoś tropi ludzi. Nie wiem, kim jest ani kogo szuka. Chce nazwisk. Nie potrafię ich znaleźć, a gdybym potrafił, podpisałbym na tych ludzi wyrok śmierci.

Kelly, mogę go powstrzymać, tylko powstrzymując tego człowieka, którego nasłał, który grozi Tylerowi. Ślad skończy się na mnie.

Jest tylko jeden sposób, żeby to zrobić. Wybacz mi.

Tyle cierpienia. Jo zamknęła oczy. Nie zostawiaj mnie, pomyślała. Wracajmy do domu. Zanim się zorientowała, silnik zamilkł. Otworzyła oczy. Stanęli przed jej domem. Gabe otworzył drzwi i wysiadł.

— Nie trzeba — powiedziała. — Nie musisz mnie odprowadzać...

Ale on już obszedł samochód. Otworzył dla niej drzwi. Wysiadła i Quintana podszedł z nią do frontowych schodów. Z trudem poruszała nogami. Brzęczały trzymane w dłoni klucze. Swoją obecnością Gabe rozgrzewał przestrzeń wokół niej. Kiedy po raz trzeci usiłowała włożyć klucz do zamka i nie trafiła, zapytał:

— Co się dzieje?
Opuściła dłoń.
— Chciałam go kopnąć.
— Kogo?
— Scotta Southerna. Chciałam go kopnąć, udusić, walić w twarz na odlew, dopóki starczy mi siły.
— Dlaczego?
— Żeby się otrząsnął. Samobójstwo niczego nie rozwiązuje. Śmierć nie przerywa bólu. Przenosi go tylko na rodzinę. — Światło na ganku było wyłączone i noc ukryła wyraz twarzy Jo.
— Chciałam na niego nawrzeszczyć, że nie zostawił żadnej drogi odwrotu.
— Czemu jesteś taka zła?
— Nie jestem.
— Zaraz wybuchniesz.
Spojrzała na ulicę, a potem w niebo.
— On wiedział, że umrze, i dokonał wyboru. W tych ostatnich sekundach. Miał możliwość przeżycia i ją odrzucił.
— Co chcesz powiedzieć. Jak to wiedział?
— Mógł żyć, ale postanowił wszystko spieprzyć. — Załamał się jej głos. — Spojrzał na mnie. Widziałam to w sposobie, w jaki się poruszał. On wiedział.
— Skąd ty wiesz?
— Bo widziałam to spojrzenie już wcześniej. — Nie chciała Gabe'owi tego powiedzieć. Nie chciała się odsłonić, ale nie mogła się powstrzymać. Jakby wzięła zamach kosą. — Widziałam to spojrzenie w oczach Daniela. — Zdusiła łzy. — Pod koniec Daniel zrozumiał, co się dzieje. Spojrzał na mnie. Ledwie mógł mówić, ale spojrzał na mnie i wiedział. — Przycisnęła dłonie do oczu przerażona własną słabością. — I wiedział, że nie ma wyboru. Nie było nadziei. Znienawidziłam to spojrzenie, nigdy więcej nie chciałam go zobaczyć. Cholera.

Wcisnęła klucz do zamka, ale nie widziała drzwi. Z grubsza wytarła oczy.

— Ja nie płacę. Cholera.

Dłoń Gabe'a przykryła jej rękę. Objął ją i nagle znalazła się tuż przy jego piersi. Stała sztywno jak drut, walcząc ze sobą, ale wsunął palce w jej włosy i położył jej głowę na swoim ramieniu.

Jo przycisnęła twarz do męskiej koszuli i zamknęła oczy. Trzymał ją, milcząc, i wiedziała, że nie pozwoli jej upaść. Osłaniał ją.

Z gardła wyrwał się jej szloch. Quintana gładził jej włosy. Przestała drżeć i odpuściła. Pozwoliła, by popłynęły gorące łzy. Każda synapsa w jej ciele była jakby podłączona do prądu. Uścisk Gabe'a działał jak tlen, jak woda, światło.

Oparła się o niego i słuchała bicia serca. A potem uniosła głowę i odsunęła się. Pięciami przetarła oczy.

— Głupio się zachowuję. Zapomnij o tym, dobrze?

— Nie. Kochałaś go. Gdybyś się nie rozłościła, nie byłabyś człowiekiem.

Wyjął klucz z jej dłoni i otworzył drzwi. Ramieniem otarł się o jej plecy. Stała nieruchomo. Nie była na to gotowa, zupełnie nie. W chłodnym nocnym powietrzu dotknęła jego dłoni.

— Dzięki, Quintana.

Nawet nie drgnął. Patrzył Jo prosto w oczy, przytrzymał w ręku jej dłoń.

— Poradzisz sobie?

— Jasna sprawa.

— Jeżeli musisz, możesz mnie walnąć zamiast niego.

Wbrew sobie uśmiechnęła się. Jeszcze przez chwilę nie wypuszczał jej dłoni. Potem dotknął palcem wskazującym czoła, salutując, i odszedł.



Jo zamknęła drzwi i oparła się o nie. Dom był ciemny i pusty. Pusty i taki cichy.

Nie zostawiaj mnie.

Po piętnastu minutach od startu z Bodega Bay pogoda się pogorszyła. W kokpicie powietrznego ambulansu piloci użerali się z przyrządami, jakby byli kowbojami biorącymi udział w rodeo. Przez słuchawki Jo i Daniel słyszeli ich lakoniczną rozmowę. Helikopter zbliżał się do kresu swoich możliwości.

Pilotem był czarnoskóry facet o kamiennej twarzy. Jej wyraz się nie zmieniał, ale głos stał się monotony. Mężczyzna nie miał dość energii, by starać się o modulację.

— Jeżeli wiatr jeszcze się wzmoże, będziemy musieli zawrócić — powiedział.

Jo z Danielem wymienili spojrzenia. Widziała stres w oczach męża — zielone iskry gniewu i buntu na myśl, że nie oddadzą chorego dziecka w ręce chirurgicznej ekipy, która na nie czekała.

Sprawdził kroplówkę Emily i położył jej rękę na ramieniu. Głos miał opanowany.

— Lubisz Harry'ego Pottera?

Dziewczynka kiwnęła głową.

— Pamiętasz, jak Harry grał w quidditcha w czasie burzy?

— Uśmiechnął się i jego twarz niespodziewanie nabrała słonecznego blasku. — To zupełnie tak samo, prawda?

Helikopter trafił na dziurę powietrzną i opadli raptownie o kilkanaście metrów. Jo oparła dłoń o sufit, żeby nie uderzyć się w głowę. Przez okno widziała poszarpane szpony łądu sięgające w morze. Kępy jodeł kurczowo się trzymały osypującego się klifu. Ocean drżał jak dzika bestia o metalicznie szarej barwie. Gdy uderzał o brzeg, fale rozbijały się o skały, w powietrzu rozchodziły się bryzgi jak od granatów fosforowych.

Daniel trzymał dłoń na ramieniu Emily.

— Kiedy dolecimy do szpitala, dam ci zabawkowy helikopter.

Ale nie mają helikopterów z Harrym Potterem. Czym się bawisz, Barbie?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wydawała się zboląa i przerażona. Jo wzięła ją za rękę.

— Żołnierzkami? — podpowiedziała, starając się, żeby w jej głosie było słycać uśmiech. — Kubusiem Puchatkiem?

Emily spojrziała na nią szeroko otwartymi oczami.

— Elmo — powiedziała cicho.

Helikopter zadrżał i podskoczył w górę na fali wznoszącego prądu. Jo usłyszała w słuchawkach głos pilota.

— Będziemy musieli się zwiącać.

Obaj piloci zaczęli rozmawiać o zawrotce. Nagle stado ptaków utworzyło plamę bieli na tle zieleni wzgórza. Daniel przysłuchiwał się toczącej się rozmowie i zapytał:

— Możecie dotrzeć do Petulama?

Jo wiedziała, co miał na myśli. Powrót do Bodega Bay i każda godzina oczekiwania na poprawę pogody, każda mijająca godzina, kiedy nie mogli ewakuować Emily, zmniejszała jej szanse.

— Nie — odparł pilot. — Nie mamy dość mocy, żeby przejść przez góry.

Dziewczynka nie słyszała całej rozmowy, ale prawdopodobnie wyczuła napięcie. Drugi pilot zapytał, czy zdołają dotrzeć do Bolinas na odległym końcu parku narodowego Point Reyes.

Kapitan odpowiedział:

— W Bolinas nie mają szpitala. Zawracamy.

Daniel zerwał z głowy słuchawki i przepchnął się do kokpitu.

Jo słyszała ich kłótnię poprzez wycie wiatru i silnika. Kciukiem gładziła dłoń Emily. Helikopter z wysiłkiem utrzymywał wysokość. Znajdowali się pięćdziesiąt kilometrów od Bolinas. Daniel błagał pilotów, żeby spróbowali dotrzeć do San Francisco. Oni mówili mu, żeby siadał.

— Jeżeli możecie dolecieć do Bolinas, doleciecie do miasta — przekonywał.

— Chce się pan założyć o własne życie? — zapytał pilot.

Z kokpitu rozległ się trzask jak uderzenie pneumatycznego młota. Hałas na pokładzie osiągnął poziom ryku, a temperatura gwałtownie spadła.

— Uderzyliśmy w ptaki — usłyszała Jo przez słuchawki.

Gwałtownie odwróciła głowę. W przedniej szybie zobaczyła sporą okrągłą dziurę, a wokół rozmazane pióra i czerwone ptasie wnętrzności.

— Mewy, kurwa — powiedział drugi pilot.

— Znajdź mi miejsce do lądowania — polecił pierwszy. — Siadaj, Beckett. Natychmiast. Damy radę i siądziemy na ziemi.

Dopóki nie nie trafi we wlot...

Powiedział to w złą godzinę.

Nad ich głowami rozległ się potworny dźwięk. Łak! Dokładnie tak to brzmiało. Silnik wciągał ptaki. Zakaszłał. Pisnął.

— Sadzaj go, teraz — rzekł pierwszy pilot. — Otwarta przestrzeń, wzgórze, drzewa, byle nie strome zbocze.

Mówił z takim samym wysiłkiem, z jakim pracował silnik, i Jo poczuła pierwszy przypływ strachu.

Nowy dźwięk: ryk alarmu na tablicy rozdzielczej. Pulsujące czerwone światło. Silnik zadrżał i drzenie to przebiegło przez kadłub. Lał się na nich deszcz. Jo usłyszała słowa, których nie chce wypowiedzieć żaden pilot.

— Mayday. Mayday.



Cadillac pełził w górę Russian Hill. Skunks przygryzał dolną wargę, badawczo przyglądając się bocznym ulicom. Czarna toyota 4Runner musiała gdzieś tu być. Śledził ją od Fort Baker,

jadąc przez most Golden Gate i przez marinę, ale potem został w tyle, żeby ten wojskowy nie zdołał go zobaczyć. Wtedy zjechali z Marina Boulevard i zgubił ich w dzielnicy powyżej Fishermans Wharf.

Weisnął się głębiej w czerwone skórzane siedzenie. W toycie była Pająk i ona miała nazwiska.

Skunks zaglądał przez frontowe okna do domów stojących wzdłuż ulicy. Kosztowna dzielnica. Salony były oświetlone wymyślnymi reflektorkami i wyposażone w biblioteczki. Ludzie w golfach pili czerwone wino. Z prawdziwych kieliszków. Cadillac powoli sunął w górę. Na szczycie wzgórza znajdował się nieduży park pełen ciemnych drzew, starych sosen kalifornijskich drżących na wietrze. Skunks minął wielką ceglana posiadłość z balkonem, słabo oświetloną.

Pojechał dalej. Bez sensu.

U podnóża wzniesienia zaparkował przy Ghirardelli Square. Masa turystów, oświetlone reklamy, dzwonki tramwajowe, wszyscy kupowali czekoladę i chowder. Zadzwonił do Perry'ego, pana Módl-się-i-Płać.

Telefon nawet nie zdążył zadzwieć, od razu został odebrany.

— Mów.

Jak zwykle spociał się na dźwięk mechanicznego brzęczenia generatora głosu. Skunks mówił szybko, trzymając się zasady: trzydzieści sekund, ani chwili dłużej. Wszystkie ważne rzeczy — główne punkty, jak je nazywał szef — trzeba było powiedzieć raz dwa trzy bum.

— Southern miał nazwiska. Znaleźli je przy jego ciele, kiedy wyciągnęli go z zatoki. I wiem, kto ma je teraz.

Nazwiska miała Pająk. Nie wiedział, kim była ta kobieta, ale zawsze pojawiała się na miejscu, kiedy ginął ktoś z KBS, chociaż...

— Pająk, ta zawsze się pokazuje — powiedział.
Cisza po drugiej stronie była niepokojąca. Czekał, bojąc się pierwszych dźwięków robotycznego głosu.



Perry pogasił światła. W ciemności czuł się bezpieczniej, miał świetny wzrok. Kiedy ludzie słyszeli dźwięki generowane przez elektroniczną krtać dochodzące z mroku, potrafili się posrać w gacie. Teraz jednak ustawił głośność na minimalną.

— Gdzie ona jest? — zapytał.
— Zgubiłem ich, ale wiem, do której dzielnicy pojechali.
— Skoro nie możesz jej znaleźć, będziesz musiał ją znów wywabić.

— Byłem tak blisko tej listy, szefie, nie mogę uwierzyć, że Southern skoczył, mając ją w kieszeni.

— Żal jest bezużyteczny, Skunks. Jedno, co się liczy, to zdobyć nazwiska ludzi, którzy to wszystko zaczęli.

— Jesteśmy coraz bliżej tych gnojów.
— Zabrali coś, co do nich nie należało.
— Odbierzemy to. Z odsetkami, wiem, szefie.

Zabrali znacznie więcej niż tylko pieniądze, coś, czego nie dało się odzyskać. Godność, normalność, jego głos. Czasami miał wrażenie, że Klub Brudnych Sekretów ukradł mu niezależność. I dlaczego? Dla zabawy bogaczy?

Lekcja pogładowa. Zwiali z gotówką. Słyszał ich, leżąc na podłodze magazynu. „Nie będzie gadał”. Myśleli, że się zabezpieczyli, że nie będzie gadał, bo żaden nędzny rekietier nie pójdzie na policję, ale uważali też, że są bezpieczni, bo nie mógł już mówić, nigdy więcej. Dwoje ludzi, stalowa rura, łańcuch, ból, ale nawet kiedy leżał na betonowej podłodze i czołgał się do drzwi, słysząc zbliżające się syreny, wiedział, że tych dwoje, którzy go poranili, było tylko czymiś podwładnymi. Robili to

dla kogoś, kto stał z tyłu, kto wszystko ustawił. Jakiś pierwszoligowy członek klubu uznał, że jeśli wyśle swoich sługusów, żeby mu dopieprzyli, on sam będzie bezpieczny.

Pomyłka.

Ale to nie on zaczął mówić. Oni. Zaczęli się przechwalać, jak go obrabowali i zostawili, żeby umarł. Dwa lata temu uciekli, lecz popełnili błąd. Zaczęli gadać, kiedy uznali, że są bezpieczni. I się rozeszło.

Teraz był bliski odkrycia, kto go wystawił.

Ukradli mu pięćset tysięcy dolarów. Pięćset kawałków. I wykorzystali je, żeby się dodatkowo wzbogacić. Perry chciał odzyskać te pieniądze, to był element wyrównania rachunków. Skunks, jego agent, miał dostać działkę. Piętnaście procent, jeżeli wytropi tych ludzi.

Zanim te gnoje umrą, oczywiście.

— Jutro, Skunks. Będę w mieście o trzeciej. Do tej pory chcę mieć nazwiska.

— O trzeciej? — Mały człowieczek był zaniepokojony.

— Mój adwokat to przekonujący facet. Druga strona zgodziła się pchnąć sprawę.

— To niecały dzień.

— Pomyśl o swoich siedemdziesięciu pięciu kawałkach. To powinno cię zmotywować. To nie tylko lista celów, ale twój następny zabytkowy cadillac.

— Jasne. Tylko mam od tego niestrawność.

— Ta kobieta, Pająk, zawsze się zjawia? — chciał wiedzieć Perry. — W takim razie daj jej po temu powód.

22.

Jo obudziła się z dobrze znanym doskwierającym uczuciem. Jakby blask słońca mieszał się z syreną przeciwmgłową. Otworzyła oczy, żeby zobaczyć biały sufit, spiętrzoną wokół siebie kołdrę, pomarańczowe poduszki w okolicy kolan. Łóżko było ciepłe i znów brakowało w nim jej mężczyzny. Cholera. Zegar wskazywał szóstą czterdzieści trzydziestego pierwszego października. Halloween. Przewróciła się na drugi bok i niemal poczuła wczorajszy uścisk Gabe'a Quintany. Zarumieniona z emocji odrzuciła przykrycie i wstała. To nie był właściwy moment. Dziś rano myśli o Quintanie mogły wywołać tylko smutek. Wskoczyła pod prysznic. Kiedy wyszła, wciągnęła dzinsy i biały T-shirt z długimi rękawami. Rozsunęła żaluzje i zobaczyła światło świtu wspinające się na ściany domów przy jej ulicy. Dzień był złoto-błękitny. U Ferda drzwi na balkon stały otworem, zasłony powiewały na wietrze. Już się odwracała, gdy ruch na balkonie przykuł jej uwagę.

Małpka sąsiada przycupnęła na głowie jednego z greckich posągów. Skurczona jak maskaron z Notre Dame rozrywała pomarańczę. Małe paluszki obierały owoc z precyzją neurochirurga. Neurochirurga na dragach.

Przybiegł Ferd owijający się szlafrokiem.

— Panie Peebles, skąd te otwarte drzwi? — Twarz miał pokrytą kremem do golenia i okulary zjeżdżały mu z nosa. Chwytał kapucynkę. — Nastraszyłeś mnie. Nie rób tego.

Poruszając się ostrożnie, jakby przeskakując nad rozpalonymi węglami, Ferd schował się w środku i zamknął drzwi.

Jo zrobiła kawę, sprawdziła pocztę e-mailową i wiadomości na sekretarce. Mama, Tina, starsza siostra Momo, tata, Rafe — komplet krewnych, rodzice i całe rodzeństwo meldowali się w ten czy inny sposób. Wysłała do wszystkich e-maile, ponownie napełniła kubek kawą i zadzwoniła do Amy Tang.

— Coś nowego? — zapytała.

— Doktor David Yoshida zmarł z powodu przedawkowania barbituranów.

— A jego syn?

— Fentanyl. Dwa dni wcześniej.

Fentanyl był syntetycznym opiatem dostępnym na receptę, znacznie mocniejszym niż heroina.

— Wiadomo było, że bierze?

— Nie heroinę, ale inne dragi. Był na odwyku kilka lat temu. Rodzina myślała, że był czysty — wyjaśniła Tang. — Badały okoliczności jego śmierci.

— Zakładam, że są podejrzane. Wiemy, że Skunks groził synkowi Scotta Southerna.

— Jeżeli zrealizowali groźbę wobec syna Yoshidy, Chryste, to działanie z zimną krwią.

— Cała ta sprawa jest załatwiana z zimną krwią.

Tang zaczęła stukać ołówkiem w biurko.

— Ta kobieta, którą spotkałaś wczoraj w parku...

— Xochi Zapata. Trzeba ją ostrzec.

— Złożę jej wizytę — stwierdziła pani porucznik.

— Jeżeli ciebie zobaczy, wezwie prawnika albo ucieknie.

Pozwól pójść mnie. I tak może uciec, ale warto spróbować. Dam jej twoją wizytówkę. Dobry układ?

— Nagraj tę rozmowę.

Jo obróciła kubek z kawą stojący na stole.

— Zadzwoń do ciebie.

Pożegnała się, nie przerywając kręcenia kubkiem i spojrzała na zegar. W Santa Barbara prawnicy wcześniej przychodzą do biura. Potrzebowała adwokata, który bez ogródek powie jej, czy to, co chciała zrobić, nie było przekroczeniem dozwolonych granic. Kogoś, kto pomoże jej utrzymać się na wąskiej granicy tego, co etyczne, jeśli będzie to potrzebne. Ponownie sięgnęła po komórkę.

Jesse Blackubrn był zaskoczony, że zadzwoniła.

— Jo, co słyhać?

— Byłeś mi winien przysługę, dlatego dzwonię. Mam pytanie na temat ujawnienia wiadomości i zachowania tajemnicy zawodowej.

— Strzelaj.

Jesse był przyjacielem z czasów przed dyplomem na uniwersytecie w Los Angeles. Bystry, trzeźwo myślący, bardzo inteligentny. Rok wcześniej naciągnął ją na ekspertyzę z zakresu psychiatrii sądowej w sprawie, do której się przymierzał. Teraz przyszedł czas na rewanż.

— Pracuję nad psychologiczną sekcją.

Naszkićowała mu sprawę.

— Dziwne — powiedział.

— W czym rzecz: kiedy rozmawiam z ludźmi, zawsze rejestruję rozmowy. Wywiady potwierdzają mój raport, który może być użyty jako dowód w sądzie.

— Ale tym razem jest inaczej?

— Potrzebuję informacji i nie dostanę jej, jeżeli uprę się przy drodze oficjalnej.

— Chcesz zataić informacje przed władzami? Gdzie chcesz przeprowadzić granicę?

— Chcę chronić tożsamość mojego źródła. Nie wiem, co będzie z informacją. Oczywiście postąpię zgodnie z wytycznymi ze sprawy Tarassoff.

Kiedy pacjent stanowi zagrożenie dla czyjegoś życia, lekarz ma obowiązek ostrzec przyszłą ofiarę, nawet jeżeli będzie to stanowiło pogwałcenie tajemnicy zawodowej. Chociaż nie był to przypadek kontaktu lekarz-pacjent, Jo nigdy nie zatrzymałaby dla siebie takiej informacji.

— Co obiecałaś policji? — zapytał Jesse.

— Że dotrę do sedna śmierci Callie Harding.

— Okłamujesz kogoś?

— Nie dziś.

Roześmiał się.

— Mówisz, że gliny dały ci wolną rękę w wygrzebaniu dowolnych informacji, których potrzebujesz. Wykorzystaj to. Bierz, co się trafi. Wygląda mi na to, że próbujesz nie dopuścić do czegoś gorszego.

— Trafiłeś w sedno.

— Nie wahaj się. Bez wyrzutów sumienia.

Odetchnęła głęboko.

— Dzięki.

— Ale nie tylko to cię niepokoi.

— Nie. Czy policja może mnie zmusić, żebym ujawniła źródło swoich informacji?

— Tak. To nie jest objęte tajemnicę lekarską, Jo.

— Mówisz, że będę się wspinać bez asekuracji.

— Zasadniczo tak. Ryzyko istnieje zarówno dla ciebie, jak i dla twojego źródła. Wyjaśnij jej to.

Jesse dużo wiedział o ryzyku. Był światowej klasy pływakiem do dnia, kiedy stał się świadkiem przestępstwa. Ludzie

winni jego dokonania próbowali go zabić i teraz praktykował, poruszając się na wózku inwalidzkim. Jo potarła czoło.

— Wiedziałam, że kto, jak kto, ale ty chluśniesz mi w twarz zimną prawdą.

— Dobrze znosisz prawdę. Chciałaś, żebym po prostu potwierdził coś, co i tak podejrzewałaś. Powodzenia.

Pożegnała się. Skończyła kawę. Zadzwoiła do stacji telewizyjnej i została przełączona.

— Xochi. Chcę pani zaproponować układ.



Jo spacerowała wzdłuż wody w Aquatic Park. Niebo było niebieskie jak świeży siniak. Miała na sobie marynarską kurtkę, martensy i czerwoną chustkę, żeby ochronić się przed wiatrem. W jednej ręce trzymała kubek z kawą z Java Jones ze stali nierdzewnej, w drugiej jednorazowy, który wręczyła Xochi.

Zapata potrząsnęła głową.

— Scott nie żyje, to wariactwo. — Zrobiła kwaśną minę. — I wielka sensacja. Jezu.

Założyła spłóviały szary dres i stare buty do biegania. Baseballówkę ściągnęła nisko na czoło. Jej brązowe włosy powiewały na wietrze. Na pozbawionej makijażu twarzy widoczne były plamy. Wyglądała jak własny cień.

— Wiem, że czujesz się okropnie osamotniona. Nie musisz — powiedziała Jo.

— Nie mogę z tym pójść do glin, to właśnie powinnaś zrozumieć. Musisz zachować całą tę sprawę w tajemnicy.

— Obiecuję. Chyba że powiesz mi, iż chcesz popełnić morderstwo.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Xochi lekko się odprężyła. Ramiona opadły jej w geście poddania.

— Opowiedz mi o Klubie Brudnych Sekretów — poprosiła Jo.

Tamta wpatrywała się w swoją kawę.

— Jak powiedziałam wczoraj, to konfesjonał. Sposób, żeby się oczyścić — powiedziała po chwili.

Beckett przyglądała się jej dresowi. Był rozpięty i pokazywał dekolt. Podejrzewała, że zrzucenie czegoś z serca miało dla tej kobiety ukryte znaczenie psychologiczne. Wyczuwała jej maniacką potrzebę wyznawania win. Wydawało się, że to stanowi część cyklu — złe zachowanie, wstyd, wyznanie, ulga, po której następuje przymus, by ponownie źle postąpić. Wisior z czarnym diamentem połyskiwał w słońcu na jej dekolcie.

— To nie jest jedyny cel klubu — sugerowała Jo. — Nie siedzicie w kółku, szukając moralnego rozgrzeszenia w oczach przyjaciół.

— Nie. — Twarz Zapaty pokryły kolejne plamy. — Niektórzy ludzie chwalą się tym, co zrobili. Dla nich to kwestia zwrócenia na siebie uwagi. Dla innych z kolei gra.

— Jakiego rodzaju gra? Macie reguły? Współzawodnictwo? Nagrody?

Trzymając kawę w obu dłoniach, Xochi wzruszyła ramionami.

— Jasne. Nagrody za najlepszy sekret, za najbardziej brudny sekret, za podjęcie największego ryzyka. Takie tam rzeczy. Nieszkodliwe.

Jo ruchem głowy wskazała diamentowy wisior.

— Jak się zdobywa jeden z nich?

Zapata uniosła kubek do ust, ale nie wypiła. Wyglądało na to, że nie jest w stanie połknąć. Zmarszczyła się jak kartka zgniecionego papieru.

- A co, jeżeli będę następną? — wydusiła.
- Czemu tak sądzisz?
- Maki. — Obgryzionym paznokciem kciuka przejechała w kąciku oka. — To ja ściągnęłam go do klubu. Co, jeżeli z tego powodu jestem następną?
- Nie wiem. A jak zainteresowałaś go klubem?
- Robiłam z nim wywiad do reportażu o fałszerstwach firmowych ciuchów. Poznałam i jego, i jego kochanka.
- I zaprosiłaś go, żeby wstąpił do klubu?
- Byli jak ogień i lód, cały czas albo się kłócili, albo jedli sobie z dzióbków. Maki robił wrażenie supergościa, więc go wysondowałam. Opowiedziałam mu o swojej szalonej młodości i od razu to kupił. W końcu zapytałam, czy chce poznać pewnych ludzi, którym mogłabym go przedstawić.
- Zorientowałaś się, że jest coś, z czego chciałby się oczyścić?
- Owszem. — Spojrzała na Jo. — Jak to się stało, że jego łódź się zapaliła? Wiesz?
- Nie.
- Co za okropna śmierć. Spalić się, nie potrafię wymyślić niczego ohydniejszego. — Znów potarła oczy.
- Jo dała jej chwilę.
- Wczoraj upierałaś się, że klub miał być niezawodnie bezpieczny. Dlaczego?
- Bo spotykaliśmy się tylko w dwie lub trzy osoby, nigdy inaczej. I nie ma żadnego rejestru wszystkich członków. Nikt z nas nie zna wszystkich. To działa jak połączenie szeregowo, znasz tylko trzech członków klubu. W ten sposób zachowujemy poufność.
- Żadna z nich nie mogła zaprzeczyć oczywistości pewnego faktu: komórkowa struktura klubu była teraz pełna dziur.
- A twoja szalona młodość? — spytała Jo, popijając kawę.

Zapata odchyliła głowę.

— Musisz zrozumieć, zanim zajęłam się dziennikarstwem, robiłam różne rzeczy. W filmie.

— Nie zawsze byłaś rewolucyjną wojowniczką?

— Zapata to nazwisko mojego byłego męża. A Xochi jest bardziej chwytlive niż Susan. Daj spokój, to chyba oczywiste, że treść wizytówki robi pewne wrażenie, prawda, pani doktor?

— Rozumiem.

— To nie pornole mnie martwią. Wielkie rzeczy, każdy czasem pokazuje cycki. To było coś innego. — Odetchnęła głęboko.

— Słucham.

— To nie były standardowe filmy dla dorosłych, tylko produkt niszowy.

Jo uniosła brew zaciekawiona. Uśmiech Zapaty wydawał się ironiczny.

— Ujmijmy to w ten sposób, byłam religijną ekstremistką.

— Przepraszam?

— To było porno z zakonniceami. Wszyscy przebieraliśmy się za postacie religijne.

— Żartujesz.

Xochi spoglądała na Jo bez emocji.

— Nie, poważnie. Na takie filmy jest określony rynek. Mają zagorzałych fanów.

— Doprawdy?

— To gatunek fusion. Bondage, katolicyzm, zakonnice i księża. Filmowaliśmy w takim starym miejscu w San Fernando Valley. — Czerwone plamy znów pojawiły się na jej szyi. Jakby chcąc zbagatelizować swój upadek, powiedziała: — Nosiałam czarną gumową maskę *cat-woman*.

— Więc nie pokazano twojej twarzy?

— Nie byłam znana z twarzy.

— Jasne. — Jo skupiła się na kawie, żeby nie zdradzić swojej reakcji.

— Oprócz maski nosiłam welon zakonny i buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. I różaniec jako stringi.

Doktor Beckett uważała, że nic jej nie zaszokuje. I przywykła do psychicznego ekshibicjonizmu Kalifornijczyków. Ludzie tutaj wydawali się chętni do ujawniania emocji, jakby chodziło o składniki sałatki gotowej do wymieszania. Sałata, grzanki, fetyszystyczny gorset, parmezan. A jednak bezwstydne wyznanie Xochi, że była gwiazdą perwersyjnych filmów pornograficznych, przyprawiło Jo o rumieniec.

— Tak się pechowo złożyło, że niektóre z filmów stały się kultowe — wyjaśniła Zapata. — *Lotniczy chrzest*, gdzie facet jest pilotem. *Święcenia*, gdzie Nasza Pani Bólu bije dyscypliną kolegium kardynałów, dopóki nie zaczną lizać jej szpilek. Wielkim hitem była *Święta sperma*.

Jo prychnęła, kawa wyleciała jej nosem. Zapata miała dość przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzoną.

— Tak, to legendarny film.

— Przepraszam. — Jo otarła twarz.

— Istnieje podziemie obsesyjnych fanów, którzy nie pozwalają tym filmom pójść w zapomnienie. Byliby zachwyceni, poznając moją prawdziwą tożsamość.

Beckett wygrzebała z kieszeni chusteczkę. Nigdy do tej pory nie zachowała się tak nieprofesjonalnie.

— Fani nie wiedzą?

— Zawsze miałam maskę. To był mój znak firmowy.

— Z tym sekretem wstąpiłaś do klubu?

— Teraz rozumiesz, dlaczego wszystko musi zostać między nami.

Jo pamiętała upór, z jakim wcześniej Zapata twierdziła, że

starający się o przyjęcie do klubu muszą dostarczyć dowody na to, co zrobili. W głowie brzmiał jej beznadziejny podkład muzyczny do filmu z lat siedemdziesiątych. Ku swemu przerażeniu rozpoznała melodię Schuberta *Ave Maria*.

— Z zakrytą twarzą, jak...

— Mam tatuaż.

— To się zdarza.

— Zawsze w którymś momencie był widoczny na ekranie. Byłam bardzo giętka. Dostarczyłam film razem ze swoim CV i podczas wywiadu pokazałam tatuaż. — Oczy miała spuszczone. — To waż. Nazwałam go Grzechem Pierworodnym.

Czuła się zakłopotana, a jednak nie mogła się powstrzymać przed ujawnieniem tych faktów. Jo nigdy w życiu nie spotkała takiej ekshibicjonistki.

— Wtedy wydawało się to zabawne. Byłam siostrą Mary Erotyką albo matką Ignacją Ruchalską. Urządzałam chłostę krnąbrnym ministrantom. Biłam ich różańcem albo wiązałam. — Dalej patrzyła w ziemię. — Wieszałam, czasem dusiłam.

— Prawdziwa asfiksja autoerotyczna?

Zapata skinęła głową i odwróciła wzrok. Ściągnęła usta.

— Xochi?

Jo wyczuła, że było coś jeszcze, ale jej rozmówczyni dotarła do granicy, bardziej nie chciała się obnażyć.

— Muszę wiedzieć, jak działa KBS.

— Już ci mówiłam, to wirtualny konfesjonał.

— Tak sobie po prostu siedzicie i gadacie? Strugacie coś albo pikujecie podczas spowiedzi?

— Nie. Przez lata wykształcił się pewien schemat. — Przez chwilę Zapata wydawała się spięta, ale potem niepewność wyparł strach. Ponownie zrezygnowała z ostrożności.

— Graliśmy w wyzwania. Robiliśmy ryzykowne rzeczy, żeby uzyskać punkty i przejść na kolejny poziom.

Otworzyła torebkę i wyjęła nieduże pudełeczko. Wręczyła je Jo. Wewnątrz znajdował się idealny czarny diament.

— Miał być dla Scotta — wyjaśniła. — Zakwalifikował się.

Kamień był piękny. Rozszczepiał słoneczne światło, ale jego wnętrze pozostało nieprzeniknione.

— W zeszłym tygodniu podjął wyzwanie. On i Callie... pozwali... na dachu wieżowca w śródmieściu. Tuż po trzęsieniu ziemi. — Wydawała się smutna. — Nasz telewizyjny helikopter przypadkiem ich nagrał. To było spektakularne. Przy tym moja kariera w filmach dla dorosłych wypadła tandetnie.

Cóż, rzeczywiście.

— Xochi, dlaczego ktoś zagraża klubowi?

— Myślę, że coś poszło źle podczas wyzwania. Kogoś spotkała krzywda. Niewłaściwą osobę.

— I teraz się mści?

— Tak.

— Kto to jest?

— Nie wiem.

Zadzwoiła komórka. Zapata odwróciła się, żeby odebrać.

— Zaraz będę — powiedziała i się rozłączyła. — Pracuję nad czymś. Muszę iść.

— Podasz mi nazwiska innych członków klubu, żebyśmy mogli ich ostrzec? — zapytała Jo.

— Nie znam ich. Jak powiedziałam, to połączenie szerego-we.

— Czy możesz porozmawiać z policją?

— Nie. Przyślij ich do mnie, a wszystkiemu zaprzeczę. Ale dzięki za ostrzeżenie. — Odebrała diament od Beckett. — I co mam z nim teraz zrobić? Położyć na trumnie Scotta w czasie pogrzebu? Co za marnotrawstwo.



Jo wracała do swojej półciężarówki, kiedy odezwała się jej komórka.

— Doktor Beckett, mówi Gregory Harding.

Zwolniła.

— Czym mogę panu służyć?

— Po pierwsze, proszę przyjąć moje przeprosiny. Moje wczorajsze zachowanie było niewybaczalne. — Jego głos zdradzał napięcie. Mewy krążyły nad trawnikiem, biel na tle porannego nieba. — Sytuacja mnie przerosła, ale to nie usprawiedliwia faktu, że straciłem nad sobą kontrolę.

— Przyjmuję przeprosiny. Dziękuję.

— Muszę z panią pomówić. Znalazłem u Callie niepokojące rzeczy.

— Zmieniam się w słuch.

— Czy możemy się spotkać? Jestem w mieście, mam spotkanie w Fairmount, mają tam restaurację na tarasie na dachu. Mówię poważnie, powinna to pani zobaczyć.

Jo nie wahała się długo.

— Już jadę.

23.

Kiedy podjechała do Fairmount swoim powyginanym pick-upem w martensach i džinsach, odźwierny nawet nie mrugnął okiem.

Hotel Fairmount zmonopolizował północną stronę Nob Hill. Wspaniały biały kamienny budynek ładząco przypominał narodową mennicę. Wybudowano go w 1906 roku po trzęsieniu ziemi, z wyglądu sądząc, z marmuru, złocień i zuchwalstwa. Trzymał się zasad stylu Robbera Barona. Przepastny hol rozbrzmiewał echem, może były to głosy duchów magnatów kolejowych i dziewcząt z wodewilu. Jo ruszyła w stronę schodów. Nie miała pewności, że Gregor Harding zachowa tym razem powściągliwość, ale wierzyła, że obsługa hotelu potrafi zadbać o formy towarzyskie, dyskretnie i skutecznie.

W restauracji na górze Harding siedział przy stoliku z widokiem na miasto. Jego blond włosy wydawały się w blasku słońca niemal białe. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. W lewej ręce trzymał zgniecioną serwetkę.

Wstał i wyciągnął rękę.

— Mam nadzieję, że to nie był dla pani kłopot.

— Ależ nie.

Widok był oszalamiający. Niebo tak wyraziste, że wyglądało jak polakierowane. Wieżowce w dzielnicy finansowej stały w szeregach na zboczach wzgórza. Zatoka lśniła w porannym słońcu.

Spojrzenie Hardinga było lodowate.

— Callie zajmowała się czymś dziwnym — powiedział.

— Proszę zdefiniować określenie „dziwne”.

Z kieszeni koszuli wyjął nieduży oprawny w skórę notes i wręczył go Jo.

— Klub Brudnych Sekretów.

Spojrzał, śledząc jej reakcję. Zachowała neutralny wyraz twarzy. Uderzył grzbietem notesu o dłoń.

— Ale to niemożliwe, ponieważ Klub Brudnych Sekretów nie istnieje — stwierdził.

— Czemu pan to mówi?

— Nie. — Jeszcze raz uderzył notesem o dłoń, mocniej. — Proszę nie bawić się ze mną w żadne gierki. Już wystarczy, że Callie to zrobiła.

Jo zachowała spokój.

— Pyta pan, czy słyszałam o Klubie Brudnych Sekretów? Tak.

Harding po raz kolejny uderzył notatnikiem o dłoń.

— To dlatego pytała mnie pani wczoraj, czy Callie czuła się brudna.

Sprawdzał ją jak podejrzliwy małżonek usiłujący przyłapać niewierną kochankę. Nie podobało jej się to.

— Nie urządzam żadnych gier. Pan to robi. Klub istnieje i pan o tym wie. Czemu nie powie mi pan, co się tu dzieje?

Odwrócił wzrok. Oparł łokcie o stół. Potem potarł czoło.

— Callie, cholera. Co ona robiła?

— Proszę powiedzieć mi wszystko od początku, Greg.

— Ten klub to był żart. Po prostu żart. Głupie gadanie studentów prawa, tylko tyle — powiedział po chwili zastanowienia. — Wie pani, jacy są studenci prawa.

— Tak — odrzekła, myśląc, że są tacy sami jak studenci medycyny. Uczuciowi, przebojowi intelektualiści. Niespokojni. Napaleni.

— To mistrzowie bzdury i wywyższania się. Prawa uczy się metodą sokratejską, hipotetyczne przypadki, pytania rzucane studentowi przez nauczyciela. Na zajęciach gra się w „co by było, gdyby”, rozważając coraz bardziej ekstremalne scenariusze. — Zacisnął dłonie na notesie. — Studenci kłócą się i spekulują. Ulegają pokusie, by gadać bzdury i olśnić innych intelektem. Proszę dorzucić do tego długie noce, ciepłarnianą atmosferę... Szaleństwo.

Podszedł kelner i nalał kawę. Harding odczekał, by się oddalił.

— Zdarzyła się taka sobotnia noc. Impreza się przeciągnęła. Piliśmy czystą tequilę, wciągaliśmy. Wieczór zrobił się wyrazisty.

— Wyobrażam sobie.

— Mówiliśmy o sekretach. Ich tuszowaniu, kłamstwach, o tym, że ludzie mający władzę zrobią wszystko, byle się chronić.

— Callie brała w tym udział?

— Tak. Ale nie wciągała kokainy. Zawsze była grzeczną dziewczynką. — Trzymał się prosto jak świeca, ale twarz miał wymizerowaną. — Rozmawialiśmy o wyznaniach na sali sądowej. O tym, jak aresztowani czasem nie potrafią się powstrzymać, wywnętrzają się przed gliniarzami, chociaż mają prawo zachować milczenie.

— Pamięta to pan bardzo dokładnie.

Uniósł notatnik w górę.

- Odkąd to znalazłem, nie myślę o niczym innym.
- Proszę mówić dalej.
- W sprawie kryminalnej ten, kto się przyzna, idzie siedzieć. A mimo to zdarza się, że ludzie nie zachowują sekretów przed policją. Dlaczego? — Uniósł ręce. — Po pierwsze, muszą zrzucić z serca ten ciężar. Po drugie, chcą się pochwalić.
- Odrażające, ale prawdziwe.
- Więc zaczęliśmy rozmawiać o sekretach. Ludzie kochają sekrety. Sekrety mogą być okropne, zabawne, zabójcze. Mogą ciążyć sumieniu. A przede wszystkim mogą być cenne. Ale tylko dopóki pozostają sekretami.
- Z definicji — zauważyła Jo.
- Tak działa Dolina Krzemowa, dzięki zatajaniu informacji lub ich wymianie. Ograniczanie przepływu informacji pozwala na kontrolę rynku.
- Albo kontrolę nad ludźmi.
- Harding wymierzył w nią wskazujący palec.
- Dokładnie.
- Inaczej nie byłyby możliwe szantaż i wymuszenie.
- Rozumie pani. — Skinął głową. — Ale ludzie uwielbiają opowiadać o swoich sekretach. Proszę spojrzeć na program Jerry'ego Springera. — Bawił się łyżeczką do kawy. — Ci, którzy zdradzają swoje sekrety, nie zdają sobie sprawy, że gadanie niszczy właśnie to, co było cenne. Powiedz wszystkim, a stracisz władzę, stracisz kontrolę. Rzecz stanie się ogólnie wiadoma, ku uciesze wszystkich. Człowiek, który zdradza sekret, pomniejsza mit. W dziewięćdziesięciu procentach wypadków to, co ujawniają ludzie, jest tanie, liche i ostatecznie... nudne.
- Jo pokręciła głową.
- W niektórych społeczeństwach odkrycie sekretów prowadzi do krwawych waśni i honorowych zabójstw —

argumentowała. — W Kalifornii powoduje rozwody, histerię i uzależnienia.

— Nudne. Proszę zajrzeć w portal twojmrocznysekret.com. Zabawiałem się z siostrą. Kocham Bobby'ego, a on się o tym nigdy nie dowie. Sikalem w windzie. Jedynym adekwatnym określeniem jest tu słowo „plebejskie”.

— Ci ludzie czynią wyznania anonimowo.

— To tchórze.

— Interesujący osąd — stwierdziła Jo. — Anonimowość może zapewnić bezpieczeństwo. Pozwala ludziom mówić to, co myślą.

Harding rozłożył dłonie.

— Wyznania online? Ukrywanie się za nickiem? Wielkie mi co. Kto będzie wiedział, że to naprawdę pani? Kto będzie wiedział, że te domniemane sekrety są prawdziwe? Tamtej nocy uznaliśmy, że anonimowe wyznanie sekretu online jest dla złamasów. Jeżeli idziesz z tym do Jerry'ego Springera, jesteś śmieciem, medialną kurwą. Rujnujesz jednocześnie sekret i własną reputację. Tracisz władzę.

— Do czego pan zmierza? — zapytała.

Przez chwilę wydawał się zakłopotany.

— Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakbym się tym ekscytował. Próbuję wyjaśnić, jak to było. Byliśmy dzieciakami. Przemądrzałymi dupkami. To był po prostu żart — powiedział. — To nawet nie był prawdziwy klub. Po prostu głupie gadanie.

— Ale nie teraz.

— W tym rzecz. Ludzie lubią wyznawać. Robią to, żeby się wyżalić, zranić kochanków, popisać się. Nawet po to, żeby pomóc innym.

— Oczywiście.

— I tak, można się wypowiadać na osobności. Można porozmawiać z psychiatrą zobowiązanym tajemnicą lekarską do

milczenia. Można wyznać wszystko prawnikowi, który trafi do więzienia, jeżeli wyda tajemnicę klienta. Można też porozmawiać z księdzem, a on nigdy nikomu tego nie powtórzy, nawet pod groźbą śmierci. Ale księża żądają czegoś w zamian. Żalu. I wyznaczają pokutę. Komu to potrzebne?

Scottowi Southernowi, pomyślała Jo.

— Wielu ludziom — powiedziała głośno.

— Nie słucha pani. Owszem, można tym osobom powiedzieć niemal wszystko, nie obawiając się ujawnienia tajemnicy czy odwetu. Żaden jednak z tych zawodowców nie zapewnia wyznającym tego, czego szukają.

— A co to takiego?

— Oklaski. — Pozwolił, żeby słowo zawisło w powietrzu. Rozłożył ręce. — Pochwały. Poklask. Uznanie dla własnych osiągnięć.

— Znam znaczenie tego słowa.

— Nie mówię o pasywnych sekretach w rodzaju: „Wujek John mnie dotykał i zabronił o tym mówić”. Mówię o działaniach, które ludzie podjęli. Wielkich decyzjach. Ryzyku. Rzeczech nie do zaakceptowania społecznie.

— O przestępstwach?

— Oczywiście. — Harding był spięty. — Callie urzeczywistniła tę fantazję.

— Uważa pan, że stworzyła Klub Brudnych Sekretów.

Wręczył Jo notatnik.

Kiedy go otwierała, skrzyknęła. Na pierwszej stronie czarnym atramentem odręcznie napisano: KBS.

Przejrzała całość: strona po stronie schludne, uporządkowane notatki, sporządzone wąskim charakterem pisma, ręką głęboko żłobiącą papier.

Etos KBS. Sekrety są cenne. Nie należy ich marnować.

Jo przebiegł dreszcz. Strona piąta.

Klub Brudnych Sekretów: poziomy. 1 poziom podstawowy — biały. 2 zaawansowany — srebrny. 3 główny — czerwony. 4 elita — czarny diament.

Było to wyłożone banalnie jak zasady programu lojalnościowego. Na stronie szóstej pismo nabrało rozpędu.

Jednym z pożytków klubu jest możliwość zrzucenia z siebie ciężaru, ale wyznanie zapewnia ograniczoną satysfakcję. Współzawodnictwo daje więcej. Członkowie klubu zdobywają dodatkowe punkty za powrót na miejsce przestępstwa i uniknięcie aresztowania. Albo za cyniczną kontynuację czegoś i uniknięcie złapania. Za kłamstwo pod przysięgą z uśmiechem albo ze smutnym kiwaniem głową. Za zaryzykowanie prestiżowej posady albo pozycji politycznej. Za zrobienie czegoś, czym się chęlpili, bez pozostawiania odcisków palców na miejscu.

Jezu. Traktowali miasto jak osobistą planszę do gry.

— Czemu miałyby urzeczywistnić gadanie z czasu studiów? — zapytała Jo.

— Nie wiem.

— Jaki był brudny sekret Callie?

— Była moją żoną. Przez pięć lat spałem obok niej, gdy śniła. I nie mam pojęcia. — Chłód w jego spojrzeniu stopniał. — Ta gra ją zabiła, prawda?

Jo obserwowała go. Wydawał się spragniony.

— Czy potrafi to pani połączyć w całość? Czy może mi pani powiedzieć, o co jej chodziło? — Sięgnął do teczki stojącej na

podłódze. Wyjął z niej piłką do baseballu i położył na stole. — Wyjaśnić, skąd to wzięła?

Była to stara piłka z autografem Williego Maysa. Harding pokręcił głową. Minę miał kwaśną.

— Callie nie zbierała sportowych pamiątek. Weszła w jej posiadanie nielegalnie, w ramach jakiejś absurdalnej gry. Więc proszę mi powiedzieć, co robiła?

Jo wytrzymała to spojrzenie, widząc w nim złość i ból.

— Czy jest pan członkiem tego klubu?

— Chciałbym. Może wtedy zdołałabym ją powstrzymać.

Przez chwilę wyglądał młodo i nieporadnie. Zastanawiała się, czy czuł się zdradzony, że Callie mogła coś takiego zrobić, czy odtrącony, bo mu o tym nie powiedziała.

— Nadal byli państwo ze sobą związani? — zapytała.

— To znaczy czy się pieprzyliśmy?

Twarz bez wyrazu, Beckett. Nie daj się złapać na tę przynętę.

— Czy tak pan o tym myślał?

— Ona tak to określała. To właśnie lubiła mi robić. — Zaciśnął usta. — Myślę, że nadal mi to robi. Nam wszystkim.

Jo rzadko widywała tak heroiczne i nieudane wysiłki, by ukryć głód, nienawiść i tęsknotę. Harding był człowiekiem na krawędzi.

— Bardziej niż cokolwiek pragnąłby pan teraz mieć Callie, prawda?

Zbielały mu usta. Temperatura spojrzenia gwałtownie spadła. Zwinął dłoń w pięść i przycisnął ją do warg.

Opuściła wzrok, dając mu chwilę, i odwróciła kartkę w notatniku.

Dostęp: submenu w iPodzie. Hasło: platinum.

24.

Jo zamknęła drzwi frontowe i upuściła klucze na stolik w przedpokoju. W kuchni otworzyła drzwi na patio i wpuściła chłodne powietrze wraz z zapachem bzu. Podłączyła iPoda Callie do komputera i wyświetliła na ekranie menu.

Nieoficjalne pliki pani prokurator znalazła głęboko ukryte w specjalnym podmenu, pod „Różne”. Były chronione hasłem. Wpisała „platinum”.

Znalazła się na planszy do gry.

Przed oczami miała dane kilkunastu członków Klubu Brudnych Sekretów. Były tu ich referencje. CV zostały zeskanowane i zapisane. Wszystkie osobiste informacje, odrażające postęпки, wszystkie szczegóły i dowody autorstwa.

— A niech mnie — powiedziała.

Plik numer jeden dotyczył członka rady miasta, który przyznawał się do manipulowania kontraktami na miejskie projekty napraw uszkodzeń po trzęsieniach ziemi. Plik numer dwa — znanego eksperta w kwestiach prawnych, dawniej gliniarza w Las Vegas, który chwalił się, że przyjmował łapówki od kasyn. Fotografie potwierdzające autentyczność swojego życiorysu zatytułował „Kąpiel w fontannie dziwek”. Plik numer trzy

poświęcono federalnemu lobbyście, który twierdził, że spał z dwudziestoma trzema senatorami i członkiniami kongresu. I że im się to podobało. Ten plik nosił podtytuł „Żigolak”. Plik numer cztery dotyczył Scotta Southerna.

Jo wyniosła iPoda i laptop na zewnątrz i usiadła pod magnolią, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Źle się czuła z całą tą bezczelnością i brudem.

W iPodzie znajdowało się dość materiału, by szantażować wszystkich tych ludzi. Czy to był sekret Callie? Komórkowa struktura klubu miała oznaczać, że tylko kilka osób będzie znało sekrety członków. Nikt nie miał mieć dostępu do wszystkiego. A jednak Harding zbierała tego szlamu, ile wlezie.

Porządna ambitna Callie zgromadziła dane o członkach klubu, jakby pełniła rolę prywatnej Stasi. O co jej chodziło?

Czy planowała wygranie klubowych konkursów, potajemnie szkodząc innym członkom? Czy chciała ich szantażować? A może istniał poziom ponad elitą czarnego diamentu, gdzie wewnętrzny krąg rozdzielał nagrody?

Czy Geli Meyer znalazła ten supertajny schowek? Czy dlatego o mało nie umarła?

Jo przeglądała akta. Były tam zdjęcia, nawet wideo. Wcisnęła „play”. Zupełnie jakby układała puzzle, kawałek układanki odwrócił się i wskoczył na właściwe miejsce.

— Cholera — powiedziała.



Xochi Zapata jeszcze raz zapukała do drzwi hotelowego pokoju. Nadal żadnej reakcji. Jeszcze raz sprawdziła numer, który zapisała — 1768. To był ten pokój, wysoko na górnym piętrze Marriotta. Informator, który zadzwonił do stacji telewizyjnej, podał właśnie ten numer.

Sfrustrowana podeszła do poręczy i spojrzała w dół. Siemdemnaście pięter poniżej w hotelu kipiało życie. Budynek

wznosił się wokół wielkiego atrium. Przeszklone windy przewożyły elegancką klientelę w górę i w dół. Na parterze setka ludzi jadła w restauracji. Całość dyskretnie ozdabiały halloweenowe dynie.

Xochi wyjęła telefon. Jej kamerzysta był na dole, szukał informatora. Furgonetkę zaparkowali na zewnątrz, na zakazie.

— Dajmy sobie spokój, Bobby. Nikogo tu nie ma. Jakiś du-reń nas podpuścił.

— Kurwa. W takim razie się rozdzielimy. Ktoś nam wjedzie w tyłek, jeżeli nie przestawię furgonetki.

W końcu korytarza otworzyły się drzwi. Xochi się odwróciła. Z pokoju wyszła para starszych ludzi, ubranych jak na spacer.

— Wracam na dół — powiedziała.

Czuła się idiotycznie. Taki świetny temat — fałszowane leki importowane z Azji i sprzedawane pod podrobionymi etykietami przez sieć drogerii, która nie sprawdziła ich pochodzenia. Wymarzona historia. Mężczyźni i kobiety w kwiecie wieku zatruci sfalszowanymi lekami to znacznie lepsze niż fałszowane dżinsy od Calvina Kleina. Materiał na lokalną Emmy, może nawet przepustka do pracy w telewizyjnej sieci. Zamknęła telefon i poszła za parą do windy.

Cała wyprawa na darmo.

— Głupia — powiedziała pod nosem.

Stała za spacerowiczami, czekając na windę. Starsi państwo zagłębili się w przewodniku. Kobieta wzięła mężczyznę za rękę, uściśnęła i roześmiała się pogodnie. Bardzo to było słodkie.

Nie, po namyśle stwierdziła Xochi, nie postąpiła głupio, chwytając przynętę; żeby trafić na dobrą historię, trzeba ryzykować. Winda zjeżdżała, lśniąc w słonecznym świetle. Pokojówka pchała wózek z środkami czystości. Za nią otworzyły się

drzwi wyjścia przeciwpożarowego. Zapata się rozejrzała. Korytarzem szedł mężczyzna, trzymając ręce w kieszeniach kurtki.

Powstrzymała prychnięcie. Wiatrówka Members Only, ciękawie, ile lat temu wyszła z mody?



Jo wcisnęła pauzę. Wpatrywała się w monitor komputera.

Xochi zasugerowała, że podczas jakiegoś wyzwania coś poszło nie tak. Dobry Boże, „poszło nie tak” nie było odpowiednim określeniem. Jo czuła mdłości. Ewidentnie właśnie ta historia wyciekła. Informacje dotarły do Skunksa i najwyraźniej do kogoś jeszcze — tego, który nim sterował.

Zadzwoiła do stacji telewizyjnej.

— Jo Beckett do Xochi Zapaty. To pilne.

Reporterka wyszła. Nie mogli jej połączyć.

— Niech do mnie zadzwoni.

Jo odłożyła słuchawkę i wybrała numer Amy Tang.



Mężczyzna w wiatrówce szedł korytarzem w stronę windy. Był niski i przygarbiony, miał siwe włosy w strąkach. Spoglądał na Xochi i umykał wzrokiem.

Z brzękiem podjechała winda. Starsi państwo weszli do środka, Zapata za nimi. Drzwi zaczęły się zamykać.

— O, moje okulary — powiedziała kobieta. — Henry, przytrzymaj drzwi.

Mężczyzna chwycił skrzydło, zanim zdążyło się zamknąć. Drzwi otworzyły się ponownie i para wysiadła.

— Przepraszam, kochanie — powiedziała kobieta, gdy szli z powrotem do pokoju. — Musiałam dziś rano zgubić gdzieś głowę.

Xochi obserwowała oddalającą się parę. Mężczyzna w wiatrówe stał przed drzwiami windy.

— Proszę zaczekać — powiedział.

Wcisnęła guzik. Nieznajomy wpatrywał się w nią. Poczowała dreszcz podniecenia.

— Czy to pana szukam? — zapytała.



Komórka Amy Tang miała włączoną pocztę głosową. Beckett się rozłączyła i jeszcze raz wybrała bezpośredni numer Tang na posterunku. Usłyszała tylko dzwonięcie.

Przyglądała się uważnie ekranowi komputera. Zatrzymała wideo, ale obraz nawet zatrzymany i bezgłówny robił przejmujące wrażenie.

„Zabrali się za niewłaściwego faceta”, napisał Scott Southern. A teraz ten facet zabrał się za Klub Brudnych Sekretów. W zemście. Xochi musiała wiedzieć, że będzie chciał ją dorwać.

Właściwie powinna już być tego świadoma. Czy nie zdawała sobie sprawy, że będzie celem? Jo wróciła myślą do spotkania w Aquatic Park, podczas którego Zapata przejawiała sprzeczne potrzeby zachowania tajemnicy i ekshibicjonizmu. Czyżby podświadomie chciała, żeby Jo upubliczniła sprawę? Czy celowo narażała się na niebezpieczeństwo?

Zaraz. Jo miała pod ręką akta Callie. Odłożyła słuchawkę i przewinęła kolejne pliki, aż znalazła nazwisko Xochi. Jej referencje. „Twoje Wiadomości na Żywo”. Numer komórki. Zadzwoiła.



Zapata wciskała kciukiem przycisk zamykający drzwi windy. Pan wiatrówek spojrział najpierw w jedną, potem w drugą stronę, sprawdzał korytarz.

— To ja dzwoniłem. Proszę puścić przycisk — powiedział.
Puściła. Stał. Zadzwoiła jej komórka, ale ją zignorowała.

— Wsiada pan? — zapytała. Spojrzał na nią.

Gdy wyjął ręce z kieszeni, wiedziała, że coś jest nie w porządku. Zorientowała się z wyrazu jego twarzy i po zapachu, który nagle wypełnił powietrze. Strach pojawił się nagle i wypełnił jej umysł wszechogarniającym wrzaskiem.

Na ucieczkę było za późno. Mężczyzna blokował wyjście. Drzwi windy się zasuwwały. Xochi cofnęła się pod szklaną ścianę. Zamykajcie się szybciej, kurwa, zamykajcie...

Nieznajomy miał w prawej dłoni zapalniczkę. Pstryknął i płomień dotknął przesiąkniętej benzyną szmaty wetkniętej w szyjkę butelki. Była wypełniona przezroczystym płynem i Zapata wiedziała, że to nie woda.

Płomień zabłysnął na pomarańczowo.

— To ja. Przykro mi, kochanie.

Wrzucił butelkę przez niedomknięte drzwi windy.

25.

W lobby Marriotta Bobby niecierpliwie czekał na Susan przy rzeźbie przedstawiającej tańczące nimfy. Odmówił zwracania się do niej „Xochi”. Dopóki ona nazywała go Bobbym kamerzystą, zamierzał zwracać się do niej po prostu Susan Daly.

Nie umiał powiedzieć, czy spojrzął na windę, bo spieszył się, żeby przestawić furgonetkę z miejsca zakazu, czy może jego wzrok przyciągnął błysk. Doświadczenie i instynkt fotografa kazały mu jednak podnieść kamerę i zacząć filmować. Odruchowo poprawił ostrość. Zrobił zbliżenie na windę i jego mózg nagle się zaciął. Usiłował przetworzyć to, co widział, ale umysł odrzucił informację.

Miał wrażenie, że się rozplywa, słyszał jakiś dźwięk wydobywający się z własnego gardła. Nieartykułowany jęk. Nadal filmował. Przeszklona winda zjeżdżała na parter i z każdym kolejnym piętrem horror w środku stawał się wyraźniejszy i bardziej oczywisty. Winda dotarła do parteru. Kamerzysta stał jak skamieniały, patrząc przez obiektyw na Susan. Twarz miała przyciśniętą do szkła, usta otwarte w agonii. Płomienie wypełniły windę. To był holokaust, czerwony i oszalały. Drzwi się

otworzyły i usłyszały krzyki. Płomienie wystrzeliły na zewnątrz. Następne, co pamiętał, to moment, gdy klęczał, pozbywając się zawartości żołądka na marmurową podłogę.



Jo szła Post Street w kierunku Union Square z uczuciem déjà vu. Policyjne samochody, strażacy, ambulans i telewizyjna furgonetka obok Marriotta. Ze strachu mrowiły ją dłonie. Wzdłuż ulicy powiał wiatr. Hotelowi portierzy wyglądali na przestraszonych i pobladłych. Jo weszła do holu i zobaczyła oficera Pablo Cruza odprowadzającego gapiów z dala od windy. Była tu cała banda.

Hotelowe atrium ciągnęło się aż po dach. Gdy weszła do środka, zobaczyła zakopcone okna windy. Szkło popękało. Czowała zapach dymu i jedyny w swoim rodzaju, rozpoznawalny zapach spalonego ludzkiego ciała.

Zatrzymała się. Poczowała ucisk w gardle i walczyła z odruchem wymiotnym.

Tuż obok pojawił się Cruz.

— Pani doktor?

Wpatrywała się w windę.

— Zapata nie żyje?

— Tak. — Głos miał spokojny. — Dobrze się pani czuje?

Solidna niebieska opoka. Spojrzała w jego aztecką twarz.

— Absolutnie nie. — Miała wrażenie, że jest tu nienaturalnie jasno. — A pan?

Kiwnął głową. Zaciskał zęby.

— Nikt nie będzie twierdził, że to było samobójstwo, zgadza się? — zapytała.

— Nie.

— Kto ją zamordował?

— Biały mężczyzna. Blisko metr siedemdziesiąt wzrostu, po

czterdziestce, tłuste włosy, z siwymi pasmami. Czerwona kurtka.

— Nazywa się Skunks.

— Widziało go dwoje świadków. — Cruz wskazał na mężczyznę i kobietę około siedemdziesiątki siedzących na sofie przed dużym kominkiem. Kobieta ocierała oczy chusteczką. Mężczyzna położył dłoń na jej kolanie, pocieszał ją.

— Porucznik Tang? — zapytała Jo.

Policjant wskazał na biurko recepcji.

— Rozmawia z kamerzystą ofiary.

Amy wyglądała jak kieszonkowa chmura burzowa, czarny sweter w serek, czarne spodnie, czarne włosy sterczące na wszystkie strony. Ramiona założyła na piersi. Doktor Beckett podeszła do niej. Kamerzysta wyrzucił z siebie po kilka słów.

— ...anonimowy informator zadzwonił do stacji z wiadomością o fałszowanych lekach na receptę — mówił. — Mogła być z tego duża historia.

Drapał się po ramionach, jakby chciał zedrzeć wierzchnią warstwę skóry. Może chciałby też wyłupać sobie oczy, żeby pozbyć się wspomnienia tego, co widział.

— Proszę zaczekać kilka minut. Możemy mieć jeszcze jakieś pytania — powiedziała Tang.

— Nie byłbym w stanie prowadzić, nawet gdybym chciał — oznajmił.

Podszedł do baru i poprosił o szklankę wody. Policjantka ruchem głowy pokazała, żeby Jo odeszła dalej od tłumu. Gdyby jeszcze mocniej skrzyżowała ramiona, przecięłaby się wpół.

— Skunks wrzucił koktajl Mołotowa do windy. Zabiłby też tę parę starszych ludzi, ale w ostatniej sekundzie wysiedli. — Dotknęła grzbietu swojego nosa. — Zjadliwy gnój.

— Wiem.

- A ty myślałaś, że skłaniają ludzi, żeby sami się zabili.
- Bo tak robili. Dzisiaj przerzucili się z tortur na morderstwo.
- Dlaczego?
- Są dwie możliwości. Po pierwsze, to była kulminacja ich kampanii terroru.
- Jak to?
- Xochi Zapata była źródłem przecieku.
- Co? — zapytała Tang.
- Dostałam się do plików na iPodzie Callie Harding, która zachowała dane z aplikacji członkowskich do Klubu Brudnych Sekretów.
- Chwalili się tym swoim brudem na piśmie?
- Szczegółowo, z dowodami. I Xochi Zapata była kluczem.
- Co się stało?
- Klub obrobił nowego kandydata. Ktoś z nich go wystawił. Ukradli mu pięćset tysięcy dolarów.
- Tang przesunęła dłonią po włosach.
- Pół miliona? Po prostu zwyczajnie go obrabowali?
- Zrobili to podstępem. Kandydat zjawił się przekonany, że wkupuje się do klubu, organizując partię pokera na dużą skalę, nielegalnie.
- Dla samych wysoko postawionych graczy — domyśliła się Tang.
- Dla hazardzistów z towarzystwa. Miał być ich kasynem i bankierem. Zjawił się z gotówką, żeby zapewnić wygórowane zakłady.
- I zabrali mu te pieniądze.
- Gorzej. Bronił się i wtedy go zaatakowali.
- Zabili go? — zapytała Amy.
- Nie. Torturowali, wygląda na to, że dla sportu. — Jo czuła się brudna, nawet o tym myśląc. — Stłukli go na miazgę

łomem. Zapata powiedziała, że facet błagał o darowanie życia, ale go zignorowali. Zupełnie jakby to ich zachęciło.

Wydawało się, że Tang zapadła się w siebie.

— Jezu Chryste, ktoś tak sobie wyobrażał grę w wyzwania? Rabunek z użyciem przemocy?

— Nie wszyscy w klubie są jak Scott Southern, który szukał wybaczenia za swoje grzechy. To oczywiste.

— I psychopatyczne. A co to ma wspólnego ze śmiercią Zapaty? To zemsta?

— Zdecydowanie tak. — Jo sięgnęła do torby i wyjęła iPoda Harding. Znalazła właściwy plik. — Xochi nie mówi, jak miał na nazwisko. Nie wiedziała. — Przewinęła pliki. — Masz. — Ustawiła na „play”.

Tang zmarszczyła brwi.

— To plik muzyczny?

— Wideo. — Jo starała się nie patrzeć na windę. — Tylko musisz najpierw wiedzieć jedno. Rozmawiałam z nią dzisiaj rano. Obiecałam, że zachowam naszą rozmowę w tajemnicy, o ile nie powie mi, że zamierza popełnić morderstwo.

— Beckett...

Jo uniosła dłoń.

— Powiedziała mi, że zrobiła karierę jako gwiazda porno, ale miałam wrażenie, że coś ukrywa. Kiedy dotarłam do jej akt na iPodzie, dowiedziałam się, co to było. Podczas kręcenia filmu sadomasochistyczna zabawa wymknęła się spod kontroli. Aktor został przypadkowo uduszony na planie.

— O cholera. — Tang spojrzała w stronę windy. — Film ze śmiercią na żywo. Jasna cholera.

Jo przesuwała kółkiem iPoda.

Kiedy będziesz oglądać, co się wydarzyło podczas tego napaду z użyciem przemocy, pamiętaj o jednym. — Przewinęła w dół. — Można powiedzieć o Xochi masę rzeczy, w większości

mocno dyskusyjnych, ale poza wszystkim, była reporterką. Znalazłam jej aplikację do najwyższego poziomu klubowego. Z czarnym diamentem.

Podłączyła słuchawki, dała jedną policjantce, drugą wetknęła we własne ucho. Wcisnęła „play”.

Zobaczyły Xochi siedzącą w ciepłym świetle we własnym mieszkaniu. Miała idealny makijaż, włosy spływały jej na ramię. Pochyliła się w przód, ciemne oczy były ukryte w cieniu, mówiła wprost do kamery. Głos miała zmysłowy, jak gdyby podniecało ją opisywanie aktu pospolitej przemocy.

— Za każdym razem, kiedy facet błagał, żeby przestać, tylko obrywał mocniej. Najpierw butami, a potem łodem. — Wypuściła powietrze. — Leżał na plecach na podłodze tego pustego magazynu jak jeden krwawy strzęp. Przestał walczyć, tylko usiłował odpełznąć. — Wychyliła szklaneczkę. — Nie wiem, kto rzucił mi to wyzwanie, ale było ostatnim, jakie kiedykolwiek przyjął. Chcieliście, żebym odwróciła uwagę kandydata, żeby nie był ostrożny, i to zrobiłam. Nie był moim fanem, ale i tak zadziało. — Nalała sobie kolejnego drinka. Chyba cuervo. — Nie powinnam była wspominać o tym różańcu. — Wypiła. — Okay. Ściemnienie.

Jo wcisnęła pauzę.

— Xochi powiedziała mi, że coś z wyzwaniem poszło nie tak. Nie przyznała się, że była tam na miejscu.

Ponownie wcisnęła „play”. Obraz Zapaty zniknął i zaczęło się nowe wideo. Nieruchomy obraz magazynu. Skrzynie spiętrzone na wysokość trzech metrów. Kiepski obraz. Kamera była umieszczona w kącie, pod kurtką. Ewidentnie filmowano potajemnie. Kandydat stał w cieniu za skrzyniami. Nie dało się go rozpoznać.

W kadr weszła kobieta.

Tang pochyliła się w stronę ekranu z otwartymi ustami.

— Ja pierdziele.

— To Xochi — wyjaśniła Jo.

Miała na sobie czarną gumową maskę, szpilki od Jimmy'ego Choo i niewiele więcej. Siostra Mary Erotyka. Obok niej gestykulował jakiś chudy mężczyzna. Wyglądał jak Gatsby na kokainie.

— Kto to taki? — zapytała Amy.

— Pojęcia nie mam.

Obejrzały film i Tang pobladła.

Bicie zaczęło się jak wybuch. Zaatakował ten chudy. Kandydat bronił się rozpaczliwie. Na ziemię poleciała aktówka. Żetony do pokera rozsypały się dookoła. Xochi biegała tam i z powrotem w tle jak pies w klatce.

Bijatyka przybrała na sile. Zaatakowany mężczyzna się bronił, ale dostał w głowę i upadł. A kiedy padasz, już po tobie. Jo zmusiła się, żeby nie odwrócić wzroku, ale bolały ją oczy. Nadszedł moment, o którym wiedziała, że pozostanie niezapomniany.

Chudy bił kandydata łomem, ale nie mógł go wykończyć. Leżący mężczyzna chwycił go za kostkę.

Xochi na coś wskazała.

— Łańcuch. Weź łańcuch.

Chudy chwycił łańcuch. Uderzył nim leżącego jak batem.

— Nie! — wrzeszczała Xochi. — On cię zabije! No co ty... wokół szyi, zarzuć go wokół jego szyi.

— O cholera — powiedziała Tang. Zrobili z łańcucha garotę.

Jo i Amy stały nieruchomo, obserwując scenę rozgrywającą się na małym ekranie. Łańcuch, kandydat wleczony po podłodze, nogi młóćące powietrze. Zapata gwałtownie chodząca tam i z powrotem, wyjąca jak kojot.

Nastąpiło ściemnienie i pojawiła się Xochi z idealnym makijażem i trzecią tequilą.

— To go prawie zabiło. Leżał tam, trzymając się za szyję, walczył o oddech. Zostawiliśmy go tam. — Zamilkła i wyprostowała się. — To był błąd. Nie powinniśmy byli w ogóle dopuszczać go do starania się o członkostwo. Gdybyśmy się nie zabezpieczyli, zabiłby nas. — Nie wyglądała na przekonaną własnymi słowami. — Nie znam jego nazwiska, ale wiem, jak nazwaliśmy go później. Tego kandydata. Lekcją Pogładową. — Odwróciła wzrok, po chwili ponownie spojrzała w kamerę. — Nazwaliśmy go Módl Się. Bo to właśnie zrobił, kiedy został zaatakowany. Modlił się.

26.

Tang pochylila się w kierunku wyświetlacza.

— Módl Się?

— To nie jest polecenie, ale osoba — powiedziała Jo. — Przydomek człowieka, który reżyseruje całą tę rzeź. Likwiduje Klub Brudnych Sekretów.

Amy wpatrywała się w ekran.

— I Zapata nie podała jego nazwiska?

— Nie. Obejrzałam całe wideo. Nie знаła go.

— Ale dostarczyła klubowi nagranie z atakiem. — Porucznik przesunęła dłonią po włosach. — Co się stało? Sprawa wyciekła?

— Tak przypuszczam — potwierdziła Jo. — Ktoś zaczął mówić. Informacja dotarła do niego.

— Módl Się. Teraz to ma sens. W czasie nagrania ani razu nie widać go wyraźnie. Czy Módl Się to na pewno nie ten facet, którego nazważyliśmy Skunksem?

— W dalszej części nagrania Zapata opisuje go jako chudego i wysokiego, prawie makabrycznego. Na moje ucho to nie pasuje do Skunksa.

— Dzięki, Beckett. To duża rzecz.

Jo spojrzała na windę. Technicy z sądówki zaczęli działać. Flesz fotografa schwytał ją w pułapkę wspomnienia wypadku Callie. Przez chwilę wszystko wydawało się jakieś koślawe.

Mrugała, dopóki nie minęło to uczucie.

— Jak powiedziałam, możliwe, że Módl Się cały czas polował na Xochi. Może on i Skunks wywierali nacisk na innych członków klubu, żeby zdradzili jej tożsamość, i dzisiaj ją znaleźli?

— Ale — Tang gwałtownie podniosła wzrok — czemu zwabili ją w publiczne miejsce?

— Może chcieli ją posłać na dół w płomieniach? — zastanawiała się Jo, czując ucisk w gardle.

— Albo? — Tang nie dała za wygraną.

— Nie wiem, ale wydaje mi się, że nie znamy całej sprawy. Mam wrażenie, że stoimy na ruchomych piaskach.

Przy barze kamerzysta odstawił szklanę z wodą, podniósł przenośną kamerę telewizyjną i wyszedł. Jo przeprosiła Amy i poszła za nim.

Na zewnątrz świeże powietrze działało orzeźwiająco. Głęboko zaczerpnęła tchu. Kamerzysta myślał o tym samym, ale wybrał inną metodę. Zapalił papierosa. Trzęsły mu się ręce, kiedy przytknął zapalniczkę do końca.

Jo podeszła do niego.

— Mogę zadać panu parę pytań na temat Xochi?

— Susan — powiedział. — Miała na imię Susan.

— Czy widział pan mężczyznę, który zadzwonił z tą informacją?

— Nie. Kiedy przyjechaliśmy, to ona poszła do recepcji. Informator powiedział, że zostawi dla niej wiadomość. Było tam napisane tylko „1768”. Numer pokoju. Nikogo tam nie było. Poszedłem na dół, żeby poszukać go w holu, a ona... — Zmrużył

oczy, pociągnął papierosa. — Rozumiem, że zorganizował to tak, żeby nas rozdzielić, dorwać ją samą.

Doktor Beckett była tego samego zdania. Skunks, jednocześnie tchórz i drapieźnik, chciał odsunąć od Xochi krzepkiego mężczyznę, który jej wszędzie towarzyszył.

— Myśli pan, że przyszedł wcześniej, obserwował was? — zapytała.

— Oczywiście. Nie spieszył się. Rozstawił nas dokładnie tak, jak chciał. Tam zaparkowałem.

Wsunął papierosa do ust i ruszył w stronę furgonetki, z kamerą pod ręką. Przecisnęli się między wozami strażackimi na tył samochodu telewizyjnego. Jo utrzymywała dystans, idąc za nim, żeby unikać dymu, mimo że papierosy już jej nie brzydziły. Wszyscy członkowie jej rodziny płci męskiej powyżej czterdziestki byli zagorzałymi palaczami, więc nauczyła się jakoś sobie z tym radzić. Przyjaciele lekarze, a w gruncie rzeczy większość mieszkańców San Francisco, uznaliby jej tolerancję za szokującą. Było Halloween i wieczorem miasto miało się zaludnić wampirami, wilkołakami i drag queens, a wszyscy ekstrawagancko porozbierani i bardzo z siebie zadowoleni. Ulice miały stać się sceną dla dobroduszej dekadencji. A jednak to tęczne plemię byłoby oburzone, może nawet zorganizowałyby protest, gdyby w ich obecności ktoś zapalił winstona.

— Susan była poważną reporterką. Domagała się uwagi, działała obsesyjnie, uwielbiała oglądać samą siebie na taśmie, ale potrafiła znaleźć temat. I miała serce — powiedział kamerzysta.

Otworzył tylne drzwi furgonetki. Jo uderzył nowy zapach. Dochodził z wnętrza samochodu. Kamerzysta nie zareagował.

— Czuję benzynę — powiedziała.

— Gdzie?

Zrozumiała, że on nic nie poczuł. Był palaczem. Cofnęła się, machając ręką, żeby poszedł za nią.

— Proszę się odsunąć.

Było jednak za późno. Usłyszała szum. Jasny pomarańczowy płomień wystrzelił z tyłu furgonetki.



Paramedycy zamknęli drzwi karetki. Kamerzysta już nie krzyczał. Morfina tymczasowo stłumiła ból, ale nie mogła usunąć poparzeń. Odjechali na sygnale, z wyjącą syreną. Amy Tang oparła się o maskę patrolowego wozu Cruza i obserwowała ich odjazd.

— Przeżyje? — zapytała.

— Krzyki to lepszy znak, niż kiedy nie czują bólu. To znaczy, że ogień nie dotarł dość głęboko, żeby zniszczyć zakończenia nerwowe. Może to poparzenia drugiego stopnia, a nie trzeciego.

Karetką rozpychała się wśród jadących pojazdów. Jo miała wrażenie, że jej ręce i nogi ważą tonę.

— To była pułapka, prawda? — odezwała się Tang.

— Bez wątplenia.

— Masz szczęście, Beckett. Dużo szczęścia.

— Wiem. — Spojrzała na furgonetkę. Wnętrze było wypalone. — Módl się jest spalony w Klubie Brudnych Sekretów, oczywiście w przenośni. A teraz sam ich pali, dosłownie.

Tang była ponura.

— Ci faceci są sprytniejsi, niż przypuszczaliśmy.

— Jak zmontował bombę?

— Prosty i skuteczny patent. Kiedy Zapata i kamerzysta weszli do hotelu, wyłączył zamek w furgonetce. Potem zdjął osłonę wewnętrznej lampki, odkręcił żarówkę i wetknął w oprawkę drucik. Drugi koniec włożył do butelki z benzyną. Przywiązał

do butelki sznurek i ustawił tak, żeby spadła i stłukła się po otwarciu tylnych drzwi. Kamerzysta więc otwiera drzwi, zapala się światło w środku, drut się rozgrzewa i podpala benzynę... Butelka pęka i mamy przenośne piekło. — Amy była wściekła. — O wszystkim pomyślał. Gdyby nie dorwał Zapaty w hotelu, po powrocie do ciężarówki... bum.

Jo ze zmarszczonymi brwiami przypatrywała się furgonetce. W jej głowie nie układała się tak zgrabna całość jak u Tang.

— Po co ryzykować?

— Czym?

— Ktoś mógł zobaczyć, że kręci się przy telewizyjnej furgonetce. Telewizja przyciąga uwagę. Połowa ludzi, którzy ją zobaczą, będzie się trzymać w pobliżu, żeby trafić na wizję.

Elfia twarz Amy jeszcze bardziej spochmurniała.

— Teraz przykuła uwagę wszystkich. To sprawia, że jestem nieufna — stwierdziła Jo. Wiatr gwizdał pomiędzy budynkami. — To jeszcze nie koniec.

— Nie. Są sprytni i bezwzględni. I tylko my możemy ich powstrzymać.

Doktor Beckett spojrzała na Tang i poczuła, że ogarnia ją strach.



Przecznicę za Marriottem Skunks obserwował całą akcję przez lornetkę, siedząc w swoim cadillacu na Mason Street.

Dokładnie tak, jak zaplanował. Był tam młody meksykański policjant i mała lesba w cywilnych ciuchach, która zawsze ubierała się na czarno. Szkoda, że nie stali bliżej, kiedy się zapaliło. Upieczone gliny. Byłaby radość.

Roześmiał się. Kiedy chciał, bywał dowcipny.

I rozmawiał z nimi Pająk. Włosy fruujące na wietrze,

brązowe loki jak latająca wokół głowy jedwabna sieć. Jak sieć myśli, a wszystkie obracały się wokół jednego. Dorwać Skunksa.

Jak się nazywa pająka płci żeńskiej? Suka?

Spojrzał na zegarek. Już blisko. Wysłał do Módl Się wiadomość tekstową.



Perry odczytał SMS-a.

„Załatwione. Dwie frytki”.

Czuł wszechogarniający spokój. Frytki? Sprawiedliwość bywa czasem twarda. Natychmiast wysłał odpowiedź.

„Miej oko na Meyer”.

Skunks odpisał: „Dlaczego?”.

Głupek. Nie musiał wszystkiego rozumieć. Musiał tylko wykonywać rozkazy.

„Nie możemy pozwolić, żeby policja ją przesłuchała. Jest nasza, rozumiesz?”.

„Jasne”.

Skunks napisał: „Pająk w polu widzenia”.

Perry odpowiedział: „Trzymaj się z tyłu i obserwuj. Po południu pod nr adwokata. Może zidentyfikuję Pająka”.



Świetnie. Skunks miał dosyć tego pościgu. Pająk wiedziała, kto zlecił atak na Perry'ego. Teraz musiała mu tylko to powiedzieć.

W dole mała lesba z Meksykaninem stanęła na ulicy. Wskazywała na budynki. Narożnik banku na początek. Mówiła mu, żeby załatwił zdjęcia z kamer przemysłowych. Kurwa.

Odwróciła się i spojrzała w górę Mason Street, w jego kierunku, każąc mundurowemu przeszukać ulicę.

Skunks zanurkował, kładąc się płasko na siedzeniu.

Po minucie się wyprostował. Gliniarze zniknęli.

Cholera. Pająk też.

Rozejrzył się. Ulica pustoszała, gliny i strażacy odjeżdżali.
Perry przysłał kolejną wiadomość.

„Miej oko na Pajaka. Może znać nie tylko nazwiska, może wiedzieć, gdzie są, może nas do nich doprowadzić”.

Za wiele tych może, pomyślał Skunks.

„Ona może ruszyć moim śladem”.

„Zdecyduję, jak ostro ją potraktować. Dam znać. Módl Się”.
Rozłączył się.

Skunks uruchomił silnik i pojechał w dół na poszukiwania.

27.

Jo rzuciła torbę na drewnianą podłogę w korytarzu i poszła do kuchni. Nastawiła kawę, otworzyła drzwi na patio, włączyła telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Zobaczyła płomienie, usłyszała krzyki i wyłączyła odbiornik. Pochodziła po kuchni, następnie powędrowała do salonu i stanęła przed wykuszowym oknem, wpatrując się w sosny w parku po przeciwnej stronie ulicy. Ciemnozielone na tle błyszczącego niebieskiego nieba.

Dlaczego Módl Się manipulował ludźmi w taki sposób, żeby popełniali samobójstwa, zamiast ich zamordować?

Dla sportu? Może był tak skrzywiony, że zemsta wet za wet go nie satysfakcjonowała. Może nie potrafił doznać satysfakcji, po prostu torturując ludzi, tak jak oni torturowali jego. Może pragnął chorego spełnienia, które dawało mu nakłonienie ich, żeby sami to sobie zrobili. I potrafił wyrzucić na nich taki nacisk, że odbierali sobie życie — grupa ludzi, którzy nie mogli znieść ujawnienia swoich sekretów. Członkowie KBS woleli samozniszczenie niż upublicznienie swoich uczynków.

Jo wepchnęła ręce do tylnych kieszeni dzinsów. Ulica była

cicha. Za rogiem z brzękiem przejechał tramwaj. Motorniczy dał sygnał dzwonkiem, jazzowy riff w wykonaniu brzęczącego mosiądzu.

Gryzła ją niepewność. Psychologicznie działania Módl Się nie miały sensu.

Spalenie, choć potworne, było zrozumiałe. Chodziło tu tylko o niego. Módl Się w jak najbardziej dosłowny sposób dokonywał projekcji własnych odczuć — bycia złożonym na ofiarnym stosie — na swoich dręczycieli. To była potrzeba, wściekłość, narcyzm.

Jego metody nie miały jednak sensu. Czemu Skunks wykonywał za niego całą brudną robotę?

Może miało to znaczenie strategiczne — trzymał się z tyłu, wysyłał sprzymierzeńca, żeby groził ludziom. Może chronił się przed ujawnieniem i aresztowaniem.

Był jednak torturowany. Zemsta to wyjątkowo osobiste działanie. I na ogół ludzie realizują ją wprost. Chcą wziąć odwet własnymi rękami i oglądać jego skutki na własne oczy. Z drugiej strony jednak to torturowani, a nie torturujący odczuwają wstyd. Może to wstyd trzymał Módl Się w ukryciu?

Aż do dziś nakłaniał do samobójstwa przy pomocy odrażającego posłańca. To było zbyt ostrożne, zbyt spokojne. Zbyt oddalone.

Coś jej umykało.

Musiała wrócić do początku. Do Callie Harding, która stworzyła Klub Brudnych Sekretów. Cała reszta brała się stamtąd.

W kuchni stłukło się jakieś szkło. Jo odwróciła się gwałtownie.

Stojąc w salonie, zobaczyła przez kuchenne drzwi leżący na podłodze stłuczony dzbanek do kawy. Napój czarną strugą

płynął po kamiennej posadzce, spomiędzy lśniących okruchów szkła unosiła się para. Po podłodze przesunął się cień i zniknął z jej pola widzenia.



O cholera.

Jo cofnęła się do okna. Wpadła na kufer, którego używała jako stolika do kawy. Nie spuszczać oczu z kuchni, odsunęła zasuwkę okienną. Musiała się wydostać, i to szybko, ale nawet wtedy, gdy jej dłoń zmagala się z zasuwką, gniew przeważał nad strachem. Jak oni śmieli? To był jej dom. Zasuwka była zablokowana przez zaschniętą farbę między nią a okienną ramą. Cholera.

Gdyby wybiła okno łokciem, musiałyby marnować czas na usuwanie szkła z ramy, zanim mogłyby wyjść. Jasna cholera. Komórkę miała w torbie w przedpokoju, sześć metrów dalej. Jedyne telefon stacjonarny był w kuchni.

Nie zauważyła tam dalszych ruchów ani cieni, ale teraz usłyszała dziwny dźwięk, jakby dmuchnięcie. Ścierpły jej od tego zęby.

Musiała się dostać do okna od północnej strony salonu, w pobliżu kuchennych drzwi. Pięć metrów. Ten przytulny domeczek nagle zrobił się wielki jak stadion.

Musiała się stąd wynieść. Ale nie sama.

Cichutko otworzyła kufer. Wyjęła pozostawiony jej przez babkę Kyoko spadek, japoński zabytkowy przedmiot. Samurajski miecz z okresu Tokugawa.

Był ciężki, ostry i idealnie wyważony. Liczył sobie czterysta lat i odkąd na drewnianym statku przepłynął Pacyfik, nie przeciął niczego grubszego niż kawałek papieru. Powoli, cicho chwyciła rękojeść i wysunęła miecz z czarnej lakierowanej pochwy. Metal zadźwięczał cichutko jak nucenie zabójczego anioła.

Ujęła go w obie ręce, ustawiła pionowo i zrobiła krok w stronę kuchni. Ostatnim razem, kiedy trzymała go tak mocno, na rękojęści obok jej dłoni była ręka Daniela. Ostatnią rzeczą, którą przeciął miecz, był tort na ich weselu.

Ponownie rozległo się dmuchanie. Jo poczuła, że jeżą się jej włoski u podstawy szyi. Zrobiła kolejny krok. Cztery metry do okna. Zajrzała przez kuchenne drzwi. Pan Peebles z głośnym wrzaskiem zeskoczył z kuchennego blatu i popędził w jej stronę.

— Cholera! Jezu! — wrzasnęła dość głośno, żeby złuszczyła się farba na ścianach.

Na ten dźwięk małpka stanęła jak wryta i zagapiła się na Jo z rozdziawioną mordką. Upuściła trzymane winogrono. Oczy miała okrągłe jak ćwierćdolarówki.

— Cholerny głupi...

— Eee iii eee!

Rzuciła się na zwierzątko. Nadal piszcząc, pan Peebles skończył na schody. Gnał w górę z energią maniaka. Runęła za nim z łomotem.

— Chodź tu! Stój! O nie, nie...

Sięgnęła po niego. Odskoczył. Znalazł się na szczycie schodów. Zrobił zwód jak zawodowy futbolista i zniknął w łazience. Pobieгла za nim z mieczem objającym się o ścianę.

— To nie jest tylko na pokaz. Zrobię z ciebie pasztet.

Skręcając do własnego pokoju, zobaczyła małpkę skaczącą po łóżku. Zanurkowała w jej stronę.

— Nie ruszaj się. Ty durna futrzana...

Kapucynka katapultowała się z powierzchni kołdry i wylądowała w łazience.

— Ha, mały mózdzek przegrywa!

Jo wbiegła za nią do łazienki i zatrzasnęła drzwi. Odwracając się powoli, zobaczyła małpkę w kabinie prysznicowej

przycupniętą na szczycie wiszącej półki. Zwierzak był skulony jak zawodnik szykujący się do pchnięcia kulą, oczy miał rozgończowane i durne. Trzymając miecz nisko, podeszła do niego.



Jo zakręciła kierownicą, zawróciła na Geary Boulevard i z piskiem opon wjechała na miejsce parkingowe przed Computaramą. Stała krzywo i miała to w nosie.

Wysiadła, obeszała samochód i wyciągnęła pana Peeblesa od strony pasażera. Drzwi do sklepu komputerowego stały otworem.

— Ferd! — krzyknęła.

Trzymała małpkę odwróconą pyszczkiem od siebie. Tak na wszelki wypadek. Pognała w stronę drzwi.

Wszyscy pracownicy zgromadzili się w jednym rzędzie za dużym wystawowym oknem, gapiąc się na Jo z otwartymi ustami.

Weszła do środka.

Dalej się gapili.

— Dobrze. Dajcie Bismutha — powiedziała.

Młody mężczyzna o oczach surykutki cofnął się, odwrócił i pobiegł w stronę magazynu.

— Ferd, chodź tu, i to już.

Pan Peebles był owinięty czerwonym kąpielowym ręcznikiem. Ręcznik został zaciśnięty mocniej niż opaska uciskowa i do tego oklejony taśmą klejącą. Nierówno, na oślep. Jediną widoczną częścią zwierzęcia były oczy.

Jeden ze sprzedawców wpatrywał się w małpkę z uwagą.

— To obcy? Wyhodowałaś go w piwnicy? Powinnaś tam częściej zaglądać.

Jo zabiła go wzrokiem. Zamrugła i cofnęła się za ladę.

Inny młody człowiek odchrząknął i wskazał mniej więcej w jej kierunku.

— Wiedziałaś, że masz we włosach taśmę klejącą?

— I co z tego?

Szybko schował rękę.

— Nic. Dobrze wygląda.

Ferd wybiegł z magazynu.

— Jo. O Boże. — Dotknął ręką czoła. — Pan Peebles, o rany, co się stało?

Wyciągnęła wyprostowane ramiona, jakby zamierzała wyrzucić kapucynkę w górę i poprawić kopnięciem. Ferd szedł szybko w jej stronę i gapił się intensywnie. Na nią.

Zacisnęła zęby.

— To szampon. Prawie cała butelka. Jest niesamowicie zręczny.

— Strasznie dużo piany.

— Odkręcił stopą pryznic.

Sąsiad zamrugał, zmarszczył nos, jakby miał kichnąć, i przycisnął końce palców do policzków.

— Ferd, nie. Nie możesz mieć teraz ataku zatok. Zabraniam. To fizycznie niemożliwe i jeżeli tego spróbujesz, odwinę taśmę i wypuszczę pana Peeblesa, żeby się pobawił nowymi pecetami. — Wepchnęła mu w rękę tłumoczek. — Weź go, na litość boską.

Ferd przyjął kapucynkę w objęcia.

— Myślałam, że jest bezpiecznie zamknięty u mnie w domu.

— To się pomyliłeś.

Bismuth spojrział w lśniące czarne oczy pana Peeblesa.

— Stary, mamy do pogadania.

Jo odwróciła się, żeby wyjść. Słyszac szept, zawróciła.

— Tak?

Surykatka zamrugał i przełknął ślinę.

— Ja tylko... Zastanawialiśmy się... Przyjdiesz na halloweenową imprezę?

Zrobiła krok w jego stronę.

— Mój dzisiejszy kostium nie będzie uwzględniał mokrego podkoszulka. I nie będzie spełnieniem twoich marzeń. Żadnych, nigdy. Zrozumiano? — powiedziała. — A gdyby, to spodziewaj się w swoich snach mnie z parą gigantycznych ogrodowych nożyc. Więc już teraz, kiedy to mówię, wymazuj wspomnienie tej chwili z pamięci.

Zmierzyła wzrokiem wszystkich po kolei, aż się wycofali, kiwając głowami. Zwróciła się do sąsiada.

— Ferd, przez twoją małpę będę miała zaburzenia osobowości. Proszę, kontroluj to zwierzę.

Dopiero w połowie drogi do domu udało się jej wyjąć ze stanika kostkę mydła.



Otworzyła drzwi rękoma lepkiemi od szamponu. Rzuciła klucze na stół w przedpokoju. Marzyła o prysznicu. Poszła prosto na górę, po drodze ściągając z siebie przemoczony T-shirt i wyżymając mokre dżinsy. Ustawiła wodę na maksymalną temperaturę. Dopiero kiedy zeszła na dół w świeżym białym T-shircie bez rękawów i brązowych bojówkach, zobaczyła na podłodze pocztę. Wrzucono ją przez szparę w drzwiach i rozsypała się po podłodze.

Wzięła do ręki małą białą kopertę i zobaczyła swoje nazwisko odręcznie wypisane na awersie. „Dr Jo Beckett, Medyczne Centrum Uniwersyteckie”. Nic więcej. Pod spodem znajdowała się wypisana na maszynie naklejka, pokazująca, że list przekazano przez wydział psychiatrii.

Rozcięła kopertę paznokciem i wyjęła pojedynczą kartkę papieru. Wiadomość była krótka. Jo wpatrywała się w nią i czuła, jak krew odpływa z jej ciała.

Litery na kartce wyglądały jak ostre igły. Słyszała w głowie szum. Biały szum, który wznosił się do poziomu buczenia.

Gwałtownie otworzyła frontowe drzwi i zbiegła po schodkach. Gdzie on był? Spojrzała w górę i w dół ulicy. Gdzie był ten gnój, który wepchnął ten list przez szparę w jej drzwiach?

Jakiś biegacz w dresie i wełnianej czapce spojrzał na nią ze zdziwieniem. Na dworze było osiem stopni, a ona stała w cienkiej koszulce i bosa. Czuła się głupio. Wiedziała, że list został przekazany przez uniwersytet i nikt nie krył się tutaj, szydząc z niej. Piekły ją oczy. Twarz miała rozpaloną.

Gnojek. Gnojek. Obracała w głowie to słowo, jakby wymierała policzki, raz za razem, i zdusiła uczucie, że to jej wymierzono policzek. Słowa na stronie pluły na nią jadem.

Zabiłaś swojego męża. Witamy w Klubie Brudnych Sekretów.

28.

Jo stała na chodniku. Czuła się, jakby ktoś ją obezwładnił paralizatorem. Za rogiem tramwaj z brzękiem zjeżdżał w dół wzgórza. Metaliczny brzęk kół toczących się po torach brzmiał w jej uszach jak silnik samolotu, który pracuje na coraz większych obrotach, aż w końcu rwie się na strzępy. Zmiała list w rękę.

Wbiegła do środka i zatrzasnęła drzwi. Wyglądziła list i wpatrywała się w wiadomość jakby opętana jej słowami. Nie mogła oderwać wzroku od kartki, nawet gdy łyzy rozmazały słowa.

To miał być żart? Kto to przysłał?

— Sukinsyny.

Skąd się dowiedzieli o śmierci Daniela?

Wpadła do kuchni i chwyciła telefon. Trzęsła się jej ręka. Ledwie widząc, wystukała numer. Komórka Amy Tang była ustawiona na pocztę głosową. Rozłączyła się, otarła łyzy i zadzwoniła na posterunek. Pani porucznik wyszła.

— Niech zadzwoni do Jo Beckett. To pilne.

Odłożyła słuchawkę. Ścisnęła telefon w dłoni i rzuciła nim przez długość kuchni jak piłką baseballową. Uderzył w piekarnik i roztrzaskał się na kawałki.

Kto, do cholery, śmiał gadać o śmierci Daniela? Kto dał jakimś choremu sukinsynowi emocjonalny nóż, który mógł wbić w jej serce. Stała w kuchni, chciało jej się krzyczeć, wspomnienia wzbierały jak fala, która zaraz uderzy z pełną mocą.

— Nie. O nie. — Nie zamierzała pozwolić, żeby ją to spotkało. Nie teraz.

Znalazła komórkę i wystukała inny numer. Kiedy mężczyzna po drugiej stronie odebrał, nie dała mu nawet czasu na przywitanie.

— Quintana. Gdzie jesteś?

— Jo. — W głosie Gabe'a był uśmiech.

— Muszę się z tobą zobaczyć, i to natychmiast. — Zmroziła go.



Czekał na nią przed kościołem Świętego Ignacjusza na terenie uniwersytetu. Stał z rękami w kieszeniach dżinsów i plecakiem przewieszonym przez ramię. W okularach przeciwsłonecznych wyglądał jak czujny obserwator. Nie przypominał studenta studiów podyplomowych, raczej zabójcę z sił specjalnych, który przebrał się za studenta. Jo przemaszerowała przez plac.

Gabe przeciął trawnik, żeby się z nią spotkać.

— Co się stało?

Niosła plastikową torebkę z listem w środku.

— Ktoś się ze mną bawi. Przysłali to. — Uniosła torebkę. — To...

— Ty się trzęsiesz. — Przeczytał liścik i drwiąco skrzywił usta.

— Skąd się dowiedzieli o Danielu? — rzuciła.

Spojrzał na nią uważnie.

— Uważasz, że ja im powiedziałem?

Stała sztywno, wpatrując się w niego.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne. Spojrzenie miał twarde jak bryła czarnego lodu.

— To nie ja.

Nie poruszyła się. Quintana dotknął jej ramienia, lecz nie zareagowała. Jego dłoń opadła bezwładnie.

— Nigdy z nikim poza naszym oddziałem nie rozmawiałem o śmierci Daniela. — Jeszcze raz spojrzął na liścik. — I nigdy nie wygłosiłbym takiego kłamstwa.

Wytrzymała jego spojrzenie i chłodny dzień nagle stał się potwornie upalny.

Mówił prawdę. A ona mu nie wierzyła.

Kiedy się odezwała, miała wrażenie, że przemawia z końca długiego tunelu.

— Wiem, że nie kłamiesz, ale to prawda.

— O czym ty mówisz? — zapytał.

— Ten list, Gabe. To prawda. Zabiłam go.

— Masz urojenia?

— Klub Brudnych Sekretów potrzebuje ludzi, którzy zrobili coś naprawdę złego. Znaleźli mnie — powiedziała.

Ujął ją za rękę i zaprowadził do ławki na skraju trawnika. Kiedy usiedli, nie puścił jej dłoni. Pochylił się w stronę Jo z poważnym wyrazem twarzy i odezwał się zniżonym głosem.

— Czemu wierzysz w to kłamstwo?

Chciała wyswobodzić rękę, lecz nie potrafiła się do tego zmusić. Trzymała się go kurczowo, jakby był ostatnią deską ratunku przed upadkiem w otchłań.



— Mayday! Mayday! — krzyczał drugi pilot. Wzrok Jo wyostrzył się pod wpływem adrenaliny. Silnik miał ptaka,

którego pochłonał. Pióra i szczątki mewy rozmasały się w deszczu na szybie.

Pilot obracał głową, gorączkowo wypatrując kawałka wolnej przestrzeni, gdzie mógłby usiąść w tej skalistej okolicy. Choćby mieli wałnąć o ziemię, lepsze byłoby to niż zanurkowanie w wodę.

Drugi pilot powtórzył: „Mayday! Mayday!”, podając współrzędne. Walczył z drążkiem, starając się wycisnąć z helikoptera resztki mocy. Poniżej Jo widziała czubki jodeł i zbocze wzgórza pokryte pokruszoną skałą.

Daniel po omacku wrócił na miejsce obok niej. Spojrzał na Emily. Twarz miał spokojną, ale wyczuwało się emanujące z niego napięcie.

Wziął dziewczynkę za rękę.

— Musimy wylądować. Do silnika wleciał ptak i na resztę drogi potrzebny jest nam inny helikopter. Myślisz, że wytrzymasz, kiedy będziemy go zmieniali?

— Okay — powiedziała.

— Dobrze.

Odezwał się drugi pilot:

— Otwarta przestrzeń dwieście metrów przed nami. Trzymajcie się.

Spoza pęknięć w przedniej szybie o prawie metrowej średnicy Jo nic nie widziała. To oznaczało, że pilot także nic nie widzi. Obserwowała, jak walczy z przełącznikami, usiłując zachować wysokość. W otaczającym ich mroku przemykające tuż pod nimi wierzchołki drzew wydawały się niemal czarne.

Usadowili się z Danielem po obu stronach noszy Emily, przygotowani, by ustabilizować dziewczynkę w razie twardego lądowania. Dostawała przez kroplówkę środki przeciwbólowe, ale gdyby uderzyli mocno o ziemię, nic nie zdołaloby stłumić

bólu. W dodatku będzie musiała czekać kilka godzin na ewakuację, a liczyła się każda minuta. Jo poczuła ucisk w piersi.

Silnik zakaszłał i wszedł na zbyt wysokie obroty. Wiatr wyl, a deszcz płynął po szybach w górę. Obok nich śmigwały wierzchołki drzew. No dalej, dalej, pomyślała, zachęcając uszkodzony helikopter, żeby minął las i znalazł otwartą przestrzeń.

Niespodziewanie pojawiło się trawiaste zbocze. Nabrała nadziei. Piloci rozpaczliwym wysiłkiem zwolnili, tak aby maszyna tylko wisiała w powietrzu. Walcząc z wiatrem, zaczęli ją obniżać.

Drugi pilot podawał wysokość. Głos miał zdyszany, jakby mówił, biegnąc.

— Dwadzieścia metrów.

Jo wyjrzała przez szybę i zimny pot wystąpił jej na czoło. Zbocze było strome. Musieli lądować na wąskim skrawku usianej kamieniami ziemi, między lasem piętnastometrowych jodeł i erodującym klifem, który opadał gwałtownie ku skałom i fałom.

— Piętnaście metrów.

Silnik drżał, wpadli w objęcia wiatru, który rzucał helikopterem na boki. Jo przycisnęła ramię do piersi Emily i drugą ręką sięgnęła po dłoń Daniela. Była gorąca.

Uścisnęła ją.

— Cieszę się, że spędzam ten dzień z tobą.

— Nie ma nic lepszego, co kundlu?

— Trzydzieści metrów.

Poryw wiatru przesunął helikopter w bok. Płoza od strony wzgórza uderzyła w trawę. Emily krzyknęła z bólu. Silnik ryknął. Jo wypuściła z płuc powietrze. O mało nie złamała Danielowi ręki, myśląc: „Dalej, dalej, po prostu wyłączcie ten silnik i już się zatrzymajmy”.

Helikopter przechylił się w tył.

— Kurwa — powiedział drugi pilot.

Zmniejszyli moc, jak tylko się dało. Daniel stwierdził:

— Za stromo.

Jo wyrzała. Grunt był śliski, twardy i zbyt urwisty, żeby posadzić helikopter. Gdyby wyłączyli silniki, przewróciłby się do tyłu i stoczył w dół zbocza.

Pilot podjął szybką decyzję.

— Wysiadać. Musimy utrzymać pracę silników, kiedy będziecie wyladowywać pacjentkę. Inaczej się ześlizgniemy.

— A co z wami?! — krzyknęła Jo.

— Wylądujemy na wodzie. Potrafimy pływać. Dziewczynka nie. Wyłączymy silniki i autorotacja znieś nas na dół. Już, już, już!

Jo zaczęła odciągać drzwi. Zimno i wiatr walnęły ją w twarz na odlew. Dźwięk uszkodzonego silnika był przerażający. Wisieli dwa metry nad ziemią.

Nie dadzą rady.

Muszą dać radę.

Trzeba było działać szybko. Wyciągnąć nosze przez drzwi, zanim wiatr uderzy helikopterem o zbocze i ostrza wirnika wbiją się w ziemię.

Daniel zdjął kropłówkę ze stojaka i położył na piersi dziewczynki. Zwolnił zabezpieczenia noszy. Jo wymanewrowała nimi w stronę drzwi.

— Wysiadaj — powiedział.

— Nie. Wyciągniemy ją, stojąc po obu stronach — zaoponowała.

— Nie, Jo. Wysiadaj, a ja zsunę ją do ciebie.

— Teraz — powiedział pilot. — Już.

Helikopter chwiał się na wietrze, płozy prawie dotykały

ziemi. Jo z trudem stanęła na jednej z nich. Jasna cholera. Zaczekała i jakimś cudem piloci ustabilizowali maszynę. Mimo wiatru i uszkodzenia silnika trzymali ją równo nad zboczem. Zrobiła krok i znalazła się na błogosławionej ziemi. Daniel rozhuśtał nosze.

— Trzymaj się, Emily.

Wszystko wydarzyło się w ciągu sekund. Drugi pilot powiedział:

— Nie mogę go utrzymać.

— Moc! — krzyknął główny pilot.

Jo sięgnęła po nosze, ale nie było ich tam.

Chwyciła powietrze. Silnik zakaszłał. Helikopter się przechylił i zaczął się od niej odsuwać. Widziała Daniela trzymającego z całej siły nosze, żeby nie pozwolić Emily wypaść przez otwarte drzwi. Helikopter odsuwał się coraz dalej, jedna z płóz zahaczała o zbocze. Walczył o odzyskanie mocy, zachowanie wysokości. Silnik gwałtownie zamilkł.

Pognała w stronę drzwi. Daniel krzyknął:

— Jo, padnij!

Rzuciła się na mokrą ziemię i łopata śmigła z furkotem przemknęła obok jej głowy. Podniosła się na kolana, na nogi, zaczęła zbiegać w strugach deszczu w dół zbocza z wyciągniętymi rękoma, w rozpacz, czując w głębi serca, że nie może powstrzymać helikoptera ześlizgującego się w dół. Daniel rzucił się całym ciałem na dziewczynkę. Jo już wiedziała, że go nie dosięgnie. Nie powstrzyma maszyny, która będzie się zsuwała coraz szybciej po stromiźnie. Łopaty wciąż się obracały, i czemu, do cholery, pilot nie mógł zatrzymać tego kurestwa. O Jezu...

Śmigła trafiły w ziemię. Helikopter zakręcił się jak zwierzę. Wielkie zielone połacie darni poleciały w powietrze. Jo, potykając się, zjeżdżała w dół po śliskiej trawie. Nawet nie była w

stanie krzyknąć, kiedy maszyna wpadła w korkociąg, dotarła do krawędzi klifu i spadła do oceanu, znikając jej z oczu.



Deszcz siekł ją po twarzy tak gwałtownie, że prawie nic nie widziała. Klif był mocno zerodowany i pokruszony. Kamienie usuwały się jej spod nóg, korzenie usiłowały oplatać, ręce ślizgały się w błocie. Wiedziała jednak, że da radę zejść. Zmusiła się, by poruszać się powoli, nie rzucać się na oślep, nie ryzykować na śliskiej powierzchni. Była dla tamtych jedyną szansą.

Helikopter leżał u podnóża klifu do góry płozami. Czowała zapach lotniczego paliwa. Wśród skał rozsypały się śruby i sworznie, strzępy metalu, sprzęt medyczny, bandaże, strzykawki, wszystko czego potrzebowała, by pomóc ludziom uwięzionym w kabinie. Zdusiła panikę i wymacywała drogę w dół. Zsunęła się do stóp klifu i dotarła do helikoptera. Fale rozbijały się o skały, otaczając ją lodowatą mgiełką.

— Danny! — krzyknęła.

Obeszła wokół pokieroszowanego wraku. Kadłub, tak gładko lśniący, kiedy wchodziła na pokład, był powyginany, brudny, usmarowany błotem, pokryty przez skały. Jedna z łopat głównego silnika leżała wśród kamieni wykręcona jak złamana kosa. Jo poczuła, jak wzbiera w niej czysty strach, a potem chwyciła w szpony z całej siły. Zacisnęła zęby, ale i tak wyrwał się jej z piersi szloch.

W kokpicie drugi pilot leżał zmiażdżony o szybę, martwy.

Główny pilot żył. Udało mu się wypiąć z uprząży i wypełznąć przez drzwi. Siedział ciężko oparty o wrak, zakrwawiony, ale przytomny.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

Twarz miał wykrzywioną bólem.

— Rozwalona noga. Nie mogę się dostać do reszty.

Wspięła się do kabiny. Włosy przykleiły się jej do szyi mdługimi pasmami. Ręce miała czerwone z zimna i nie mogła swobodnie posługiwać się palcami. Otwarte drzwi skierowane były na ocean. Przylegały do podłoża. Przez szparę szerokości pół metra wpadały do środka fale.

— Daniel.

Trzymając się kadłuba, kucnęła i zajrzała do wewnątrz. Zobaczyła tylko śmieci.

Usłyszała jęk. W mrocznym wnętrzu zauważyła Emily Leigh rzuconą na tylną ścianę helikoptera jak niepotrzebna zabawka. Przez stopy Jo przepłynęła przenikliwie zimna woda.

Fala się wycofała, rozszedł się odór paliwa, z kolejną falą przypłynęły resztki medycznego ekwipunku. Te drzwi były jak otwarte usta, ciemna czeluść. Mózg Jo syczał: małe przestrzenie się zapadają.

Wpatrywała się w ciemność, ciężko dysząc. Szukała męża.

Mała przestrzeń cię zje, znów przebiegło jej przez myśl.

— Daniel.

Opadła na czworaka i wpełzła do środka. Miała zaledwie czterdzieści centymetrów do dachu. Położyła się na brzuchu i podciągała na łokciach. Krew szumiała jej w uszach. Miała gęsią skórę, przyspieszony oddech. Wiedziała, że musi go spowolnić albo nastąpi hiperwentylacja.

Emily ponownie jęknęła. To nie był odgłos bólu czy strachu. Raczej prymitywny zwierzęcy skowyt. Odgłos agonii.

— Już idę. — Pełzła przez nieład, wilgoć, zimno i smród. — Daniel. Gdzie jesteś?

Zobaczyła jego rękę. Zwały się na niego nosze i połowa medycznego sprzętu z wyposażenia helikoptera. Jo zaczęła odrzucać śmieci na bok.

— Danny. — Nie była w stanie powiedzieć nic innego.

Dogrzebała się do jego ramienia, odrzuciła na bok jakieś zniszczone sprzęty, odwróciła się i zobaczyła Emily. Oczy dziewczynki były ledwie otwarte.

— Jo. — Głos męża był niewiele głośniejszy niż szept, najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszała.

— Jestem tutaj — powiedziała. — Możesz się ruszyć?

— Potłuczony, ale tak.

Leżał twarzą w dół, wciśnięty w bok helikoptera, przywalony śmieciami. Odwrócił głowę, spojrzal na nią i ścisnął jej dłoń.

— Dziewczynka — powiedział.

— Żle z nią. Idę.

Triage to system, który pomaga lekarzom podjąć decyzję, kogo ratować najpierw w sytuacjach, gdy jest wiele ofiar. Kiedy liczba rannych przewyższa liczbę lekarzy, działanie triage polega na dzieleniu pacjentów na grupy, tak by medycy mieli jak największe szanse na uratowanie jak największej ich liczby.

Jo pełzła w stronę małej Emily, powtarzając w głowie kryteria segregacji.

Podziel pacjentów na trzy grupy: natychmiastowa pomoc, pomoc z opóźnieniem i nie do uratowania. Kod czerwony dla natychmiastowej pomocy, dla tych, którzy umrą, jeżeli nie rozpocznie się działań medycznych natychmiast. Kod żółty dla tych, którzy przeżyją nawet bez pomocy — mogą odejść z miejsca zdarzenia o własnych siłach; dotyczy to rannych o stabilnych parametrach, ludzi, którzy są przytomni i zdają sobie sprawę z sytuacji. Kod czarny dla tych, którzy umrą bez względu na to, co zrobią lekarze.

Daniel mówił i się poruszał, był przytomny i wypowiadał się logicznie, nie miał widocznych obrażeń głowy ani kręgosłupa. Ale półtora metra dalej była Emily, ewidentnie kod czerwony. Niech ją diabli, jeżeli pozwoli, żeby stał się czarny.

— Emily, już idę. — Ręce Jo pulsowały z zimna. Odsuwała na bok śmieci. Smród paliwa lotniczego przyprawiał ją o mdłości. — Danny, wciąż jesteś ze mną?

— Kochanie. Radio.

— Połączyłam się z dziewięćset jedenaście z komórki, zanim zesłałam z klifu. Pomoc jest w drodze.

Minęło dwadzieścia pięć minut i ktoś zapewne wyruszył już na ratunek, chociaż za późno dla drugiego pilota.

Pełznąć na brzuchu przez zgruchotany helikopter, Jo przecisnęła się do Emily. Chwyliła ją za rękę. Skóra dziewczynki była zimna, miękkie włosy opadły jej na twarz. Puls miała słaby i nitkowaty.

W ustach małej widoczna była krew, a na białych nóżkach zranienia. Kiedy dziecko traci krew, nietrudno o kłopoty, bo dzieci mają jej mniej niż dorośli. Emily była lodowata, bez wątplenia w szoku hipowolemicznym. Może krwawiła wewnętrznie. Jo musiała ją ustabilizować na dość długo, zanim dotrze do nich pomoc.

Ponownie usłyszała ten okropny jęk rannej.

— Trzymaj się, kochanie — powiedziała. — Trzymaj się, Emily.

Fale znów wdarły się do środka. Zimna woda dotknęła jej nóg jak naprzykrzająca się ręka. Miała wrażenie, że kadłub się skurczył. Usiłowała głęboko oddychać i czuła, że jej klatka piersiowa się zaciska.

Wygramoliła się wyżej, żeby chwycić koc termalny i rozgrzać dziewczynkę. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegokolwiek do unieruchomienia jej szyi i głowy.

Oprócz huku fal usłyszała rytmiczne dudnienie silników helikoptera. Łzy stanęły jej w oczach.

— Daniel, już lecą — powiedziała. — Widzisz ich?

Lotnicze paliwo i zimna słona woda chlusnęły jej na nogi. Sprawdziła oczy Emily. Źrenice nie reagowały na światło.

Nie oddychała. Cholera.

„Zajmiemy się nią”, obiecała matce dziewczynki. Przyrzekła.

To się nie wydarzy, pomyślała. Nie pozwolę ci się wyśliznąć. Położyła dwa palce na szyi dziecka i sprawdziła puls na tętnicy szyjnej.

Hałas helikoptera na zewnątrz wzmógł się. Był blisko. Jo odciągnęła Emily z dala od ściany i z trudem ułożyła ją w pozycji pozwalającej na przeprowadzenie masażu serca. W ciasnym zdemolowanym wnętrzu nie miała dojść miejsca, by klęknąć nad dziewczynką i wyprostować ręce, żeby uciskać jej klatkę piersiową.

Jezu, dziecko, nie umieraj. Nie umieraj. Twarz małej miała kolor papieru, pod skórą widać było niebieskie żyły. Oczy szkliste.

— Nie. Zostań ze mną, Emily.

Odwróciła dziecko na plecy, sprawdziła, czy ma czyste drogi oddechowe i zaczęła masaż serca. Wtłaczała oddech w jej usta i uciskała klatkę piersiową, z trudem starając się zachować właściwy kąt. Słyszała, że wielki helikopter wisi nad nimi. Jego silniki warczały cudownie, przynosząc wyzwolenie.

Kolejne dwa oddechy do miękkich małych ust. Trzydzieści ucisków. Znowu dwa oddechy.

I jeszcze raz.

No dalej, Emily.

Na zewnątrz pilot krzyknął:

— Tutaj!

Jo oddychała za Emily jeszcze i jeszcze raz. Brak reakcji. Słyszała ludzi na zewnątrz. Odwróciła głowę i wrzasnęła:

— Tutaj!

Znowu ucisk klatki piersiowej. No dalej, małeńka, no dalej. Była w stanie to robić tak długo, jak potrzeba. Zostań z nami, Emily.

No proszę, kochanie.

Dwadzieścia pięć uciśnień. Trzydzieści. Odetchnęła w zimne usta dziewczynki. Na zewnątrz łomot kroków, ktoś walnął w kadłub, mężczyzna zawołał:

— Wszystko w porządku?!

— Wejdźcie tutaj. — Dalej uciskała. — Dwoje rannych. Dziecko z zatrzymaniem akcji serca. Pomóżcie mi.

Za jej plecami ratownicy wykrzykiwali polecenia. Wrak helikoptera się zakołysał, gdy jeden z członków nowo przybyłego zespołu wpadł do środka. Słyszała chłopot, gdy przesuwał się przez śmieci. Pojawił się u jej boku.

— Ile czasu? — zapytał.

— Dwie minuty.

Miał na sobie zielony kombinezon lotniczy. Wyciągnął rękę i sprawdził puls Emily, gdy tymczasem Jo nie przerywała uciśnięć.

— Jest pani ranna? — zapytał.

— Nie.

— Przejmę resuscytację.

Odsunęła się na bok. Mężczyzna podpełził bliżej, żeby zająć jej miejsce. Na rękawie miał insygnia sił powietrznych i szewrony.

— Siły powietrzne? — zapytała.

Skinął głową i podjął akcję. Poczowała przyływ nadziei. To była jedyna i najlepsza szansa dla dziecka. Ratownik był poważny, robił wrażenie kompetentnego, nieporuszonego i skoncentrowanego.

Przez chwilę lży ulgi przesłoniły jej obraz. Wycofała się tyłem jak krab, usiłując się nie załamać, zachować spokój jeszcze przez chwilę. Obecność 129, oddziału oznaczała, że mieli przeszkolonych profesjonalistów, sprzęt medyczny i środki, żeby wyciągnąć z tego piekła ich wszystkich. Z pewnością nad ich głowami wisiał diabelnie piękny helikopter Pave Hawk.

Podpełzła z powrotem do Daniela.

— Ratownicy z sił powietrznych — powiedziała. — Wyjdziemy stąd.

Wzięła go za rękę i wyjrzała przez zmiażdżone drzwi wraka. Fala przyboju była na poziomie wzroku. Pojawił się drugi ratownik, ześliznął się z nieba na linie.

— Jo — odezwał się Daniel.

Rękę miał lodowatą. Przytuliła się do niego, żeby ogrzać go ciepłem swojego ciała.

— Wychodzimy stąd najszybciej, jak się da. Trzymaj się — szeptała.

Spojrzał na nią. Rzeźił. Poczuła strużkę adrenaliny płynącą wprost do serca. Przedtem nie słyszała rżenia.

— Daniel, możesz oddychać? — zapytała.

Wyszeptał coś. Pochyliła się. Wrócił wcześniejszy strach, czarny i ogromny jak wielki zły wilk. Jego usta się poruszyły. Bezgłośnie.

— Jo. Kocham.

— Danny.

Walczył o oddech. Zobaczyła kurczowy ruch klatki piersiowej. Spojrzała na jego paznokcie. Niebieskie u nasady. Cholera. Wychyliła się i krzyknęła przez drzwi do drugiego ratownika.

— Pacjent z zaburzeniami oddychania.

Daniel ścisnął jej rękę.

— Daj spokój, Danny. Trzymaj się. — Przełknął z wyraźnym bólem. Ścisnęła jego dłoń. — Cholera, Beckett, prawie stąd wychodzimy. — Dotknął jej twarzy i spojrzał tymi zielonymi oczami. — Wracamy do domu, Beckett. Ty i ja — powiedziała.

Ucisnął jej dłoń. Jego oczy powiedziały Jo, że on nie wróci do domu.

Zrozumiała. Z wyrazistością, którą daje przekroczenie granicy absolutnego zera. Oczy miał przytomne i przez chwilę

walczył z bólem, żeby jej powiedzieć, że zna prawdę i ona też musi ją poznać. Był lekarzem. Wiedział, że już po nim. Jego duch zatrzymał się na kilka ostatnich sekund, spoglądając na Jo z głębi zrujnowanego ciała, mówiąc „do widzenia”.

A potem przeszedł na drugą stronę.

Po chwili wszystko pochłonęła gigantyczna fala, która do nich dotarła. Wszystkie dźwięki, światło, odgłos silników hawka, jej ból. Straciła zmysły. Nie płakała, ale krzyczała na niego, a potem ktoś wyciągnął ją z helikoptera, mokrą i drżącą. Walczyła przez całą drogę. Dlaczego, kurwa, ten facet odciągał ją od Danny'ego?

— Pani doktor, przyływ zalewa helikopter. Utonie pani — powiedział.

— Puść mnie! Puść mnie! Mój mąż tam jest. Puść mnie. Musimy go wyciągnąć.

Otoczyły ją silne ramiona, zamknęły w uścisku. Czowała zapach lotniczego kombinezonu, zobaczyła naszywkę z nazwiskiem Quintana, ale nie chciała słyszeć tego, co mówił.

Trzymał ją mocno i nie puszczał. Kiedy przysunął usta do jej ucha, głos miał łagodny.

— Przykro mi. Oboje nie żyją.

29.

Błękit październikowego nieba raził oczy. Dzwoniły kościelne dzwony. Jo miała wrażenie, że odbijają się echem w jej piersi.

Gabe pochylił się w przód, ręce ścisnął między kolanami.

— Jo, nie zabiłaś Daniela.

— Nie pocieszaj mnie. Wiem, co ludzie gadali za moimi plecami.

Był skonsternowany.

— O czym ty mówisz? Poczula ucisk w gardle.

— Tego dnia. Kiedy wróciliśmy do Moffett.

Ludzie ze 129, oddziału ratowniczego przywieźli ją pawa hawkiem do Moffett Field. Podczas lotu Quintana siedział obok niej. Nikt się nie odzywał. Gdy wylądowali, Jo wygramoliła się oszołomiona. Nigdy więcej nie chciała się zbliżyć do samolotu, do helikoptera, samolotu rejsowego, samolociku z papieru. Otrząsnęła się jak wąż, który zrzuca skórę, i odeszła.

Teraz wiedziała, że była wtedy w szoku, który dotyka pogrążonych w żałobie i zmienia świat po śmierci partnera w miejsce

mroczone i szkliste. Dowiedziała się tego na spotkaniu grupy wsparcia, kiedy Tina wreszcie ją tam zaciągnęła, dosłownie, i siedziała obok niej.

Gdy razem z ratownikami weszła do głównego budynku jednostki, owinęli ją kocem, dali kawę, posadzili na plastikowym krześle pod fluorescencyjną lampą. Oddalili się, by porozmawiać z oficerem dowodzącym oddziałem. Jo wpatrywała się w ścianę. Słyszała stłumione głosy. Uratowana, usłyszała. Żona tego faceta.

Triage, usłyszała. I głos drugiego ratownika, który cicho opowiadał o Danielu.

Teraz, w oślepiającym słonecznym blasku, spojrzała Quintanie w oczy.

— Powiedział wtedy: „Nawet paramedyk powinien być to wyłączyć”.

Gabe wpatrywał się w nią z wytężoną uwagą. Zmusiła się, żeby nie odwracać spojrzenia. Miała wrażenie, że zaraz się rozsypie.

— Popełniłam błąd, i to go zabiło — stwierdziła.

Patrzył na nią przez kolejną sekundę. Wciąż trzymając ją za bnrękę, wstał i poprowadził przez plac.

— Nie miałaś żadnego wpływu na śmierć Daniela.

— Dokąd mnie prowadzisz?

— Nie wiem. Gdzieś, gdzie wybijesz sobie z głowy tę oburzającą opinię.

Palila ją twarz.

— Słyszałam go, Gabe. Tego drugiego ratownika, kiedy rozmawiał z dowódcą. Powiedział, że Emily to był czarny kod.

Nie do uratowania. I taki był też werdykt patologa. Emily Leigh była w stanie krytycznym, fizycznie krucha, rany odniesione w katastrofie helikoptera były zbyt poważne. Jo nie mogła uratować dziewczynki.

Daniel jednak nie był przypadkiem czarnego kodu. Choć poważnie ranny, mógł zostać uratowany dzięki szybkiemu działaniu. Krwawił wewnętrznie, miał zapadnięte płuco i tamponadę serca. Osierdzie, worek otaczający serce, zostało uszkodzone podczas uderzenia. Wypełniło się krwią, co uniemożliwiło sercu bicie. To go zabiło.

Gabe prowadził Jo z dala od placu.

— List został dostarczony do twojego domu?

— Przez uniwersytet. Wysłali go do mojego biura i Centrum Medyczne przekazało go na domowy adres. Może nie wiedzą, gdzie mieszkam.

— To dobrze. — Miał gorącą dłoń. — Z kim musisz porozmawiać?

— O tym liście? — Próbowała myśleć, ale utknęła w tamtym momencie życia, kiedy jej plany, rozumienie samej siebie i własnej roli w świecie zahamowały z piskiem w obliczu szokującej porażki.

— Matko boska. — Gabe patrzył wprost przed siebie. — Dręczyłaś się tym przez dwa lata?

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie się odezwać. Myślała, że z tego wyszła. Odnalazła drogę z ciemności do światła dziennego dzięki rodzinie, przyjaciółom i pomocy grupy wsparcia. To dlatego podjęła się prowadzenia spotkań z inną grupą — żeby odplacić. Myślała, że wyszła z ciemności.

A teraz to.

— To dlatego całkowicie zrezygnowałaś z medycyny ratunkowej? Zająłaś się pracą dla sądówki? — zapytał Gabe.

— Tak. — Czuła złość, bo najwyraźniej nie rozumiał. — Po pierwsze, nie szkodzić.

Quintana miał nieobecne spojrzenie. Ciągnął ją przez plac, trzymając za rękę.

— Schowałaś się za przysięgą Hipokratesa?

— Nie schowałam. To zobowiązanie, który podejmuje każdy lekarz, jego główne zadanie. Pomagać, ale nie narażać życia na niebezpieczeństwo. Żyję zgodnie z tą zasadą.

— Więc odseparowałaś się od żywych?

— Tani chwyt, Quintana.

Nie potrafiła określić, czy był wściekły, czy urażony. Nie wiedziała też, czy sama czuła się bardziej wściekła, czy urażona.

Odseparowała się od żyjących? Nie rozumiał. Za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, słyszała echo. Słyszała, jak mówił jej, że Daniel nie żyje.

— Nie zasługujesz na to. — Zatrzymał ją gwałtownie.

W oczach miał gniew. Ujął jej twarz w dłonie. — Słyszysz?

Słyszała dudnienie krwi w uszach. Słyszała „hej, kundlu”, uśmiech w głosie Daniela.

Weź się w garść, Beckett. To nie pora, żeby zacząć się uzalać nad sobą.

To czas, żeby być wściekłym psem.

Spojrzała na Quintanę.

— Słyszę cię.

— To dobrze.

Opuścił dłonie. Jo spojrzała na list informujący, że przeszła inicjację do Klubu Brudnych Sekretów.

— Żadnych więcej sekretów. Przyszła pora, żeby wyciągnąć całe to gówno na światło dzienne — powiedziała.

— Jestem z tobą. Co chcesz zrobić?

Zapatrzyła się w światło słoneczne. Wiatr odsunął jej włosy z twarzy.

— Dokopać się.

— Do czego?

— Do osoby, która stanowi centrum mojego dochodzenia.
Callie Harding.

Klucz do tego listu, klucz do wszystkich zgonów, klucz do odnalezienia Módl Się kryła śmierć pani prokurator. A tożsamość Módl Się mogła poznać, nie tylko badając psychikę Callie, lecz też prowadzone przez nią sprawy kryminalne.

— Porozmawiam z prokuraturą. Pójdę z tym do szefa Harding i tym razem zamierzam uzyskać jakieś sensowne odpowiedzi.

30.

Toyota Jo podążała z innymi samochodami przez Van Ness, kierując się do Centrum Obywatelskiego. Leo Fonseca był w sądzie federalnym. Gabe tłumił wściekłość na siedzeniu pasażera.

Z trzaskiem zamknął komórkę.

— Nikogo z oddziału nie wypytywano o wypadek tamtego helikoptera. To nie od nas wyciekła cała historia.

— Dzięki. To duża ulga. — Miała wrażenie, że dla Quintany była to kwestia honoru. — Szczerze mówiąc, nietrudno byłoby się dowiedzieć, co zaszło tamtego dnia. Gazety to opisały. Każdy, komu na tym zależało, mógł się dokopać masy szczegółów.

— Masz na myśli każdego o złych intencjach. I z forsą.

Spojrzał na anonim.

Ludzie na ulicach byli już poubierani na Halloween. Dwójka miłośników glamrocka przemknęła chodnikiem na rolkach. Mieli na sobie dość złotej lamy, by ozłocić kopułę Bazyliki Świętego Piotra.

Światło przed nimi zmieniło się na czerwone. Jo stanęła wśród innych samochodów.

— Dzięki, Gabe, że ze mną jedziesz.

— Musimy to powstrzymać.

Wykonał jeszcze jeden telefon i znalazł zastępstwo na seminarium, które miał prowadzić tego popołudnia. Światło zmieniło się na zielone.

Quintana obserwował ruch.

— Tu nie chodzi tylko o ciebie. Chodzi o kłamstwa, które ktoś o tobie opowiada. Próbują ustawić cię w pozycji, w której będą mogli cię zranić.

Minęli budynek opery. Długie czerwone banery zwieszały się z fasady, skracając się na wietrze. Jo zmieniła biegi.

— To zabrzmiało dziwnie, ale śmierć Callie Harding zdradza podobieństwo do innej sprawy, w której przeprowadzałam psychologiczną autopsję. Do sprawy Nagela.

— Co się stało? — zapytał Gabe.

— Pozornie był to przypadek fantazji seksualnej, która poszła w niewłaściwym kierunku. Jak się jednak okazało, nic nie było takie, jakie się z początku wydawało, i przyprawiło mnie to o zawodowe dreszcze. — Zmieniła pas. — W tej sprawie mam to samo uczucie.

— Dlaczego?

— Jeffrey Nagel miał dwadzieścia dziewięć lat, był singlem, programistą komputerowym, mieszkał w lokalu przerobionym z garażu. Kiedy któregoś poniedziałku nie zjawił się w pracy, jego szef zapukał do drzwi. On i gospodyni znaleźli denata.

— Związane i zakneblowane?

— Powieszzonego. — Jo spojrzała w lusterko. — Nagela znaleziono wiszącego na metalowej biblioteczkę przymocowanej do ściany. Pętla, którą miał na szyi, była podszyta zamsem. Był nagi od pasa w dół. Na monitorze komputerowym miał szwedzką pornografię, na podłodze rozrzucone były egzemplarze

„Hustlera”. W pobliżu nóg leżał przewrócony stółek, tuż poza zasięgiem. Wyglądało to na przypadek asfiksji autoerotycznej.

— Ale policja uważała, że to samobójstwo?

— Policja uważała, że to wypadek. Pomylili się. To było morderstwo.

Gabe spojrział na nią z ciekawością.

— Jak to wykryłaś?

— Prześledziłam poczynania Nagela z poprzedniego tygodnia. Zaangażował się w gejowski flirt z mężczyzną, którego poznał na kongresie komputerowym. Sprawdziłam jego e-maile i aktywność w sieci. Okazało się, że ten poderwany facet był patologicznie zazdrosny o przyjaciół Nagela z netu. Chciał mieć go tylko dla siebie. Kiedy tamten zaczął się opierać, zabił go. — Spojrzała na Gabe'a. — Nic nie było takie, jakie się wydawało. Wyglądało to na samotną śmierć, ale ktoś krył się na drugim planie. Mam wrażenie, że podobnie jest z tą sprawą. Coś się kryje w cieniu. Musimy rzucić na to światło.

— Zanim Módl Się albo Klub Brudnych Sekretów dosięgną ciebie — powiedział Quintana.

— Taki jest plan.



Jo i Gabe przeszli na ukos przez plac przed sądem federalnym. Cały budynek był z niebieskiego szkła i kamienia. Drzewa wokół drżały na wietrze. Przed prowadzącymi do frontowego wejścia schodami przechadzał się tam i z powrotem Leo Fonsecca. Wydawał się mały i wymięty. Wpatrywał się w wyłożony czarno-białymi kamieniami plac, jakby się zastanawiał, jakie miejsce powinien zająć na tej gigantycznej szachownicy. Kiedy Jo do niego pomachała, przejechał dłonią po rzednących szarych włosach i spojrział na zegarek.

— Za dziesięć minut zaczyna się zaprzysiężenie — powiedział.

Wyglądał tak nieszkodliwie, duże niebieskie oczy, grzywka, wpadnięte policzki, okulary bez oprawek. Starszy pan wiewiórka. Jo wiedziała jednak, że był hiperprokuratorem, że pod tą niepozorną fasadą ukrywał się znakomity taktyk.

Włożyła ręce do kieszeni.

— Nie będę zabierać panu czasu. Musi mi pan powiedzieć, co pan wie o Klubie Brudnych Sekretów.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Ale rozmawiał pan z policją o klubie?

— Informują mnie na bieżąco. Co pani tu robi?

— Callie Harding zajmowała wysoką pozycję w pańskim biurze, ale tkwiła po szyję w sprawach klubu, który zajmuje się wątpliwymi czy wręcz sprzecznymi z prawem działaniami. I pan nie ma nic do powiedzenia? Żadnego komentarza?

— Czy potrzebuje pani jej potępienia z moich ust, żeby zakończyć swoją psychologiczną autopsję?

Był zdenerwowany, ale Jo nie wyczuła w tym niesmaku wobec postawy Callie ani obawy, że naraziła prokuraturę czy którąś ze spraw. Fonseca albo był świetnym graczem, albo nie miał się czym martwić.

— Klub Brudnych Sekretów działa według zasady, że żaden z członków nie powinien gromadzić informacji o tych, którzy do klubu należą. Spotykają się w małych grupach. To niemal jak struktura komórkowa. — Odwróciła się do Gabe'a. — Co sądzisz?

— To typowe dla grup dywersyjnych — powiedział.

Fonsecca zmarszczył brwi, patrząc na Quintanę.

— Kim pan jest?

— Ratownikiem, emerytowanym sierżantem z powietrznej gwardii narodowej i człowiekiem, który latał do Afganistanu

helikopterem, żeby wyciągać kumpli spod ciężkiego ostrzału talibów. Zna się na dywersji — wyjaśniła Jo.

Fonsecca ściągnął usta.

— Wszystko prawda — potwierdził Gabe.

Doktor Beckett odgarnęła włosy z twarzy.

— Klub miał się opierać na zaufaniu. Członkowie nie mają wewnętrznego systemu przekazywania wiadomości czy poczty.

— I co z tego? — nie rozumiał.

— Callie przechowywała informacje o wszystkim, co robili jej klubowi koledzy. Była pod tym względem dość metodyczna. Większość danych znalazłam na jej iPodzie.

— Jeżeli chce mnie pani nakłonić do wszczęcia śledztwa albo zamierza obwiniać prokuraturę o postęпки Callie, proszę tego nie robić.

— Okay — powiedziała. Przekonajmy się, czy pan prokurator chowa coś w zanadru. — W takim razie ujawnię istnienie klubu. Zadzwońię do „Chronicle”.

— Trudno mi uwierzyć, że jest to zgodne z wolą wydziału policji.

— W ciągu ostatnich pięciu dni zginęło pięciu członków klubu. Śmierć niektórych z nich pociągnęła za sobą zgony innych osób. Zawiadomię, kogo się da, żeby ostrzec ludzi, że oni i ich rodziny mogą być w niebezpieczeństwie.

— Proszę tego nie robić.

— Czemu nie? Zadzwońię do „Twoich Wiadomości na Żywo”. Dziś rano zamordowano ich reporterkę. Z pewnością dadzą mnie na wizję.

Oczy Fonsecki były szeroko otwarte i wilgotne. Usta zaciśnięte tak mocno, że zbieleły. Jo się odwróciła.

— Chodźmy, Quintana. To bez sensu.

Gabe włożył okulary słoneczne.

— Jasne, pani doktor.

Odeszli, nie odwracając się. Jo wyjęła telefon z tylnej kieszeni i zaczęła wystukiwać numer stacji telewizyjnej.

— Panno Beckett, proszę zaczekać!

Obejrzała się. Fonsecaca szedł w ich stronę, przyglądając włosy. Zamknęła komórkę i czekała, aż przetnie szachownicowy plac.

— Proszę nie dzwonić do prasy. — Spojrzał na Gabe'a. — Proszę nam wybaczyć.

Quintana wymienił spojrzenia z Jo. Skinęła głową, więc odszedł poza zasięg głosu. Fonsecaca mówił cicho.

— Nie wolno pani ujawnić istnienia Klubu Brudnych Sekretów. Narazi pani jeszcze więcej osób.

— Dlaczego? — zapytała.

Badawczo przyglądał się jej twarzy, jakby chciał mieć pewność, że podda się jego decyzji. Zdjął okulary, przetarł szkła jedwabną chusteczką i włożył z powrotem. Wyprostował się i uniósł podbródek.

— Ponieważ Klub Brudnych Sekretów to nie jest klubik dla bogatych oszustów. To tajna operacja.

31.

Przez chwilę doktor Beckett myślała, że źle go usłyszała. Wiał wiatr i tuż za nimi przesuwały się samochody. Niebieskie oczy Fonsecki były pełne urazy.

— Klub Brudnych Sekretów to tajna operacja? — zapytała.

— Nie wygląda pani na przekonaną. KBS to operacja, którą Callie rozpoczęła, żeby wydobyć z ludzi wyznania dotyczące przestępstw kryminalnych. Jest prowadzona we współpracy z organami wykonawczymi federalnymi, stanowymi i lokalnymi. I świetnie idzie.

— Cała ta sprawa jest ustawiona?

— Proszę się uspokoić, panno Beckett.

— Pani Beckett albo doktor Beckett. Co się dzieje, do cholery?

Na szyję prokuratora wypełznął czerwony rumieniec, ale głos pozostał bez wyrazu.

— To wyrafinowana tajna operacja, której przygotowanie trwało kilka lat. Ujawnienie faktu jej istnienia mogłoby narazić dobro wielu ważnych śledztw.

— Proszę mówić, i to szybko.

— Klub to posunięcie strategiczne, zaprojektowane, by

przyciągać ludzi. Jest jak akcja „Wygrał pan darmowy samochód”, dzięki której kryminaliści zjawiają się u dealera, gdzie czeka policja, żeby ich aresztować. Tajna operacja. Cholerna tajna operacja.

— I Callie miała ten szwindel w zanadru, bo podczas studiów ona i jej przyjaciele gadali o założeniu Klubu Brudnych Sekretów — uzupełniła Jo.

— Była genialnym strategiem, pani doktor — stwierdził Fonsecca.

— I zaplanowała wszystko, ustawiając siebie w środku. Działała w tajemnicy.

Błyskotliwa i oddana. Przecież wszyscy to potwierdzali.

— Tak.

Cholera, to właśnie wydawało się takie podejrzane w związku z zaangażowaniem Callie w klub. Jo myślała o tym przez chwilę.

— To był jej sekret? — spytała. Prokurator skinął głową. — Nie należała do tych, którzy lubią się spowiadać. Wolą polować. Zarzucała przynętę i czekała, żeby frajerzy z wyższych sfer ją połknęli.

— Proszę nie współczuć członkom tego klubu — powiedział.

— Jak to się zaczęło? — Jo przypomniała sobie słowa byłego męża Callie: „Niektórzy twierdzą, że chowała urazy”. — To był upór czy chęć zemsty? Polowała na kogoś konkretnego?

— Nie mogę ujawniać danych operacyjnych. Mogłoby to narazić na szwank trwające dochodzenia.

— Jak duży jest klub?

Fonsecca odwrócił wzrok. Gabe stał w oddali ze skrzyżowanymi ramionami, jednocześnie odprężony i gotów do akcji. Jo uśmiechnęłaby się, ale czuła, że za chwilę rozboli ją żołądek.

— Czy pan wie? — dopytywała się.

— Sądzę, że nie jest pani uprawniona do uzyskania tej informacji.

— O mój Boże. Pan nie wie, prawda? — Zrobiło się jej gorąco. — Kto jeszcze wie, czym naprawdę jest klub? Porucznik Tang?

— Nie.

Nie poprosił, żeby milczała na ten temat przy Tang. Wiedział, że informacja wyslizguje mu się z rąk, ale zdążył już stracić coś ważniejszego.

— Sytuacja wymknęła się spod kontroli, prawda? — zapytała Beckett.

Fonsecca już nie wyglądał na nieszkodliwego. Wyglądał jak człowiek w sytuacji bez wyjścia.

— Nazwijmy klub ofiarą własnego sukcesu — odrzekł.

Jo poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Klub nie był ofiarą. Członkowie stali się ofiarami. Ich rodziny i kochankowie byli ofiarami.

Myślała o tym, jak rozgrywano tajne operacje.

— Czy policja wstrzymuje się z aresztowaniem członków, żeby uzyskać jak najwięcej obciążających zeznań? — spytała.

Prokurator nie potwierdził, ale rzucił jej szybkie spojrzenie. — Tylko że czekali za długo, prawda? Nie wiecie już, kto należy do klubu ani co robią jego członkowie, zgadza się?

— Myślałem, że Callie ma to pod kontrolą.

Myślał indyk...

— Niestety, to jak mutacje wirusa — dodał po chwili.

— Wiem, jak to działa. Ten, kto wyzna najbardziej brudny sekret, rzuca wyzwanie innym graczom. Zwycięzca wysyła ich, żeby zrobili coś, co stanie się nowym brudnym sekretem. — Jo miała wrażenie, że zwymiotuje. — Klub wywołał reakcję łańcuchową. Zmienił się w generator zamiast pułapki.

— Takie czasy. To wiek nieustannego publicznego ujawniania swojego ja: ciała, umysłu, najintymniejszych spraw.

— Nie interesują mnie pańskie socjologiczne dywagacje. Ci ludzie poszukują gwałtownych emocji. A tego typu osoby najbardziej nakręca współzawodnictwo, oczywiście także niebezpieczeństwo. To ich zachęca do podejmowania coraz większego ryzyka.

— To w naturalny sposób działało na naszą korzyść. — wyjaśniał Fonseca. — Ci ludzie mają wielkie ego, i to ich oślepiło. Nie dotarło do nich, że w końcu ktoś zacznie mówić albo ich sprzeda.

Doktor Beckett przyłożyła dłoń do czoła, żeby powstrzymać rozpad czaszki na milion kawałków.

— Tak, ale wszystko rozniosło się poza prokuraturę — stwierdziła. — Dotarło do kryminalistów, którym zaszkodził. Callie wznieciła ogień, który wyrwał się spod kontroli.

Prokurator uniósł dłoń.

— Wiem. Wiem.

Jo spojrzała na budynek sądu i wyjęła telefon.

— Amy Tang musi się o tym dowiedzieć.

— Nie. — Chwycił ją za rękę.

Kątem oka zobaczyła, że Gabe się wyprostował i ruszył w ich stronę. Zdjęła dłoń Fonsecki ze swojego nadgarstka.

— Nie obchodzi mnie, że mógłby pan znaleźć na tych ludzi coś jeszcze. Chce pan ryzykować ludzkie życie, żeby zdobyć niepodważalne, bezsprzeczne dowody do swoich pokazowych spraw? Nie ma mowy.

— Musimy zakończyć tę operację w kontrolowany sposób. Jesteśmy blisko sfinalizowania wielkiego dochodzenia.

Wyjęła z torby anonim i wręczyła prokuratorowi.

— Niczego już pan nie kontroluje. Wszystko za chwilę wybuchnie, ktoś postanowił zacząć polowanie na myśliwych.

Fonsecca z powagą wpatrywał się w notkę.

— Nie rozumiem.

Pstryk, Jo nagle coś zrozumiała. Callie Harding nie miała brudnego sekretu. Jej sekret stanowiła tajna akcja policyjna. Dlaczego więc miała napisane na nodze szminką „brud”?

Prokurator nie wiedział o tym napisie. Doktor Beckett wybrała numer komórki Amy Tang.

— Musi się pan zapoznać z pewnymi informacjami na temat ciała Callie. Proszę pozwolić, że to wyjaśnię.

Gdzieś w tyle głowy Jo zaczęła tworzyć nowy obraz. Zamglony, wciąż jeszcze w kawałkach, ale całość układała się w nowy sposób. Wszystkie założenia, które poczyniła na temat wypadku, trzeba było odwrócić.

Gabe znalazł się dość blisko, by odczuła jego obecność. Kiwnęła na niego.

Amy odebrała.

— Tang.

— Jest ze mną Leo Fonsecca. Musicie się wymienić informacjami.

— Zaraz, najpierw dobre wieści. Świadkowie rzucenia bomby zapalającej w Marriotcie, ta starsza para, pomogli sporządzić portret pamięciowy faceta, który rzucił koktajl Mołotowa.

— I?

— I przeszukałam bazy danych skazanych z ksywką czy przydomkiem „Skunks”. Zgadnij.

— Znaleźliście go?

— Jeszcze się nie ekscytuj. Zidentyfikowaliśmy go. Były skazaniec, nazywa się Levon Skutlek. Dwukrotnie skazany, mniejsze wyłudzenia, ostatni znany adres na Avenues. Wysłaliśmy obserwatorów.

— Ale go nie macie.

— Nie. Z danych wydziałów pojazdów mechanicznych wiemy, że prowadzi białego cadillaca eldorado z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego.

W samobójczym liście Scotta Southerna była wzmianka o cadillacu.

— Uważaj na tego wieloryba. Jak go zobaczysz, dzwoń pod dziewięćset jedenaście — ostrzegła Amy.

Jo niemal odruchowo rozejrzała się po placu, sprawdziła ruchliwe ulice wokół Centrum Obywatelskiego, szukając opisanego samochodu.

— Daję ci Fonseccę. Przekaż mu szczegóły na temat śmierci Callie. A on opowie ci o Klubie Brudnych Sekretów.

— Świetnie, a ty musisz się zjawić w szpitalu St. Francis.

Jo poczuła w żołądku kwas.

— Geli Meyer?

Słyszac nazwisko stażystki, prokurator zaniepokojony odwrócił głowę.

— Złe wiadomości? — zapytała.

— Jest przytomna.



Jo jechała do szpitala zagubiona w myślach. Rozłożyła na czynniki pierwsze swoją teorię na temat tego, co się stało w bmw Callie podczas ostatnich pięciu minut jej życia, i próbowała poskładać fakty w inny sposób. Wciąż jednak miała wrażenie, że widzi je jak przez mgłę; tworzyły dziwny obraz pełen niejasności i ruchomych cieni.

Dlaczego Callie miała słowo wypisane na nodze rozmazującą się czerwoną szminką?

brudny

To nie był początek oskarżenia wypisany przez dręczyciela. To nie było wyznanie ani deklaracja wstrętu do samej siebie. To był znak. Wiadomość, którą chciała przekazać, bo...

Światło zmieniło się na czerwone. Jo zahamowała i gwałtownie zmieniła bieg na niższy.

— Przepraszam. — Gabe nie reagował. Spojrzała na niego.
— Jesteś strasznie cichy.

— Muszę pamiętać, żeby ci się nigdy nie narazić — stwierdził.

— Co takiego?

— Właśnie przepuściłaś jednego z najważniejszych w tym stanie prokuratorów przez wyżymaczkę i zostawiłaś go, żeby ociekł na chodniku. To było przerażające.

Wpatrywała się w niego zdumiona. Twarz miał nieodgadnioną.

— Zwykle stosuję zasady CIA w zakresie wojny psychologicznej. Dzisiaj postanowiłam spróbować nowego podejścia.

Gabe podniósł rękę.

— Nie miałem na myśli...

— Może jutro dam mu do rozwiązania test wyboru. „Gdzie zdobył pan te informacje? A — w książce telefonicznej. B — na billboardzie. C — dzięki głosom słyszonym we własnej głowie”.

— Nie krytykowałem twoich metod.

— Uważasz, że powinnam go była potraktować łagodniej?

— Uważam, że byłaś niesamowita.

Zrobiło się jej gorąco. Światło zmieniło się na zielone.

— Jo Beckett, psychiatra-samuraj — powiedział z uśmiechem.

Zwiększyła obroty, przecinając skrzyżowanie. Czuli się nieco zawstydzona i poruszona.

— Fonseca to małe piwo. Powinieneś zobaczyć, co potrafię zrobić ważąc cztery funty kapucynce.

Quintana obserwował hałaśliwą ulicę. Przed śródziemnomorską knajpką pod ścianą siedział mężczyzna w lachmanach i trzymał tekturowy napis: „Wysłucham zniewag w zamian za drobne”.

Uśmiech Gabe'a zgasł.

— Ta uwaga, którą podслуchałaś po wypadku helikoptera. Źle to rozumiałaś.

— Gabe, wiem, co słyszałam. — Czysto i wyraźnie, i nigdy tego nie zapomni.

Podjechała pod główne wejście szpitala. Wyłączyła silnik i wręczyła mu kluczyki.

— Weź toyotę. Chwilę tu zostanę. Jedź poprowadzić zajęcia.

Wysiadła. Dogonił ją, gdy szła w stronę automatycznych drzwi.

— Zaczekaj. — Położył jej dłoń na ramieniu. Wydawał się jakiś dziwny, spięty.

— Nie próbuj upiększać rzeczywistości — powiedziała cicho. — To, co się stało, już się stało. Muszę z tym żyć.

— Nie.

— Chcesz powiedzieć, że źle usłyszałam?

— Dobrze usłyszałaś.

Ugodziło ją ciemne ostrze bólu. Skupiła wzrok na piersi Quintany. Przesunął dłoń na jej bark.

— Facet jest dupkiem. To na wstępie.

— Gabe...

— Posłuchaj. Może nawet paramedyk wykryłby tamponadę, ale Jo — zacisnął dłoń — ty nie byłaś nawet paramedyciem. — Ponowny cios, ale tym razem niósł ze sobą wyjaśnienie. Podniosła wzrok. — Paramedycy są przeszkoleni w leczeniu obrażeń w warunkach polowych — kontynuował. — Zjawiają się z pełnym wyposażeniem w leki i sprzęt, z radiem, przez które komunikują się z bazą. Ich zadaniem jest pierwsza pomoc na miejscu wypadku. — Wciąż trzymał ramię Jo. — Ty byłaś rezydentką z sądówki, która dorabiała przy przewożeniu pacjenta. — Zniżył głos. — Byłaś żoną Daniela. Sama cudem nie zostałaś ranna. Nie byłaś paramedyciem.

Miała wrażenie, że światło spływa na nią kaskadą. Czula się, jakby przepuszczano przez nią prąd. Pod powiekami miała łzy. Położyła dłoń na jego sercu.

Pierś Gabe'a unosiła się i opadała pod jej dotykiem. Brązowe oczy były pełne niezmiernego bólu.

— To ja byłem tym paramedycznym — powiedział.

Zdawało jej się, że dostrzega niewidzialne ostrze, które wykonuje obrót o sto osiemdziesiąt stopni i zadaje cios. O Boże.

— Gabe, nie, nawet nie zacznij myśleć, że jesteś odpowiedzialny...

— Proszę cię. — Położył palce na jej wargach. — Nie teraz.

— Oddał Jo kluczyki. — Sam wrócę do domu.

32.

Perry włożył marynarkę od garnituru, wygładził kołnierzyk i poprawił węzeł krawata. Krawat był z niebieskiego taniego poliestru, ale zakrywał guzowatą zbliznowaciałą tkankę, która okalała jego szyję. Strzepnął pyłek z rękawa i obejrzał się w lustrze. Włosy miał kiepsko ostrzyżone. Robił wrażenie człowieka, któremu się nie powiodło. Wyglądał na niegroźnego, pełnego nadziei obywatela o dobrych intencjach. Z blizną po garocie ukrytą pod kołnierzykiem nie przypominał człowieka, który przeżył lincz. Wyglądał normalnie.

Rozległo się pukanie, drzwi się otworzyły.

— Pięć minut — poinformowano go.

Przyłożył do gardła generator głosu.

— Prawie gotowy.

Skinął głową i się uśmiechnął. Jego przesłodzony uśmiech mówił: „Spójrz tylko, udaję, że nie jesteś odmieńcem. Czy nie jestem cudowny?”. Potem zatrzasnął drzwi.

Módl się patrzy w lustro. Ten protekcyjnie zachowujący się gnojek nie bał się go. W garniturze nie wyglądał przerażająco. Pozornie normalny wygląd zneutralizował potężną broń z jego emocjonalnego arsenału. Przez chwilę czuł się wykastrowany i

przepłynął przez niego gniew, wznosząca się czerwona fala. Powstrzymał ją.

Jeszcze raz przejrzał się w lustrze, palcami przecesał włosy i przybrał wyraz twarzy stosowny dla poważnego wieśniaka. Wyglądał na nieszkodliwego. Kiedy się odezwał, brzmiał jak człowiek skrzywdzony. To wywoływało w ludziach fałszywe uczucie litości.

Duchowe rozbrojenie — dziś może się to okazać jeszcze potężniejszą bronią.

Podszedł do drzwi, przycisnął ucho do drewnianej powierzchni, lecz niczego nie usłyszał. W kieszeni garnituru znalazł komórkę. Zabrał ją jednemu z prawników, z którymi niedługo miał się spotkać w sądzie. Zdjął wieczko z generatora głosu i wysunął kartę SIM. Włożył ją do telefonu i zalogował się do sieci. Miał do czynienia z prawem. To oznaczało, że wszystko było możliwe. Był gotów kłamać, płacić łapówki, oszukiwać, uciec, jeżeli będzie musiał. Mógł zrobić wszystko, tylko nie modlić się.

Wysłał wiadomość tekstową: „Gdzie jesteś? Czy musimy usunąć Meyer? Zadzwoń”.

Nadeszła pora.



Jo przełożyła szpitalny identyfikator przez głowę i pobiegła na górę, na oddział intensywnej terapii. Jej kroki odbijały się echem od betonowych ścian. Klatka schodowa wydawała się dziwnie zakrzywiona jak korkociąg. To samo działo się z jej sercem.

Po raz pierwszy od dwóch lat miała wrażenie, że czuje na języku smak czystego tlenu, że oddycha bez ucisku w piersi. Ciężar zsuwał się z jej pleców i miała wrażenie, że wypływa na powierzchnię po wieku spędzonym w otchłani. Jednak tylko dlatego, że ktoś inny przejął od niej ciężar.

Zalała ją fala głębokiej melancholii, ale tym razem nie widziała Daniela, jego olśniewającego uśmiechu, światła niknącego w jego oczach, gdy wyciągał do niej rękę w helikopterze.

Widziała Gabriela Quintanę.

Zawziętego, dumnego, ostrożnego i pewnego siebie, wyszkolonego, by zabić wroga, gdyby zagroził życiu pacjenta. Ten spokojny uśmiech, pod którym kryła się wielka moc. Żołnierz studiujący z księżmi, poszukujący Boga.

Czemu nigdy nie zastanowiła się nad tym, jak wiele dla ludzi ze 129, oddziału ratowniczego znaczy każda akcja, jak wielką wagę przykładają do wyciągnięcia ludzi żywych?

— Cholera, Beckett. I ty się masz za psychiatrę?

Dotarła do półpiętra, pchnęła drzwi przeciwpożarowe i weszła na oddział. Z wysiłkiem odcięła się od własnego niepokoju i podeszła do stanowiska pielęgniarek. Dyżur pełniła macierzyńska siostra w różowym stroju.

— Angelika Meyer. Mogę zobaczyć jej kartę?

Kobieta wyszukała dokument.

— Jest tam policjantka. Powiedziałam jej, że ma pięć minut. Proszę ją stamtąd wyciągnąć, dobrze?

Jo znalazła Amy Tang przy łóżku Meyer. Angelika wydawała się mała i blada, same kanciaste łokcie i kolana pod kocami. Blond włosy miała brudne i potargane, czarne koła pod oczami, ale spojrzenie jasne i przytomne. Natychmiast skoncentrowała je na wchodzącej. Otworzyła usta, chyba zaskoczona.

Jo się uśmiechnęła.

— Cześć. Zaraz do ciebie przyjdę.

Gestem wywołała Tang i wyszły na korytarz.

— Niewiele pamięta — stwierdziła Amy.

— Być może to utrata pamięci krótkoterminowej. Typowy uraz przy ranach głowy.

— Mówi, że pracowała w biurze do późna, pomagała Harding gromadzić dowody do sprawy. To się zgadza z rachunkiem za chińskie jedzenie na wynos.

— Cokolwiek o pościgu? Wypadku?

— Nic wyraźnego. Pamięta, że była przerażona. Pamięta, że otwierała drzwi bmw. Nie pamięta uderzenia. — Porucznik kwaśno się uśmiechnęła. — Pamięta ciebie.

— Pozwól, że porozmawiam z nią sama — poprosiła Jo. — Twarz Tang się napięła, więc dodała: — Pielęgniarki będą szczęśliwe, a ja będę miała szansę, że dziewczyna się otworzy.

Pisnął telefon Tang. Odwróciła się, żeby przeczytać wiadomość, a doktor Beckett wróciła do sali.

Meyer nie spuszczała z niej wzroku, gdy Jo zbliżała się do łóżka. Otoczona kroplówkami i monitorami dziewczyna była chuda jak patyk, ale na stoliku obok łóżka stała puszka 7UP-a. Jeżeli Angelika mogła przyjmować płyny doustnie, stanowiło to ważną wskazówkę, że dochodzi do siebie.

Jo położyła dłoń na jej ręce i powiedziała miękko:

— Miło cię widzieć przytomną.

— To ty. Z wraku. — Głos miała zaskakująco czysty. — Znalazłaś mnie.

Na korytarzu Tang powiedziała:

— Jestem w szpitalu St. Francis. Macie tę informację?

Doktor Beckett napotkała jej spojrzenie, przyłożyła palec do ust i pokazała gestem, by odeszła. Zjeżona jak kaktus policjantka skierowała się do stanowiska pielęgniarek. Jo pogładziła dłoń Meyer kciukiem.

— Chciałabym chwilę z tobą porozmawiać.

— Nie pamiętam wypadku.

— W takim razie porozmawiajmy o tym, co mi powiedziałaś.

— Nie pamiętam, żebym cokolwiek mówiła.

W oczach Angeliki płonęło gorące światło. Jo mogła się założyć,

że zdrowa i stojąca na własnych nogach tryskała energią charakterystyczną dla tyłu studentów prawa. Grzeczna dziewczynka z niezaspokojoną ambicją ukrytą pod znakiem Bliźniąt. Może to właśnie pomogło jej przeżyć.

— Tamtej nocy pracowałaś do późna w biurze z Callie. Zamówiłyście pierożki z Generała Li.

— Tak.

Bez nacisku w głosie Jo przypomniała dziewczynie przebieg wieczoru. Meyer i Harding pracowały prawie do pierwszej w nocy. „Nic niezwykłego przed procesem”, powiedziała Geli. Potem Callie zaproponowała jej podwózkę do domu. Było o wiele za późno, żeby łapać autobus.

— Więc wsiadłaś do jej bmw — rzekła Jo.

Angielka zamrugwała. W jej oczach błysnął strach.

— Nie wiem, co się potem stało. Pamiętam jedynie, że naprawdę strasznie się bałam. — Przygryzła wargę. — Nie chcę o tym rozmawiać. — Wsunęła się pod koce. — Jestem naprawdę zmęczona.

— Okay. — Doktor Beckett pogładziła jej dłoń. — Ale przyjdę później i sprawdzę, jak się czujesz, dobrze?

Błady uśmiech.

— Jasne.

Jo odwróciła się do wyjścia, a potem się zatrzymała.

— Jeszcze jedno, Geli. Znalazłam wkładkę z kompaktu Ali American Rejects.

Dziewczyna znieruchomiała.

— *Bрудny mały sekret*. Wiem, że dałaś ją Callie, żeby przekazać wiadomość o Klubie Bрудnych Sekretów.

Twarz Meyer wyglądała jak plastik.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Callie ci ją oddała. Wyobrażam sobie, że była zdenerwowana.

— Ach, to? — Oblizła wargi. — To był żart.
— Nie mogłaś wstąpić do klubu. To nie miało szansy się wydarzyć.

Angelika zaczęła gwałtownie mrugać.

— Nie czuję się dobrze. Idź już, proszę.

— Ze mną będzie ci dużo łatwiej rozmawiać niż z policją — powiedziała Jo.

Angelika odwróciła głowę.

— Przestań, po prostu przestań.

— Właśnie dlatego tu jestem, że miałam coś powstrzymać.

Co?

Meyer chwyciła przycisk alarmowy i wcisnęła guzik. Przyłożyła policzek do poduszki i zamknęła oczy.

— Pomyśl o tym. Jeszcze porozmawiamy — odezwała się cicho Jo.

— Zostaw mnie w spokoju — odrzekła dziewczyna z zawziętością w głosie.

Weszła młoda pielęgniarka energicznym krokiem. Wskazała kciukiem drzwi, nakazując doktor Beckett, by wyszła. W korytarzu Tang chodziła niespokojnie, z wypisaną na twarzy ciekawością.

— Jak poszło? — zapytała.

— Wie cholernie dużo o Klubie Brudnych Sekretów. Muszę tylko wymyślić, jak się do niej dostać.

Jo odłożyła kartę Meyer na biurko pielęgniarek. Tang pociągnęła ją w kierunku korytarza.

— Chodź.

Amy nie podeszła do windy, ale pchnęła drzwi przeciwpożarowe i wyszła na klatkę schodową. Kiedy obie się tam znalazły, wyjęła swój palmtop.

— Ten SMS, który dostałam, był od Módl Się.

— Informacja? — zapytała Jo.

Tang spojrzała na nią uważnie.

— Można to tak określić.



Winda zatrzymała się z cichym „ping” i drzwi się otworzyły. Skunks odczekał chwilę, badawczo przyglądając się miejscu akcji. Napis głosił: „Oddział Intensywnej Terapii”. Panowała tu cisza i czuło się napięcie. Pchnął mopa i wiadro tak, by znalazły się poza windą. Na stanowisku pielęgniarek nie było nikogo. Na dużej białej tablicy na ścianie wypisano nazwiska pacjentów i numery pokoi. Zatrzymał się i przeczytał.

Angelika Meyer. Puls mu przyspieszył.

Rozejrzał się dookoła. Nikt go nie spostrzegł. Za chwilę zauważą. Miał na sobie uniform sprzątacza, na szyi identyfikator. Zapłacił facetowi sto dolców za to przebranie. Ludzie w ekipie sprzątającej często się zmieniali i nieznamoma twarz nie wzbudzi niepokoju, w każdym razie nie od razu.

Jeżeli rozegra to właściwie, załatwi dwie sprawy jednocześnie: z Meyer i Pajakiem. Wczoraj pod Marriottem stracił ją z oczu po tym, gdy kamerzysta upiekł się w furgonetce. Musiał ją ściągnąć tutaj. Ona miała nazwiska.

Pchnął mopa i wiadro korytarzem w kierunku pokoju Meyer.



Tang spojrzała w górę i w dół klatki schodowej, upewniając się, że są z Jo same. Zaczęły schodzić schodami w dół. Jej głos odbijał się echem od betonowych ścian.

— Rozesłałam prośby o wyszukanie informacji o człowieku z ksywką „Módl Się”. Przeszukiwanie baz danych aresztowanych, znanych współpracowników, takie tam rzeczy. — Patrzyła na swój palmtop. W ostrym świetle klatki schodowej wydawała się malutka. — Zaczęłam myśleć o tym, co widziałyśmy na

nagraniu Xochi Zapaty, tego faceta duszonego łańcuchem. To zostawia blizny. Ustawiłam parametry wyszukiwania, uwzględniając paskudną bliznę na szyi jako znak szczególny.

— Sprytne. I co?

— Jedna możliwość. Proszę. Właśnie dostałam to zdjęcie od FBI. — Tang wręczyła Jo palmtop. — Spójrz.

Na małym kolorowym wyświetlaczu doktor Beckett zobaczyła zdjęcie zrobione teleobiektywem. Trzech mężczyzn w jakimś gorącym pylistym miejscu, w hawajskich koszulach ze śladami potu. Stali dość blisko siebie, by rozmawiać *sotto voce*, ale nie wyglądali na przyjaciół. Wydawało się, że to biznesowe spotkanie, jednak w oczywisty sposób nie darzyli się zaufaniem. Dwaj mężczyźni byli nieznajomi. Trzeci, wyniszczony i ponury, miał zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy oraz makabryczną bliznę biegnącą dookoła szyi. Czerwona guzowata tkanka miejscami przypominała chrząstkę. Przerazająca pamiątka po linczu.

Jo poczuła szczypanie potu. Wciąż wpatrując się w zdjęcie, wyminęła Tang i pobiegła do góry.

— Hej! — Amy rzuciła się za nią.

— Chodź! — Doktor Beckett gnała schodami. — Widziałam już tę twarz.

— Gdzie?

Wykrzyczała odpowiedź, ale jej słowa zagłuszyło wycie alarmu przeciwpożarowego.



Jo pchnęła drzwi przeciwpożarowe, otwierając je na oścież. Wbiegły z Tang na oddział szpitalny. Alarm dźwięczał przenikliwie. Na ścianie pulsowały czerwone światła awaryjne. Pielęgniarki zgromadziły się w korytarzu przy pokoju Geli Meyer.

Ta macierzyńska nakierowała strumień z gaśnicy przez drzwi do wnętrza. Biała chmura wypełniała salę. Jo podbiegła do niej, czując dym i benzynę.

— Jezu...

— Co się dzieje?! — zawołała Tang. Młoda pielęgniarka wyciągnęła rękę.

— Cofnąć się!

Doktor Beckett pokazała jej smycz ze szpitalnym identyfikatorem. Policjantka wydobyła odznakę. Pielęgniarka wskazała na korytarz.

— Tędy. Pobiegł tędy.

— Kto? — zapytała Amy.

— Sprzątac. Ten, który rzucił koktajl Mołotowa.

— Cholera. — Tang wyciągnęła broń. — Wyjścia?

— Różne. Korytarz prowadzi do innych oddziałów i są schody...

— Wezwijcie ochronę! Ja dzwonię po wsparcie! — Porucznik pobiegła.

Pielęgniarka z gaśnicą krok za krokiem wchodziła do płonącej sali. Na korytarzu leżały porzucone mop i wiadro.

— Pacjentka? — zapytała Jo, przepchnąwszy się przez tłum.

— Nikt nie ucierpiał. To pusta sala.

Dym sączył się z pokoju obok sali Meyer. Z wielką ulgą Beckett podbiegła do drzwi następnej. Łóżko było puste.

— Gdzie jest Geli?

— W poczekalni. Chwyciliśmy ją i zabraliśmy w bezpieczne miejsce.

Pielęgniarka z gaśnicą zawołała:

— Po wszystkim! — Wyszła z sali, kaszłąc, gaśnica zwisała jej z ramienia. — Jak on się tu dostał, do cholery?

Młoda siostra odwróciła się do Jo.

— Ten facet kręcił się przed pokojem Geli. Nie rozpoznałam

go, więc poprosiłam o identyfikator. Wyjął butelkę, zapalił i wrzucił do pustej sali, potem uciekł.

Doktor Beckett weszła do pokoju Meyer, podeszła do szafy i wyjęła torebkę dziewczyny. Cofnęła się na korytarz, minęła windy i skręciła za róg do poczekalni. Angelika siedziała na sofie z kropłówką na stojaku tuż obok. Była owinięta w koc, obejmowała kolana pobielającymi palcami. Wydawało się, że zobaczywszy Jo, odczuła jednocześnie ulgę i przerażenie.

Ta usiadła, otworzyła torebkę Meyer i wyrzuciła zawartość na sofę.

— Hej — powiedziała dziewczyna.

— Musimy porozmawiać. Teraz.

Odsuwając na bok szminkę, zapalniczkę i śmieci, Jo znalazła portfel i szybko go przejrzała. Wyciągnęła zdjęcie. Teksaski farmer z uśmiechem jak z *Wściekłych psów* i paskiem z klamrą w kształcie żetonu do pokera. Pan gotycki Tarantino.

Porównała fotografię z tą z palmtopa Tang. To były zdjęcia przed i po.

To był Módl Się.



Alarm przeciwpożarowy wciąż dźwięczał. Doktor Beckett wzięła do ręki zdjęcie.

— Jak on się nazywa, Geli?

— On?

— Tylko mi nie mów, że nie wiesz, czyje to zdjęcie. — Pokazała Meyer palmtop Tang. — Tę fotografię zrobiono po tym, gdy został potraktowany garotą.

Angelika podciągnęła koc pod brodę.

— Nie muszę z tobą rozmawiać.

— Nie. Nie jestem gliną. Nie jestem nawet twoją mamą.

Jestem tylko psychiatrą. Ale to mnie błagałaś, żebym to powstrzymała.

Dziewczyna próbowała wytrzymać spojrzenie Jo, ale nie mogła.

— Geli, Skunks zabił już dzisiaj inną kobietę. Koktajlem Mołotowa. To było przerażające. — Meyer wpatrywała się we własne kolana. Nie zareagowała, słysząc przezwisko Skunksa, ale uciekła wzrokiem. — Wiem, że on pracuje dla Módl Się. A więc wiesz co, kochanie? Jeden plus jeden równa się: twój koleżka chce, żebyś umarła.

Twarz Angeliki stawała się coraz bledsza. Jo widywała już takie spojrzenia u ludzi podlegających mechanizmowi wyparcia — alkoholików, którzy twierdzili z uporem, że mogą przestać pić, kiedy tylko zechcą.

— A może źle coś zrozumiałam? — zapytała.

Widywała to spojrzenie u ludzi, którzy kochają niebezpieczeństwo — na twarzach uprawiających wspinaczkę, przekonanych, że potrafią pokonać wielką ścianę samotnie. I na twarzach kobiet, które żyły z mężczyznami stosującymi przemoc. Często stanowiły komplet z „ale pani nie rozumie” albo „to nie tak, on naprawdę mnie kocha”.

— Jesteś w błędzie — stwierdziła Meyer.

Jo odwróciła palmtop tak, żeby Geli mogła dobrze widzieć obraz na wyświetlaczu.

— Policja ma zdjęcie Módl Się. Ty też masz jego zdjęcie. Jego kumpel Skunks próbuje zmienić oddział intensywnej terapii w piekło Dantego. Którego elementu nie rozumiesz?

Angelika ścisnęła kolana. Brudne włosy opadały jej na twarz. Wyglądała na osaczoną.

W korytarzu pojawiło się dwóch ochroniarzy. Jo słyszała, że usiłują przekrzywić hałas alarmu, nagłaco wypytując pielęgniarki.

— Módl Się przysłał Skunksa, żeby ten spalił oddział. Uważasz, że nie chciał cię zabić?

— Przestań tak o nim mówić. Nie masz o niczym pojęcia.

— To mnie oświeć.

Meyer rzuciła ukradkowe spojrzenie na zdjęcie w palmto-
pie. Wydawała się czerpać z niego siłę. Na policzki wystąpiły jej
rumieńce.

— Nigdy by mnie nie skrzywdził. Nie mógłby. Nikogo nie
może skrzywdzić.

— Jasne. — A tu masz grudkę polonu do herbaty. Smakuje
zupełnie jak cukier. — Jak się nazywa?

— Jesteś taka genialna, to sama się dowiedz.

— Jeżeli chcesz, żebym zaczęła, aż porucznik Tang mi
powie, nie ma sprawy. Będę go na razie nazywać Módl Się albo
Lekcja Poglądowa.

— Nie! — Nagły gniew w głosie Meyer przebił hałas alarmu.

— Jak się z nim kontaktowałaś? Dzwonił do ciebie? Wiesz,
że się tego dowiemy, prawda?

Angelika w końcu spojrzała na Jo. Jej spojrzenie powiedzia-
ło: „Przechytryłam was”.

— Nie, ponieważ nie ma numeru telefonu.

Jo usiłowała nie wyglądać na zaskoczoną.

— Naprawdę? A co powiesz na adres?

W oczach Geli pojawiło się coś dziwnego. Cwany uśmiech i
smutek.

— Jest fizycznie niezdolny do skrzywdzenia kogokolwiek.

Doktor Beckett wpatrywała się w młodą kobietę. Dlaczego
Módl Się nie mógł nikogo skrzywdzić?

— Nic nie rozumiesz — ciągnęła Meyer. — Dwukrotnie zo-
stał opuszczony. Pierwszy raz, kiedy został zaatakowany. Ob-
rabowali go i zostawili, żeby umarł. Zabrali wszystko i zostawili
go okaleczonego.

Brak telefonu, brak adresu. Dlaczego Módl Się był niedostępny? Błada twarz dziewczyny płonęła wściekłością.

— Potem opuścił go system. Nikt nie chciał mu pomóc, gdy domagał się sprawiedliwości. Nikogo nie obchodzi, że został obrabowany i pogruchotany, bo nie jest jakimś bogatym dupkiem z miasta. Dla nich jest nikim.

Jo nagle przypomniała sobie, że Leo Fonsecca opisał jej Angelicę Meyer jako twardą dziewczynę, a nie słaby kwiatuszek. W czasie studiów pracowała w zakładzie karnym.

Poczuła, że odzyskuje spokój.

— Jest w więzieniu — powiedziała. Geli patrzyła na nią rozgrzkanymi oczami. — Módl Się jest w więzieniu, prawda? To osadzony.

Meyer odśloniła zęby. Była jednocześnie wściekła i skrzywdzona.

— Teraz rozumiesz. Jak mógłby kogoś skrzywdzić, skoro jest zamknięty w San Quentin?

33.

W korytarzu unosił się zapach benzyny. Alarm wciąż brzęczał. Jo wpatrywała się w Geli Meyer, której oczy płonęły.

— Módl Się nie mógł nikogo zaatakować. Cały czas był w Quentin. Nie ma kontaktu ze światem zewnętrznym oprócz swoich prawników i... — Zamilkła.

— Skunksa. I ciebie — dokończyła Jo.

Skazany, to zaczynało nabierać sensu.

— Nie może się nawet dowiedzieć, kto go skrzywdził. Kto miałby mu pomóc? Gliny? Prokuratura? Jest nikim, tylko więźniem, i nikogo nie obchodzi niesprawiedliwość, o ile dotyka więźnia.

— Dlaczego jest w więzieniu?

— Zapytaj w swoim bezcennym Klubie Brudnych Sekretów. Te fiuty go oszukały. Rozgrywali swoje gierki, jakby był dla nich tylko postacią z gry wideo. — Angelika wyprostowała się pod kocem. — Ale on nad tym pracuje. Nie marnuje czasu. Dla niego liczy się tylko znalezienie ludzi, którzy zniszczyli mu życie.

Jo słuchała, co mówiła Meyer, ale miała gonitwę myśli. Teraz to wszystko nabierało dla niej sensu. To dlatego Módl Się

używał Skunksa jak pacynki. Nie mógł osobiście dotrzeć do ludzi, musiał posłużyć się posłańcem. Cuchnącym gryzoniem, który podlewał wiadomości benzyną.

— Jest zupełnie sam, w okropnej sytuacji. Możesz sobie wyobrazić, jak jest w więzieniu? — ciągnęła Geli.

Jak na obrazie Hieronima Boscha. Deprawacja, rozpacz, niebezpieczeństwo poważniejsze niż za murami.

— Pracowałam w San Quentin, wiem, jak tam jest — odrzekła Jo.

Brzęknęła winda i zjawiała się ekipa strażaków. W niebieskich uniformach i żółtych kurtkach wyglądali jak chodząca otucha.

— Jak on się nazywa?

Meyer opierała się jeszcze kilka sekund.

— Perry Ames — cicho wyznała.

— Poznałaś go, kiedy na ochotnika podjęłaś pracę w San Quentin?

Angelika pokręciła głową ze złośliwym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Wciąż nie rozumiesz”.

Doktor Beckett poczuła przyływ gwałtownego gniewu. Głupia, głupia dziewczyna. Trzymała zdjęcie Módl Się w portfelu. Prawdopodobnie spoglądała na nie każdego wieczoru, zanim poszła spać. Pieszczotliwie dotykała go palcem i kładła się, żeby o nim śnić.

— Jak opisałybyś swoją z nim relację? — zapytała Jo.

— Jestem jego adwokatem.

Czy Meyer nie zdawała sobie sprawy, jak obciążająco zabrzmiałaby taka deklaracja w sądzie?

Wszystko zaczęło się układać w sensowną całość. Nie tylko przyczyna, dla której Módl Się wysłał Skunksa — i może Angelikę — żeby odegrali rolę jego sił zbrojnych, ale także powód, dla którego manipulował członkami Klubu Brudnych Sekretów w taki sposób, by popełniali samobójstwa. To była metoda

bezdotykowa, bo fizycznie nie mógł dostać ich w swoje ręce.

Jo podejrzewała, że chodziło też o coś więcej. Sądziła, że Módl Się nie chciał, by jego zbiry zabijał; czerpał satysfakcję, grożąc ludziom tak kompletną ruiną życia, że zamiast tego wybierali drogę brutalnego samozniszczenia.

Angelika wydawała się rozgorączkowana. Owinięta kocem, jakby rozgrzewała się przed obroną Perry'ego Amesa, i była skłonna ponieść każdą ofiarę, by go chronić. Bez wątplenia teraz próbowała chronić także siebie, ale cały jej emocjonalny kapitał został zainwestowany w mężczyznę, który nosił przydomek Módl Się.

Alarm umilkł. Na oddziale zapadła cisza, którą przerwały po chwili kroki i ciężki oddech. Pojawiła się Amy Tang. Wyglądała na wykończoną. Pokręciła głową. Nie złapali Skunksa.

Jo wstała, przeszła przez poczekalnię i wręczyła policjantce fotografię z portfela Meyer.

— Najpierw złap oddech, potem musisz podzwonić.

Tang wzięła zdjęcie do ręki.

— Jasna...

Doktor Beckett pociągnęła Amy za sobą, poza zasięg wzroku Geli i zdała pospieszne sprawozdanie.

— Skazany. Popierdolone — powiedziała porucznik.

— To dobrze. Kieruje Skunksem. Możemy skontaktować się z San Quentin i odciąć mu drogi komunikacji. Możemy go uciśnić.

Amy pokiwała głową, wzrok miała skupiony, myślała.

— Ale Skunks i tak może działać.

— Może zdołamy użyć Módl Się, żeby go wytropić. Dowiedz się, jak się kontaktują i wyślij wiadomość Skunksovi, żeby był gdzieś o piątej po południu. Możesz zastawić pułapkę.

Oczy policjantki pojaśniały. Jo zobaczyła jej przelotny uśmiech.

Wróciły do poczekalni i zobaczyły macierzyńską pielęgniarkę odwożącą Meyer z powrotem do jej pokoju. Doktor Beckett poszła za nimi. Geli rzuciła jej posępne spojrzenie.

— Wciąż nie rozumiesz. Perry na mnie polega. Muszę mu pomóc.

— Odpocznij. Będziesz potrzebować sił, kiedy zaczniesz cię przesłuchiwać policja.

— To się nie wydarzy.

— Geli, już po wszystkim. Perry zostanie odcięty. A ty się nie wywiniesz. Fotografia łączy cię z nim, a on łączy się ze wszystkimi zgonami w Klubie Brudnych Sekretów. Już po wszystkim. Jest ugotowany.

— Nie mogą mnie zmusić, żebym zeznawała.

— Fanki nie są zwolnione z tego obowiązku, kochana.

Meyer skrzywiła się z niesmakiem. Była to nieświadoma, instynktowna reakcja i Jo zdała sobie sprawę, że się pomyliła. Angelika nie była fanką Módl Się, nie była jego kochanką.

Jedna rzecz wciąż nie miała sensu. Czemu Skunks wrzucił bombę zapalającą do sali obok tej, zajmowanej przez Geli? Beckett rozejrzała się po pokoju dziewczyny. Monitory, basen, rozgrzebane łóżko. Pusty fotel inwalidzki przy drzwiach. Skąd się tu wziął?

Nagle zrozumiała. Mały człowieczek nie zjawił się tu, żeby zabić Angelikę. Chciał ją wykraść. Nie żeby ją ratować, ale żeby policja nie mogła się dowiedzieć tego, co ona wie.

Ogarnął ją strach. Odwróciła się.

— Geli, kim on jest?

Dziewczyna robiła coś pod kocem. Pielęgniarka poprawiała jej rurki z tlenem, dopasowując jego przepływ, przygotowując się do przeniesienia jej z wózka inwalidzkiego na łóżko.

— O cholera — powiedziała Jo. Meyer spojrzała na nią.
— Nigdy nie będę przeciw niemu zeznawać. To mój ojciec.
Chwyła przewód z tlenem. Drugą rękę wyjęła spod koca.
Trzymała w niej zapalniczkę.



Grzechocząc kluczami, pomocnik szeryfa otworzył drzwi do celi. Potężnie zbudowany czarny mężczyzna w zielonym uniformie kiwnął na Módl Się.

— Idziemy.

Perry Ames wstał, wygładził swój tani niebieski krawat i przyłożył do krtani generator głosu.

— Proszę nie skuwać mi rąk z nogami. Nie będę mógł przykładać syntezatora do szyi. Nie będę mógł mówić.

Zaobserwował typową reakcję na robotyczne brzęczenie elektronicznej krtani. Pomocnik szeryfa starał się ukryć dreszcz odrazy.

— Wyciągnąć ręce — powiedział.

Módl Się włożył generator do kieszeni. Karta SIM była na powrót bezpiecznie schowana w środku. Wyciągnął ręce. Funkcjonariusz go skuł.

— W porządku. Kiedy prokurator pozwoli, rozkujemy cię przed wejściem na salę. — Wyprowadził więźnia. — Zeznajesz przeciw bandzie nędznych oszustów, musisz wyglądać na szanowanego obywatela.

Nędzni oszuści, owszem, ale obrabiali ludzi, korzystając z kradzionych kart kredytowych, i przewozili towary poza granice stanu. To oznaczało przestępstwo federalne. Perry posłusznie kiwnął głową i pozwolił, żeby pomocnik szeryfa poprowadził go korytarzem. Zeznania, o rany, tak. W zamian za zmniejszenie wyroku i wcześniejsze zwolnienie warunkowe.

Starał się zachować obojętność i szedł w stronę sali sądowej w Amerykańskim Sądzie Federalnym w Centrum Obywatelskim San Francisco.



Jo siedziała w szpitalnej kafeterii, trzymając w dłoniach kubek kawy wielkości beczki. Wystrój wnętrza był halloweenowy, wszędzie dynie i sztuczne pajęczyny. Za ladą Drakula i Marge Simson serwowali klopsy.

Weszła Amy Tang. Wyglądała jak krasnoludek, który miał za sobą ciężki dzień w kopalni soli. Podeszła, klapnęła na krzesło i ruchem głowy wskazała kawę.

— Dobra?

— Lubisz smołę?

Porucznik uśmiechnęła się złośliwie, przeprosiła i wróciła z jeszcze większym kubkiem.

— Przenieśli Angelikę Meyer na oddział psychiatryczny. Wiedzą o jej tendencjach samobójczych, jest pod strażą. — Pociągnęła długi łyk, obserwując Jo. — Szybko biegasz — zauważyła. — Gdybyś nie była szybka, Meyer upiekłaby siebie, pielęgniarkę i ciebie. Ten tlen paliłby się jak cholera.

— Walcz lub uciekaj — odrzekła doktor Beckett. — Kiedy masz skoczyć, to skacz.

— Tak, ale walnęłaś ją w głowę basenem.

— Był od ręką. — Jo upiła łyk kawy. — Dowiedziałaś się czegoś więcej?

Tang wyjęła swój notesik.

— Perry Ames odsiaduje ośmioletni wyrok za oszustwo i wymuszenie. Zajmował się nielegalnym hazardem. Wysokie stawki. Dawał graczom kredyt, a kiedy nie mogli go spłacić, zgadzał się na spłaty w formie finansowania swoich wydatków przez ich firmy. Mówimy o samochodach, biletach lotniczych,

czym chcesz. Ofiary oczywiście nie były w stanie spłacić długów i wypadały z gry. — Zamknęła notatnik. — Zostało mu jeszcze sześć lat.

— A wcześniejsze przestępstwo?

— Atak na niego? Nie mamy żadnej dokumentacji prawnej, tylko plotki. Albo, jak powiedziałaaby Geli Meyer, legendę.

— Jak on się z nią kontaktuje? Skazanym wolno prowadzić tylko rozmowy telefoniczne płatne przez odbiorcę.

— Porozumieliśmy się z więzieniem, przeszukają celę Ame-sa, będą mieć oko na przemycony telefon. Jest możliwe, że pożyczał komórkę od kogoś z personelu, kucharza, strażnika. Albo od swojego prawnika. Czy Meyer przedstawiła ci swoją teorię, że Módl Się nie może nikogo skrzywdzić, bo jest za kratkami?

— Dysonans percepcyjny. Może w końcu to do niej dotrze i powie nam więcej.

— Wciąż jest raczej słaba. — Tang podniosła wzrok. — Co się twoim zdaniem stało tej nocy, kiedy zginęła Callie Harding?

— Nie jestem pewna. Próbuję to jakoś uporządkować, żeby miało sens.

Jo sięgnęła do torby po anonim, w którym witano ją w Klubie Brudnych Sekretów. Wręczyła go Amy. Policjantka zagapiła się na notatkę, po chwili jej zaskoczenie zmieniło się w niepokój. Gwałtownie podniosła głowę.

— Nie przysłali tego do ciebie do domu, prawda?

— Przez uniwersytet. Mam zastrzeżony adres i telefon.

Tang skinęła głową.

— To dobrze. Myślisz, że Módl Się to przysłał?

— Albo Klub Brudnych Sekretów wciąga mnie w jedną ze swoich gier.

— Rozumiem, że nie mają dowodów obciążających na

potwierdzenie tego zarzutu? — spytała Amy, ostrożnie dobierając słowa.

— Mój mąż umarł... — Pustka, narastający żal. — ...zginął w wypadku helikoptera medycznego. Ta notatka miała mnie zalamać.

— Dupki.

— Miejmy nadzieję, że nie chodziło o nic więcej.

— Sprawdzę kartkę na obecność odcisków palców, a kopertę na DNA. — Spojrzała na Jo i twarz się jej ściągnęła, a oczy przepelniało współczucie. — Przykro mi, nie wiedziałam.

Porucznik odłożyła foliową torebkę, która prześliznęła się po blacie. Światło zamrugało, stół zadrżał. Budynek zatrzeszczał. Amy spojrzała na sufit.

— Co to było? — zapytała.

Wszyscy w kafeterii się rozglądali. Obie kobiety spojrzały na lampy podgrzewające jedzenie. Chwiały się.

— Wstrząs wtórny — odrzekła Jo.

— Albo wstępny.

Było po wszystkim. Ponownie rozległy się rozmowy. Ludzie wrócili do jedzenia. Tang wstała.

— Spływamy. Te lampiony z dyni przyprawiają mnie o dreszcze.

We wszystkich lampionach powycinano otwory, nadając im wyraz radosnych twarzy.

— To były najwyżej trzy stopnie.

— Nie, to przez te cholerne dynie. Mam od tego gęsią skórę.

— Wesołego Halloween.

— A później, wieczorem, wszyscy ci nieletni kryminaliści zaczynają rzucać jajami — podsumowała.

Jo spojrzała na nią z ukosa.

— Boisz się jajek?

— Odrażające. Całe to lepkie żółte paskudztwo... — Amy udała, że wzdryga się ze wstrętem. — Najgorsze święto w roku.

Beckett usiłowała ukryć uśmiech. Tang wzięła do ręki anonim.

— Nie pozwól, żeby to cię zdołało. Te dupki są skończone. Meyer zostanie aresztowana, kiedy tylko odzyska siły. Mamy nakaz na Levona Skutleka, naszego przyjaciela Skunksa, a Módl Się jest bezpieczny za kratkami. — Włożyła anonim do kieszeni. — A co do Klubu Brudnych Sekretów, to banda pozorów. Prokuratura przedstawi zarzuty, komu się da. A jeżeli nie, ja to zrobię. Jedź do domu. Napisz swój raport. Rozwiązałyśmy to.

— Dzięki, Amy.

Przed szpitalem Jo zarzuciła torbę na ramię. Było jaskrawe słońce i orzeźwiający wiatr. Tylko dlaczego miała wrażenie, że ciągnie się za nią ponury cień?

34.

Jo szła do domu w późnopołudniowym słońcu. Ludzie roili się na ulicach, jakby chcieli czym prędzej zakończyć wszystkie sprawy i oddać się poważnym zajęciom: wymianie cukierka za psikusa, przebierankom, może udziałowi w ulicznej imprezie w Castro. Z pralni chemicznej wyszła gigantyczna drag queen, wysoka jak Ent, ubrana w białe buty na platformach i mankini Borata. Trudno było ocenić, czy to przebranie, czy codzienny strój.

Kable elektryczne przecinające ulicę, system nerwowy miasta, chwiała się na wietrze. Jo nie miała ochoty wracać do domu i nie chciała roztrząsać przyczyn. Czula się wyczerpana i poirytowana.

Zatrzymała się w Java Jones. Tina stała za ladą. Obdarzyła ją szerokim uśmiechem. Z głośników dudniła płyta *Bang a Gong*.

- Chcesz spróbować dyniowo-cynamonowego latte?
- Kawa, czarna. — Jo ułożyła monety na dłoni. — Podoba mi się ten kostium. Do twarzy ci z toporem w czaszce.
- Tina dygnęła i podała jej kawę.
- Idziesz dzisiaj na jakąś imprezę? — spytała.

Siostra położyła pieniądze na ladzie.

— Świetnie się bawię we własnym towarzystwie. Prawdziwy ze mnie człowiek orkiestra. Dzięki. — Zobaczyła, że Tina unosi brew. — Uśmiechnij się. Człowiek jest przynajmniej rodzaju męskiego — powiedziała.

Gdy Jo wyszła na zewnątrz, wybrała numer Gabe'a. Słyszała, jak dzwoni jego komórka, i zastanawiała się, czy miał identyfikację numeru. Może wpatrywał się w jej nazwisko na wyświetlaczu, rozważając, czy odebrać. Czowała ucisk w piersi.

Kiedy już miała zrezygnować, odezwał się.

— Quintana.

— Możemy porozmawiać?

Przedłużająca się chwila milczenia.

— Odbieram Sophie.

Jo przyglądała się matce pchającej wózek pod górę. Zastanawiała się, czy powinna naciskać.

— Gabe... — Nie, nie należy tego zepsuć nadmiarem myślenia. I nie należy odpuścić. — Ugotuję zupę. I sąsiad organizuje później halloweenową imprezę. Przynoszę dip i założę się, że jeżeli dołożę serową przekąskę, z rozkoszą zgodzi się ugościć także ciebie i Sophie. Mogę go zapytać. — Dalej cisza. — Stanę na ringu z jego nową małpką. Z zawiązanymi oczami.

Gabe się roześmiał. Słyszając to, poczuła, że puls jej przyspiesza.

— Pół godziny, dobrze? — powiedział. — Później pojedziemy do domu nazbierać trochę cukierków, ale jeżeli nie masz nic przeciw...

— Do zobaczenia u mnie.

— Jo... nie musimy rozmawiać. Ale i tak będę.

— Musimy. I dzięki.



Pod koniec października zmierzch zapada w San Francisco wcześniej, przed końcem dnia pracy. Niebieska cienistość uwydatnia miliony światel, sprawia, że powietrze staje się chłodne, zmiękcza nieprzystępność tego miasta. Ulice migocą. Centrum połyskuje. Zatoka wygląda jak misa światła z aksamitną wodą obramowaną złotem. Zachód słońca tworzy smugi na horyzoncie, błękit przechodzi w czerwień, połyskliwe i nasyczone światłem barwy przyciągają uwagę, pokazując ludziom, czym jest piękno.

Jo zaparkowała na ulicy poniżej domu. Torby z zakupami szeleściły, kiedy je wyciągała i zamykała pick-upa. W oknach domów od frontu błyszcząły już lampiony z dyni. Na balkonie Ferda pyszniły się dwie, nienagannie upiorne, rzucające pomarańczowy blask przez skrzywione usta.

Otworzyła frontowe drzwi, włączyła światła i muzykę — Gipsy Kings. Wygrzebała też stary album, który kupił Danny, *Upiorny wybór*. Jęczące dechy, pobrzękiwanie łańcuchami, Monster Mash — miała nadzieję, że spodoba się Sophie Quintanie. Weszła do kuchni i wyładowała zakupy, wciąż czuła się nieswojo.

W jednym z pomieszczeń na tyłach jej psychiki ukrywał się wilk i chciała, żeby pozostał w klatce. Pragnęła uciec przed wszystkimi przykrymi uczuciami, które sprowokowały rozmowa z Quintana po południu i anonim.

Zatrzasnęła lodówkę. Stosowanie uników to znakomita strategia, powiedziała sobie. Niemal równie dobra jak wyparcie. Czyni cuda, przynajmniej do chwili, kiedy zaczyna ci się walić całe życie.

Wyciągnęła wielką drewnianą misę i wsypała do niej hallo-weenowe słodycze. Wyjrzała przez drzwi na patio do ogrodu. O zmierzchu bzy miały kolor indygo. Czuła, jak ogarnia ją niepokój. Nie wiedziała, czy ma to związek z Módl Się, z anonimem,

czy z zapadającą nocą. Otrząsnęła się. Było Halloween, nie powinna być ponura, powinna za to wyglądać upiornie. Weszła na górę, żeby znaleźć sobie przebranie.



Zabrzączał dzwonek. Zbiegła po schodach, zerknęła do lustra w korytarzu, jeszcze raz wzburzyła włosy i otworzyła drzwi.

— Cukierek albo psikus... — Głos Gabe'a zamarł.

— Wchodźcie, Quintanowie.

Sophie patrzyła na Jo z zaciekawieniem.

— Jesteś zombie?

— Lekarzem zombie — usłyszała w odpowiedzi.

— Super.

Jo schowała wystawiony język.

— Dziękuję.

Weszli. Brązowe oczy dziewczynki błyszczały z ciekawości.

— Jak to zrobiłaś, że ta sztuczna ręka wygląda, jakby wyrosła ci na środku pleców?

— Miałam stary lekarski fartuch i wypchałam rękaw skarpetkami. Na końcu przyczepiłam chirurgiczną rękawiczkę.

Gabe się uśmiechnął.

— To dlatego masz trzy i pół palca. Do twarzy ci z tym makijażem.

— To gangrena według Diora.

Wziął do ręki transparent.

— „Ja chceć muzg”?

— Czego jeszcze może chceć psychiatra, tylko grzebać ludziom w głowach, prawda?

Odpowiedział jeszcze szerszym uśmiechem. Sophie zapytała:

— Czy ja też mogę być zombie?

— Oczywiście. — Jo wykonała gest w stronę kuchni. — Zupa się gotuje.

Dziewczynka w podskokach ruszyła przodem nagle rozradowana.

— Dziękuję — powiedział Gabe. — Mama kupiła jej antykonsumpcyjny kostium. Strój bakłażana czy coś takiego. Uratowałaś sytuację.

Weszli do kuchni. Usiłowała zrozumieć jego niezadowolenie, ale wymamrotała:

— Nieważne. Przynajmniej wybrała legalną roślinę.

Jo nalala porcję zupy z makaronem. Kiedy Sophie usiadła przy stole, zapytała:

— Możemy na chwilę cię zostawić?

Miała sucho w ustach. Wiedziała, że pod upiornym makijażem i kredką do oczu jest zaczerwieniona. Wyszli z Quintana na zewnątrz i stanęli pod magnolią.

Gałęzie poruszały się na wieczornym wietrze. Jo otuliła się rękami, chroniąc się przed chłodem.

— Nie wiem, jak zacząć, więc pominię wstęp — oznajmiła. — Dzisiaj po południu wyrzuciłeś wszystkie moje założenia do kosza.

— Nie chciałem cię zdenerwować.

— Quintana, podniosłeś mnie nad głowę, rzuciłeś o ziemię i przytrzymałeś. — Spojrzała na niego, wiedząc, że musi powiedzieć prawdę. — Celnę ciosy bywają bolesne. To, co powiedziałaś o przysiędze Hipokratesa, zadziało jak policzek.

— Jo, nie powinienem był tego mówić.

— Nie, miałaś rację. Ukrywałam się. Po wypadku czułam się winna i było mi wstyd.

— Czemu dodałaś jeszcze i to do wszystkiego, co sprawiało ci ból? — zapytał. — Nikt nie winił cię o śmierć Daniela. Nawet gdybyś nie zeszła z tego klifu, tylko została na górze, nikt by cię

nie obwiniał. Ryzykowałaś życie, żeby spróbować. Wykorzystałaś całą swoją odwagę, żeby ich ratować.

Poczula ucisk w gardle. Spuściła wzrok i nakazała sobie powstrzymać łzy.

— Zaczęłam wątpić we wszystko, co wyobrażałam sobie na własny temat. Próbowałam patrzeć na siebie bez złudzeń. — A to może być rozdzierająco bolesne. — Po pierwsze, nie szkodzić. Na tym opieram teraz swoje rozumienie obowiązku.

— Nie chciałem cię zranić, kiedy powiedziałem, że ukrywasz się przed żywymi.

— Psychologiczne autopsje są bezcenne. Poznawać tych, którzy odeszli, pomagać tym, którzy zostali, znajdować prawdę o tym, co stało się z ludźmi, których kochali, to przywilej i odpowiedzialność.

— Więc dlaczego sama czujesz, że ukrywasz się przed życiem? Gdyby było inaczej, nie podkreślałabyś tego tak mocno. — Milczała, więc ciągnął: — Bo w psychiatrii sądowej nie ma miejsca na podejmowanie decyzji przesądzających o życiu i śmierci. Jest tylko historia.

Sam jesteś częścią mojej historii, pomyślała. Stali blisko siebie. Czula narastający między nimi żar. A także głęboki ból. Chciała znaleźć dla niego ujście, powiedzieć, że wszystko jest w porządku, pozbyć się oporów, które miała.

— Gabe, usiłujesz złagodzić mój ból. Ale nie dlatego chciałam z tobą porozmawiać. Muszę cię przeprosić. Bardzo przeprosić.

— To ostatnie, co musi pani zrobić, pani Beckett.

Cholera. Nie myśl o mnie jako o żonie Daniela, nie dziś, proszę, nie komplikuj tego w tak paskudny sposób. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, cokolwiek, ale zadzwonił telefon.

— Lepiej odbiorę. — Weszła do środka.

Głos Amy Tang kipiał energią:

— Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć. Meyer już nic nie zagraża, więc jutro ją przesłuchujemy. Przyłącz się do nas.

— Przyjadę.

— Zdaje mi się, że starała się o staż w prokuraturze, bo Módl Się już wiedział, że Callie Harding należała do Klubu Brudnych Sekretów. Miała nadzieję zbliżyć się do Callie i zdobyć z niej informacje.

— Nie byłabym zaskoczona. To nie przypadek, że Angelika zaczęła tam pracować.

— I jeszcze jedno. Módl Się, Perry Ames. Pracowity facet. Będzie zeznawał jako świadek w sprawie federalnej, mając nadzieję na zmniejszenie wyroku, może nawet zwolnienie warunkowe.

— Co?

— Zeznaje w sądzie federalnym.

— Tutaj?

Gabe spojrział w jej stronę.

— W budynku sądu, tak.

— Zamierzasz tam pójść i poinformować sędziego, że Módl Się nie jest takim modelowym więźniem? — zapytała Jo.

— Jasne, cholera.

— Zadzwoń do Leo Fonsecki. Widziałam go w budynku sądu dwie godziny temu.

— Jeszcze lepiej. Może popatrzeć, jak ja i moi ludzie skuwamy tego sukinsyna.

— A co ze Skunksem?

Tang zamilkła.

— Myślisz, że byłby na tyle głupi, aby zjawić się w sądzie po to, żeby zobaczyć swojego mentora?

— Zjawił się w szpitalu, żeby uciec z jego córką.

— Cholera jasna.

Jo się zastanowiła.

— Nie wiem, czy Módl Się rzeczywiście mógłby spróbować uciec, ale...

— Ale jeśli spróbuje, będziemy tam. Cholera, niech spróbuje.

— Amy. Kiedy Skunks przyszedł do St. Francis, przyniósł...
— Zerknęła na Sophie. — Benzynę.

— Przygotujemy odpowiednią grupę. Uzbrojeni pomocnicy szeryfa, szeryfowie federalni, wykrywacze metalu, kajdany. Skunksem się nie martwię. — W głosie Tang zadźwięczała stal.
— Muszę się tym zająć.

— Okay, Amy.

— Beckett, wiemy, kto to jest. Wiemy, gdzie jest Perry Ames i gdzie chce być Levon Skutlek. Jest po wszystkim.

Jo oparła się o blat. Poczowała, że schodzi z niej i rozprasza się napięcie o wartości dziesięciu tysięcy woltów.

— Nie będę cię odrywać — powiedziała i odłożyła słuchawkę. Wyprostowała plecy, uśmiechając się do siebie. — Dorwij ich, Koleczasta.

Gabe stał przy kuchennym stole z założonymi rękoma, obserwując ją.

— Wyglądasz, jakbyś właśnie wygrała w lotka dla truposzy.

— Jeszcze lepiej.

Poczowała przyływ przyjemnego podniecenia. Mieli Módl Się na talerzu. Skończyło się zadawanie bólu. Przepęlna wdzięcznością i uskrzydłona chwilą nabrała powietrza. Może teraz powinna przestać się martwić i zacząć patrzeć w przyszłość.

Skinęła na Sophie.

— Chodź, mała. Zmienimy cię w upiora.

Były w połowie schodów, kiedy pod ich stopami zatrzęsła się ziemia.

35.

Hałas przetoczył się gdzieś w głębi jak pociąg towarowy. Dom zachwiał się na boki. Ściana walnęła Jo w twarz. A potem bum, kiwnęła się w drugą stronę, jakby jakiś olbrzym pociągnął ją na łańcuchu. Dziewczyna straciła równowagę, chwyciła się poręczy i opadła na kolana.

— Tatusiu...! — zawołała Sophie.

— Świerszczyku. — Gabe chwycił dziewczynkę wpół i pognał z nią na dół.

Przetaczał się wściekły ryk. Jo z wysiłkiem się podniosła i ruszyła w dół za nimi, przyciskając dłonie do ścian, żeby się nie przewrócić. Na górze roztrzaskał się stół w przedpokoju. Mosiężna waza łupnęła o podłogę i w podskokach sunęła po schodach, odbijając się od ścian.

Wstrząsy przybrały na sile.

Sophie krzyczała:

— Tatusiu...!

Gabe pobiegł z nią do frontowych drzwi, otworzył je gwałtownie i wpełchnął dziecko pod osłonę futryny. Odwrócił się i wyciągnął rękę.

— Jo!

Potknęła się na dole schodów. Przed nią w korytarzu szafka z oszklonymi drzwiami przechyliła się w przód, uderzyła w przeciwną ścianę i zwymiotowała na podłogę porcelaną. Szkło z brzękiem rozbiło się na drobne kawałki. Jo wdrapała się na przeszkodę, pobiegła do drzwi i wcisnęła się obok Gabe'a i Sophie, plecami opierając się o jedną stronę framugi, a stopami o drugą. Ziemia pod nią huczała.

Dziecko ciągnęło ojca za koszulę.

— Tatusiu, wyjdźmy stąd. Proszę, chcę wyjść.

Ja też, pomyślała Jo. Oparła tył głowy o ramę drzwi. Widziała ulicę. Zaparkowane na niej samochody podskakiwały nierytmicznie. Niebotyczne sosny kalifornijskie w parku przechylały się tam i z powrotem. Słupy latarni falowały razem z nimi. Wyglądało to jak stary film o wybuchu bomby jądrowej — budynki, pojazdy, drzewa, ziemia kołysały się na boki i wracały na miejsce. Odgłosy przewiercały kości.

Sophie schowała twarz na piersi Gabe'a. Quintana wyciągnął rękę do Jo, a ta ją ujęła.

Wzdłuż ulicy rozbrzmiewały alarmy samochodowe. Do hałasu dołączyły sygnały przeciwwłamaniowe. W kuchni stłukło się coś szklanego. Półka na książki walnęła o podłogę. Drewniana konstrukcja domu trzeszczała. Potem zaskowyczała. Gdzieś ponad dachem z trzaskiem pękła gałąź. Posypały się liście i drewno, słychać było łoskot jednego z okien na górze przeszyciego gałęzią.

Ryk umilkł.

Ziemia przestała się ruszać. Cała dzielnica wibrowała dźwiękiem, panicznym dysonansem.

— Nic nam się nie stało — powiedziała Jo.

Z Sophie uszło napięcie. Pozwoliła sobie na pojedynczy głoszny szloch, który zniknął w koszuli Gabe'a. Ojciec pogładził ją po głowie.

— Óśśś, świerszczyku, jesteśmy bezpieczni. — Spojrzał na Jo. — Nic ci nie jest?

Pokręciła głową, ale wciąż trzymała się framugi.

— Dziękujemy za skorzystanie z linii lotniczych Beckett. Prosimy się upewnić, że ustawili państwo oparcia w pozycji pionowej, a stoliki są zamknięte na czas lądowania.

Gabe posłał jej uśmiech.

Wciąż jeszcze ścisłała jego rękę, kiedy światła zamigotały i zgasły.



W sądzie federalnym Leo Fonsecca odważył się wyjść spod framugi w męskiej toalecie i rozejrzał się, szukając uszkodzeń. Był gotów w każdej chwili się wycofać, gdyby zaczął spadać na niego tynk. Korytarz wyglądał na niezniszczony. Ciemne boazerie lśniły. Marmurowa, wypolerowana posadzka trwała w bezruchu. Lampy nad głową kiwały się tam i z powrotem jak kadzielnica na katolickiej mszy, cienie i światło przesuwaly się w półmroku. Prokurator przycisnął do ucha komórkę.

— Jest tam pani jeszcze, pani porucznik? — zapytał.

— Tak. — Amy Tang była oschła. — Ale zaraz będę musiała zwolnić linię. Proszę posłuchać. Zadzwońlam, żeby panu powiedzieć... o cholera.

— Pani porucznik?

— Właśnie wysiadło zasilanie. — Jej głos zmienił kierunek. Fonsecca usłyszał, jak woła coś do kolegów. — Przepraszam. Chodzi o tego faceta, który poluje na Klub Brudnych Sekretów. Módl Się. Naprawdę nazywa się Perry Ames. Odsiaduje wyrok w San Quentin, ale teraz jest z panem w sądzie, zeznaje.

— Co? — Fonsecca rozejrzał się dookoła. Kilka osób wyjrzało z sali rozpraw w dole korytarza, po schodach wbiegł strażnik, szukając zniszczeń. Prokurator machnął do niego, że

wszystko w porządku. — Który sędzia?

— Nie wiem. Chciałam tylko pana ostrzec. Wspólnik Amesa jest na wolności i nie wiemy, co szykuje.

— W porządku. Poinformuję szeryfów.

Kiwające się lampy zamrugały, a potem wysiadło zasilanie. Korytarz pogrążył się w ciemności. Tang mówiła dalej:

— To dobrze. Proszę mnie zawiadomić, kiedy znajdzie się z powrotem w areszcie...

Rozmowa została przerwana. Fonseca próbował połączyć się ponownie i uzyskał komunikat, że sieć jest zajęta. Rozejrzał się. Okno w odległym końcu korytarza przepuszczało słabe światło z zewnątrz. Zwykle dobrze oświetlone Centrum Obywatelskie było teraz szare, z ciemnymi oknami, jakby zostało opuszczone. Usłyszał głosy na dole klatki schodowej. Wyruszył na poszukiwanie szeryfa.



Sala rozpraw pogrążyła się w całkowitej ciemności. Nie miała okien i światło po prostu zniknęło, a wszyscy jakby oślepli. Nastąpiło ogólne poruszenie, tłum w sali się niepokoił.

Sędzina walnęła młotkiem. Dźwięk zabrzmiał głupio w ciemności, ale zakończył wrzawę.

— Proszę zachować spokój. Za parę sekund włączą się światła awaryjne.

Perry stał na miejscu dla świadka. Prokurator właśnie go przesłuchiwał.

Napięcie sięgnęło zenitu. Mógł tu czekać, żeby zapaliły się światła, i dalej zeznawać z nadzieją, że oskarżyciel ma wystarczającą władzę, by wpłynąć na komisję do spraw zwolnień

warunkowych i datę zwolnienia. Mógł zachowywać się grzecznie i wrócić do swojej celi szerokości dwóch metrów w północnym bloku w Quentin. Mógł czekać, żeby sprawdzić, czy prawo okazało się dla niego łaskawe.

Albo nie. Zamknął oczy i wyobraził sobie salę rozpraw. Siedzisko reportera sądowego. Miejsca dla ławy przysięgłych. Stoły oskarżyciela i obrońcy, bramka i przejście przez galerię na wprost, za nimi.

Potem drzwi.

Ames otworzył oczy. Bokiem wysunął się z miejsca dla świadka i jak wąż prześliznął się przez salę.

Sędzina ponownie walnęła młotkiem.

— Niech wszyscy zostaną na miejscach. Szeryfie, proszę zabezpieczyć więźnia.

Została zignorowana. Perry wyszedł tuż za grupą prawników.



— Na trzy.

Jo i Gabe odliczyli i popchnęli zrujnowaną szafkę, ustawiając ją pionowo. Sophie trzymała latarkę, żeby coś widzieli. Jo odwinęła długi kawałek taśmy, nadgryzła brzeg, żeby łatwiej było go oderwać, i zabezpieczyła drzwiczki. Wycie samochodów i alarmów przeciwwłamaniowych na zewnątrz doprowadzało ją niemal do szału. W oknach migotały świece, anachronicznym bursztynowym blaskiem.

Wyjęła miotłę i zaczęła zamiatać potłuczone szkło i porcelanę. Gabe przyciskał do ucha komórkę i przemieszczał się, zapalając świece i jednocześnie próbując dodzwonić się do oddziału. Wreszcie się poddał.

— Obwody szaleją.

Jo wskazała na telefon stacjonarny.

— Spróbuj przez ten.

Sophie stała w drzwiach do kuchni, trzymając latarkę. Wyglądała na zagubioną.

— A może zajmiemy się twoim kostiumem? — zapytała Jo, odstawiając miotłę.

Dziewczynka uniosła ramiona w pełnym bezradności geście. Brązowe oczy miała szeroko otwarte i pociemniałe, odbijało się w nich światło świec. Jej buzia zdradzała głębokie napięcie, jak za mocno naciągnięty drut użyty do zabezpieczenia podczas silnego wiatru. To okropne widzieć tak otwarty niepokój u małego dziecka, pomyślała Jo ze smutkiem.

Poruszyła ramionami, żeby zakolysała się jej upiorna ręka.

— Tędy. Chcesz być staroświeckim, powolnym zombie, czy nowoczesnym, szybkim?

— Nie wiem — odrzekła Sophie i niechętnie poszła za nią w stronę schodów.

Okno w korytarzu na górze zostało wyrwane. Gałąź dębu bezceremonialnie wdarła się do środka. W domu pachniało kurzem i dębiną. Pod stopami chrzęściło szkło. Dziecko skuliło się, gdy szły po nim do pokoju.

— Co powiesz na zombie SpongeBob? Zombie Bratz?

— Może. — Sophie uśmiechnęła się nieśmiało. — Tatuś nienawidzi lalek Bratz.

— W takim razie będziesz wyjątkowo przerażająca, prawda?

Kiedy dziesięć minut później zeszły na dół, Gabe postawił czajnik na gazie. Pochylny nad kuchennym blatem rozmawiał przez telefon stacjonarny, pisząc coś w notatniku przy świecy. Jo jęknęła:

— Sierzancie Quintana.

Podniósł wzrok. Sophie wyciągnęła wyprostowane jak u lalki ramiona i z głową przechyloną na bok powiedziała upiornym piskliwym głosikiem zombie:

— Tatusiu, zabierz mnie na zakupy.

Gabe stłumił śmiech i uniósł ręce w obronnym geście.

— Nie, proszę, tylko nie to. Nie podchodź.

Dziewczynka na sztywnych nogach ruszyła przez kuchnię w jego stronę. Miała na sobie szczątki dawno zapomnianych ciuchów, które Jo ekshumowała z dna szafy, włącznie z błyszczącym topem ze spandeksu, który stosownie rozdarła. Włosy Sophie były spiętrzone w szaleńczą fryzurę w stylu Heleny Bonham-Carter, a wokół oczu miała czarne koła wymalowane kredką. Błyszczący niebieski cień do oczu, porzucony kiedyś przez Tinę, ściekał z kącika ust małej na podbródek. Wyglądało to, jakby żuła balową suknię nastoletniej Miss America.

— Kup mi make-up, tatusiu. — Przechyliła się z boku na bok. — Teraz.

Gabe cofnął się do blatu i zakrył twarz dłońmi.

— Nie, to pali, pali!

Sophie się roześmiała. Quintana ją uściskał i uśmiechnął się do Jo, ale głos miał poważny.

— Muszę jechać. W oddziale brakuje ludzi.

— Szkody?

— Jeszcze zbieramy informacje, ale potrzebują mnie. — Ukląkł obok córki. — Przepraszam, świerszczyku. Nie będę mógł cię zabrać na obchód okolicy. — Do Jo zaś powiedział: — Mamy wstępne informacje o zamknięciu niektórych dróg.

Tranzystorowe radio mówiło o pożarach i zawalonych budynkach na południe od Farmers Market. Przewrócone słupy telefoniczne zablokowały ulice. W wielu dzielnicach pozrywane zostały elektryczne kable.

Gabe wydawał się spięty.

— Nie mogę się dodzwonić do pani Montero. Opiekunki.

— Sophie może zostać ze mną — powiedziała Jo. — Jeżeli uważasz, że to w porządku.

Potwierdził ruchem głowy. Wziął Sophie za rękę i usiadł przy kuchennym stole.

— Wystrasż sąsiadów tutaj, okay?

— Okay — potwierdziła bez przekonania.

— Przepraszam, świerszczyku. To moja praca.

Kiwnęła głową, powieki miała opuszczone. Ucałował czubek jej głowy i wstał.

Jo odprowadziła go do drzwi.

— Poradzimy sobie.

— Dziękuję. Również za to, że ją rozweseliłaś. — Wyciągnął rękę i palcem wskazującym odsunął dziewczynie włosy z czoła.

— Ja...

Przykryła jego usta palcami.

— Porozmawiamy później. A teraz idź do pracy.

Przez moment patrzył jej prosto w oczy w świetle świec. Ujął dłoń Jo i ucałował. A potem wyszedł i zbiegł ze schodów.



Budynek sądu stał się w jesiennym zmierzchu mrocznym labiryntem. Perry szybko przeszedł przez korytarz, otworzył wyjście awaryjne i biegiem pokonał schody. Znalazł się w innym korytarzu. Wszystko było ciemne i nieruchome. Ile potrwa, zanim zaczną działać generatory awaryjne?

Musiał się stąd wydostać. Zrobi to podczas tej przerwy w dostawie prądu i zniknie. Na dobre.

Pobiegl do końca korytarza, szukając wyjścia. Nie zamierzał wracać do więzienia. Z każdym kolejnym krokiem jego płuca wypełniało świeże powietrze i zyskiwał coraz większą pewność. Nie planował powrotu do zamkniętej celi nad zatoką, do hałasu i zamieszek, do miejsca, w którym był pozbawiony głosu, zamknięty w klatce i otoczony nieustannymi odgłosami wściekłości innych mężczyzn.

Jeżeli uda mu się opuścić budynek, Skunks go odbierze. Po-tem wytropią ludzi, którzy go obrabowali, torturowali i zrui-nowali zdrowie. Nareszcie wymierzy sprawiedliwość. Musiał tylko wydostać się z tego pieprzonego sądu.

Znalazł wyjście awaryjne na tyłach i pchnął drzwi. Klatka schodowa była czarna jak smoła. Usłyszał niżej w ciemności kroki, niepewne, jakby ktoś wymacywał drogę. Chwycił za po-ręcz i pobiegł w dół.

Gdy dotarł do połowy schodów, włączyły się światła awaryj-ne. Ostre halogenowe oświetlenie zmieniło wszystko w czarno-biały obraz.

Kroki poniżej przyspieszyły, teraz stawiane pewnie. Na górę wchodził po schodach jakiś mężczyzna. Módl Się zrobił poważ-ną minę i dalej biegł w dół. Wchodzący był niewysoki, siwy i miał na sobie pogrzebowy garnitur. Wyglądał jak lękliwa wie-wiórka. Spojrzał na Perry'ego i dalej wchodził.

— Przepraszam — odezwał się.

Tamten go wyminął. Po chwili ponownie usłyszał kroki, tym razem skierowane w dół. Siwy schodził.

— Przepraszam pana, proszę się zatrzymać! — zawołał.

Perry nie mógł odpowiedzieć bez użycia generatora głosu.

Zignorował mężczyznę.

— Przepraszam. — Kroki przyspieszyły. — Czy widział pan szeryfów?

Szeryfów? Zatrzymał się i odwrócił. Siwy był czerwony na twarzy i zadyszany. Schodził w dół, sapiąc.

— Czy wyszedł pan z sali sędzi Wilmer? — zapytał.

Uciekać czy nie?

Ames był kilkanaście, centymetrów wyższy niż ten facet i młodszy o jakieś dziesięć lat. Schodzący mężczyzna wydawał się niepozorny, ale miał w oczach jakąś zawziętość. Uważnie

przyjrzał się Perry'emu. Mimo że mógł zobaczyć tylko obywatela w tanim garniturze, obserwowany nie czuł się z tym dobrze.

Na korytarzu zaczął wyc alarm. W oczach siwego błysnął niepokój. Znow spojrzal na Amesa. Na jego kołnierzyk i na szyję. Wyraz jego twarzy się zmienil.

Spurpurowial. Wiedzial.

Zawrocil, chcąc uciekac, ale Mól Się byl szybszy. Złapał mężczyznę za nogi, wymierzył cios i patrzył, jak tamten spada.

Siwy upadł twarzą na betonowe schody. Kiedy Perry zbiegł w dół i dopadł leżącego, miał już w rękach swój tani niebieski krawat.

Świetnie wiedział, jak działa garota.

36.

Kiedy Jo i Sophie wróciły do domu, miały zziębnięte policzki i palce. Dziewczynka sięgnęła do swojej torby na cukierki i wyciągnęła szorstki owoc.

Kto daje kiwi na Halloween?

— Nie jedz go. Zrobimy z niego Pana Kiwi.

— A co to jest?

— Kolega Pana Kartofla.

Sophie wpatrywała się w nią zakłopotana. Jo poczuła się stara i ograniczona.

Halloween się nie udało. Sąsiedzi chcieli się dowiedzieć, jak przeżyła wstrząs. Czy działał jej telefon? Czy miała radio? Czy było bardzo źle? Wszyscy o coś pytali. Czy były ofiary śmiertelne, czy stały mosty, jak się trzyma Marina? Nastroje w dzielnicy wahały się między depresją a manią, ludzie usiłowali zachowywać się jak londyńczycy podczas nalotów, ale uwzględniając załamanie nerwowe.

Wciąż były alarmy. Kilka zaparkowanych samochodów nadal błyskało światłami, tworząc na ulicy szczególną aurę.

Kable były pozrywane. Miasto pozostało bez komunikacji.

Jo zamknęła frontowe drzwi i wyjrzała przez wykuszowe okno.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała do Sophie. — Idę na górę. Wbiegła w ciemności po schodach, minęła gigantyczną gałąź w korytarzu wyglądającą jak wywalony smoczy język. W sypialni otworzyła okno. Miała wrażenie, że miasto podniosło lament. Był to nerwowy dźwięk, rozproszony, nienaturalny. Słyszała syreny w pobliżu Fisherman's Wharf.

Sophie stanęła w drzwiach pokoju.

— Czy coś się stało? — zapytała.

— Zaczekaj tutaj — poprosiła Jo.

Zdjęła fartuch doktora zombie. Pchnęła skrzydło okna najdalej, jak się dało, postawiła nogę na parapecie i chwyciła się rynny.

— Dokąd idziesz? — chciała wiedzieć dziewczynka.

— Na dach. Zobaczyć, co się dzieje.

Oparła dłoń o ramę okna, stanęła na parapecie obiema nogami i uważając, żeby nie stracić równowagi, sięgnęła w górę do brzegu dachu.

Policzyła do trzech, wsparła stopę o górną część ramy i podciągnęła się. Przerzuciła nogę przez okap, drugą się odepchnęła i znalazła się na dachu.

Miała najlepszy widok na całą ulicę. Widziała stąd dachy aż po Golden Gate i Bay Bridge.

— O rany.

Cała zatoka była pogrążona w ciemności.



Módl Się pchnął drzwi i zszedł po schodach na ciemny plac. Centrum Obywatelskie było pozbawione światła jak powojenny Berlin. Miasto wyglądało upiornie w ciemnoniebieskim półmroku utrzymującym się na zachodnim niebie. Wszystkie latarnie były wyłączone, tramwaje stały na skrzyżowaniach

nieruchome bez elektryczności. Mrok na ulicach rozpraszały jedynie reflektory samochodów. Ruch został kompletnie zdeorganizowany. Sygnalizacja świetlna nie działała, a kierowcy centymetr po centymetrze pełzli wśród zamętu. Przechodnie zmienili się w upiorne czarne sylwetki.

Perry zaczął się oddalać od budynku sądu. W połowie kwartału skręcił, zmierzając do Van Ness, i wiedział, że mu się udało. Spojrzał za siebie. Na ulicach było pełno ludzi martwiących się tylko o siebie. Nikt go nie ścigał.

Szedł pewnym krokiem. Wciągał w płuca zimne powietrze. Spaliny, miejski brud, psie gówno. Co za cudowne perfumy. Uniósł twarz. To był zapach wolności.

Trafiła mu się niewiarygodna szansa. Fortuna się do niego uśmiechnęła. Nie wiedział, jak długo potrwa brak zasilania, ale każda minuta, podczas której miasto było pozbawione prądu, dla niego była czasem do wykorzystania na ucieczkę.

Wyjął generator głosu i wydobyl ze środka kartę SIM. Potem sięgnął do kieszeni po komórkę. Wreszcie miał aparat, który mógł zatrzymać, a nie pożyczony od prawników czy obsługi kuchni w więzieniu. Zanim porzucił ciało siwego na dole schodów, zabrał mu komórkę. Uwielbiał współczesną technologię.

Rozejrzał się. Minął ponad rok, odkąd swobodnie szedł ulicą. Był rozradowany, czuł się euforycznie, i był gotów czerpać z życia garściami.

Musiał się pospieszyć. Niedługo znowu rozbłyszną światła. Dopóki stan nie został ogłoszony strefą dotkniętą kolosalną katastrofą, dopóki gubernator nie wezwał Gwardii Narodowej, żeby wprowadzić godzinę policyjną. Jeśli zginęły tysiące ludzi, mógłby łatwo zdobyć fałszywą tożsamość. Nie spodziewał się, że aż tak mu się poszczęści — tego wieczoru będzie panowało takie zamieszanie, że może być, kimkolwiek zechce, i zrobić niemal wszystko.

Musiał się skontaktować ze Skunksem.

On miał nazwiska. Zdobyć ich było sprawą najwyższej wagi. Po pierwsze dlatego, że zamierzał torturować wszystkich tych ludzi. To było oczywiste. Sprawiedliwości stanie się za-
dość. Ci, którzy go zaatakowali, wiedzieli bowiem, co stało się z
jego pieniędzmi.

Robienie z nimi interesów było od początku kiepskim pomysłem. Powinien był wiedzieć, że nie może ufać Klubowi Brudnych Sekretów. Te bogate, samolubne parszywe gnojki chciały się tylko zabawić w grę. Dlatego miał dla nich zorganizować pokera na najwyższym poziomie. Jasne. Ha, ha. Wysłali na spotkanie łajdaków. Zorientował się po ich nerwowości i paranoicznym zachowaniu, szczególnie tej pornolaski w gumowej masce.

Powinien był się domyślić, że szykuje się napad.

Wiedział to teraz, ale było za późno, żeby coś zmienić. Za późno, aby powtarzać sobie, że powinien był wtedy zdobyć ich nazwiska, a nie tropić ich teraz.

Opryszki, które go zaatakowały, to oczywiście tylko figuranci. Właściwi ludzie kryli się za fasadą eleganckich biznesów i fantomowych firm. W społeczeństwie uchodzili za normalnych.

Ludzie tego typu inwestują pieniądze, nawet skradzione i pochodzące z hazardu, w interesy, nowe firmy, giełdę, nieruchomości. Nie trzymają pod ręką nesesorów pełnych gotówki. Włożyli je w papiery wartościowe albo fundusze rynku pieniężnego, może na konta bankowe. Zależało im jednak na płynności, co oznaczało, że będą mieli natychmiastowy dostęp do pieniędzy, które byli mu winni.

Z całą pewnością są w posiadaniu stosownych funduszy, by wykonać nocny transfer elektroniczny na konto, które Perry wskaże. A szczególnie, jeśli użyje ich rodzin w charakterze

zakładników i zacznie szpikować ich członków fentanylem albo przytrzymywać twarz dziecka pod wodą w wannie. Nie mieli pojęcia, ile czasu spędził na rozmyślaniach, jak wyrównać rachunki. Rewanż? Też coś. Zabrali mu pieniądze, głos, wolność. Za wszystko mu zapłacą.

A potem ucieknie.

Włączył telefon, który zabrał siwemu. Wiedział, że właściwie nie ma szans, aby po dużym trzęsieniu ziemi uzyskać połączenie, ale wiadomość tekstowa mogła przejść. Ścisnął telefon w dłoni i czekał.

Wciąż szedł ulicą pełną trąbiących samochodów i spieszących się ludzi. Tylko piesi mieli szansę dokądkolwiek dotrzeć. W tej sytuacji Geli absolutnie by sobie nie poradziła. Właściwie szkoda. Była taka oddana, zrobiłaby dla niego wszystko. Na szczęście wiedziała, co robić, gdyby znalazła się w trudnej sytuacji. Potrafiłaby się sobą zająć, aby chronić jego.

Telefon zawibrował.

Perry spojrzął na wyświetlacz i uśmiechnął się. Nazwisko i adres.

Bardzo, bardzo dobrze.

Oto ona. Johanna Beckett, lekarz.

Szybkim krokiem szedł ciemnymi i pogrążonymi w chaosie ulicami, jednocześnie wysyłając wiadomość. Johanna. Wychodź, wychodź, gdziekolwiek jesteś.



Cały teren wokół zatoki był pozbawiony prądu.

Jo poczuła ucisk w piersi. Bay Bridge był niewidoczny. Coit Tower, zwykle jasno oświetlona na szczycie Telegraph Hill, była jak mroczny cień po wypalonej flarze. Światła reflektorów samochodowych wyznaczały ulice San Francisco, cienkie jasne strumienie, które biegly jak wstążki drogami w dół wzgórza,

ale ciemne były wszystkie domy, wszystkie latarnie. Miasto wyglądało jak okryte całunem.

Rozległe brzegi zatoki tonęły w czarni. Zwykle otaczały ją światła, ale teraz tworzyła ogromne zagłębienie wypełnione mrokiem. Mroczna woda, mroczna ziemia, mroczne niebo, wszystko zlewało się w jedno. Wzgórza Berkeley przestały migotać. Kilka plam światła było widać daleko na południu, w kierunku San Jose, ślad dwudziestego pierwszego wieku na ziemi, która pograżyła się w prekolumbijskich czasach. Setki kilometrów linii brzegowej teraz stały się czernią. Widok, który Jo miała przed sobą, był bliski temu z 1579 roku, kiedy Francis Drake wpłynął do zatoki.

W nocnym powietrzu niósł się dźwięk klaksonów. Nie było stale obecnego dzwonienia tramwajów. Zupełnie jakby miasto padło powalone kontuzją.

Kolejne syreny. Kilka kilometrów na zachód, w dzielnicy o zwartej niskiej zabudowie, co musiało oznaczać drewniane wiktoriańskie apartamentowce, Jo zobaczyła migoczącą pomarańczową lunę pożaru.

Zaliczyli cios, ale nie nokaut. Uderzenie było solidne, wyglądało jednak na to, że jeszcze trzymali się na nogach. Gdyby użyć terminów medycznych, można by powiedzieć, że przeżyli udar. Praca synaps została zakłócona, połączenia przekaźnikowe zerwane, i to dosłownie. Komunikacja, zdolność poruszania się, wszystko to ucierpiało. Jo nie wiedziała, ile to potrwa, ale wszędzie pomiędzy Sausalito a Oakland panowała ciemność, co oznaczało, że światła nie pojawią się z powrotem za kilka minut.

Z sypialni Sophie zawołała:

– Jo? Co widzisz?

– Nie ma światła, ale Kalifornia wciąż jest na swoim miejscu. Nic nam nie będzie.

Powinna czuć się uspokojona, ale zamiast tego doświadczała narastającego niepokoju.

Wróciła do sypialni i zamknęła okno. Dziewczynka przyglądała się jej z podziwem.

— Jak ty to robisz? — zapytała.

— Mam wprawę, wspinam się na skały.

— Ja też mogę?

— Nie na dach. Może pójdziesz ze mną na salę, żeby się powspinać.

— Naprawdę?

Jo ujęła małą za rękę i zeszły na dół.

— Naprawdę. Ale powinnam cię uprzedzić, że niektórzy uważają mnie za wariatkę.

— Wszystkie zombie są zwariowane, prawda?

— Myślę, że się świetnie dogadamy.

Poszły do kuchni. Radio bzycało:

— Otrzymujemy raporty, że w Marinie zawałiło się sporo budynków. Nie mamy potwierdzenia, ale słuchacze dzwonią z informacją, że na wjeździe na Bay Bridge jest karambol dwunastu samochodów. — Zaszleściły papiery. — I właśnie otrzymaliśmy komunikat prasowy od wydziału policji San Francisco. Nalegają, żeby nie wychodzić na ulice. Nie podróżujcie, chyba że jest to absolutnie konieczne. W mieście potrzebne są wolne drogi dla pojazdów ratunkowych.

Jo poczuła przeciąg. Przesunęła latarką po pokoju. Przeszlone drzwi na patio stały otworem. Pociągnęła je do siebie. Nie chciały się zamknąć.

Framuga, cholera, przesunęła się na skutek trzęsienia. Pociągnęła mocniej. Bez skutku. Oparła jedną stopę o ścianę i szarpnęła. Drewno zazgrzytało, a ona zdołała przymknąć drzwi na tyle, by powstrzymać przeciąg.

Jednak nie dość, by je zaniknąć. Framuga zmieniła położenie

o zaledwie kilka milimetrów, ale części zamka nie znajdowały się już w jednej linii. Będzie musiała zdjąć drzwi z zawiasów i zheblować, by zlikwidować nierówność. W dodatku nie miała struga.

— Chodź, idziemy do mojego sąsiada — zaproponowała.



Skunks siedział za kierownicą cadillaca przy centrum handlowym w Van Ness. Nie było światła, w sklepach panowała ciemność, a ludzie wciąż wchodzili i wychodzili — drzwiami. Nie mógł w to uwierzyć. Nikt nie stłukł żadnego okna. Nic nie zostało podpalone. Nikt nie wybiegał ze sklepu ze sprzętem, z telewizorem w objęciach. Co było nie tak z tymi ludźmi?

Ulicą z wyciem syreny przemknął wóz strażacki.

Mężczyzna spojrział na sklep płytowy. Swędziały go ręce. Przydałby mu się zestaw płyt z *Rodziną Soprano*. I popcorn do mikrofalówki.

Brzęknęła jego komórka.

Spojrzał na wiadomość.

Zapomniał o wszystkim.

„Twoja dziewczyna to Johanna Beckett, lekarz”.

— Mam cię, Pajaku.

Najwyższy czas. Odczytał resztę wiadomości.

„Żadnej broni. Musi wyglądać na wypadek”.

Co? Perry, co jest, kurwa?

„Potrzebuję czasu, żeby odebrać, co moje. I uciec. Miasto szaleje, z powodu wypadku gliny nie będą nas szukać”.

Skunks doczytał do końca, rzucił telefon na siedzenie i włączył silnik. Cadillac z pomrukiem ożył. Wyjechał na pograżone w mrocznym szaleństwie ulice. Wyminął go kolejny wóz strażacki. Umysł Skutleka działał na przyspieszonych obrotach. Wypadek, świetnie, był w stanie to załatwić. Ruszył z piskiem,

obracając w ustach ostatnie słowa wiadomości. To było coś nowego, ambitnego nawet jak na Perry'ego: amfiboliczna śmierć. Nieważne. To znaczyło, że Pająk idzie do piachu.



Kiedy Jo wyszła na zewnątrz, powietrze wydało się jej chłodniejsze. W świetle latarki widziała mgielkę utworzoną z oddechu Sophie.

— Poprosimy mojego sąsiada i jego kumpli, żeby przyszli i pomogli mi wepchnąć drzwi na miejsce — powiedziała.

Albo może Ferd i jego załoga z *World of Warcraft* mogliby przytargać łańcuch i kłódkę, żeby zabezpieczyć wejście. Wzięła Sophie za rączkę i poprowadziła ją do sąsiedniego domu.

Dyniowe latarnie Ferda rzucały czerwonawy blask. Frontowe drzwi były otwarte. Jo zapukała, zawołała „halo” i weszła. Usłyszała rozmowę na tyłach domu.

— Straszno tu — stwierdziła Sophie.

Johanna nigdy nie była w środku. Hol był wyłożony drewnem, polakierowany i skrzypiący. Oświetlały go tylko świece, których blask nie docierał do sufitu pogrążonego w mroku. Rzeczywiście robiło to nieprzyjemne wrażenie. Dłoń Sophie, wcześniej zimna, teraz była lepka.

— Ferd?! — zawołała Jo.

W końcu korytarza były drzwi. Stał w nich, odpowiadając:

— Jo!

Klasnął w dłonie i ciężkim krokiem ruszył w ich stronę.

— Przyszłaś. Wspaniale.

Miał na sobie zaimprovizowaną średniowieczną zbroję i plastikowy miecz. I chyba rogi. Dotknął własnej piersi.

— Jestem krwawym elfem. A wy chyba zombie. Witajcie.

— To Sophie Quintana — przedstawiła Jo dziewczynkę.

— Jestem zombie Bratz — powiedziała mała.

Ferd został obdarowany miską dipu z karczochów. Zdjął folię przykrywającą wierzch i nabrał trochę wskazującym palcem. Głośno powiedział „mniam”.

— Tędy. O, dzięki Bogu. Prawie nikomu nie udało się dotrzeć. W mieście padł system. Będą musieli zrobić twarde reset, żeby wszystko na nowo ruszyło.

W kuchni zastały trzy osoby stojące wokół kotła popcornu. W świetle świec i naftówek Jo zauważyła po chwili kostiumy. Spodziewałaby się większej reprezentacji klingonów i mniej kobiet. Prawdę powiedziawszy, było tu dwa razy więcej kobiet, niż oczekiwała.

Pan Peebles przycupnął na kuchennym stole. Miał na sobie uprząż dla niemowlaka. Albo małego więźnia. On także był ubrany w mikroskopijny strój krwawego elfa. Nawet z tej odległości pachniał jak cała butelka szamponu o zapachu leśnym.

Gwałtownie odwrócił łepkę ku nowym gościom. Oczy miał jak lśniące czarne guziki. Niestety, Jo nie była w stanie stwierdzić, czy myślał: „uciekać, to ta od taśmy”, czy: „wlać płyn do przetykania rur do jej kawy”.

Ferd potarł dłonią pierś.

— Napełniłem wannę wodą i umieściłem całe jedzenie w plastikowych torebkach. Tylko nie wiem, jakiej możemy się spodziewać katastrofy. Ile mamy czasu, zanim pojawi się groźba cholery?

— Jesteśmy bezpieczni przynajmniej przez tydzień. A za chwilę chcę prosić ciebie i twoich przyjaciół o pomoc w zamknięciu i zabezpieczeniu moich kuchennych drzwi.

— Jasne — rozejrzał się po kuchni. — B'Etor może nam pomóc.

Klingon pochylił się w przód.

— Quastah Nuqu!

Sopran. A to oznaczało trzy razy więcej kobiet, niż można się było spodziewać.

— Dzięki — powiedziała Jo.

Spojrzała za siebie. Zdawało się jej, że przez otwarte drzwi dostrzegła mężczyznę stojącego na jej ganku, niewyraźną sylwetkę w słabym świetle dochodzącym z ulicy. Zamarła. W głowie zakotłowały się jej dźwięki i obrazy.

„Pomóż mi”.

„Powstrzymaj to”.

Zmroził ją strach. Uważnie rozejrzała się po długim korytarzu. Światło lampionów rysowało na ścianach niewyraźne kształty. W ciemności wszystko wydawało się cieniem.

Ulicą przejechał samochód. Reflektory nabrały mocy, przecięły werandę jak rzeźbiarskie dłuto i zbladły. Nikogo tam nie było.

— Prawie już nie mam maloksu — mówił Ferd. — I co zrobić, jeżeli w aptekach zabraknie towaru? Albo jeżeli zaczną się grabieże...

— Jeżeli zaczną się grabieże, najpierw będą się interesować narkotykami, a potem środkami zubożniającymi kwasy — powiedziała Jo. — Dzieciaku, nie przesadzaj.

— Racja. Racja. — Ferd przyciskał dłoń do czoła.

— Wykorzystaj swoje emocjonalne wsparcie — poradziła.

— Oczywiście. — Pospiesznie podszedł do kuchennego stołu, odczepił szelki i wziął na ręce pana Peeblesa. Małpka chwyciła stopami jego koszulę i wyciągnęła łapkę do rogów krwawego elfa.

Pisnął telefon Jo. Pan Peebles skoczył z piersi Ferda na kuchenkę, celując w garnek z popcornem. Dostała wiadomość tekstową.

„Od: Leo Fonseca”.

Zaniepokojona zaczęła czytać.

„Pilne. Przestępca na wolności. Może mieć pani adres. Proszę natychmiast jechać na komendę główną”. Przyglądała się tekstowi przez długą chwilę, potem wybrała numer prokuratora. Zajęta sieć.

Spróbowała połączyć się z komendą główną. To samo. Amy Tang — znowu nic. Przechodziły tylko wiadomości. Odpowiedziały na numer nadawcy. „Jadę”.

— Sophie, chodź ze mną, kochanie.

Ferd potarł pierś.

— Czy coś się dzieje? Jesteś zaniepokojona. Mamy uszczelnić dom?

— Masz mnie odprowadzić do samochodu.

Nabrał powietrza i nagle jakby urósł o dziesięć centymetrów.

— Potraktuję to jako zaszczyt.

Z błyszczącymi za szklami okularów oczami szedł wielkimi krokami obok sąsiadki, trzymając plastikowy miecz w gotowości.

Sophie wskoczyła do toyoty obok kierowcy.

— Zamknij swoje drzwi i zapnij pas. — Jo uruchomiła silnik. Ferd stał na zewnątrz, jej rycerz w lśniących rogach.

— Zadzwoń, kiedy tam dojedziesz.

— Jeżeli mi się uda.

Zatrzasnęła drzwiczki. Mężczyzna cofnął się i zsalutował mieczem. Potem spojrział w kierunku własnego domu.

— O, drzwi, zostawiłem otwarte... — Wycofał się pospiesznie. — Panie Peebles...

Jo czuła walenie serca.

— Kiedy tylko dojedziemy na posterunek, zadzwonimy do twojej mamy.

— Jest na imprezie, nie wiem gdzie. Nie ma komórki.

Pozbawiony emocji głos Sophie powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć, o odpowiedzialności matki dziewczynki.

— W takim razie będziesz dzisiaj moją zombie asystentką.

— Okay. — W głosie dziecka znów brzmiał niepokój. Jo ruszyła.

— Jeżeli będziesz naprawdę grzeczna, pozwolę ci pogrzebać w mózgu.

Sophie wydawała się bardzo mała na samochodowym siedzeniu.

— Myślisz, że mojemu tacie nic nie jest?

— Na pewno. — Jo nie musiała się starać, by powiedzieć to z przekonaniem. Nie miała żadnych wątpliwości. — Sophie, to trzęsienie ziemi nie jest katastrofalne. A Ferd to nerwowy facet. Nie przejmuj się tym, co wygadywał. Twojemu tacie nic nie jest. Upewnia się tylko, że wszyscy inni też są bezpieczni. To jego praca.

— Wiem.

— I jest naprawdę świetny w tym, co robi.

Dziewczynka spojrzała na nią, jakby chciała zapytać: „naprawdę?”. Jo miała smutne wrażenie, że nieczęsto słyszała coś takiego od mamy.

Skręciła i ruszyła w dół stromego wzgórza w kierunku komendy. Ruch był niewielki, ulice puste. Komenda znajdowała się tylko półtora kilometra stąd, na Vallejo w pobliżu Columbus Avenue, ale żeby tam dotrzeć, musiała przejechać przez ulice śródmieścia, gdzie panował zapewne chaos. Spojrzała jeszcze raz na komórkę. Żadnych wiadomości. Brak sygnału.

Na skrzyżowaniu stanęła i rozejrzała się na wszystkie strony, wypatrując widm, upiorów i byłych więźniów. Przecznicę dalej na lewo jakiś samochód przejechał równoległe do ich kierunku jazdy. Jo pojechała prosto, na niskim biegu, gdyż droga prowadziła ostro w dół. Ostrzeżono wszystkich, żeby nie

wychodzili z domów, ale nie chciała najechać na jakichś nieustraszonych zbieraczy halloweenowych cukierków. Ani nawet na szabrownika kradnącego Ferdowy maloks. Ustawiła radio na kanał z wiadomościami. Popłynęły słowa odzwierciedlające ogarniającą miasto panikę.

Jo wrzuciła kierunkowskaz w lewo, skręciła i gwałtownie zahamowała. Volvo zderzyło się z ciężarówką. Pojazdy stały na środku ulicy wśród stłuczonego szkła, opuszczone. Wyminęła je i ruszyła dalej. We wstecznym lusterku zobaczyła zbliżające się reflektory, jasne i wyraźne. Obserwowała, czy samochód nie zbliża się za bardzo. Zdenerwowana, na następnym skrzyżowaniu skręciła w lewo. Ponownie spojrzała w lusterko.

Tamten pojechał prosto w dół wzgórza, zniknął jej z oczu. Odetchnęła i przyspieszyła.

Wycie silnika słyszała tylko przez sekundę. Dotarło do niej z lewej strony. Samochód, wielki jak wieloryb, miał wyłączone światła. Była na środku skrzyżowania, kiedy wyjechał zza rogu i walnął ją prosto w bok.

37.

Hałas i siła ciosu były porażające. Potężny, niski dźwięk i dwie tony z impetem wstrząsające pick-upem.

Sophie krzyknęła.

Jo uderzyła głową o ramę drzwi. Ból nieźle ją trzepnął, ale wciąż trzymała ręce pewnie na kierownicy. Jezu.

Zahamowała, w głowie jej dudniło. Została zepchnięta na prawo jak hokejowy krążek uderzony kijem. Samochód nie trafił w nią pod kątem prostym, ale wysunął się zza rogu jak kosa i uderzył pod kątem.

Wciąż spychał toyotę na ukos, przesuając ją w stronę krawężnika.

Co ten facet robił, do cholery?

— Sophie, nic ci nie jest?

— Boję się. — Dziewczynka była bliska płaczu.

Jo wyrzała przez okno i poczuła tak gwałtowny przyływ adrenaliny, że pojaśniało jej w oczach.

To był zabytkowy biały cadillac.

Wzdłuż krawężnika stały zaparkowane samochody. Czują, że pick-up zsuwa się ku nim. Cadillac był od niego cięższy mniej więcej o tonę.

Groźny jak biały rekin. Pięknie odrestaurowany, ze lśnią-
cym w świetle księżycy dachem. Jeżeli kierowca był skłonny go
zrujnować, mogło to oznaczać tylko jedno: jej samej chciał
zrobić coś gorszego.

— Sophie, trzymaj się! — zawołała.

Nie mogła pozwolić, żeby wymusił na niej zatrzymanie.
Wcisnęła gaz do dechy.

Cadillac przyspieszył razem z nią. Cholera. Trzymała kie-
rownicę z całej siły. Dziecko chrapliwie szlochało, przerażone.
Dalej, autko, proszę, ty twardy sukinsynu. Jo także czuła ukłu-
cia łez pod powiekami.

Zgrzyt metalu ocierającego się o metal drażnił uszy. Kątem
oka zobaczyła iskry przeskakujące między samochodami. No
dalej...

Cadillac wciąż przesuwał pick-upa w stronę krawężnika.
Metr za metrem.

— Dalej! — krzyknęła Jo.

Za późno. Sześć metrów przed nią stał słup telefoniczny.
Zahamowała, ale siłą rozpędu posunęła się w przód. Cadillac
dopchnął toyotę do krawężnika. Uderzyła w słup przodem.

Z hukiem zatrzymali się w miejscu. Poduszka powietrzna
walnęła Jo w pierś. Ulatniał się z niej szary gaz. Obie z Sophie
runęły gwałtownie w przód i na powrót do tyłu.

Reflektory toyoty nadal świeciły. Silnik pracował. Cadillac
stanął trzy metry przed nią.

Nie siedź beczynnie, mówiła sobie w duchu. Wrzuciła
wsteczny. Biegi zgrzytnęły. Wcisnęła sprzęgło do końca, gaz do
dechy. Toyota zapiszczała i z trudem przesunęła się w tył. Pół
metra, metr, gwałtowne telepanie. Coś ważnego zepsuło się z
przodu. Jo widziała parę buchającą z chłodnicy.

Wcisnęła klakson.

Cadillac czekał na ulicy. W świetle reflektorów toyoty wi-
działa spaliny u wylotu jego rury wydechowej.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy. Jo przeszył dreszcz. Sophie wyła nieustannie.

— Nie dotykaj drzwi. Nie otwieraj ich. Trzymaj się. Wydostaniemy się stąd.

Mężczyzna zwany Skunksem wysiadł z cadillaca i ruszył w ich stronę.

Na drugim końcu ulicy pokazały się światła innego samochodu. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Auto dotarło do wraku, zwolniło, żeby zobaczyć, co się stało, i przejechało. Jo usiłowała się nie rozplakać.

Gaz miała wciśnięty do dechy. Silnik obracał się jak szalony. Rozszedł się swąd palonej gumy. Przesunęły się o pół metra.

Skunks szedł w ich stronę, nie krył się przed blaskiem reflektorów. Był zgarbiony, jakby bez szyi. Jego oczy lśniły w świetle.

— Trzymaj się, Sophie.

Jo stoczyła walkę z dźwignią biegów, wrzuciła jedynkę i puściła sprzęgło. Pick-up szarpnął w przód. Skutlek się na nią gapił.

Poczuła ucisk w sercu. Stanął tuż przed maską jej samochodu. Nie bał się. Nie była dość szybka, żeby go zabić.

Podniósł prawą rękę. O Chryste...

Brutalnie chwyciła Sophie za ramię i popchnęła w dół, ale Skunks nie miał w ręku pistoletu. To była łyżka do opon z cadillaca. Uskoczył w bok i zamierzył się żelastwem w przednią szybę. Rozległ się trzask i w szkle pojawiła się dziura. Jo przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Była bez szans. Cadillac blokował jej drogę. Słup telefoniczny zastawiał chodnik, zgięty i chwiejący się. Z chłodnicy buchała para. Nie miała wyjścia.

Wymacała w kieszeni komórkę i wepchnęła ją Sophie do ręki.

— Dzwon pod dziewięćset jedenaście.

Skunks zrobił krok do okna od strony kierowcy. Wymierzył cios łomem i szkło popękało.

Wykonał jeszcze jeden zamach i szyba wypadła. Odlamki posypały się na kolana Johanny.

— Sophie, wysiadaj. Biegnij. Krzycz.

Dziewczynka patrzyła na Skunksa ponad jej ramieniem. Zamarła.

— Teraz! — Jo sama zaczęła krzyczeć najgłośniej, jak potrafiła. — Biegnij!

Dziecko zmagало się z klamką. Wciąż miało zapięty pas. Uwolniona wyskoczyła i pobiegła chodnikiem. Teraz i ona wrzeszczała.

Skutlek sięgnął przez wybitą szybę, chwycił Jo za włosy i wyciągnął jej głowę na zewnątrz.

— Zamknij się — powiedział.

Krzyczała. Uderzył ją w bok głowy. Usiłowała dosięgnąć do zapięcia własnego pasa.

— Zamknij się. Gdzie są nazwiska? Daj mi te pieprzone nazwiska.

Co do cholery? Nazwiska?

Znów ją uderzył. Przed jej oczami wybuchły białe fajerwerki. O Boże. Zobaczyła telefon na siedzeniu pasażera. Chryste... Sięgnęła po niego, walcząc ze Skunksem, i chwyciła aparat.

911. Nawet jeżeli cały system telefoniczny był kompletnie zablokowany z powodu paniki, ten jeden numer nadal powinien działać. I Sophie go wybrała.

— Policja! Ratunku! Zostałam zaatakowana! — krzyknęła Jo.

Skunks sięgnął, żeby odebrać jej telefon. Próbowwała utrzymać komórkę poza jego zasięgiem.

Była tak przerażona, że dłuższą chwilę trwało, zanim zrozumiała, że on też spanikował. Sięgał do środka przez wybite

okno. Sophie wrzeszczała. Toyota też wydawała jakieś rozpaczliwe dźwięki. Jo po omacku szukała za plecami klamki.

— Daj mi te pieprzone nazwiska. Masz je. Widziałem, że znalazłaś je przy zwłokach Scotta Southerna.

Próbowała dosięgnąć klamki. Jakie nazwiska? Zwłoki Southerna?

Zablokowała stopy, opierając je o dźwignię zmiany biegów, i udało jej się pociągnąć za klamkę. Napierała na drzwi całym swoim ciężarem i uchyliły się. Kiedy poczuła, że się poddają, odepchnęła się mocno obiema nogami.

Drzwi majtnęły się na zewnątrz, Jo wypadła na plecy, a Skunks stracił równowagę popchnięty przez nie raptownie. Puścił jej włosy.

Gramoliła się, usiłując wstać. Mężczyzna znów próbował ją chwycić. Sięgnęła po kubek do kawy Java Jones z nierdzewnej stali, który tkwił w uchwycie w drzwiach toyoty, i machnęła ramieniem najmocniej, jak potrafiła. Trafiła Skunksa w twarz.

Krzyknęła do telefonu:

— Zostałam zaatakowana! Mam ze sobą dziecko! — Podala nazwę ulicy i zamykając z powrotem drzwi, przemknęła się zwinnie na siedzenie pasażera. Skunks patrzył na nią z morderczym wyrazem twarzy.

Nigdy nie rozumiała, co znaczy to sformułowanie. O Boże. Zrozumiała je teraz z całkowitą jasnością. Wszystko zależało od niej. Teraz albo nigdy.

Mężczyzna szarpnięciem otworzył drzwi kierowcy. Jo podciągnęła kolana pod brodę i kopnęła go obiema stopami, mocno, prosto w twarz.

Usłyszała trzask zamykającej się szczęki, zębów uderzających o zęby. Głowa Skutleka odskoczyła i zatoczył się do tyłu.

O cholera, teraz będzie naprawdę wkurzony. Rozpaczliwie

wygramoliła się na zewnątrz przez drzwi pasażera. Sophie była jakieś dziesięć metrów dalej. Jo pobiegła do niej.

— Ratunku! — zawołała. — Pomocy!

Na ulicy nie było nikogo. Słyszała tylko płacz dziewczynki i upiorne echo jej głosu odbijające się od ścian budynków. W oknie któregoś z mieszkań drgnęła zasłona i ukazała się na chwilę ludzka sylwetka. Zasłona opadła z powrotem.

Jo się odwróciła.

— Nazwiska są w schowku na rękawiczki. Możesz je wziąć, nic mnie to nie obchodzi — powiedziała do Skunksa.

Pobiegła i chwyciła Sophie. Napastnik usiłował się pozbiierać, masując szczękę. Czy policja odebrała jej wiadomość? Czy ją słyszeli?

A jeżeli tak, ile czasu minie, zanim przyjadą?

Johanna zaciągnęła Sophie do najbliższego budynku mieszkalnego. Frontowe drzwi były zamknięte. Nacisnęła dzwonek.

Nic. Brak zasilania. Nikt nie zareagował.



Obejrzała się na pick-upa. Skutlek grzebał w schowku na rękawiczki. Znieruchomiał, wyprostował się, rozejrzał. Wiedział już, że nie było tam tego, czego szukał.

Czarna plama przeskoczyła z platformy ładunkowej toyoty na dach kabiny. Skunks podniósł wzrok.

— Co jest, kurwa?

Miał przed sobą pana Peeblesa.

Małpka krzyknęła. Jo zobaczyła, że czymś w niego rzuciła. Mężczyzna odskoczył.

— Cholera! — wrzasnął.

Kapucynka zgrabnie przebiegła po dachu, zeskoczyła na maskę, potem na ziemię i popędziła do otwartych drzwi cadillaca. Skunks kręcił się w miejscu, wyjąc i pocierając twarz rękami.

Jo chwyciła Sophie za rękę.

Były same w ciemności. W zrujnowanym mieście.

Osiemset metrów od posterunku policji.

To była jednak okolica znana Jo. Być może to słaba nadzieja, ale jeszcze niestracona. Wiktoriańskie apartamentowce, tory tramwajowe, dziwne uliczki, gdzie dzieci kwiaty w ciuchach własnej produkcji wywieszały banery z napisem: „Era wodnika” ze schodów przeciwpożarowych. Pod osłoną ciemności mogły tamtędy uciec.

Kobieta poruszająca się pieszo mogła precyzyjnie przejść przez szereg szczelin i wąskich przejść, podczas gdy mężczyzna w cadillacu nie miał szans.

Mocno ścisnęła dłoń Sophie.

— Teraz. Biegiem.



Trzymając dziewczynkę za rękę, Jo popędziła wzdłuż ulicy. Cadillac niezgrabnie zawracał, aby ruszyć za nimi w pościg.

Pięćdziesiąt metrów dalej była wąska ścieżka między dwoma budynkami. Skręcił w nią. Szły niemal po omacku, nie widząc gruntu pod nogami ani nic wokół siebie.

Jakim cudem pojawił się pan Peebles? Małpka musiała wyjść za nimi przez frontowe drzwi Ferda i popędzić na platformę toyoty, zanim odjechały. Jo usłyszała szczekanie psa. Ścieżka wyprowadziła je na kolejną ulicę. Na środku stał opuszczony tramwaj. Obeszły go dookoła.

Zza rogu wyjechał cadillac.

Cholera, widział je, kiedy skręciły w alejkę na skrót. Dotarły do chodnika po drugiej stronie i spieszenie poszły szybko ulicą. Reflektory cadillaca podążały ich śladem. Jo spostrzegła przejście między dwoma domami. Pociągnęła Sophie w tamtą stronę

i stanęła, słysząc warkot samochodu. Światło wydobyło z mroku cztery psy blokujące ścieżkę, które pochłaniały pożywienie wygrzebane z pojemnika na śmieci.

Przesmyk kończył się schodami. Jo pociągnęła dziewczynkę, chwyciła za poręcz i zaczęły schodzić. Słyszały za sobą ryk cadillaca.

— Sophie, musisz wytrzymać jeszcze parę minut. Posterunek jest... — Ile przecznic stąd? Dziesięć? W odległości roku świetlnego? — Dojdziemy tam tą drogą.

— Ten człowiek nas goni.

— Schowamy się przed nim. Tędy się nie przecisnie.

Zbiegły pięćdziesiąt schodów w dół. Kiedy wyrzały na ulicę, pod Jo ugięły się nogi. Cadillac powoli jechał przed nimi.

Skunks wiedział, że zmierzały na posterunek. Dziewczyna się rozejrzała. Przez chwilę czuła się zdezorientowana w ciemności. Pozbawione oświetlenia budynki wyglądały upiornie i wydawały się nieznajome. Nagle uświadomiła sobie, że tylko dwie przecznice dzieli ją od Java Jones, a pół przecznicy od miejsca, gdzie rozbierano i przebudowywano stary apartamentowiec. Gdyby przeszły niepostrzeżenie za placem budowy, może udałoby się im dotrzeć do kolejnej przecznicy.

Chodźmy. Tędy.

Zanurkowały w mrok i wróciły po własnych śladach. Nogi Jo płonęły, oddychanie sprawiało ból. Sophie była dzielna, ale zaczynała jej brakować sił. Wyszły na ulicę w pobliżu zakrętu.

Po przeciwnej stronie zobaczyły ogień płonący w kubie na śmieci. Dookoła niego stali mężczyźni ogrzewający sobie ręce. Jo poczuła, że podskakuje jej serce.

— Hej! — Wybiegła na ulicę. — Potrzebuję pomocy.

Zignorowali ją. Podeszła bliżej. O nie.

To byli bezdomni. Pili. Niewiele brakowało, by wszczęli między sobą bójkę o lepiej ogrzane miejsce przy płonących

śmieciach. Ci ludzie posługiwali się swoją schizofrenią jak bronią. Jeden z nich spojrzął na Jo. W świetle ognia jego oczy mówiły, że jeśli kobieta podejdzie bliżej, to ją otoczą, ale nie po to, by pomóc. Ruszyła w drugą stronę. Sophie trzymała się jej kurczowo.

- Nie mogę już biec.
- To chodźmy szybkim krokiem.



Jedyne, co mogły zrobić, to iść dalej w stronę posterunku. Jo znalazła kolejną wąską alejkę i poprowadziła tam dziecko. Kiedy wyszły przy następnej przecznicy, rozejrzała się w obie strony. Ani śladu Skunksa. Zauważyła, że alejka ciągnie się dalej po przeciwnej stronie ulicy. Wybiegła na jezdnię.

Z dołu błysnęły światła cadillaca. Powstrzymując krzyk trwogi, przemknęły na drugą stronę, kierując się ku ścieżce.

Cadillac zatrzymał się z piskiem. Jo obejrzała się i zobaczyła Skunksa wyskakującego ze środka. Był blisko. O Boże. Zaraz je zobaczy. Zanurkowała w przejście, kierując się ku pojemnikom na śmieci, i pociągnęła Sophie za śmietniki. Przykucnęła i wyjrzała ostrożnie na alejkę. Mężczyzna stał u jej wylotu, wypatrując uciekinierek.

W ciemności nie mógł zobaczyć, gdzie się podziały. Odsuwał się powoli od samochodu, wpatrując się w noc.

Jo wpadła na pewien pomysł.

Macając grunt w ciemności dookoła, znalazła kamień. Proszę, Boże, potrzebny mi jeden światowej klasy rzut. Podniosła kamień, obróciła w dłoni i cisnęła w głąb alejki. Trafiła w coś. Na ziemi zadźwięczało szkło.

Skunks odwrócił się i pobiegł w tamtą stronę. Przycupnięta za śmietnikami, widziała mijające je nogi.

Poderwała Sophie.
— Chodź. Szybko.
Cadillac czekał na środku ulicy.



Samochód stał skierowany w dół na pochyłości, drzwi od strony kierowcy były otwarte. Jo wepchnęła Sophie do środka i wskoczyła za nią.

Był wielki niczym boeing. Wnętrze wyglądało jak karykatura lat pięćdziesiątych — bary z szafą grającą, staniki z fiszbinami, lśniący chromowany koszmar. Szkarłatna skóra lśniła w światłach na desce rozdzielczej. Jo miała wrażenie, że siedzi w wilgotnych czerwonych ustach. Chwyciła dźwignię zmiany biegów przy kierownicy.

Jeżu, jak się w tym wielorybie wrzuca bieg?

Ciągnęła, obracała, szarpała i wreszcie poczuła, że dźwignia się porusza. Wdusiła gaz. Samochód skoczył w przód... Prosto na krawężnik. Zakręciła kierownicą i wyprostowała. Usłyszała za sobą krzyki Skunksa, potem odgłos otwierania tylnych drzwi. Sophie zaczęła szlochać.

Był w samochodzie. A raczej był w nim w połowie. Ruszyła, kierując się w dół ulicy. Słyszała, jak mężczyzna stęka z wysiłku, jak z plaśnięciem chwyta za oparcie siedzenia tuż nad jej ramieniem. Poprzez pomruk silnika usłyszała nawet szuranie jego butów po asfalcie. Wcisnęła pedał do dechy.

Samochód nabrał prędkości jak tankowiec. Jęcząc, Skunks wciągnął się do środka i zaczął przelazic na przednie siedzenie. Dziewczynka zanosila się płaczem.

Jo krzyknęła:

— Sophie, na trzy wyskakuj i biegnij!

Ponownie usłyszała wrzask. We wstecznym lusterku zobaczyła

kapucynkę skaczącą na Skunksa. Małpka drobnymi łapkami wpiła mu się we włosy.

— Raz, dwa... — Zahamowała z piskiem. — Trzy.

Samochód zatrzymał się z poślizgiem. Skunks walnął o tył siedzenia i odbił się w drugą stronę. Sophie wyskoczyła. Jo ponownie wcisnęła gaz. We wstecznym lusterku widziała, że Skutlek odzyskuje równowagę i wstaje, żeby się na nią rzucić.

Pan Peebles przywarł do jego głowy. Jedną łapką chwycił go za oko, drugą za dziurkę od nosa. Skunks usiłował go strącić. Jo docisnęła gaz, otworzyła drzwi kierowcy i pomyślała: Jeżeli coś sobie złamię, jestem ugotowana... Wypadła.

Uderzenie o asfalt przy prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, nawet kiedy człowiek się toczy, boli jak jasna cholera. Zaparło jej dech. Zatrzymała się w końcu, leżąc twarzą w dół, i oszołomiona trwała w tej pozycji. Potem zaczęła oddychać.

Wściekły z ciebie pies, kundlu. To nie było nic gorszego niż spaść podczas wspinaczki i walnąć o ziemię. Rusz się.

Podparła się. Ból biodra i kolan był zabójczy. Całe lewe ramię obtarła do żywego i wiedziała, że w ciało powbijał się jej żwir. Z wysiłkiem wstała.

Cadillac płynął w dół ulicy. Światło w środku było włączone i widziała Skunksa, który wciąż próbował przejść na przednie siedzenie.

Samochód dotarł do szczytu stromego wzgórza i przefrunął, nieokiełznany biały wieloryb. Tylne światła zniknęły Jo z oczu.

Z falującą pierśią pokuśtykała w dół, do miejsca, gdzie zaczynała się stromizna. Cadillac pędził w kierunku skrzyżowania na dole. Jego światła rozjaśniły scenę, która czekała na rozpoczęcie kolejnego aktu. Na zakręcie została zerwana linia elektryczna. Słup telefoniczny wywrócił się i wisiał na kablach. Jego czubek był wycelowany w górę wzniesienia, jakiś metr nad ziemią, jak lufa działa.

Boże. Wiedziała, co się stanie, i nie mogła odwrócić wzroku. Usłyszała krzyk Skunksa.

Rozpędzony dwutonowy cadillac nadział się na słup jak na włócznię. Drewno przebiło przednią szybę samochodu. Z kasko-fonicznym trzaskiem auto się zatrzymało. Tył najpierw wyskoczył w powietrze, a potem walnął o ziemię.

Cisza.

Jo stała przez chwilę bez ruchu, patrzyła. Przez otwarte drzwi kierowcy wysunęło się bezwładnie ramię mężczyzny. Zwisало, jakby szyja i głowa Skunksa zostały w którymś miejscu przyszpilone do tylnego siedzenia. Była za daleko, żeby widzieć wyraźnie, ale na ulicę zaczęło sączyć się coś ciemnego.

Wycofała się. Odwracając się, zobaczyła Sophie stojącą przy krawężniku z dłońmi zwiniętymi w pięści i przyciśniętymi do ust. Jej kostium zombie lśnił w świetle księżyca. Drżała. Jo, kulejąc, podeszła i objęła dziewczynkę.

— Nic się nam nie stało.

Dziecko było sztywne w uścisku. Tuliła małą z nadzieją, że ją rozgrzeje i złagodzi strach na tyle, żeby dziewczynka mogła się ruszyć.

Drżącym głosem Sophie powiedziała:

— Małpka.

Jo spojrzała na miejsce wypadku.

— Wiem.

— Nic jej się nie stało?

— Mam nadzieję.

Pięstki Sophie zadrżały.

— Biedactwo.

— Tak. — Jo energicznie roztarła plecy dziecka. — Chodźmy. Musimy dojść do posterunku.

Delikatnie odwróciła Sophie i skłoniła do marszu chodnikiem. Cała lewa strona jej ciała pulsowała. Być może upadek

był jednak nieco gorszy niż uderzenie o ziemię przy wspinacze bez zabezpieczenia. Rano będzie wyglądać jak surowy stek. Teraz jednak wciąż jeszcze była w stanie się poruszać.

— Chodźmy.

Mocno trzymała Sophie i kuśtykała chodnikiem. Budynki dookoła trwały w ponurych ciemnościach. Doszły w pobliże placu budowy i tym razem Jo zatęskniła za pohukującymi cieślami z ciężkimi narzędziami i wielką ciężarówką, która mogłaby zawieźć je na dół. Zauważyła, że duża część rusztowania wokół budynku wywróciła się podczas trzęsienia ziemi. Jeden wielki bałagan.

— Stąd mamy tylko sześć przecznic — powiedziała. — A kiedy dojdziemy do Columbus Avenue, będą tam ludzie. Może nawet taksówka.

Sophie nie odpowiedziała. Tegoroczne Halloween nie należało do udanych. Okazało się paskudnym psikusiem zrobionym temu dziecku.

— Policja będzie w stanie skontaktować się z twoim tatą przez radio. Porozmawiamy z nim.

Dziwaczny hałas podrażnił wszystkie nerwy Jo. Sophie podskoczyła. Dźwięk rozległ się ponownie z ciemności za nimi. Elektroniczne bzyczenie, od którego włosy jeżyły się na głowie. Wysokie, nieartykułowane, małpie. Sztuczny głos robota.

Jo się odwróciła.

Z bramy za nimi chwiejnym krokiem wyszedł na tylnych nogach pan Peebles. W rękach trzymał jakieś urządzenie. Potrząsnął nim i przyłożył do pyszczka. Kiedy wrzasnął, zniekształciło głos kapucynki, zmieniając go w przerażający dźwięk.

To była elektroniczna krtań. Generator głosu.

Wpatrywały się w małpkę jak skamieniałe. Jo powoli zerknęła przez ramię. Piętnaście metrów za nimi na chodniku stał Módl Się.

38.

Jo popchnęła Sophie za siebie i zaczęła się cofać. Perry Ames patrzył na nie.

Wiedziała, że to on, mimo że był tylko ciemnym kształtem na chodniku przed nimi. Wzrost, chudość, kąt opadania ramion. Jak ją znalazł? Musiał jechać ze Skunksem. Śledzili ją, odkąd wyszła z domu. Musiał wysiąść z cadillaca, zanim Skuttlek staranował jej toyotę. A potem szedł ich śladem, po cichu, pieszo.

Ruszył w ich stronę.

Z tyłu skrzeknął generator głosu. Brzmiało to, jakby pan Peebles kontaktował się z jakimś złowieszczym małpim dowództwem. Jo wciąż szła do tyłu.

Wyszeptała:

– Musimy zniknąć mu z oczu. Musimy się ukryć. Zgubić go.

Sophie ledwo szła. Jo miała wrażenie, że jeśli ją puści, dziewczynka może po prostu upaść na chodnik. Oceniała ich szanse.

Czy jeżeli zostawi dziecko i pobiegnie ulicą, Módl Się będzie ją gonił? Albo może zamiast jej będzie chciał dopaść Sophie?

Wycofały się za róg wiktoriańskiego budynku. Jo zobaczyła ścieżkę biegnącą pomiędzy nim a placem budowy. Znikała w ciemności zaledwie półtora metra dalej.

Wyszeptała:

— Szybko.

Popędziły ścieżką. Była wąska i zarośnięta chwastami. Sophie biegła, niech ją Bóg błogosławi, co za dzieciak. Jo podążyła za nią z wyciągniętymi rękami, czując się jak ślepiec. Jej biodro i kolana pulsowały. Usłyszała za sobą odgłos biegnących stóp. Odwróciła się i zobaczyła na ulicy cień.

Doleciały do niej odgłosy szarpaniny i pisk małpki.

Biegły dalej.

Sophie odezwała się przerażonym szeptem:

— Możemy się tu schować. Proszę.

— Gdzie?

Nic nie wyjaśniając, dziewczynka zanurkowała w otworze siatki, która odgradzała plac budowy.

— Chodź, schowamy się. Musimy się schować. Chodź tu — szeptała.

— Sophie, nie...

Mała zniknęła w ciemności.

Módl Się pojawił się na początku ścieżki. Miał ze sobą latarkę z nikłym światłem, więc zdołała dostrzec jego sylwetkę. Wymacał drogę, ręce miał wyciągnięte, szukał ich.

Przez chwilę Jo patrzyła, jak się zbliżał. Był w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Raczej nie widział Sophie przechodzącej przez siatkę. Nie, to niemożliwe, żeby ją zobaczył. Nie mógł też zauważyć jej w smolistej czerni za ogrodzeniem.

Jo też zdołałaby się precyzyjnie, ale było już za późno. Nawet gdyby Módl Się jej nie zobaczył, usłyszałby chrzęst siatki. Mogła się odwrócić i pobiec zachwaszczoną ścieżką w kierunku

ulicy. To oznaczałoby jednak pozostawienie Sophie samej w niebezpiecznym miejscu. Cholera. Niech to wszyscy diabli.

Oddychała coraz szybciej.

Była w stanie odciągnąć Amesa od dziewczynki. I powstrzymać go. Ale gdyby ją złapał, Sophie zostałaby zdana tylko na siebie. Nie wiedziała, gdzie jest posterunek. Ulice nie były bezpieczne. Plac budowy też nie.

Módl Się podchodził coraz bliżej.

Nie mogła przejść przez płot niepostrzeżenie i nie mogła pozwolić, żeby się zorientował, że właśnie tam była Sophie. Cofając się do końca ścieżki, usiłowała wtopić się w mrok.

Zobaczyła, że minął otwór w siatce.

Czekał, żeby pojawiła się na końcu ścieżki, przy ulicy. Teraz nie mógł jej widzieć, ale jeżeli zostanie tam, gdzie jest, Módl Się wejdzie prosto na nią.

Za ogrodzeniem rozległ się łoskot: łamały się metalowe pręty, pękało drewno, cały arsenał dźwięków. Jakby coś się zawaliło. Jak lawina.

Wśród hałasu rozlegał się płacz małej dziewczynki.

Jo stanęło serce. Mężczyzna odwrócił się w tamtym kierunku. Stał teraz pomiędzy nią a dziurą w siatce. Jedyne, co widziała na ścieżce przed sobą, to niejasny ruch. Z placu budowy, skądś w głębi wybebeszonego budynku, słyszała pełne lęku pojękiwanie.

Odezwał się elektroniczny głos:

— Daj mi informacje i pozwolę ci pójść ją znaleźć. — Odebrał panu Peeblesowi generator głosu. Czy mógł ją widzieć? A może tylko zgadywał, że ona nadal jest na ścieżce? — Nazwiska. Podaj mi je. Jeżeli tego nie zrobisz, wydobędę je z ciebie, zabiję cię i zostawię małą, żeby też umarła. — Nie poruszyła się. — Jak chcesz.

Pobiegł ku niej.

Jo chwyciła się ogrodzenia i wspięła na nie. Dwa metry ponad ziemią odwróciła się i złapała za rynnę budynku mieszkalnego po drugiej stronie wąskiego przejścia. Proszę cię, Boże, żeby ta rura wytrzymała.

Rynna była zimna i pokryta luszczącą się farbą. Dziewczyna przylgnęła do niej i przesunęła się nieco w górę. Noga bolała ją jak wszyscy diabli.

Módl Się stanął pod nią, ciężko dysząc. Jo wspięła się jeszcze o metr, czując, jak rynna trzeszczy w starych uchwytych. Spojrzała ponad wierzchołkiem płotu.

Powiedziała sobie: dynamicznie.

Gwałtownie nabierając powietrza, odepchnęła się i przeleciała nad płotem, lądując na placu budowy.



Padła na czworaka. Ból w nodze wystrzelił jak rzymska świeca, tak gwałtowny, że prawie usłyszała, jak z sykiem szybuje w niebo. Przed oczami miała błyski. Zaciśnęła zęby i z trudem wstała.

Budynek wylaniał się przed nią jak pusta czaszka, ciemne okna, brama jak otwarte usta. Korytarz prowadzący do wnętrza był gardłem. W środku panowała kompletna ciemność. Słysząc było tylko płacz Sophie.

Za płotem zabrzmiał mechaniczny głos Módl Się:

— Suka.

Jo wbiegła po schodach. Ciemność wciąż otaczała ją jak aksamitna zasłona. Pod stopami miała wióry i śmieci. Kopnęła coś, gwóźdź albo śrubę, i to coś odbiło się od ściany z łoskotem.

Na dworze zagrzechotało ogrodzenie. Módl Się wchodził na plac budowy.

„Nazwiska, nazwiska...”. Obaj ze Skunksem uczepili się myśli, że ona jest w posiadaniu nazwisk ludzi, na których Perry polował.

Most. Skunks z wyciągniętą ręką...

List samobójczy.

Czy tego chcieli? Myśleli, że list Southerna zawierał listę celów dla Módl Się?

Wymacywała drogę wzdłuż ściany. Miała paskudne wrażenie, że w oczach Amesa stanowiła rozstrzygający cel.

Płacz Sophie dochodził teraz z bliższej odległości. Jo wiedziała, że dziecko musiało czuć się schwytane w pułapkę, kompletnie odcięte, a nie mogła zawołać małej, nie zwracając uwagi Módl Się. Szczęki bolały ją od zaciskania zębów.

Pociły się jej ręce. Otarła je o spodnie. Z każdym uderzeniem serca widziała coraz lepiej. W ciemności dawało to złudzenie, jakby korytarz pulsował. Jakby falował, przygotowując się, by ją połknąć. Spojrzała w górę. Sufit wyglądał solidnie, ale budynek został w połowie wyburzony, a rusztowanie wzdłuż ściany zewnętrznej zawaliło się podczas trzęsienia ziemi.

Coś ty narobiła, Sophie?

Jo dotarła do otworu drzwiowego i przesunęła dłońmi po krawędzi. Płacz dochodził zza ściany. Prześliznęła się za framugę i sunęła stopami wzdłuż ściany. Widziała cienie, słaby blask księżyca sączący się przez zakurzone okna.

Płacz dochodził z dołu.

Powoli przesuwała się do przodu. Stopą namacała złamaną deskę podłogową.

Sophie była w piwnicy. Podłogi po prostu nie było. Zamiast niej była dziura. Czy dziewczynka przez nią wpadła?

Usłyszała kroki w głównym korytarzu. Módl Się wszedł do budynku. Cofnęła się o krok i przyłgnęła do ściany.

Obraz, jaki widziała, nadal pulsował. Miała z tego powodu wrażenie, że budynek oddycha. A coś, co oddycha, może cię też połknąć.

Zacisnęła pięści. Nie, nie rób tego teraz, Beckett. Nie teraz.

Opadła na kolana i powoli przybliżyła się do brzegu dziury.

— Sophie — wyszeptwała. — Nic nie mów. Jestem tutaj.

Placz gwałtownie umilkł. Proszę, nie wołaj mnie po imieniu, nie zdradź mnie... błagała dziewczynkę w myślach.

— Nic nie mów — szepnęła. — Możesz dalej płakać. On się nie może dowiedzieć, że tu jestem. — Otarła pot z czoła. — Wyciągnę cię stąd.

Wpatrywała się w ciemną otchłań poniżej, nie mając pojęcia, jak to zrobić.



Wyteżyła wzrok, ale widziała tylko otwór gotowy ją połknąć. Nie miała szansy znaleźć drabiny. Ani wydobyć Sophie z głębi za pomocą lewitacji.

Jeżeli dziewczynka była w piwnicy, to oznaczało, że istniały schody. Skoro zeszła na dół, mogłaby też wejść na górę.

Taką miała nadzieję.

Powoli, najciszej jak mogła, położyła się płasko na brzuchu równoległe do dziury w podłodze, przerzuciła nogi nad krawędzią i zawisała na rękach. Nie wiedziała, jak daleko ma do podłogi ani czy poniżej jest coś, na czym wyląduje.

— Sophie — syknęła — widzisz mnie? Po prostu zapłacz. Mała zapłakała.

— Mogę skoczyć?

Sophie znów zapłakała.

Jo oceniła odległość na metr do półtora — taką miała nadzieję. Musiała liczyć na łut szczęścia. Puściła się.

Uderzyła stopami o podłogę. Zgięła się i przetoczyła. Przez sekundę leżała nieruchomo, nie chcąc znów zakłócać ciszy. Noga bolała jak diabli. Powoli wstała.

— Sophie?

Kierując się płaczem, kucnęła z wyciągniętymi rękami.

Wymacała otwór drzwiowy zastawiony deskami zbitymi na krzyż. Płacz dochodził z drugiej strony tej zapory. Przeczolgała się pod spodem i znalazła się w pomieszczeniu z kamienną podłogą, która była zimna w dotyku i cuchnęła wilgocią.

— Jo... — doszedł ją szept.

Wymacała drogę naprzód. Usłyszała pociąganie nosem, zobaczyła niewyraźny cień. Znalazła ją. Sophie schowała głowę na jej piersi, chwyciła ją za koszulkę i przełknęła głośny szloch.

Jo odczekała chwilę, przyłożyła usta do ucha dziewczynki i wyszeptła:

— Jesteś bardzo dzielna. Świetnie sobie radzisz.

Spazmatycznie łapiąc oddech, dziecko szeptało:

— Spadłam ze zjeżdżalni. Nie chciałam wchodzić. Wiem, że takie budynki są niebezpieczne.

Jasne, Johanna mogła się założyć, że Gabe pouczył swoją córkę w kwestiach bezpieczeństwa. Ale zjeżdżalnia? Rozejrzała się po atramentowoczarnym pomieszczeniu. Nikłe pasemka dochodziły z góry, z miejsca wysoko na ścianie.

Znajdowały się w piwnicy na węgiel. To był stary wiktoriański budynek. Sophie wpadła do zsypu na węgiel.

— Poszłam dookoła, żeby się schować i tam były te wszystkie rzeczy, duże deski i chciałam być blisko ściany i weszłam na deskę i nie było jej tam, gdzie miała być, i spadłam ze zjeżdżalni i...

— Zwykły pech. Nie jestem zła. Tata też nie będzie zły — powiedziała Jo.

Czuła, że Sophie jeszcze przez chwilę była spięta, a potem wypuściła powietrze i uspokoiła się.

— Nic ci nie jest? Zraniłaś się?

— Skaleczyłam się. Bardzo, bardzo boli.

— Gdzie?

— W rękę.

Jo wymacała rękaw. Materiał był rozdarty, ale sama to zrobiła, kiedy szyczkowały kostium. Teraz jednak był mokry. Sophie wzdrygnęła się pod dotykiem.

Po omacku, najdelikatniej jak się dało, Jo oceniła rozmiary skaleczenia. Około dwunastu centymetrów, nierówne brzegi. Krwawiło obficie. Mógł je spowodować kawałek ostrego metalu albo zardzewiały gwóźdź.

Trzeba było obejrzeć ranę.

System telefoniczny nie działał, ale sama komórka mogła być użyteczna. Wyświetlacz można było wykorzystać jako latarkę. Istniało ryzyko, że Módl Się odkryje miejsce ich ukrycia, ale objanie się na ślepo po piwnicy mogło przynieść ten sam efekt. Przy świetle Jo mogła zobaczyć, czy jest tu coś, co mogłoby posłużyć za broń albo narzędzia, i ocenić, jak niebezpieczna była rana Sophie.

Wyjęła telefon i włączyła wyświetlacz.

Zobaczyła dziecko skulone na podłodze na kupie śmieci, zakurzone, przygryzające wargę i bardzo blade. W niebieskim świetle było widać, że ma mokre oczy.

Obejrzała rękę małej i nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Rozcięcie było długie, głębokie i brudne. Z tyłu zauważyła złamana deskę z wystającym z niej gwoździem.

Oślaniając światło ręką, żeby kontrolować odbłask, rozejrzała się dookoła. Rzeczywiście znajdowały się w piwnicy na węgiel, w której zgromadzono masę budowlanych śmieci, zrzucając je tą samą drogą, którą pokonała Sophie. Jo wyłączyła wyświetlacz.

Zdjęła koszulkę, nadgryzła kawałek brzegu, oderwała pasek tkaniny i zrobiła opaskę uciskową. Nie miała pojęcia, czy było to wystarczające zabezpieczenie, czy tylko prowizoryczne działanie.

Stojąc nieruchomo, nasłuchiwała. Nie słyszała Módl Się, ale

raczej nie wyszedł z budynku. Skoncentrowała się i po chwili usłyszała trzaski gdzieś na górze.

— Zaraz wracam — szepnęła.

Pospiesznie przesunęła się w stronę otworu drzwiowego i pochyliła się, żeby przejść pod skrzyżowanymi deskami do drugiego pomieszczenia. Spojrzała przez dziurę w suficie. Widziała tylko niewyraźne cienie i odległą plamę mdłego światła przesączającego się z okna na parterze.

Zauważyła też długą deskę opartą o brzeg dziury w suficie. Była tam cały czas — pewnie używano jej jako mostka nad dziurą i strąciło ją trzęsienie ziemi.

Może mogłyby się po niej wspiąć. Popychałaby Sophie przed sobą albo wzięła ją na barana.

Odwróciła się do dziewczynki.

— Możesz zacisnąć rękę w pięść? — zapytała.

Sophie spojrzała na swoją dłoń. Próbowała zamknąć i zacisnąć palce, ale skrzywiła się z bólu. Nie mogła.

Jo musiała znaleźć inną drogę wyjścia.

Przezołgała się z powrotem pod skrzyżowanymi deskami i na palcach przeszła przez pomieszczenie do drzwi prowadzących na piwniczny korytarz. Otwór był zablokowany częściowo przez śmieci. Jo wychyliła się i błysnęła światłem z komórki na zewnątrz. Zobaczyła schody prowadzące do góry, a także drewnianą konstrukcję i izolację, wyszarpięte druty i częściowo zburzoną ścianę gipsową. Zobaczyła... O cholera.

Sufit w korytarzu ledwie się trzymał. Samotny słup podtrzymywał niebezpieczny fragment, nad którym znajdowała się kiedyś kuchnia. Miała wrażenie, że błysk, który dostrzegła, był światłem odbitym od stojącej tam wciąż lodówki.

Wycofała się.

Zamknęła oczy, wyłączyła wyświetlacz, przekradła się z powrotem do pomieszczenia na węgiel.

Z góry doleciał mechaniczny głos Módl Się.

— Wiem, że jesteś w piwnicy. Sugeruję, żebyś powiedziała mi to, co chcę wiedzieć. Teraz. Wtedy może nie spalę tego budynku z wami w środku.

Jo nie odpowiedziała. Sophie gwałtownie nabrała powietrza.

— Mój świętej pamięci znajomy, Skunks, miał niezwyklego cadillaca. Było w nim wszystko, nawet barek. Z benzyną, butelkami i szmatami, żeby przyrządzać koktajle Mołotowa. I mam jeden taki w kieszeni.

Suchość w gardle nie pozwoliła Jo przełknąć śliny. Ciemność wydawała się zaciskać wokół niej. Budynek był jak boa dusiciel. Poczuli przyływ paniki. Żar, dym, duszący mrok, walące się ściany, grzebiące je obie, unieruchomione pod płonącym stosem — wystarczyłaby jedna zapalka.

Uciekaj. Krzycz, walcz, wylaż stąd, i to natychmiast, podpowiadał jej instynkt. Każdy nerw w jej ciele był napięty do granic wytrzymałości.

— Johanna — powiedział Módl Się.

Dźwięk jej imienia wypowiedzianego tym płaskim bzygającym głosem sprawił, że o mało się nie posusiała. Chwyliła Sophie pod pachy.

— Chodź.

Wyczołgały się z piwnicy na węgiel pod skrzyżowanymi deskami i przebiegły następnym pomieszczeniem do wyjścia. Dziewczynka ledwo trzymała się na nogach. Przy otworze drzwiowym Jo podsadziła ją, pomagając jej przejść nad stosem śmieci do korytarza, po czym przeszła za nią.

U szczytu schodów skrzypnęło drewno.

— Johanno Beckett.

Chciała odetchnąć, lecz jej płuca się nie rozszerzyły. Miała wrażenie, że została zamknięta w mokrym cemencie. Czuli na ramionach lodowaty pot.

Módl Się blokował schody. Sophie nie miała szans wspiąć się zsyphem na węgiel. Jo spojrzała w korytarz za nimi. Ślepa uliczka.

Wiedziała, że Perry nie zamierzał darować jej życia. Czuł wściekłość okaleczonego. Czuł wstyd torturowanego. Ślepo pożądał zemsty. Nie miała niczego, żeby mu dać, żadnych nazwisk, żadnych informacji, którymi mógłby zaspokoić swój głód zadawania bólu.

Rozejrzała się. Spojrzała na ścianę.

Zaczęła szybciej oddychać. Na chwilę włączyła komórkę i zobaczyła w nikłym świetle otwór w gipsowej płycie. Po drugiej stronie było trochę miejsca.

Niedużo. Tyle, żeby się wczołgać. Może chcieli tam zainstalować rury do centralnego ogrzewania. Tunel szerokości trumny. Poczula pod powiekami szczypiące łzy.

Zatrzeszczały schody.

— Co chwila do mnie błyskasz. Mogę ci zapewnić lepsze oświetlenie. Na stałe. Będzie bardzo gorąco. — Następne skrzypnięcie. — Podaj mi nazwiska.

To był moment, żeby działać z rozmachem, wykorzystać wszystko, co mogła wyczarować spomiędzy pajęczyn i kruszącego się gipsu dookoła. Nie była w stanie zaspokoić jego pragnienia zadawania bólu, ale mogła je podsycić.

Odchrząknęła, mając nadzieję, że głos jej nie zdrzży.

— Módl Się, jeżeli spalisz ten budynek, nigdy się nie dowiesz, kto zlecił atak na ciebie.

— Dlaczego?

— Bo ślad kończy się na mnie. Jestem ostatnią osobą, która wie. — Nachyliła się do ucha Sophie: — Ja będę mówić, a ty przejdź przez tę dziurę w ścianie i wczołgaj się najdalej, jak się da.

Dziewczynka drżała. Jo również.

— Módl Się, jeżeli mnie zabijesz, nazwiska pójdą z dymem.

Wstrząsana dreszczem Sophie wgramoliła się przez dziurę w gipsowej ścianie i zniknęła w ciemności po drugiej stronie. Jo wzięła do ręki obrzynek deski długości metra.

Schody zatrzęszczały. Poczowała ucisk w piersi, z kącików oczu popłynęły jej łzy.

— Puść nas. Podam ci nazwiska, tylko nas wypuść — powiedziała.

Kucnęła i oparła się plecami o częściowo rozwaloną ścianę tuż za otworem. Otwór, przejście, takie ciemne, wielkości sarkofagu. O Boże. W głowie jej pulsowało. Zdusiła chęć, by wrzasnąć.

— Zawrzemy układ? — zapytał Módl Się.

Schodził po schodach. Jeden powolny krok za drugim. Myślał, że wie, gdzie były. Słyszał głos i pewnie wykalkulował, że nie miały dokąd uciec.

— Owszem. Ty się wycofujesz, ja zostawiam nazwiska tutaj — stwierdziła.

— Mam też zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu?

Pieprzony żartowniś.

— Nie pogrywaj ze mną.

Usłyszała drżenie we własnym głosie. Przycisnęła plecy do ściany. Musiała poruszać się szybko jak cholera i uważać na głowę. Mogła żyć bez nóg. Nie mogła bez mózgu.

Musiała mieć go bliżej. Tak blisko, żeby nie mógł rzucić butelki z benzyną, nie podpalając także siebie. Nie chciał umierać. Musiała go zwabić bardzo blisko, tak blisko, żeby go dosięgnąć, złapać w pułapkę.

A widziała przecież, co się stało ze Scottem Southernem, kiedy chciał zrobić to samo.

— Chcesz wiedzieć, kto zlecił nam ten rabunek? — zapytała. Kroki ustały.

— Nam?
— Boże. Jeszcze na to nie wpadłeś, co? — Roześmiała się. Słyszała w swoim głosie ślad hysterii. — Tamtego dnia to ja miałam maskę.

Cisza.

— Modliłeś się. Płakałeś i błagałeś.

Trzaski. Powoli schodził po schodach. Nie mógł jej widzieć i nie miał do niej zaufania. Wciąż był zbyt daleko. Musiała mieć go tak blisko, by czuć jego oddech.

— Naprawdę myślałeś, że dopuścimy do klubu obscurnego małego gangstera? Myślałaś, że jeśli David Yoshida grywał w organizowanych przez ciebie pokerkach, to ty zostaniesz zaakceptowany?

— Zrobiliście z tego wyzwanie. Okradliście mnie dla zabawy.

— To była twoja wina. Nie powinienes się opierać.

— Ten chudy pedał próbował mnie zabić. A ty kazałaś mu wziąć łańcuch. — Kolejny krok. — Po co? Dla pieniędzy, żeby dołożyć do swojego stylu życia i interesów? Do jachtów i korzystania z ofert publicznych? Dla przyjemności?

Trzaski umilkły. Jo zmusiła się, żeby oddychać powoli. Czowała dudnienie krwi w uszach. Ścisnęła deskę w ręce. Będzie miała tylko jedną szansę i musiała wybrać odpowiedni moment. Wyjęła telefon. Słyszała, że Módl Się przesuwając stopami po podłodze, wyczuwając drogę w jej kierunku.

Nasłuchiwała. Jak daleko? Policzyła do dziesięciu, wycelowała komórkę w stronę klatki schodowej i włączyła wyświetlacz.

W ciemności zabłysnął jak flesz. Módl Się pojawił się w świetle tego błysku niczym potwór. Czarnoszary i wychudzony stał dokładnie nad nią.

Wrzeszcząc z całej siły, pchnęła kawałkiem deski pęknięty

słup, który podtrzymywał strop stanowiący kuchenną podłogę nad jej głową, wkładając w to całą energię. Słup jęknął. Usłyszała, że pęka. Rzuciła deskę i tyłem, jak krab, wycofała się przez dziurę w ścianie w wilgotny brud kryjówki.

Wszystko zawaliło się z potwornym trzaskiem. Podpora się rozpadła. Podłoga kuchni runęła. Deski, cegły, komin i lodówka spadły z hukiem niczym młot na kowadło. Duszący pył wypełnił przez otwór w gipsowej ścianie. Wypełnił cały świat Jo.

39.

Świetliki. Miała wrażenie, że ciemność bombardują świetliki. Nie były to tylko błyski przed jej oczami, nie tym razem. Męski głos, stłumiony, zawołał:

— Sophie!

Głos był daleki i brzmiała w nim rozpacz. Jo uniosła głowę.

— Gabe — odezwała się.

Gardło miała suche jak wiór. W nogach czuła skurcze. Lewa ręka zeszywniała jej od wybierania 911, na okrągło. W prawej straciła czucie od uciskania ramienia Sophie.

Dziewczynka leżała zwinięta pod jej bokiem, spała. Boże, proszę, niech tylko śpi. W ciasnej kryjówce Jo przesunęła palcami po policzku dziecka.

— To twój tata — wyszeptwała.

Gabe zawołał tym razem bliżej:

— Jo, jesteście tam?

— Tutaj — zachrypiała. Poglądziła policzek dziecka — Sophie?

Świetliki zmieniły się w światła latarek i rozległy się męskie głosy. Szybkie kroki w dół po schodach.

Usłyszała starszego mężczyznę ostrzegającego:

— Zaczekaj. Nie oczyściliśmy piwnicy, cholera jasna.

Więcej hałasu.

— Jo! Sophie!

Wysunęła rękę przez górę śmieci i wystawiła z kryjówek zgięte palce.

— Matko boska. Jo.

— Tu jesteśmy.

Gorączkowa krzątanka po drugiej stronie, pozostałości po zawaleniu sufitu przesuwane cegła po cegle. Tuliła Sophie. Dziewczynka była milcząca i taka zimna.

Quintana i ekipa strażaków przekopywali się przez gruzowisko śmieci, które blokowało przejście. Potem gipsowa ścianka została rozerwana na kawałki, czyjeś ręce rozdzierały izolację.

— Sophie.

— Tatusz?

Jo odetchnęła.

Podniosła głowę i zobaczyła Gabe'a wrywającego kawał ściany, dosłownie. Nachylił się, widziała jego cień w ostrym świetle latarek z korytarza. Wypuściła powietrze. Nigdy w życiu nie była tak pewna, że może odpuścić, rozluźnić uchwyt i ktoś inny ją zastąpi.

— Sophie potrzebuje pomocy — powiedziała chrapliwym głosem. — Weź ją.

Quintana wyciągnął rękę po córkę. Kiedy ją podnosił, leżała bezwładnie.

Jo chciała wstać, wyjść na światło, na powietrze, lecz nie była w stanie. Pomogli jej strażacy.

— Która godzina? — zapytała.

— Północ.

Całe godziny z nieopatrzoną raną. W zimnym piwnicznym korytarzu Gabe oparł Sophie o ścianę. Jo zobaczyła paskudną górę odłamków w miejscu, gdzie zawałił sufit. Cuchnęło benzyną.

Strażak wziął ją pod rękę.

— Chodźmy. Ta konstrukcja nie jest stabilna. Wskazała na zwały.

— Tam pod spodem jest mężczyzna.

Wszystkie głowy się odwróciły i ratownicy oświetlili latarkami stos. Zobaczyła, że Gabe pochyla się nad Sophie, ogląda prowizoryczny opatrunek na jej ramieniu. Spojrzała na własne ręce. Były pokryte zakrzepłą krwią.

— Sophie, kochanie. Popatrz na mnie. — Głos miał ochrypliwy. — No, świerszczyku.

Strażacy okrążyli szczątki kuchni, przesuwali światło laterek.

— Tu jest — zawołał jeden z nich. — Skąd ten smród benzyny?

Jo podeszła bliżej.

— Miał koktajl Molotowa.

Mężczyźni spojrzeli na nią zaniepokojeni. Cofnęli się. Spojrzała na Perry'ego Amesę. Przyglądał się jej. Światła laterek kołysały się nad nim.

— Stłuczona butelka, tutaj, ze szmatą — powiedział ktoś.

— Dobra, zabieramy stąd wszystkich — odezwał się ktoś inny.

Módl Się wbił spojrzenie w Jo. Przelazła przez gruz i pochyliła się nad nim.

— Co pani robi? — zapytał strażak.

Przyłożyła palce do jego szyi i znalazła puls. Sprawdziła źrenice. Stwierdziła, że był przytomny. Śledził ją wzrokiem, drogi oddechowe miał czyste.

Powiedziała do strażaków:

— Ma wcześniejszy uraz krtani. Mówi za pomocą generatora głosu.

W oczach mężczyzny kotłowały się ból i niemal dzika wściekłość. Poruszył wargami, formułując słowa i wypowiedział je bezgłośnie, wpatrując się w Jo.

Strażacy krzyczeli z dołu, żeby wezwać karetkę. Zdjęli odłamki z jego piersi. Cuchnął benzyną. Dziewczyna zobaczyła, że bierze głęboki wdech. Lodówka przygniatała jego nogi poniżej kolan. Był unieruchomiony, ale daleko mu było do śmierci.

Ratownicy przesunęli kawał deski podłogowej pełnej ostrych drzazg i mógł ruszyć ręką.

Jaka córka, taki ojciec. W pięści trzymał zaciśniętą zapalniczkę. Wpatrywał się w Jo i zaczął nią pstrykać. Drżał mu kciuk. Zapalniczka nie chciała zaskoczyć.

Ponownie wypowiedział te same słowa i wciąż próbował. Przyglądała się. Nie potrafiła czytać z ust, ale nie było wątpliwości, co próbował jej powiedzieć.

„Jednoznaczna śmierć”.

— Chcesz, żebym cię oznaczyła czarnym kodem? — zapytała.

Znów pstryknął zapalniczką.

Pochyliła się i wyjęła ją z ręki mężczyzny. Sama pstryknęła. Płomień odbił się w oczach Módl Się. Przytrzymała zapalniczkę nad jego piersią.

— Módl się, ty sukinsynu. — Zgasiła ją i włożyła do kieszeni. — Módl się za ludzi, którzy przez ciebie nie żyją. — Odwróciła się, żeby odejść. — I nie mam tych nazwisk. Nigdy ich nie miałam. Jedyna osoba, która mogła je znać, nie żyje. Skunks ją spalił. Możesz o tym porozmyśleć w celi śmierci.

Strażacy wpatrywali się w nią z otwartymi ustami. Wyminęła ich.

— Zostawcie go — powiedziała. — Kod żółty. Ta mała dziewczynka nas potrzebuje.

W korytarzu Gabe pochylał się nad Sophie. Jo podeszła do niego, uklękła obok i położyła mu rękę na ramieniu. Był spięty. Zobaczyła, że mruga, usiłując ukryć łzy, i zaciska zęby.

— Gabe, pozwól nam ją stąd zabrać.

Wziął Sophie w ramiona i pobiegł na górę, a ona podążyła tuż za nim. Wbiegł na parter, potem pognął do bramy w ogrodzeniu otwartej przez strażaków. Jo wyszła w noc rozjaśnioną niebieskimi migoczącymi światłami. Zawołała do strażaków:

— Macie sprzęt medyczny?!

— Tak.

— Połóż ją na trawie — powiedziała do Gabe'a, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Ułożył Sophie i ukląkł obok. Trzęsły mu się ręce. Zaciskał palcami jej ranę i wpatrywał się w mrok pustym wzrokiem.

Strażacy przybiegli z zestawem pierwszej pomocy. Przynieśli koce i kropłówkę. Jo odsunęła dłoń Gabe'a z rany na ramieniu dziewczynki i ułożyła ją na jej zdrowej ręce.

— Trzymaj ją — powiedziała.

Trzymał, gdy ona i ratownicy zabrali się do pracy. Trzymał, aż usłyszał:

— Kod czerwony, Gabe. Potrzebuje leczenia, ale przeżyje.

Spojrzał na Jo, potem pochylił się i pocałował córkę, jeszcze raz i jeszcze.

Doktor Beckett wstała. Odetchnęła głęboko i spojrzała w gwiazdy. Wsłuchiwała się w odgłosy nocy w zniszczonym mieście usiłującym powrócić do życia.

40.

Jo stała przy kasie w szpitalnej kafeterii. Miała w dłoniach kubek gorącej kawy. Była spragniona. Przywrócono zasilanie i kasjer chciał pieniędzy.

— Nie mam pieniędzy — powiedziała.

Żuł gumę i mierzył ją wzrokiem z góry na dół.

— Nie dlatego, że jestem zombie. — Sięgnęła do kieszeni. — Potrzebna mi ta kawa. Dam panu moją komórkę, jeżeli pozwoli mi pan wziąć kawę.

— Dolar pięćdziesiąt — powiedział.

Zza pleców Jo wysunęła się ręka i położyła na ladzie banknot jednodolarowy i dwie ćwiartki.

— Ta kawa jest mocna, ale nie dość mocna, żeby cię zreanimować.

Amy Tang obdarzyła ją kwaśnym spojrzeniem, które stanowiło zapewne jej wersję uśmiechu. Oczy pani porucznik sprawiały wrażenie zmęczonych bezsennością. Błyszczały.

— Jak tam twoje miasto, Amy?

— Potrzebuje paru gwoździ, ale żyje.

— Ciężka noc?

— Nie tak ciężka, jakby mogła być. Nie było katastrofy. — Wyszły z kafeterii. — A twoja?

— Miewałam cięższe. Ale nie było ich znów tak wiele.

Tang wyjęła z paczki papierosa i postukała nim o dłoń.

— Leo Fonsecca nie żyje. Znaleźli jego ciało na dole klatki schodowej w budynku sądu. Uduszony garotą.

— O nie. — Jo miała wrażenie, że ta wiadomość pozostawiła w niej pustkę. — Obawiałam się czegoś takiego. Módl Się za brał jego telefon i użył go, żeby wysłać do mnie wiadomość. Wywabił mnie z domu.

— Tak. Był już wtedy w cadillacu Skunksa. Czekał, żebyś wyszła z domu i pojechała na posterunek.

Korytarzem pierwszego piętra poszły do drzwi. Szpital pracował na podwyższonych obrotach, ale poziom adrenaliny personelu zaczynał powoli opadać. Katastrofa nie nastąpiła. Pierwszy listopada był słonecznym dniem.

— Nie rozumiem, czemu... — Tang ugryzła się w język. — Przepraszam.

— Czemu nie zamordowali mnie w domu? Chyba chcieli to urządzić tak, żeby wyglądało na wypadek, dać sobie więcej czasu na ucieczkę, zanim ktoś zacznie ich podejrzewać.

Jo zdjęła pokrywkę z kubka i pociągnęła długi łyk kawy. Okropna. Gotowała się od czasów administracji Nixona. Chciwie wypila całość.

Dotarły do holu. Przez szklane drzwi wpadało słońce.

— Wczoraj w nocy minęło czterdzieści osiem godzin, które mi wyznaczyłaś.

— Tak naprawdę nie oczekiwałam, że złapiesz drania, ale dzięki — odrzekła Tang. — Choć policyjne techniki zatrzymania generalnie nie obejmują rzucania w podejrzanych lodówką. Za dużo papierkowej roboty.

Automatyczne drzwi się otworzyły. Kobiety wyszły na zewnątrz. Pomędzy wieżowcami dzielnicy finansowej słońce było jak czyste złoto.

Jo głęboko zaczerpnęła tchu. Miasto pachniało jak zawsze. Kurz, spaliny. Amy zapaliła papierosa i zaciągnęła się.

— Przed trzęsieniem ziemi przeglądałam akta Callie. Znalazłam sekret Makiego — powiedziała. — Kilka lat temu miał stajnię modelek. Jedna z nich zachorowała na bulimię i była poważnie uzależniona od metamfetaminy. Zmarła. — Wypuściła dym. — William Willets był jej bratem. Poznał Makiego na pogrzebie i zostali kochankami. Willets zawsze był mu wdzięczny za pomoc w czasie żałoby.

— Ale? — zapytała Jo.

— Makie wyznał w Klubie Brudnych Sekretów, że to on podawał dziewczynie metamfetaminę, żeby utrzymywała niską wagę. Doprowadził ją do śmierci.

— I dzięki temu załatwił sobie wstęp do klubu? Co za bezduszość.

— Informacja musiała wyciec i Skunks wyjawił wszystko Willetswi.

— To stąd to morderstwo połączone z samobójstwem na łodzi. Musieli się o to pokłócić. Śmiertelnie.

— Owszem.

Jo wrzuciła pusty kubek po kawie do śmietnika.

— To nie wszystko. Myślę, że Willets też był członkiem klubu. To on potraktował Módl Się garotą.

— Nie ma mowy — odparła Tang.

— Obejrzyj sobie wideo z napadu. Ten facet, który wyglądał jak kokainista w stylu Gatsby'ego. W pewnym momencie Xochi niewyraźnie woła go po nazwisku.

— Jezu.

— Wczoraj w nocy Módl Się wspominał o kobiecie w masce

i „chudym pedale”, który go zaatakował. Myślę, że dowiedział się, kto to był. Mógł zobaczyć twarz Willetsa na setkach zdjęć, które paparazzi robili Makiemu.

— Obejrzę to wideo.

— Myślisz, że Skunks wypłynął z nimi tamtej nocy łodzią, kiedy się pozabijali? Czy dotarł do nich motorówką?

— I wypisał benzyną na pokładzie „Módl Się”? Tak przypuszczam. Płonąca łódź zadziałała jak raca, sygnał dla innych członków klubu, co się z nimi stanie, jeżeli nie podadzą nazwisk ludzi, którzy zaatakowali i okaleczyli Perry'ego.

Poranny ruch był nieduży. Życie w mieście toczyło się jak zawsze.

— Niezły klub — stwierdziła Jo. — Sama radość i zabawa, dopóki ktoś nie straci oka.

— Umieścisz to w swoim raporcie?

— Nie przedstawiłam jeszcze raportu z psychologicznej autopsji. Nie określiłam przyczyn śmierci Callie Harding.

Tang mrugała, jakby miała piasek w oczach. Jej czarny T-shirt był wymięty, czarne buty brudne. Gdyby nie twarz przytulanki wyglądałaby jak ktoś, kto przegrał bójkę w klubie dla motocyklistów.

Wyjęła palmtop.

— Mamy zdjęcia z kamery przemysłowej na schodach przy tunelu na Stockton Street.

Znalazła odpowiedni fragment. Trwał zaledwie pięćdziesiąt pięć sekund, ale to wystarczyło. Jo oglądała nagranie z narastającym zaskoczeniem. Teraz rozumiała więcej.

— Możesz zrobić dla mnie kopię? — zapytała.

— Oczywiście. To nie wszystko. Technicy z sądowni znaleźli na Stockton Street komórkę. I broń w cadillacu Skunksa.

— Odciski palców?

- I lista połączeń. Co myślisz?
- Że musimy wejść na górę i pogadać z Angeliką Meyer.
- Tak sądziłam.



W połowie drogi do windy zobaczyły Gabe'a idącego korytarzem. Sophie szła obok. Miała na sobie strój chirurgiczny w rozmiarze XXXS z podwiniętym nogawkami, żeby ich nie przydeptywać. Zabandażowane ramię zabezpieczał temblak. Wyglądała blado bez makijażu zombie, zmytego, jak przypuszczała Jo, przez odprężonego już ojca. Niosła nowiutką lalkę Bratz.

Jo się uśmiechnęła.

— Nie strasz taty.
— Tata mi ją kupił.
— Kupię jej wszystko, co zechce — powiedział Gabe. — Przez następny tydzień. — Spojrzał na Jo. — A ty powinnaś wypić kawę. Jesteś zachrypnięta.

— To dlatego, że tak długo śpiewała — powiedziała Sophie.

— Co?

— W kryjówce. Jo cały czas śpiewała, żebyśmy nie zasnęły.

Gabe wpatrywał się w nią. Jego ciemne oczy kryły burzę.

— To właśnie robią najlepsi ludzie, kiedy trzeba podtrzymać goś na duchu. Klasyka.

Usiłował wziąć się w garść. Ujęła go za nadgarstek. Przyciągnął ją do siebie, oparł się policzkiem o jej policzek, otworzył usta, żeby coś powiedzieć i zamknął je.

— Niedługo — wyszeptala mu do ucha.

Kiwnął głową, przyłożył dłonie do kącików oczu i odszedł z Sophie w blask poranka.

41.

Przez ostatnie dni tygodnia było słonecznie. Do piątku miasto odżyło w dziewięćdziesięciu procentach. W niektórych miejscach wciąż brakowało elektryczności i gazu, kilkadziesiąt budynków było niezdatnych do zamieszkania, ale stopniowo rozwiązywano te problemy, usuwano ślady zniszczeń. Drużyna Forty Niners grała w niedzielę mecz na własnym stadionie. Rozdali czarne opaski, żeby uczcić pamięć Scotta Southerna.

Tina wyglądała za ladą szczególnie łobuzersko. Uśmiechnęła się, kiedy Jo weszła do Java Jones.

— Americano dla mojej uroczej siostry — powiedziała.

Muzyka była soczysta i porywająca, koncert fortepianowy najwyraźniej chwytający za serce. W połowie nalewania kawy Tina tak się zasłuchała, że przerwała swoją czynność, i potrzebowała chwili, żeby wziąć się w garść. Postawiła kubek na ladzie.

— Rachmaninow. Też powinnaś płakać.

— Nie dziś, siostrze.

Jo zaniósła swoją kawę do stolika przy oknie, gdzie jadły śniadanie z Amy Tang. Usiadła i wręczyła jej egzemplarz wstępnego raportu.

— Możesz spodziewać się drobnych zmian, ale istotę sprawy zawarłam — powiedziała.

— Wniosek?

— Callie Harding spowodowała wypadek bmw celowo.

Tang odchyliła się do tyłu.

— Co cię o tym przekonuje?

— Podczas wyścigu przez miasto Callie napisała „Módl się” na nadgarstku i „brudny” na udzie jako wskazówki.

— Na jaki temat? — zapytała Amy.

— Wskazówki na temat tego, co kryje się za jej śmiercią.

— Wiedziała, że umrze? Zabiła się?

— Chciała się poświęcić — wyjaśniła Jo. — Callie zostawiła wskazówki, posługując się własnym ciałem, żeby policja wiedziała, co się dzieje. A to znaczyło, że nie spodziewała się przeżyć, żeby mogła sama powiedzieć o tym policji. Musiała w inny sposób przekazać im informacje. Może miała nadzieję przeżyć, ale była skłonna umrzeć, by powstrzymać to, co stało się później.

I może uznała, że to jedyna droga, by odkupić swoją winę za to, co rozpętała.

— A w czasie wyścigu Callie się poszczęściło. Minęła glinę — dodała Tang.

— Przejechała na czerwonym, bo chciała, żeby oficer Cruz zaczął pościg. W tym momencie Meyer już wiedziała, że zawaliła sprawę. Myślała, że wszystko tak ustawiła, żeby mieć Callie pod kontrolą, odizolować ją i zastawić pułapkę. Tylko że pozwoliła jej zachować kontrolę nad tym, co w końcu stało się zabójczą bronią.

— Bmw.

— Owszem. Kiedy Cruz włączył się do pościgu, Meyer rozpaczliwie chciała wysiąść. Stoczyła walkę z Callie i próbowała wyskoczyć z samochodu. — Jo poprawiła się na siedzeniu. —

Ale wszystko jeszcze bardziej się pogmatwało. Callie zobaczyła Cruza we wstecznym lusterku, doganiał ją. Myślała, że ma czas, by poprosić go o pomoc. Stała, cofnęła się i krzyknęła do niego „pomóż mi”. Nawet przytknęła do okna lewą rękę z wypisanymi na niej słowami „Módl się”. Ale właśnie wtedy Meyer połączyła się ze Skunksem i powiedziała mu, żeby zabili dzieciaka. Callie nie miała czasu na wyjaśnienia. Wiedziała, że Cruz będzie za nią jechał. Dlatego przyspieszyła i ruszyła w stronę tunelu.

Tang bawiła się mieszadkiem.

— Przed wjazdem do tunelu Skunks zjechał z drogi. Czemu Harding go nie goniła?

— Brak czasu. Panika. Błąd w obliczeniach — powiedziała Jo. — Popędziła w dół Stockton w stronę tunelu. Widziała, że Skunks stał z boku i że nie miał dzieciaka.

— Nie przyszło jej wtedy na myśl, że to podpucha? — zapytała Tang.

— Uznała, że już wyrzucili chłopca. Jechała dalej przed siebie, prosto w zaporę.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Amy dokończyła kawę.

— Wyrzucili?

— To jeszcze nie koniec — stwierdziła Jo.

— Nie chcę tego słyszeć. Wolalabym zjeść surowe jajko, niż to usłyszeć.

— Brakuje jednego kawałka. — Kawałka wielkości szklanego odłamka, pomyślała Beckett. Trudno go zobaczyć i można się niespodziewanie skaleczyć. — Ktoś próbował wprowadzić mnie do Klubu Brudnych Sekretów — kontynuowała. — To było w tym anonimie o śmierci Daniela.

— Módl Się?

— Nie.

— Czy ktoś wciąż ci zagraża...? — dopytywała się Tang.

— Groźba jest wciąż realna. I chcę z tym skończyć.
— Co masz na myśli?
— Meyer powiedziała, że Callie nabrała przekonania, iż członkowie Klubu Brudnych Sekretów bawią się tej nocy w wyzwania. Chcą zdobyć punkty, grożąc wyrzuceniem dzieciaka Southerna z mostu. Chyba wiem, kogo Callie się tam spodziewała i dlaczego wpadła w histerię. I myślę, że ta sama osoba podjęła wyzwanie polegające na sprawdzeniu, czy mogą mnie wykończyć.

Drzwi się otworzyły i do środka wtoczył się Ferd Bismuth. Kiedy zobaczył Jo, poprawił okulary na nosie, rozejrzał się ukradkiem i podszedł do niej. Osunął się na krzesło. Powietrze wypełnił zapach brylantyny.

— Możemy porozmawiać na osobności? — zapytał.

— Ferd, to Amy Tang. — Jo ruchem ręki wskazała na policjantkę, a on jej zasalutował. — Mogę ci dać dziewięćdziesiąt sekund.

— Chodzi o pana Peeblesa. — Ściągnął brwi. — Czy małpy mogą nabawić się problemów psychologicznych? Neuroz? Niezdrowych obsesji?

Jo westchnęła.

— Nie jestem psychiatrą zwierzęcym, ale tak.

— O nie. Tego właśnie się obawiałem. Myślę, że to trauma związana ze znalezieniem się o krok od śmierci wywołała w nim załamanie. — Zgarbił się, rzucił spojrzenie na boki. — Stał się kleptomaniem.

— Lepiej, żeby nie gwizdnął mi portfela — rzuciła Jo.

Ferd sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej piłkę baseballową.

Położył ją na stole, wskazał ruchem dłoni i rozłożył ręce, jakby chciał gorączkowo krzyknąć: „Ratunku!”. Obie kobiety patrzyły na nią z otwartymi ustami. Była to stara piłka z autografem Williego Maysa.

- Widziałam ją już wcześniej — powiedziała Jo.
Amy pchnęła piłeczkę mieszadłem.
— Chyba wiem, skąd się tu wzięła.
Ferd załamał ręce.
— Czy można go leczyć?
— Nie martw się — pocieszyła go Tang. — Zajmiemy się tym.
— I pan Peebles nie będzie musiał nawet składać zeznań.
Załatwię mu immunitet — dodała Jo.
— Dziękuję. Dziękuję. — Ferd uściśnął dłoń sąsiadki, wstał i potrząsnął ręką Tang. — Dziękuję.
Kiedy pospiesznie wyszedł, wymienili spojrzenia.
— Czy ma to jakiś związek z tym, co mówiłaś, że ludzie w klubie rzucali sobie wyzwania, żeby popełniać szaleństwa?
— Tak. Z tym że próbowali mną manipulować. Małpka mogła znaleźć tę piłkę tylko w cadillacu Skunksa. A Skunks albo Módl Się mogli ją dostać tylko od jednej osoby.
— Co chcesz zrobić?



Jo zaparkowała wynajęty samochód i wysiadła. Cyprysy i sosny kalifornijskie stały wzdłuż drogi na Lands' End jak wartownicy, pławiąc się w jesiennym blasku słońca. Wzgórza Lincoln Park były jeszcze zielone. Ludzie siedzieli na ławkach, obserwując przyływ. Pacyfik był falującym błękitem oznaczonym białymi czubkami fal. Jo podeszła do punktu widokowego. Poniżej ocean pienił się bielą wokół skał. Po prawej widziała most Golden Gate. Przed nią brązowe wzgórza okręgu Marin ciągnęły się na północ do Point Reyes i Bodega Bay, skał, na których zginął Daniel, do San Rafael i cementarza, na którym został pochowany. Oparła się o słupek ogrodzenia. Wiatr uniósł jej włosy. Czekala.

Minęło pół godziny, zanim na parking wjechało z pomrukiem srebrne maserati. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i z wnętrza samochodu wypłynęły dźwięki Nirwany. Jo patrzyła na morze i czekała, żeby Gregory Harding do niej dołączył.

Były mąż Callie miał na sobie schludny garnitur bankiera, koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i swojego roleksa na ręce. Okulary przeciwsłoneczne przesunął na niemal białe włosy.

— O co chodzi, pani doktor?

— Zwykła kurtuazja. Był pan najbliższą Callie osobą. Myślałam, że powinien pan wiedzieć, co znajdzie się w moim raporcie z psychologicznej sekcji.

— Możemy skończyć z tym głównym? Jakimi paskudnymi wiadomościami chce mnie pani załamać?

— Dostałam w tym tygodniu anonim. To było zaproszenie, żebym wstąpiła do Klubu Brudnych Sekretów. — Odwróciła się twarzą do niego. — Włosy mi się od tego zjeżyły, ale kiedy się uspokoiłam, zaczęłam się zastanawiać, czemu go przysłano? I doszłam do następujących wniosków. Dostałam ten list, ponieważ ktoś próbował przeszkodzić mi w dochodzeniu i narazić mnie na niebezpieczeństwo.

— I? — Harding zerknął na zegarek. — Przepraszam, ale co to ma wspólnego z Callie? Mam dzisiaj dzień pełen zajęć. Czy możemy przejść do rzeczy?

— Pan przysłał mi ten list, Greg.

Postawił stopę na łańcuchach, które tworzyły ogrodzenie. Wpatrywał się w swoje dłonie, sprawdził stan skórek, wygładził zadziorek.

Jo ujęła go za nadgarstek i spojrzała na roleksa.

— Projekt na indywidualne zamówienie, bardzo ładny. Ile kosztowało wprawienie w cyferblat czarnego diamentu?

Odsunął rękę i prawą dłonią nakrył zegarek.

— Jest pan członkiem Klubu Brudnych Sekretów. I gra pan w wyzwania. Moim życiem.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął przenośny detektor częstotliwości radiowych. Włączył go.

— Proszę wyciągnąć ręce — powiedział.

— Myśli pan, że mam podsłuch? — zapytała.

— Jest pani policyjną konsultantką. Oczywiście, że ma pani podsłuch.

Machnął wykrywaczem. Urządzenie wydało mokry dźwięk. Harding spojrział na nią, jak popatrzyłby na ropuchę, na którą o mało nie nadepnął, i podszedł bliżej.

Niechętnie, czując powiew wiatru na szyi, Jo rozpięła marynarską kurtkę, sięgnęła pod koszulę i odczepiła cyfrowy mikroprzycisk rejestrujący dźwięk, który miała przyklejony poniżej bioder. Oddała urządzenie Hardingowi.

Upuścił je i rozgniół obcasem.

— Teraz telefon.

— Proszę go sprawdzić i nie zgniatać — powiedziała, wręczając mu komórkę.

Przytrzymał aparat pod wykrywaczem. Rozległ się piskliwy sygnał. Wyjął baterie i wyrzucił przez poręcz w wodną kibel poniżej.

— Zadowolony? — zapytała Jo.

Odłożył wykrywacz.

— Ma się pani za geniusza, prawda? Mistrzynie zagadek, niezwykła, jeśli chodzi o grzebanie się w ludzkich głowach. Amatorka z pani.

— Nabrał mnie pan, przyznaję — stwierdziła. — Pograżony w żalobie były mąż, niepotrafiący zrozumieć, dlaczego Callie wykorzystwała głupie gadanie z czasu studiów. A naprawdę pan i ona byliście pierwszymi członkami klubu, zgadza się?

— Urządzimy teraz konkurs, kto wie więcej? Zapewniam, że ja. Nawet jeżeli jest pani czarną wdową. — Oparł się o płot. — Nigdy pani tego nie udowodni. W aktach Callie moje nazwisko nie jest wymienione. Z całą pewnością nie miała w biurku swojego życiorysu. Zgaduje pani.

— Wie to pan na pewno, prawda?

Odwrócił się i uśmiechnął jak jaszczurka.

— Nigdy nie włączyła mojego nazwiska do akt, ponieważ mnie kochała. Za bardzo lubiła się ze mną pieprzyć.

— Wiedziała, że szantażuje pan innych członków klubu?

Jego uśmiech pozostał lodowaty, ale po oczach było widać, że zamknął się w sobie.

— Zauważyłam coś — stwierdziła Jo. — W samobójczym liście Scotta Southerna, w wideo Xochi Zapaty, w monologu, którym Perry Ames uraczył mnie wczorajszej nocy i w tym, co wyznała Geli Meyer, w pewnym momencie była mowa o szantażu.

Harding patrzył w przestrzeń ponad cyplami.

— Módl Się mówił wręcz o wymuszeniu wykorzystanym do finansowania interesów i gry na giełdzie innych członków klubu — ciągnęła.

Jego uśmiech zniknął. Wyglądał teraz na twardego jak szpi-kulec do kruszenia lodu.

— Zmusił pan Xochi Zapatę i Williama Willetsa, żeby obra-bowali Perry'ego Ames. To było nie tylko wyzwanie, ale cena za zachowanie w tajemnicy ich sekretów.

— Bzdura.

— Członkowie zyskiwali konkretny status, robiąc coś bra-wurowego tak, żeby nie musieli ponieść konsekwencji. To wła-śnie zdecydował się pan zrobić ze mną pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy. Zagrać w wyzwania. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, to jest oczywiste. Praktycznie włożył mi pan

informacje o KBS w ręce. Odegrał pan napad złości na Callie i wręczył mi liścik „witamy w klubie” w sposób, który wyglądał zupełnie niewinnie. Potem, w Fairmount, zwyczajnie dał mi pan jej notes z zapisanymi tam klubowymi zasadami.

Próbował ją zignorować.

— Ile to pana kosztowało, żeby się dowiedzieć, jak zginął mój mąż. Trochę przeglądania Google'a i kilka łapówek?

— Byłaby pani zdziwiona, jak tanio ludzie sprzedają informacje. Plotki. Sekrety. Uwielbiają to. Właściwie oddają je za darmo — powiedział, nie patrząc na nią.

— Ile za stwierdzenie, że zabiłam swojego męża?

— Czterdzieści dolców i firmowa koszulka polo firmy Maserati. Facet był kiedyś cywilnym dyspozytorem w siłach powietrznych Gwardii Narodowej.

Jo poczuła w ustach kwas. Robienie ludziom krzywdy okazało się tanim towarem.

— Z początku sądziłam, że wysyłając ten list, próbował pan mnie przestraszyć, tak żebym zakończyła dochodzenie. Zaczynało kręcić się za blisko pana. Ale było dokładnie odwrotnie. Od początku próbował pan powiedzieć mi o Klubie Brudnych Sekretów najwięcej, jak to możliwe. Igrał pan z ogniem, wręczając mi notesy Callie. Chciał pan sprawdzić, czy uda się panu wykręcić na oczach wszystkich. Ale potem poszedł pan dalej. Podał moje nazwisko Módl Się.

Wpatrywał się w swoje buty. Sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego z ich połysku.

— Jak pan to zrobił? — zapytała Jo. — Proszę mi to po prostu wyjaśnić.

Ukradkiem spojrzął w jej stronę.

— Wie pani, że nigdy niczego mi nie udowodni, prawda? Jestem czysty. Nikt mnie nie ruszy.

— Więc proszę mi powiedzieć. Umieram z ciekawości.
— Skąd taka nienasycona ciekawość?
— Ryzyko zawodowe. Natura ludzi, którzy zostają psychiatrami.

Uśmiechnął się.

— To ja wciągnąłem Susan, to znaczy Xochi Zapatę, do klubu. Jak pani sądzi, dlaczego?

— Pan mi to powie.

— Biznes w Dolinie Krzemowej jedzie na kapitale inwestycyjnym. — Zatoczył ramieniem łuk, pokazując Jo wspaniałą panoramę. — Od San Francisco aż do San Jose cała branża technologiczna jedzie na pieniądzach. A ja ich dostarczam. Bez względu na wszystko. Jeżeli potrzebujemy kasy, żeby coś ruszyło, ja ją załatwiam.

— Zdobywanie pieniędzy to nie zawsze czysta robota, to pan chce powiedzieć?

— Ogląda pani ludzkie umysły od strony podгниętego dna i nie przyszło pani nigdy na myśl, że pieniądze są brudne?

Zachowała neutralny wyraz twarzy.

— Potrzebował pan funduszy dla swojego biznesu, prawda? Zdobywał je pan, szantażując innych członków klubu.

— Wyobraźnia należy do moich mocnych stron.

— To się czuje.

— To była idealna sytuacja. Skłonić wszystkich tych bogatych poszukiwaczy przygód, żeby przyłączyli się do klubu, zdradzając nam swoje sekrety. A potem ich szantażować. Ja prowadziłem rekrutację, potem wykorzystywałem finansowo, a następnie przesuwałem na wyższy poziom, gdzie dostawali działkę z wpływów, szantażując nowych członków.

— Piramida.

— Lubię klasykę.

Wiatr zburzył włosy Jo.

— I kiedy Perry Ames chciał się przyłączyć, próbował go pan szantażować. Tylko okazał się niewłaściwym facetem.

— Tak, to nie poszło tak dobrze, jak mogło. Nędzny propagator hazardu. Powinienem był wiedzieć, że będą z nim kłopoty. Chociaż dostałem pieniądze.

— Był pan tam, Greg? Kiedy William Willets prawie zabił Amesę?

— Oczywiście, że nie. Ames nigdy się nie dowiedział, że miałem z tym coś wspólnego. Xochi i Will zaaranżowali spotkanie. Moje nazwisko nigdy nie zostało przy nim wymienione.

— To pana usiłował znaleźć przez cały ten czas.

Harding się uśmiechnął.

— Chciał poznać nazwisko człowieka, który zlecił rabunek. Nigdy się nie dowiedział, że zabił ludzi, którzy mogli mu je podać. Zabił Willetsa oraz Xochi, paląc ślad, który prowadził do mnie.

— Idealne.

— Prawda?

— Czy kiedykolwiek źle się pan czuł z tego powodu, że Ames został okradziony i pozwolił pan, by potraktowano go garotą?

— Źle się czuć z powodu eksterminacji karalucha? A dlaczego?

— A potem biedna Xochi nie mogła usiedzieć cicho, prawda? Była nałogową gadułą. Odkąd znalazła się w klubie, zaczęła zdradzać informacje ludziom, którym nie powinna. Rozeszły się plotki, zgadza się?

— Okazało się, że rekrutacja członków ma wady. Ale ten problem jest rozwiązany.

— Naprawdę pan uważa, że KBS będzie dalej działał? Planuje pan kolejną kampanię rekrutacyjną, żeby uzupełnić szeregi?

— Dlaczego nie? Nikt pani nie uwierzy, słabej kobiecie, która z powodu medycznej niekompetencji zabiła dwie osoby. Nie ma pani dowodów na to, co pani dzisiaj usłyszała. A jeżeli z jakiegoś powodu ktoś uwierzy w tę niewiarygodną opowieść, wyjaśnię, że opowiedziałem to pani w zaufaniu, w ramach terapii, i że narusza pani tajemnicę zawodową. Żaden godny szacunku psychiatra nie ujawnia tego, co mówią mu pacjenci. Straciłaby pani prawo do wykonywania zawodu.

Wiatr zatrząsł sosnami.

— Czemu przekazał pan moje nazwisko członkom klubu? Naprawdę chciał mnie pan skłonić, abym przyłączyła się do was?

— Nie. Nie ma pani kasy. Nie byłaby pani w stanie partycypować.

— Więc podając moje nazwisko Amesowi, myślał pan, że skłoni go, aby mnie zabił, co na dobre rozwiązałoby pański problem. Oczywiście narażał się pan także na ryzyko, że ja albo gliny odkryjemy pańskie powiązania.

— To właśnie było moje wyzwanie. I także na tym polegała zabawa. — Uśmiechnął się. — Tak jak spotkanie z Módl Się, zanim zaczął panią tropić. To David Yoshida skłonił go, żeby zwrócił się o przyjęcie do klubu, więc dla niego byłem tylko byłym mężem Callie, nikim więcej.

— Chciał pan, żeby moja śmierć była amfiboliczna. To dlatego powiedział pan Amesowi i Skunksowi, żeby mnie nie zastrzelili. Miało to wyglądać na wypadek.

— Doszedłem do wniosku, że trudno byłoby zaaranżować samobójstwo. — Uśmiech miał lodowaty. — Amfiboliczna śmierć. Cenię ironię. Za mało jej mamy w Ameryce. — Roześmiał się. — Nie rozumie pani? Nie ma pani żadnych dowodów. Nic pani nie ma.

— Przyjemnie się przede mną poprzehwalać?

— Kiedy się naprawdę czegoś dokonało, to nie przechwałki.
— Naprawdę przejął pan klub i poprowadził po swojemu, prawda?

— Callie miała dobry pomysł. Ja musiałem go tylko doszlifować. Ona lubiła ferować wyroki i była zbyt prostoduszna. Ja potrafię patrzeć bardziej perspektywicznie.

— Dobrze się pan bawił.

Harding uśmiechnął się szerzej.

— To naprawdę panią wkurza. Nie ma szans, że kiedykolwiek zostanę oskarżony. Brak dowodów, które łączyłyby mnie z Perrym Amesem. Xochi mogłaby się ostatecznie wygadać, ale nie żyje. Jestem kryty z każdej strony.

— Może to dobry moment, żeby coś panu powiedzieć, Greg. Tak pan kocha sekrety, a ja wiem coś, czego pan nie wie.

— Hip hip hurra!

— Całe lata od rozwodu usiłowaliście oboje z Callie zniszczyć się nawzajem, prawda? Nietrudno się było zorientować. Wszystko, co mi pan opowiedział, wskazuje na to, że mieliście na swoim punkcie destrukcyjną obsesję. Seksualną i emocjonalną.

Milczał.

— Powiedział pan, że Callie lubiła karać ludzi. Miał pan na myśli to, że ukarała pana. A pan ukarał ją. Czy wiedziała, że zmienił pan KBS w źródło ofiar do szantażu?

— Musiała zdać sobie z tego sprawę tej nocy, kiedy zginęła.

Był taki z siebie zadowolony, taki pełen złości i aroganckiej dumy, że chciało się jej rzygać. Zachowała jednak spokojny wyraz twarzy.

— W ten właśnie sposób potajemnie wymierzał pan jej karę.

Uśmiechnął się. Jo pozwoliła mu cieszyć się tą chwilą.

— Callie też miała sekret. Coś, co stanie się dla pana permanentną karą. Klub Brudnych Sekretów to tajna operacja prokuratury.

Przechylił głowę na bok, bardzo nieznacznie.

— To prawda — dodała.

Przeglądała się, jak szyderczo krzywi usta, jak przepona mu faluje, jakby dławił się kawałkiem mięsa. Cofnął się o krok i łapczywie nabrał powietrza, usiłował odzyskać równowagę.

Odsłonił zęby.

— I tak cię dorwę. Dostanę cię, więc będziesz milczeć. Mogłabyś mnie powstrzymać tylko wtedy, gdybyś mnie zabiła, ale nie masz jaj.

Znad oceanu błysnęło słońce. Jo się nie poruszyła.

— Ma pan rację. Złożyłam przysięgę. W takich sytuacjach jak ta to cholerne utrudnienie, ale i tak się jej trzymam. Po pierwsze, nie szkodzić.

Harding uśmiechnął się szyderczo.

— Jezu Chryste. Wrzuć to na sampler i dograj: Boże, błogosław Amerykę. Pieprzę cię. Ja nie składałem żadnej przysięgi.

Dwadzieścia metrów dalej Gabe Quintana wstał z ławki, na której siedział. Podeszedł do nich wolnym krokiem, wyjmując z ucha słuchawkę iPoda.

— Przepraszam — powiedział.

Greg nawet na niego nie spojrzał.

— Spadaj.

Gabe zatrzymał się dwa kroki od niego.

— Przepraszam pana, ale niechący słyszałem, co powiedział pan do tej damy.

— Spierdalaj.

— Nie.

Harding spojrzał na Gabe'a i dotarło do niego z opóźnieniem, że w jego słowach krył się jakiś podtekst.

— Powiedziałem, że słyszałem wszystko. I nie ma żadnych przeszkód, żebym potwierdził słowa doktor Beckett. — Tak się

składa, że nagrywałem coś na dyktafonie. Mikrofon mógł wychwycić to, co pan mówił.

— Słuchaj, koleś, nie...

— I nic, powtarzam, nic złego nie spotka tej kobiety. Ponieważ ja złożyłem przysięgę, że będę działał, aby inni mogli żyć. I zabiję cię, żeby dotrzymać tej przysięgi. — Gabe podszedł bliżej i zniżył głos. — Módl Się polował na moją córkę z koktajlem Mołotowa. Ale ty odejdziesz stąd żywy. Pomyśl, jakie to szczęście.

Harding spuścił wzrok.

Jo odwróciła się, żeby odejść, ale zrezygnowała.

— Jeszcze jedno. Chyba pan to zgubił. — Z kieszeni marynarskiej kurtki wyjęła baseballową piłkę. — Nie wiem, jak trafiła do cadillaca Skunksa, ale musiał pan mieć w tym udział. — Podrzuciła piłkę, potem odwróciła ją w dłoni. — Willie Mays. Mój ekspert twierdzi, że to piłka z mistrzostw w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Warta sto tysięcy dolarów. Nie wiem, jak znajdzie pan pasera, żeby umieścić ją na eBayu i sfinansować kolejny biznes, ale powodzenia.

Odwróciła się w stronę klifu i przerzuciła piłkę nad płotem. Poszybowała wysokim łukiem w błękit, a potem w dół ku skałom.

— Jezu Chryste. Ty dziwko... — powiedział Harding. Przeskoczył przez płot, dobiegł do spadku i zaczął gramolić się w dół po klifie.

Jo zawołała za nim:

— Do zobaczenia w sądzie, panie Harding!

Widziała wymanikiurowane ręce i lśniącego roleksa, kiedy mężczyzna wbijał palce w ziemię, niezgrabnie schodząc w dół. Przyglądali mu się z Gabe'em, dopóki nie zniknął. Potem odwrócili się i odeszli.

Przeszli ścieżką jakieś sto metrów, gdy zapytała:

— Mogę pożyczyć twoją komórkę?
Wręczył jej telefon. Zadzwoiła do Amy Tang, która piła kawę w pobliskiej Seal Rocks Inn.

— W twoje ręce — oznajmiła.
Oddała Quintanie telefon.

— Co takiego nagrywałeś na iPod, błogosławieństwa? Błogosławieni czyniący pokój?

— Johna Wayne'a. Chwyć ich za jaja, a serca i umysły podążą za tobą.

Szli dalej, kiedy zapytał:

— Jak myślisz, kiedy się zorientuje, że kupiłaś tę piłkę dziś rano w sklepie sportowym i sama podpisałaś?

Milczała.

— Uśmiechasz się — stwierdził Quintana.

To prawda. Jo czuła słońce na twarzy, wiatr gładził jej włosy, miała przed sobą piękny dzień. Z ramion spadł jej wielki ciężar.

— Powiesz mi? — chciał wiedzieć Gabe.

Słyszała huk morza za plecami.

— To sekret? — nalegał.

— Cholera, nie.

Jo wiedziała, że przylądki Marin zawsze będą za jej plecami, przypominając o miejscu spoczynku Daniela. Nie wiedziała, co leżało przed nią, ale była skłonna zaryzykować.

— Kiedy się dowiem? — nie dawał za wygraną.

Pociągnęła Quintanę, żeby stanął. Odwróciła go twarzą do siebie i położyła dłonie na jego policzkach. Poczula, że obejmuje ramieniem jej plecy i przyciąga do siebie. Uśmiechnęła się i wspięła na palce.

— Teraz.